



GWIEZDNE WOJNY

UCZEŃ CIEMNEJ STRONY

KEVIN J. ANDERSON

Przekład
ANDRZEJ SYRZYCKI



Tytuł oryginału
DARK APPRENTICE

Ilustracja na okładce
ALVIN

Redakcja merytoryczna
TERESA UMER

Redakcja techniczna
ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta
JOANNA DZIK

Copyright © 1996 by Lucasfilm, Ltd.
Published originally under the title *Dark Apprentice* by Bantam Books

*LUCY AUTREY WILSON z Lucasfilm Licensing...
tak bardzo wzruszonej widokiem swojego nazwiska
na liście osób, którym autor książki składa
podziękowania, że wprost trudno przewidzieć
co zrobi, kiedy stwierdzi, iż zadedykował jej całą
książkę! Lucy miała tyle zapału, tak chętnie
wysłuchiwała pomysłów i zgłaszała własne,
że z prawdziwą przyjemnością pracowałem z nią
nad wszystkimi projektami dotyczącymi
„Gwiezdnych Wojen”.*

Podziękowania

Chciałbym obsypać podziękowaniami: Lillie Mitchell za błyskawiczne przepisywanie stosów moich mikrokaset; moją żonę Rebeccę Moestę Anderson właściwie za wszystko co związane z dyskutowaniem pomysłów, przygotowywaniem tekstów do przepisania i za osobisty wkład pracy w dzieło nadawania sensu moim dialogom; Billa Smitha z West End Games za wyczerpującą ekspertyzę w dziedzinie Gwiezdných Wojen (nic wspominając o fantastycznym materiale źródłowym, dostępnym w West End); Toma Veitcha za pomoc w wymyśleniu historii Exara Kuna (prawdę mówiąc, było tego tyle, że opisujemy teraz jego historię i dzieje Wielkiej Wojny Sithów w dwunastu odcinkach „Czarnych Lordów Sithów” które mają być wydane przez Dark Horse Comics); Ralpa McQuarriego, którego wyobrażenia i oryginalne rysunki pomogły mi opisać świątynię Exara Kuna; moją redaktorkę Betsy Mitchell, która pomogła opracować tę książkę; jej następcę, Toma Dupree, który wszedł na pokład statku, kiedy dokonywaliśmy skoku w nadprzestrzeń; Heather McConnell, która pomogła nam nad wszystkim zapanować; Karen Anderson za wymyślenie na potrzeby tej książki terminu *prakseum*, Sue Rostoni z Lucasfilm za czuwanie, żeby wszystkie sprawy toczyły się sprawnie i gładko; Rosę Guilbert za inteligentne małże, Dave’a Wolvertona i Timothy’ego Zahna za nieocenioną pomoc i współpracę; Davida Brina za „Gwiezdną falę”; mojego agenta Richarda Curtisa; Ritę Anderson; Chucka Beasona i, rzecz jasna, George’a Lucasa, przede wszystkim za stworzenie tak fantastycznego wszechświata.

ROZDZIAŁ

1

Nad horyzontem czwartego księżyca ukazała się ogromna pomarańczowa kula gazowej planety Yavin. Łagodne, przenikające przez mgłę światło zalało tętniącą życiem dżunglę i starożytne kamienne świątynie.

Luke Skywalker posłużył się techniką odprężania Jedi, by rozluźnić mięśnie i pozbyć się uczucia zmęczenia. Spał dobrze, ale przygniatała go odpowiedzialność za losy Nowej Republiki i przyszłość galaktyki.

Stał na szczycie piramidy przypominającej ścięty czworościan. Budowla była kiedyś wielką świątynią Massassów, zaginionej rasy obcych istot, które wzniosły ją i porzuciły przed tysiącletkami. W początkowym okresie walk Sojuszu z Imperium w jej ruinach urządzono tajną bazę Rebeliantów. To właśnie stąd wojska Sojuszu przypuściły rozpaczliwy atak na pierwszą Gwiazdę Śmierci. Teraz, po jedenastu latach od chwili opuszczenia bazy, na czwarty księżyc planety Yavin wrócił Luke.

Był mistrzem. Mistrzem Jedi. Miał stać się pierwszym spośród nowego pokolenia Jedi, podobnym do tych, którzy od tysięcy lat chronili Republikę. Dawni rycerze Jedi cieszyli się szacunkiem i byli obdarzeni dużą władzą. Niestety, wszyscy zginęli na rozkaz Imperatora, wytropieni i zamordowani przez Dartha Vadera.

Luke uzyskał zgodę i poparcie Mon Mothmy, przywódczyni Nowej Republiki, na szukanie osób umiejących posługiwać się Mocą - przyszłych uczniów, którzy mogliby się stać załączkiem nowego zakonu rycerzy Jedi. Luke sprowadził kilkunastu kandydatów do swojej „akademii” na Yaninie Cztery, ale miał wątpliwości, jak ich kształcić, by nauka odniosła jak najlepsze skutki.

Jego własne szkolenie, którym zajmowali się Obi- Wan i Yoda, było bardzo pobieżne i krótkie. Od tamtych czasów sam odkrył tyle dziedzin wiedzy Jedi, że mógł się zorientować, ilu rzeczy w dalszym ciągu nie zna. Nawet tak znakomity Jedi, jakim był Obi- Wan Kenobi, pomylił się, a przez to Anakin Skywalker przemienił się w potwora o nazwisku Vader. Teraz Luke’owi, który zamierzał szkolić innych Jedi, nie wolno popełnić tego błędu.

„Zrób to albo nie rób w ogóle - powiedział kiedyś Yoda. - Nie próbuj. Prób nie ma”.

Luke stał na gładkich, zimnych kamieniach na wierzchołku świątyni i spoglądał na budzącą się do życia dżunglę. Był świadom miriadów intensywnych woni,

niesionych stamtąd przez fale ogrzewającego się powietrza. Czuł wyraźnie płynący ku niemu korzenny zapach niebieskolistnych krzewów i aromat wybujałych orchidei.

Zamknął oczy i pozwolił, by ręce z rozłożonymi palcami zwisały bezwładnie wzdłuż ciała. Otworzył umysł, odprężył się i chłonąc siłę Mocy, dotknął delikatnych zmarszczek wytwarzanych przez wszystkie formy roślinnego i zwierzęcego życia w dżungli. Wyostrzonymi zmysłami słyszał szelest milionów liści, szmer ocierających się gałęzi i odgłosy małych zwierząt przemykających między zaroślami.

Usłyszał, jak jakiś gryzoń wydał pełen przerażenia przedśmiertny pisk, kiedy ginął, miażdżony szczękami drapieżnika. Skrzydlate stworzenia śpiewały miłosne pieśni, przelatując między gęsto rosnącymi drzewami. Nieco większe roślinożerne ssaki pożywiały się liśćmi, odrywając z czubków drzew młode pędy, albo grzebały w ziemi, szukając grzybów.

Obok wielkiej świątyni płynęła szeroka rzeka, z trudem widoczna z tej wysokości przez gąszcz liści. Leniwie toczyła ciepłe, szafirowoniebieskie wody, pośród których tu i owdzie można było zauważyć brązowe wiry. Rzeka rozwidlała się, a jedna z jej odnóg wiodła obok dawnej elektrowni Rebeliantów. Luke i Artoo- Detoo musieli ją naprawić, zanim do akademii Jedi wprowadzili się uczniowie. W miejscu, gdzie wody rzeki przepływały nad burzonym na wpół przegniłym pnem drzewa, Luke wyczuwał obecność wielkiego drapieżnika, który kryjąc się w mrocznej toni, czyhał na życie stworzeń, przypominających małe rybki.

Rośliny w gęstej dżungli kwitły. Zwierzęta żyły. Przyroda na księżycu planety Yavin budziła się do życia. Cały Yavin Cztery żył, a Luke Skywalker czuł, jak w jego ciało wstępuje nowa siła.

Wytężył wszystkie zmysły i usłyszał odgłos kroków dwojga ludzi przedzierających się jeszcze dosyć daleko przez gęstą dżunglę. Dwaj jego uczniowie poruszali się jak duchy, nie odzywając się do siebie, ale kiedy szli wąziutką ścieżką między zaroślami, Luke wyraźnie wyczuwał zachodzące w dżungli zmiany.

Chwila wsłuchiwania się w doznania własnych zmysłów minęła. Luke uśmiechnął się do siebie i otworzył oczy. Postanowił zejść z wierzchołka świątyni i udać się na spotkanie z uczniami.

Zanim jednak odwrócił się, żeby wejść do dźwięczącego echem korytarza, uniósł głowę ku niebu i w warstwach przesyconej parą wodną atmosfery ujrzał jasne smugi silników lądującej barki. Z zaskoczeniem uświadomił sobie, że niemal zapomniał o terminie przylotu kolejnego transportu potrzebnych rzeczy.

Tak bardzo koncentrował się na szkoleniu nowych Jedi, że stracił kontakt z tym, co działo się w galaktyce. Dopiero, gdy ujrzał barkę, stwierdził, jak bardzo brakuje mu wiadomości od Hana, Leii i ich dzieci. Miał nadzieję, że pilot statku będzie wiedział, co się z nimi dzieje.

Szarpięciem głowy zsunął na plecy kaptur swojego brązowego płaszcza Jedi. Szata była zbyt ciepła jak na przesycone wilgocią powietrze dżungli, ale Luke już dawno przestał zwracać uwagę na takie drobne niedogodności. Na Eol Sha przeszedł po taflę jeziora wrzącej lawy, później na Kessel odbył wyprawę w głąb mrocznych kopalń przyprawy, a więc nie mógł martwić się teraz tym, że się poci.

Kiedy Rebelianci zakładali bazę w świątyni Massassów, oczyścili jej komnaty z wszelkiej roślinności. Po drugiej stronie rzeki wznosiła się inna duża świątynia, a wyniki badań orbitalnych świadczyły o tym, że pośród nieprzebranych gąszczów dżungli kryło się kilka innych. Sojusz poświęcał jednak walce z Imperium tyle uwagi, że nie miał czasu na dokładne badania archeologiczne. Zaginiona rasa budowniczych świątyni pozostawała zatem taką samą zagadką, jak w czasach, kiedy Rebelianci po raz pierwszy postawili stopy na Yavinie Cztery. Zbudowane z kamiennych bloków korytarze, chociaż nigdy nie miały gładkich powierzchni, nie nosiły śladów dużych zniszczeń mimo wielu stuleci, podczas których były narażone na działanie sił przyrody. Luke skorzystał z turbowindy i zjechał z wierzchołka na drugie piętro, na którym pozostali uczniowie spali albo oddawali się porannym medytacjom. Kiedy wyszedł z kabiny, z kąta komnaty wyjechał na jego powitanie Artoo- Detoo. Kółka małego robota brzęczały, tocząc się po nierównych kamiennych płytach, ale jego półkulista kopułka obracała się w jedną i w drugą stronę. Z korpusu wydobywały się całe serie elektronicznych pisków.

- Tak, Artoo, widziałem tę lądującą barkę - odparł Luke. - Czy nie mógłbyś teraz zjechać i powitać ich w moim imieniu? Ja muszę wyjść na spotkanie Gantorisa i Streena, którzy właśnie wracają ze spaceru po dżungli. Chciałbym zobaczyć się z nimi i dowiedzieć, co odkryli.

Artoo potwierdził przyjęcie polecenia pojedynczym piskiem i potoczył się w stronę kamiennej rampy. Luke tymczasem ruszył korytarzem, wdychając zatechłą woń chłodnego powietrza, przesyconego pyłem kruszących się kamieni. Obok wejść do niektórych opuszczonych komnat wciąż jeszcze wisały stare chorągwie Rebeliantów.

Akademia Jedi Luke'a w żadnym razie nie zasługiwała na miano placówki luksusowej. Prawdę mówiąc, pozwalała na zaspokojenie tylko najbardziej podstawowych potrzeb. Luke i jego uczniowie zajmowali się jednak problemami, które pochłaniały ich o wiele bardziej niż myślenie o niewygodach. Mistrz Jedi nie naprawił wszystkich szkód, jakie wyrządził upływ czasu, jedynie wyremontował i oczyścił urządzenia systemów, które zapewniały oświetlenie i dopływ bieżącej wody. Przywrócił także sprawność automatów służącym do przygotowywania posiłków, zainstalowanym kiedyś przez specjalistów Sojuszu.

Kiedy Luke znalazł się w końcu na parterze świątyni, na widok częściowo uniesionych wrót hangaru pomyślał, że widzi na wpół otwarte usta. Wyczuwał w pomieszczeniu echo dawnych czasów, ledwo uchwytną woń paliwa i chłodziwa silników gwiazdnych maszyn. Jego zmysły drażnił zapach kurzu i starych smarów unoszący się z mrocznych kątów. Mistrz Jedi przeszedł przez nie domknięte wrota i zmrugał oczy przed blaskiem łagodnego światła, przesączonego przez warstwy pary wodnej. Zauważył, jak znad wilgotnego poszycia dżungli unosi się delikatna mgiełka.

Wyszedł ze świątyni w idealnej chwili. Gdy tylko zagłębił się w gąszcz roślin, zaraz usłyszał odgłos kroków dwóch nadchodzących uczniów.

Wysyłał ich parami w trudno dostępne chaszczce, chcąc w ten sposób ćwiczyć zaradność i pomysłowość studentów, a także zapewnić im warunki do niczym nie zakłóconej koncentracji. Pozostawieni samym sobie i zdani tylko na własne siły,

wykorzystywali siłę skupienia, by wyczuwać i badać zmysłami inne formy życia, zapoznawać się z Mocą.

Kiedy obaj mężczyźni wyłonili się z płataniny niebieskolistnych krzewów i postrzępionych paproci, Luke uniósł rękę na powitanie. Wysoki, ciemnowłosy Gantoris rozchylił ciężkie gałęzie i podszedł bliżej, by przywitać się z Lukiem. Czoło mężczyzny, pozbawione brwi wyglądało na spękane, podobne do zwietrzałej skały. Chociaż spędził całe życie na planecie Eol Sha, nękanej wybuchami wulkanów i gejzerów, wydawał się zdziwiony widokiem mistrza Jedi, ale natychmiast przybrał obojętny wyraz twarzy.

W swoim świecie przypominającym piekło korzystał z wrodzonych zdolności do posługiwania się Mocą. Chciał w ten sposób utrzymać przy życiu małą grupkę kolonistów, o których niemal wszyscy zapomnieli. Czasami dręczyły go koszmarne sny o „mężczyźnie, spowitym całunem mroku”, kuszącym go wielką władzą, a później bezlitośnie go niszczącym. Na początku przypuszczał, że mężczyzną ze snów jest Luke, który odziany w ciemny płaszcz Jedi przeszedł przez gejzerowe pole, a potem namawiał kolonistę, żeby został jego uczniem. Gantoris wypróbował wówczas Luke'a, każąc mu wspinać się kominem we wnętrzu gejzera i przechodzić po powierzchni rozżarzonej lawy.

Za Gantorisem szedł Streen, drugi uczeń, którego odnalazł Luke, kiedy poszukiwał odpowiednich kandydatów. Starszawy mężczyzna zajmował się chwytaniem gazów na Bepinie, gdzie żył jak pustelnik w opuszczonym latającym mieście. Potrafił przewidywać erupcje drogocennych substancji, które wydostawały się spod grubej warstwy chmur. Luke skusił go obietnicą, że uciszy setki przekrzykujących się głosów, jakie Streen słyszał w głowie, ilekroć znalazł się w miejscach nieco gęściej zaludnionych.

Obaj uczniowie skłonili się, a Luke podszedł do nich i uściśnął ich dłonie.

- Cieszę się, że wróciliście - oznajmił. - Powiedzcie mi czego się nauczyliście.

- Odkryliśmy jeszcze jedną świątynię Massassów! - niemal bez tchu odparł Streen, spoglądając na prawo i lewo. Jego mocno przerzedzone siwe włosy były teraz zmierzwione i poprzątkowane kawałkami roślin.

- To prawda - odezwał się Gantoris. Zarumieniona twarz mężczyzny i ciemne włosy splecione w długi warkocz były wilgotne od potu i zakurzone. - W porównaniu z naszą tamta jest trochę mniejsza, ale odniosłem wrażenie, że promieniuje dziwną siłą. Budowlę wzniesiono z obsydianu na samym środku płytkiego jeziora wyglądającego jak szklane. W świątyni widzieliśmy duży posąg wielkiego lorda.

- Bez wątplenia musiał być to kiedyś ośrodek silnej władzy - stwierdził Streen.

- Tak, ja także to wyczułem - dodał Gantoris. Wyprostował się i szarpnięciem głowy przerzucił gruby warkocz na plecy. - Uważam, że powinniśmy dowiedzieć się o rasie Massassów wszystkiego, co możemy. Wydaje mi się, że byli obdarzeni dużą władzą, ale zniknęli bez śladu. Kto wie, co się z nimi stało? Może zostało po nich coś, czego powinniśmy się obawiać?

Luke poważnie kiwnął głową. On także wyczuwał tę moc promieniującą ze świątyni. Kiedy po raz pierwszy przybył na Yavina Cztery, był zaledwie dorastającym

chłopcem. Niemał z zamkniętymi oczami przyłączył się do Rebeliantów, chcąc pomóc w walce przeciwko Imperium. Nie zdawał sobie sprawy z potęgi Mocy; prawdę mówiąc, o jej istnieniu dowiedział się zaledwie kilka dni wcześniej.

Powrócił tu znów jako mistrz Jedi i potrafił wyczuwać wiele rzeczy, które przedtem były niedostępne jego zmysłom. Znał ciemną stronę Mocy, którą wykrył Gantoris. Chociaż oświadczył uczniom, że powinni dzielić się ze wszystkimi tym, czego się nauczą, to czuł, że pewien rodzaj wiedzy może stanowić dla nich śmiertelne zagrożenie.

Darth Vader także odkrył kiedyś niewłaściwą wiedzę. Luke musiał brać pod uwagę możliwość, że któryś z jego studentów również zostanie zwiedziony przez ciemną stronę.

Położył dłonie na ramionach uczniów.

- Wejdźcie teraz do środka i napijcie się czegoś - powiedział. - Łąduje barka z zaopatrzeniem. Powinniśmy powitać naszych gości.

Na oczyszczonym z roślinności lądowisku zastali Artoo obok budki kontrolera lotów. Wydając serie elektronicznych pisków, przekazywał współrzędne komputerowi lądującego statku klasy X-23 Gwiezdny Robotnik.

Z zadartą głową, Luke przyglądał się lądowaniu. Wsluchiwał się w jęklive zawodzenie silników i obserwował płomienie z dysz wylotowych. Barka klasy Gwiezdny Robotnik przypominała trapezoidalny towarowy kontener, do którego przymocowano silniki typu incom umożliwiający loty z prędkościami podświetlnymi. Wysłuchony transportowiec pamiętał lepsze czasy. Na szarym metalu kadłuba było widać odbarwione miejsca po strzałach z blastera, a także niezliczone wgłębienia i rysy od zderzeń z mikrometeorami. Silnik brzmiał jednak pewnie i głośno. Po chwili wysunęły się elementy podwozia.

Na dolnych krawędziach kosmicznej barki zaczęły mrugać światła pozycyjne, a potem statek łagodnie osiadł na prowizorycznym lądowisku. Luke zmrużył oczy, starając się coś dojrzeć, ale zobaczył jedynie stado latających stworzeń. Poderwały się z koron drzew, głośno skrzecząc, jakby złorzeczyły dziwnemu metalowemu przedmiotowi, który wtargnął do ich lasu.

Po chwili wysunęły się ciężkie plastalowe wsporniki i ze szmerem hydraulicznych siłowników spoczęły na ziemi. W przesyconym wilgocią powietrzu zawisł gorzki zapach oleju i wydechowych gazów, mieszając się z ostrą i słodką wonią kwiatów i liści dżungli.

Zapach urządzeń mechanicznych przypominał Luke'owi gwarną i rojną metropolię, Imperial City, siedzibę władz Nowej Republiki. Chociaż od kilku miesięcy przebywał na Yavinie Cztery, nie niepokojony przez nikogo, poczuł nagle, jak na karku zaczyna go świerzbić skóra. Nie mógł pozwolić sobie nawet na sekundę nieuwagi. To nie były wakacje. Musiał spełnić ważną misję dla dobra Nowej Republiki.

Mimo że barka osiadła na lądowisku, jej kadłub wciąż jeszcze mruczał i skrzypiał, jakby rozmawiał z samym sobą. Powoli, z sykiem przypominającym kasznięcie otworzyły się dwuskrzydłowe wrota rufowej ładowni. Wyglądało to tak, jakby dwaj giganci rozsuwali je na zmianę: to jedno skrzydło to znów drugie. W błękitnym świetle

Luke ujrzał wiele skrzyń, klatek z towarami i pudeł z żywnością, sprzętem łączności ubraniami i rozmaitymi drobiazgami. Wszystkie były przymocowane do ścian albo oplecione ochronnymi siatkami.

Gantoris i Streen przeszli cicho między skrzyniami i dołączyli do Luke'a. Oczy starszego mężczyzny rozszerzyły się na widok tyłu cudów, ale Gantoris zrobił sceptyczną, kwaśną minę.

- Czy naprawdę potrzebujemy tych wszystkich rzeczy, mistrzu Skywalkerze? - zapytał.

Luke rozejrzał się po ładowni. Kiedy zobaczył zgromadzone towary - w większości niepotrzebne - domyślił się, że to Leia układała ich listę. W ładowni znajdowały się egzotyczne syntetyzatory żywności, luksusowe stroje, podgrzewacze, neutralizatory wilgoci, a nawet kilka wydrążonych ithoriańskich wietrznych kurantów.

- Będziemy musieli coś z tym zrobić - odparł.

Z kabiny pilota, umieszczonej w górnej części statku, z jękiem tłoków i rolek wysunęła się wąska rampa. Na jej szczycie ukazała się sylwetka mężczyzny. Z ładowni można było dostrzec obute nogi, pognieciony materiał izolowanego termicznie kosmicznego kombinezonu i zaokrąglony biały hełm. Pilot barki ruszył w dół rampy, ściągając hełm odzianą w rękawicę dłonią, która przysłoniła wygrawerowaną błękitną błyskawicę, symbol Nowej Republiki. Potrząsnął głową, aż zdrząły jego krótkie, ciemne włosy.

- Wedge! - zawołał Luke, szczerząc w uśmiechu zęby. - Czy Nowa Republika nie ma innych zajęć dla swoich generałów, że zatrudnia ich jako pilotów barek?

Wedge Antilles umieścił hełm pod ramieniem okrytym pomarańczową błyszczącą tkaniną, a potem wyciągnął dłoń do Luke'a. Mistrz Jedi wybiegł z ładowni i objął go na powitanie. Obaj uścisnęli się jak przyjaciele, którzy nie widzieli się o wiele za długo.

- Musisz przyznać, że mam wszelkie kwalifikacje do tej pracy - rzekł Wedge. - A poza tym miałem dosyć burzenia gmachów w zapadłych dziurach Imperial City, tak samo, jak przedtem znudziło mi się ściąganie wraków gwiazdnych statków z orbit wokół Coruscant. Pomyślałem, że zajęcie pilota barki będzie czymś lepszym niż praca śmieciarza.

Uniósł głowę, popatrzył ponad ramieniem Luke'a i uśmiechnął się, aż w jego policzkach ukazały się małe dołki. W tym momencie Gantoris wyłonił się z ładowni i podszedł do Wedge'a. Uścisnął jego dłoń silnie, niemal brutalnie, a potem utkwiał spojrzenie w jego oczach.

- Generale Antilles, czy ma pan jakieś wiadomości o moich ludziach? - zapytał. - Mam nadzieję, że wszyscy bezpiecznie dotarli do nowego domu na Dantooine.

- Tak, wszyscy zostali już przesiedleni i radzą sobie bardzo dobrze - odparł Wedge. - Posłaliśmy im cały transport automatycznie rozstawianych modułów mieszkalnych. Otrzymali także programowalne roboty i rolnicze automaty, żeby mogli jak najszybciej stanąć na własnych nogach. Dantooine jest planetą przyjazną. Mogą tam polować na zwierzęta i spożywać plody miejscowej flory. Uwierz mi, czują się tam o wiele lepiej niż na Eol Sha.

- Nie wątpię - odrzekł Gantoris.

Poważnie kiwnął głową i skierował wzrok na wierzchołki pobliskich drzew. Pomarańczowy blask wschodzącego gazowego giganta sprawiał, że oczy mężczyzny błyszczały jak jeziora lawy, podobne do tego, po którym kazał kiedyś przejść Luke'owi.

- Gantoris, Streen - odezwał się mistrz Jedi. - Proszę, zajmijcie się teraz rozładowaniem statku. Nie powinniście mieć żadnych kłopotów z podnoszeniem skrzyń, jeżeli posłużycie się odrobiną Mocy. Potraktujcie to jako sprawdzian waszych umiejętności. Artoo, proszę, wezwij do pomocy Kiranę Ti i Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego.

Streen i Gantoris weszli po zaopatrzonej w poprzeczne fałdy rampie ładowni, a Artoo, cicho mrucząc, przetoczył się pod podwoziem statku i zniknął w hangarze wielkiej świątyni, by odszukać wskazanych Jedi.

Luke klepnął przyjaciela po ramieniu.

- Ja także jestem ciekaw, co słyhać, Wedge - podział. - Mam nadzieję, że opowiesz mi najnowsze plotki. Wedge uniósł brwi. Jego delikatny podbródek i drobna budowa ciała sprawiały, że wyglądał na o wiele młodszego niż mistrz Jedi. Przeżyli wspólnie niejedną przygodę. To właśnie Wedge leciał u boku Luke'a podczas desperackiego ataku na pierwszą Gwiazdę Śmierci, to on pomagał w obronie Bazy Echo na lodowej planecie Hoth i to on brał udział w walce o Endor przeciwko drugiej Gwieździe Śmierci.

- Plotki? - roześmiał się Wedge. - To chyba nie jest coś co mogłoby interesować mistrza Jedi?

- Masz rację - rzekł Luke. - Chodziło mi o to, co słyhać u Leii i Hana. Jak miewa się Mon Mothma? Jak sprawy na Coruscant? Kiedy Han przyśle tu Kypa Durrona? Chciałbym zacząć go jak najszybciej uczyć, bo chłopak ma ogromny talent.

Usłyszawszy ten grad pytań, Wedge pokręcił głową.

- Nie martw się, Luke. Kyp już wkrótce tu będzie - powiedział. - Niemal całe życie spędził w kopalniach przyprawy na Kessel, a wy dostał się stamtąd zaledwie przed miesiącem. Han stara się pokazać mu, jak może wyglądać życie.

Luke przypomniał sobie ciemnowłosego kilkunastoletniego chłopaka, którego Han uwolnił z mroków kopalni błyszczostymu. Doskonale pamiętał, że podczas sprawdzania za pomocą techniki badania umiejętności Jedi, czy Kyp umie posługiwać się Mocą, reakcja młodzieńca była tak silna, że niczym potężny cios odrzuciła Luke'a w przeciwny kąt pokoju. W ciągu całego okresu poszukiwań kandydatów do swojej akademii Luke jeszcze nigdy nie spotkał się z taką siłą.

- A co z Leią?

Wedge zastanowił się przez chwilę, a Luke był mu wdzięczny za to, że przyjaciel nie odpowiedział po prostu: „Jak zwykle, wszystko w porządku”.

- Wygląda na to, że obowiązki minister stanu zajmują jej coraz więcej czasu - odparł po chwili. - Mon Mothma przekazuje jej coraz więcej zadań, a sama coraz częściej przebywa w prywatnych komnatach i stamtąd stara się rządzić Nową Republiką. Wielu ludzi zaczyna się tym martwić.

- A jak sobie radzi Leia? - zapytał Luke.

Tak bardzo chciałby wiedzieć wszystko naraz. Żałował, że nie może znów brać w tym udziału... chociaż z drugiej strony jakąś cząstką świadomości wołał pozostawać na zacisznym Yavinie Cztery.

Wedge usiadł na krawędzi opuszczonej rampy. Oparł jedną nogę o wysięgnik, wyjął hełm i umieścił go na kolanie, tak żeby nie spadł.

- Leia radzi sobie doskonale, ale, jeżeli chcesz znać moje zdanie, wzięła na barki zbyt duży ciężar. Wprawdzie maleńki Anakin wciąż przebywa w ukryciu, ale przecież twoja siostra musi opiekować się bliźniętami. Rzecz jasna, pomaga jej w tym Threepio, jednak Jacen i Jaina mają dopiero po dwa i pół roku. Obowiązki zajmują jej każdą chwilę i Leia zaczyna wyglądać na przemęczoną.

- Powinna przylecieć tu i odpocząć - zaproponował Luke. - Mogłaby zabrać bliźnięta. Czas najwyższy, żebym zaczął je uczyć choćby podstawowych umiejętności Jedi.

- Jestem pewien, że Leia bardzo chciałaby tu przylecieć - odparł Wedge. On i Luke odwrócili się i patrzyli, jak Gantoris ze Streenem wylonili się z towarowego luku barki. Obaj Jedi stąpali bez wysiłku, niosąc ciężkie skrzynie, których udźwignięcie wydawało się niemożliwe. Oczy Wedge'a rozszerzyły się na widok tego pokazu nadludzkiej siły. - Musiałem zatrudnić automaty, żeby wniosły te pudła na pokład - stwierdził. - Sam nie mogłem ich nawet ruszyć.

- A zatem moi uczniowie robią postępy - rzekł Luke. - A co z tobą, Wedge? Czy zamierzasz przez resztę życia być pilotem towarowej barki?

Wedge uśmiechnął się, a potem jednym ruchem nadgarstka rzucił hełm w górę rampy tak zręcznie, że wpadł do kabiny pilota, gdzie z głośnym trzaskiem odbił się od metalowej ściany i potoczył po podłodze.

- Nie, Luke. Prawdę mówiąc, przyleciałem tu, by powiedzieć, że zaproponowano mi nową pracę i przez jakiś czas nie będę miał okazji się z tobą widzieć. Nowa Republika obawia się, że ktoś może chcieć wyciągnąć z doktor Qwi Xux jej tajemnice. Admirał Daala czai się, nie wiadomo gdzie, a dysponuje przecież flotą kilku imperialnych gwiazdnych niszczycieli. W każdej chwili może zacząć napadać na przypadkowo wybrane światy i ponownie się ukrywać. Niektórzy myślą, że może nawet próbować porwać Qwi Xux.

Luke poważnie kiwnął głową. Qwi Xux była najzdolniejsza ze wszystkich naukowców, zatrudnionych w tajnym imperialnym laboratorium doświadczalnym, z którego uciekł Han - rzecz jasna, przy pomocy Qwi.

- A nawet jeżeli nie będzie chciała jej porwać Daala, jestem pewien, że może usiłować zrobić to ktoś inny - stwierdził, uzupełniając wypowiedź przyjaciela.

- Ta- a - przyznał Wedge. - Właśnie dlatego wyznaczono mnie na jej osobistego strażnika. A na razie rada Nowej Republiki wciąż jeszcze debatuje, co zrobić z Pogromcą Słońca, tą porwaną przez Haną śmiercionośną bronią. - Westchnął. - I tak wygląda drobna cząstka tego wszystkiego, co dzieje się na Coruscant - dodał.

Luke spoglądał na Gantorisa i Streena, którzy bez przerwy wynosili z ładowni ciężkie paki i przenosili na drugą stronę polany, gdzie składali je w pustym i chłodnym

hangarze. Ze świątyni wytoczył się Artoo, za którym ukazało się dwóch innych uczniów.

- Wygląda na to, że będziesz potrzebował nowych Jedi bardziej niż kiedykolwiek - odezwał się Luke.

Wedge energicznie kiwnął głową.

- Nawet bardziej, niż ci się zdaje - odparł.

ROZDZIAŁ

2

Długa podróż sprawiła, że Leia, w milczeniu siedząca obok admirała Ackbara, niespokojnie kręciła się na fotelu zmodyfikowanego myśliwca typu B. Kiedy statek mknął przez nadprzestrzeń, oboje oddychali zatęchłym powietrzem ciasnej kabiny przesyconym wonią smarów.

Obowiązki minister stanu zmuszały Leię do częstych wypraw. Musiała brać udział w uroczystościach dyplomatycznych, przyjęciach na cześć ambasadorów czy choćby tylko zapobiegać politycznym kryzysom. Chcąc jak najlepiej pełnić swoje funkcje, sumiennie przeskakiwała z jednego miejsca galaktyki do drugiego, by gasić konflikty w zarodku i pomagać Mon Mothmie utrzymywać kruchy ład w próżni, jaką pozostawił upadek Imperium.

Po kilkanaście razy obejrzała zabrane hologramy na temat planety Vortex, ale nie mogła przestać myśleć o swoim mężu, Hanie, i bliźniętach, Jacenie i Jainie. Doszła do wniosku, że stanowczo zbyt długo nie odwiedzała trzeciego dziecka, maleńkiego Anakina, który chroniony i izolowany od reszty świata przebywał na niemal nikomu nie znanej planecie Anoth.

Wydało się Leii, że ilekroć próbuje spędzić tydzień, dzień czy choćby godzinę z bliskimi ludźmi, zawsze ktoś lub coś jej przeszkadza. Za każdym razem gotowała się ze złości, ale nie mówiła ani słowa, ze względów politycznych zmuszona układać rysy twarzy w uprzejmą maskę.

Od młodości postanowiła poświęcić swój czas Rebeliantom. Potajemnie sprzyjała im jako księżniczka Alderaanu, rzekoma córka senatora Baila Organy, później walczyła przeciwko Darthowi Vaderowi i Imperatorowi, a ostatnio jej przeciwnikiem był wielki admirał Thrawn. Teraz jednak czuła się rozdartą, chcąc równie dobrze pełnić obowiązki minister stanu, jak żony Hana i matki trojga dzieci. Tym razem zdecydowała, że jej powinności wobec Nowej Republiki są ważniejsze. Podejmowała taką decyzję niemal zawsze.

Admirał Ackbar, siedzący obok niej w kabinie, bardzo zgrabnie poruszał charakterystycznymi dla istot ziemno-wodnych płetworękami, manipulując kilkoma dźwigniami kontrolnymi.

- Wychodzimy z nadprzestrzeni - powiedział. Jego głos zabrzmiał bardzo poważnie.

Kalamarianin, o skórze koloru łososiowego, czuł się w swoim białym mundurze bardzo dobrze. Od czasu do czasu obracał gigantycznymi błyszczącymi oczami z boku na bok, jakby chciał objąć nimi każdy szczegół wnętrza kabiny. Leia nie zauważyła, żeby mimo drugiej podróży niecierpliwie wiercił się na fotelu.

Ackbar i pozostali mieszkańcy wodnego świata, Kalamaru, bardzo ucierpieli pod rządami bezwzględnego Imperatora. Potrafili się zamykać w sobie, ale umieli też wsłuchiwać się we wszystko, co ich otacza, podejmować decyzje i wcielać je w życie. Służąc w wojsku Rebeliantów jako lojalny oficer, admirał Ackbar przyczynił się do budowy gwiazdnych maszyn klasy B, które zadały takie ciężkie straty myśliwcom typu TIE pilotowanym przez imperialne wojska.

Leia obserwowała, jak Ackbar prowadzi swój rozbudowany niezgrabny statek. Pomyślała, że admirał sprawia wrażenie integralnej części nieporęcznego myśliwca. Maszyna składała się głównie ze skrzydeł i wieżyczek turbolaserów rozmieszczonych wokół dwudzielnej kabiny. Ekipa podobnych do ryb Kalamarian pod dowództwem głównego mechanika, Terpfena, powiększyła jednoosobowy statek i wstawiła dodatkowy fotel dla pasażera. W ten sposób myśliwiec stał się osobistym dyplomatycznym wahadłowcem Ackbara.

Przez transparentowe szyby iluminatorów kabiny przypominającej kopułę Leia patrzyła, jak wielobarwne smugi gwiazd zamieniają się w pojedyncze ogniki. Poczuła, że włączają się silniki do lotów z prędkościami podświetlnymi i że myśliwiec typu B zaczyna kierować się ku Vortex.

Starając się rozprostować fałdy oficjalnego munduru, stwierdziła, że materiał jest wilgotny, klei się do jej ciała. Usiadła wygodniej, widząc, że Ackbar poświęca całą uwagę pilotowaniu maszyny. Wyjęła z kieszeni holograficzny notatnik i położyła płaskie srebrzyste urządzenie na kolanach.

- Jest piękna - powiedziała, spoglądając przez dziobowy iluminator na widoczną w dole planetę. W przestworzach wisiała nieruchomo srebrzysta niebieskoszara kula. Otaczające ją zwały ciemnych, ciężkich burzowych chmur układały się w skomplikowane wzory. Nawet z tej wysokości można było stwierdzić, że niesione huraganowymi wichrami wirują jak w upiornym tańcu.

Leia przypomniała sobie astronomiczne dane, z jakimi zapoznała się przed odlotem na Vortex. Duży kąt nachylenia osi obrotu planety sprawiał, że zmiany pór roku wywierały bardzo silny wpływ na pogodę. Z atmosferycznych gazów, które zamarzały na początku zimy, tworzyły się ogromne lodowe czapy. Nagły spadek ciśnienia atmosfery wywoływał potworne prądy, które nękały powierzchnię planety niczym wiry uchodzącej wody. Zajmując wolne miejsce po atmosferycznych gazach, które przeszły w stan stały, chmury i para wodna gnały nad równinami z szybkością huraganu.

W czasie pory zimowej Vorowie, człekokształtne istoty o kruchych kościach i delikatnych, pierzastych skrzydłach na plecach, chronili się pod powierzchnią planety

w domach, zagrzebanych do połowy w ziemi. Na cześć wiejących wichrów wymyślili jednak imprezę kulturalną, która nie miała sobie równej w całej galaktyce.

Leia postanowiła, że przed lądowaniem i czekającym ją dyplomatycznym przyjęciem jeszcze raz zapozna się ze wszystkimi informacjami. Dotknęła obrazków wrytych w obudowie z syntetycznego marmuru i włączyła holograficzny notatnik. Wiedziała, że jako minister stanu Nowej Republiki nie może pozwolić sobie na żadną polityczną gafę.

Ze srebrzystego ekranu urządzenia uniósł się migotliwy, opalizujący hologram miniaturowej Katedry Wiatrów. Rzucając wyzwanie wichrom, które z siłą huraganu pędziły nad powierzchnią planety, Vorowie zbudowali wysoką delikatną konstrukcję, która od wieków opierała się najsilniejszym burzom. Wrażliwa, krucha i niewiarygodnie skomplikowana Katedra Wiatrów wznosiła się niczym zamek, zbudowany z kryształów cienkich jak skorupki jajek. We wnętrzach wydrążonych wieżyczek i iglic znajdowało się tysiące prostych i wijących się kanałów i przepustów. Od budowli odbijały się promienie słońca, rzucając migotliwe blaski na otaczające ją trawiaste równiny, smagane wichrami.

Podmuchy wiatru przedzierały się przez tysiące mniejszych i większych otworów, przypominających plaster miodu, wydrążonych w cienkich i nieco grubszych iglicach. Na początku każdej pory wiatrów zaczynały wydawać płaczące dźwięki, odbijające się od wewnętrznych ścian katedry. W taki sposób tworzyła się muzyka jak w organach z piszczalkami o różnych średnicach.

Nie zdarzyło się, by dwa razy była taka sama, a Vorowie pozwalali, żeby powstawała tylko raz w ciągu roku. Podczas koncertu tysiące Vorów wlatywało przez otwory budowli lub wspinało się po wieżyczkach i iglicach, by otwierać lub zamykać otwory powietrznych kanałów. Mieszkańcy planety kształtowali w ten sposób muzykę jak rzeźbę, jak dzieło sztuki, tworzone na równi przez siły przyrody i ich samych.

Posługując się holograficznym notatnikiem, Leia wybrała następną informację. Muzyki wichrów nikt nie słyszał od dziesięcioleci, od czasów, kiedy senator Palpatine obwołał się Imperatorem i ogłosił nowy porządek w galaktyce. Chcąc zaprotestować przeciwko okrucieństwu Imperium, Vorowie zatkali otwory wszystkich iglic katedry, by nikt nie mógł słuchać ich muzyki.

Tym razem jednak, po tylu latach przerwy, mieszkańcy Vortex zaprosili przedstawiciela Nowej Republiki, by przyleciał na koncert.

Ackbar uruchomił nadajnik, wybrał kanał łączności i przysunął głowę, przypominającą rybią, do mikrofonu. Leia obserwowała, jak zadrżały szczeniaste czułki otaczające usta Ackbara, kiedy powiedział:

- Lądowisko Katedry Vortex, tu mówi admirał Ackbar. Znajdujemy się na orbicie i prosimy o zgodę na lądowanie.

Po chwili w głośniku urządzenia odezwał się głos Vora, podobny do trzeszczenia dwóch ocierających się o siebie suchych gałęzi.

- Wahadłowiec Nowej Republiki, przekazujemy współrzędne toru podejścia do lądowania, uwzględniające siłę i kierunek wiatru oraz specyfikę szalejącej burzy.

Pamiętajcie, że zawirowania prądów atmosfery są niebezpieczne i często niemożliwe do przewidzenia. Postępujcie ściśle według wskazówek.

- Zrozumiałem.

Ackbar usiadł wygodniej na fotelu, pocierając szerokie kości łopatkowe pleców o oparcie przypominające grzebień, a później przeciągnął przez piersi kilka czarnych pasów bezpieczeństwa.

- Będzie lepiej, jak i ty się przypniesz, Leio - powiedział. - Lot na dół może nie obyć się bez wstrząsów.

Leia wyłączyła holograficzny notatnik i wsunęła go do kieszeni fotela. Usłuchała, ale czując się dziwnie skrępowana, głęboko zaciągnęła się zatechłym, chociaż regenerowanym powietrzem kabiny. Ledwo wyczuwalna rybia woń dowodziła, że Kalamarianin zaczyna się denerwować.

Wpatrując się w dziobowy iluminator, Ackbar skierował swój myśliwiec typu B ku wirującym chmurom atmosfery Vortex, w sam środek szalejącej burzy.

Ackbar wiedział, że istoty ludzkie nie potrafią rozpoznawać emocji, malujących się na twarzach Kalamarian. Miał nadzieję, że Leia nie uświadamia sobie, jak bardzo jest zaniepokojony koniecznością pilotowania myśliwca w tak piekielnych warunkach atmosferycznych.

Leia nie zdawała sobie sprawy z tego, że admirał zgłosił się na ochotnika jako uczestnik tej wyprawy. Nie ufał nikomu innemu, że przetransportuje bezpiecznie kogoś tak ważnego jak minister stanu Nowej Republiki. Nie ufał też żadnemu innemu statkowi tak bardzo jak swojemu myśliwcowi.

Skierował obie brązowe gałki oczne do przodu, by móc obserwować zbliżającą się warstwę chmur. Jego statek, podążając niemal w sam środek wielkiego wiru, dotarł właśnie do górnych warstw atmosfery. Ostre skrzydła gwiazdnego myśliwca przecinały powietrze z głośnym świstem, zostawiając za sobą kłęby wirujących gazów. Krawędzie skrzydeł otaczała wiśniowoczerwona poświata.

Ackbar trzymał dźwignie sterujące w dłoniach podobnych do płetw. W ułamku sekundy podejmował trudne decyzje, w skupieniu spoglądając na przyrządy. Chciał być pewien, że wszystkie urządzenia funkcjonują prawidłowo. Podczas tego lądowania nie mógł przecież popełnić żadnego błędu. Zwrócił prawą gałkę oczną w dół, na widoczny na ekranie nawigacyjnego komputera zestaw współrzędnych trajektorii lądowania, przekazanych przez kontrolera Vorów.

Myśliwiec zaczął się trząść i trzeszczeć. W pewnej chwili, kiedy szczególnie silny podmuch wznoszącego się powietrza poderwał statek o dobre kilkaset metrów w górę, by w następnej sekundzie pozwolić mu opaść bezwładnie jak kamień, Ackbar poczuł, jak jego żołądek wywinął kozła. Z wielkim trudem odzyskał panowanie nad sterami. W transpastalowe szyby iluminatorów bez przerwy uderzały rozmyte pięści wysoko unoszących się chmur, pozostawiając na nich cząsteczki wody, które szybko parowały i zniknęły.

Ackbar obrócił lewe oko i popatrzył na wskazania mierników na pulpicie. Nie paliła się ani jedna czerwona lampka. Skierował prawe oko, żeby zerknąć na Leię, która

utrzymywana przez czarne pasy bezpieczeństwa, siedziała sztywno, nie odzywając się ani jednym słowem. Jej ciemne, szeroko otwarte oczy wydawały się tak wielkie jak gałki oczne Kalamarianina, ale jej wargi były zaciśnięte w ciemną bezkrwistą linię. Wyglądała na przerażoną, ale obawiała się tego okazać, pokładając wiarę w jego umiejętnościach. Nic nie mówiła, nie chcąc rozpraszać jego uwagi.

Myśliwiec typu B opadał po spiralnej trajektorii, starając się pozostawać na obrzeżach wiru ogromnego cyklonu. Wiatr zaginał krawędzie trzeszczących skrzydeł, wskutek czego maszyna raz po raz zbaczała z kursu. Chcąc odzyskać stabilność, Ackbar uruchomił zestaw rezerwowych lotek i wciągnął wieżyczki laserowych działek, żeby zmniejszyć opory powietrza.

- Wahadłowiec Nowej Republiki, zbczyliście z wyznaczonej trasy - ponownie odezwał się zgrzytliwy głos kontrolera, trochę stłumiony wyciem wiatru. - Skorygujcie swoją pozycję.

Ackbar obrócił lewe oko w stronę ekranu, by ponownie sprawdzić współrzędne, i ujrzał, że jego gwiazdny myśliwiec naprawdę zbczył z kursu. Spokojnie i uważnie manewrował sterami, starając się naprowadzić statek na właściwą drogę. Nie mógł uwierzyć, że odchyłka była tak duża. Pomyślał, że zapewne poprzednio źle odczytał dane z ekranu.

Myśliwiec zareagował i wyszedł w końcu z szaleńczego lotu nurkowego. Ackbar popatrzył przez iluminator i ujrzał tylko kłęby otaczającej go mgły. Nie miał pojęcia, gdzie znajduje się dół, a gdzie góra. Rozłożył składane jak harmonia skrzydła i zablokował je w położeniach zapewniających większą stabilność lotu. Chociaż wskaźniki na pulpicie świadczyły o tym, że skrzydła rozłożyły się prawidłowo, maszyna zareagowała z dużym opóźnieniem.

- Wahadłowiec Nowej Republiki, odezwijcie się. W głosie kontrolera lotów nie czuło się niepokoju. Ackbar w końcu zdołał obrócić swój myśliwiec typu B w ten sposób, że leciał prawidłowo, ale stwierdził, że ponownie znalazł się daleko od właściwego miejsca. Delikatnie trącił dźwignię, by naprowadzić maszynę na odpowiedni kurs. W pewnej chwili zerkał na wysokościomierz i poczuł, że zasycha mu w gardle. Z przerażeniem zorientował się, że statek znajduje się bardzo nisko.

Metalowe płyty poszycia kadłuba jarzyły się pomarańczowo i dymiły od tarcia o cząsteczki atmosfery. We wszystkich iluminatorach było widać oślepiające błyskawice. Z końca skrzydeł raz po raz strzelały błękitne smugi wylądowań atmosferycznych. Wskazania przyrządów zadrgały, zniekształcone przez zakłócenia, i dopiero po chwili osiągnęły poprzednie wartości. Nagle światła w kabinie pilota przygasły, a później na nowo rozbłysły, kiedy włączyło się zasilanie awaryjne.

Ackbar zaryzykował i ponownie zerkał na Leię. Zobaczył, że ze wszystkich sił walczy z przerażeniem, jakie ogarnęło ją na myśl o własnej bezradności. Wiedział, że jest kobietą czynu i zrobiłaby wszystko, by mu pomóc, ale nie mogła. Gdyby musiał, mógłby katapultować ją z kabiny, ale nie chciał ryzykować utraty statku. Liczył na to, że uda mu się wylądować może mało efektownie, ale bezpiecznie.

Nagle zasłona chmur rozsunała się jak mokra szmata, którą ktoś zerwał z jego oczu. Przed dziobem myśliwca rozciągały się smagane przez wichry równiny Vortex,

porośnięte złocistobrazowymi i purpurowymi trawami. Żdźbła traw kołysały się od wiatru, jakby czesane niewidzialnymi palcami. Ośrodek cywilizacji Vorów otaczały koncentryczne okręgi domów przypominających bunkry.

Ackbar usłyszał, jak Leia wydała stłumiony okrzyk zachwyty, pokonując nawet przerażenie. Ogromna Katedra 1 wiatrów błyszczała w promieniach słońca, które od czasu do czasu przedostawały się przez luki w chmurach. Wysoka, krucha budowla wydawała się o wiele za delikatna, żeby mogła przeciwstawić się sile wichrów. Wokół iglic przypominających flety roilo się tysiące latających stworzeń. Otwierały wloty kanałów, umożliwiając podmuchom wiatru wpadanie do wnętrza i wydawanie dźwięków, które tworzyły słynną muzykę. Z oddali dolatywały bardzo ciche, rytmiczne, pełne tajemnic tony.

- Wahadłowiec Nowej Republiki, znajdujecie się na niewłaściwym kursie - odezwał się kontroler lotów. - Wasze położenie stało się krytyczne. Natychmiast przerwijcie podchodzenie do lądowania.

Ackbar z przerażeniem ujrzał, że zestaw współrzędnych na ekranie uległ ponownej zmianie. Myśliwiec typu B nie reagował jednak na stery. Widoczna przez iluminator Katedra Wiatrów z każdą sekundą stawała się coraz większa.

W bocznym iluminatorze Ackbar zobaczył, że jedno ze skrzydeł, które zaklinowało się pod dziwacznym kątem, stawia wiatrowi największy opór. W pewnej chwili zablokowane skrzydło, szarpnięte silniejszym podmuchem, skierowało myśliwiec ostro w lewo. Wskazania przyrządów na pulpicie dowodziły, że oba skrzydła rozłożyły się prawidłowo. Obraz w iluminatorze świadczył jednak o tym, że jest inaczej.

Ackbar szarpnął dźwignię, starając się wyprostować skrzydło, by odzyskać panowanie nad sterami. Kiedy skierował całą energię do mózgu i mięśni rąk, którymi trzymał dźwignię sterów, poczuł, jak dolna część jego ciała drętwieje i zaczyna się ochładzać.

Coś tu jest nie w porządku - powiedział do siebie. Leia wyjrzała przez iluminator.

Lecimy prosto ku katedrze! - zawołała. Jeden ze wsporników lotki nagle szarpnął się i z głośnym trzaskiem wyłamał z plastalowego kadłuba. Odrywając się, pociągnął za sobą zwoje elektrycznych przewodów. Posypały się snopy iskier i kadłub myśliwca rozerwał się w kilku innych miejscach.

Ackbar zdusił okrzyk przerażenia. Nagle światła w kabinie zamrugały i ściemniały. Dał się słyszeć zgrzytliwy pomruk i wszystkie lampki na pulpicie kontrolnym zgasły. Ackbar wcisnął przełącznik rezerwowego zasilania pulpitu, które osobiście zainstalował na swoim statku.

- Nie rozumiem tego - powiedział. Jego głos zabrzmiał chrapliwie w ograniczonej przestrzeni kabiny. - Ten statek został przecież wyremontowany. Jedynymi osobami, które go dotykały, byli moi kalamariańscy mechanicy.

- Wahadłowiec Nowej Republiki... - rozległ się głos Vora w odbiorniku radiostacji.

Na widok statku lecącego jak pocisk ku Katedrze Wiatrów różnobarwnie odziani Vorowie wpadli w panikę. Jedni starali się odlecieć, a inni zamarli ze zgrozy i tylko patrzyli. Na szklitych powierzchniach katedry znajdowało się tysiące istot.

Ackbar szarpnął dźwignię w prawo, potem w lewo... Robił wszystko, co mógł, byle statek zmienił trajektorię lotu, ale na próżno. Nie działał żaden system zasilania.

Nie mógł ani unieść, ani opuścić skrzydeł statku. Jego maszyna była ogromnym pociskiem, bezwładnie spadającym na katedrę. Rozpaczliwie uderzył w przycisk, chcąc włączyć baterie rezerwowe. Wiedział, że w ten sposób nie odzyska panowania nad mechanicznymi podsystemami, a tylko otoczy myśliwiec ochronnym polem, żeby nie roztrzaskał się podczas lądowania.

Przedtem jednak musiał katapultować pasażerkę.

- Przykro mi, Leio - oświadczył. - Powiedz wszystkim, że ich przepraszam. Wcisnął guzik, który powodował otworzenie prawej części kabiny i wyrzucenie w przestworza fotela z siedzącą osobą.

Chwilę potem usłyszał świst wichru wdzierającego się do otwartej kabiny. Mknął nadal ku wielkiej kryształowej konstrukcji jak pocisk, słysząc ciche buczenie ochronnego pola. Z dysz płonących silników wydobywały się kłęby dymu. Ackbar patrzył przez dziobowy iluminator do samego końca. Ani razu nawet nie mrugnął wielkimi oczami tak charakterystycznymi dla Kalamarian.

Leia stwierdziła, że unosi się w powietrzu. Jej fotel został wystrzelony w przestworza z taką siłą, że prawie nie oddychała.

Nie mogła nawet krzyknąć, gdy porywisty wiatr obracał i kołysał jej fotelem. Dopiero kiedy włączyły się repulsory, Poczula, jakby czyjaś mocarna dłoń spowolniła prędkość jego opadania. Mimo to nie przestała lecieć ku żdźbłom jasno- brązowej trawy podobnym do biczów.

Spojrzała przed siebie, w samą porę, by zobaczyć ostatnie sekundy lotu maszyny Ackbara. Z silników wydobywał się dym, a myśliwiec leciał bezwładnie jak metalowy opilek, przyciągany przez ogromny magnes.

W trwającej ułamek sekundy, ale ciągnącej się jak wieczność chwili usłyszała głośny, płaczący jęk wiatru przeciskającego się tysiącami kryształowych kanałów. Niesiony silniejszym podmuchaem, rozbrzmiał głośniejszy, podobny do nagłego okrzyku przerażenia. Uskrzydleni Vorowie wpadali na siebie, w panice starając się odlecieć, ale było widać, że nie robią tego dostatecznie szybko.

Myśliwiec typu B pilotowany przez Ackbara wbił się jak meteor w dolne poziomy Katedry Wiatrów. Siła uderzenia i głośny huk wstrząsnęły budowlą. Strzeliste wieżyczki i iglice zamieniły się w prawdziwy grad ostrych jak włócznie szczątków, które rozleciały się we wszystkie strony. Dźwięk tłuczonego szkła i brzęk trzaskających kryształów, wycie wichru i jęki kaleczonych Vorów połączyły się w najboleśniejszy odgłos, jaki Leia kiedykolwiek słyszała.

Wydawało się jej, że wykonana jakby ze szkła budowla rozsypuje się w zwolnionym tempie. Wieża po wieży, iglica po iglicy, wszystko zapadło się do środka.

Wiatr nie przestał wiać, zmieniły się tylko wydawane przezeń jęgliwe tony. Stopniowo stawały się coraz cichsze i cichsze, jakby bardziej ponure, aż w końcu

pozostało tylko kilka całych puszczalek leżących nieruchomo na stosie szklitych szczątków.

Leia szlochała, czując, jak jej serce niemal pęka z bólu. Tymczasem unoszony przez repulsory fotel łagodnie osiadł na powierzchni planety i zagłębił się w morzu falującej i szeleszczącej trawy.

ROZDZIAŁ

3

Podbiegunowe rejony Coruscant trochę przypominały Hanowi lodową planetę Hoth - z jedną istotną różnicą. Znalazł się tu z własnej woli. Przybył z młodym Kypem Durronem na krótki urlop, podczas gdy Leia poleciała z admirałem Ackbarem z jeszcze jedną dyplomatyczną misją.

Han stał na samym szczycie popękanej niebieskobiałej lodowej góry. Czuł przyjemne ciepło w izolowanym termicznie narciarskim ciemnoszarym kombinezonie i czerwonych ogrzewanych rękawicach. Wszechobecne zorze na purpurowo- sinym niebie załamywały promienie słońca, odbijając się od powierzchni lodu wszystkimi barwami tęczy. Han głęboko zaciągnął się mroźnym powietrzem, które zapewne mogło poskręcać włoski w jego nosie.

Odwrócił się w stronę stojącego przy nim Kypa.

- Jesteś gotów, chłopcze? - zapytał.

Ciemnowłosy osiemnastolatek po raz piąty zgiął się, żeby sprawdzić wiązania turbonart.

- Mhm, zaraz będę - odparł.

Han pochylił się, by popatrzeć na stromy stok turbonartostady, pokryty nierównym lodem. Poczul, jak na ten widok w jego gardle tworzy się jakaś klucha, ale nie dawał po sobie tego poznać.

W nikłym świetle zmiernych, który trwał tu kilka miesięcy, odległe lodowe góry lśniły bielą i błękitem. W dole było widać ogromne maszyny świdrujące lód, które drażyły głębokie tunele w grubych lodowych czapach. Współpracujące z maszynami wielkie czerpaki i koparki łożbiły w zboczach lodowych gór szerokie tarasy, ścinając zamrożone od setek lat warstwy śniegu. Otrzymany w ten sposób lodowy pył był następnie topiony w atomowych piecach, a uzyskaną wodę przesyłano gigantycznymi rurociągami do gęściej zaludnionych miejsc o umiarkowanym klimacie.

- Naprawdę myślisz, że dam sobie radę? - zapytał Kyp, prostując się i mocniej chwytając rękojeści deflektorowych kijków.

Han się roześmiał.

- Chłopcze, jeżeli potrafiłeś z zamkniętymi oczami przelecieć statkiem przez przestworza pełne czarnych dziur, to myślę, że poradzisz sobie z pokonaniem turbonartostady na najbardziej cywilizowanej planecie w całej galaktyce.

Kyp popatrzył na Hana, a w jego oczach zalśniły figlarne ogniki. Chłopak przypominał Hanowi młodego Luke'a Skywalkera. Od czasów, kiedy Han uwolnił młodzieńca z kopalni przyprawy na Kessel, w której obaj pracowali jak niewolnicy, Kyp nie odstępował go ani na chwilę. Spędził wiele lat jako więzień Imperium, wskutek czego stracił najlepsze lata życia. Han poprzysiągł sobie, że zrobi wszystko, by mu to wynagrodzić.

- Ruszamy, chłopcze - powiedział, pochylając się i włączając silniki swoich turbonart. Potem dłońmi chronionymi przez grube rękawice uchwycił trzonki deflektorowych kijków i wcisnął guziki włączające zasilanie. Natychmiast poczuł łagodną amortyzującą siłę, z jaką oddziaływały czubki kijków. Pozwalały zachować równowagę, chociaż niemal nie dotykały powierzchni lodu.

- No to w drogę - odparł Kyp, włączając silniki swoich nart. - Ale nie tym dziecinnie łatwym szlakiem.

Odwrócił się tyłem do szerokiej lodowej trasy i kijkiem pokazał znacznie węższą, boczną, która wiodła kilkoma zdradzieckimi półkami. Później przecinała powierzchnię spękanego, jakby gnijącego lodowca, i kończyła się zjazdem po zamrożonym wodospadzie. U jego podnóża było widać małą przytulną oazę ratunkową. Najniebezpieczniejsze miejsca szlaku były oznaczone za pomocą mrugających czerwonych laserowych świateł.

- Mowy nie ma, Kyp - oświadczył Han. - To za bardzo...

Kyp jednak już pochylił się i puścił w dół stoku.

- Hej! - krzyknął za nim Han. Czuł w żołądku dziwny ucisk. Był pewien, że za chwilę będzie zbierał okaleczone zwłoki chłopca gdzieś na szlaku. Teraz jednak nie miał wyboru i musiał puścić się w ślad za Kypem. - Chłopcze, to naprawdę niemądry pomysł!

Tymczasem pochylony Kyp mknął w dół stoku, zostawiając za turbonartami chmurę kryształków lodu i tylko od czasu do czasu pomagając sobie deflektorowymi kijkami. Utrzymywał równowagę, jakby robił to przez całe życie, intuicyjnie wiedząc, jak powinien reagować. Po sekundzie takiego zjazdu stromym stokiem Han uświadomił sobie, że z nich dwóch zapewne Kyp ma większe szanse przeżycia tej szaleńczej jazdy. Pędząc na złamanie karku po stoku, Han słyszał za plecami syk śniegu i kryształków lodu podobny do odgłosu sprężonego powietrza. W pewnej chwili zahaczył o lodowy występ i poszybował w górę, wywijając koziołka i rozpaczliwie machając deflektorowymi kijkami. Stabilizujące silniki u pasa pomogły mu odzyskać równowagę na sekundę, zanim jego turbonarty ponownie dotknęły powierzchni lodu. Nadal sunął po stoku z szybkością szarżującego bantha.

Mrużył chronione przez gogle oczy, skupiając całą uwagę na tym, by zachować równowagę. Wydawało mu się, że przemykający obok jego ciała lodowiec ma niemal same niebezpieczne krawędzie - czy to ostre jak brzytwy brzegi zasp zamrożonego

śniegu, czy błyszczące, jakby ucięte nożem płaszczyzny lodu. Wszystko widział tak wyraźnie, jakby każdy zapamiętany szczegół miał być ostatni w jego życiu.

W pewnej chwili Kyp wydał radosny, głośny okrzyk i skręcił w lewo, w niebezpieczniejszą odnogę turbonartostrady. Jego głos zabrzmiał trzy razy odbity od lodowych grani.

Han chciał zacząć przeklinać bez troskę młodzieńca, ale nagle poczuł w sercu falę ciepła, kiedy uświadomił sobie, że właściwie nie spodziewał się po nim niczego innego. Starając się robić dobrą minę do złej gry, także wydał głośny okrzyk i skręcił, by puścić się śladem Kypa.

Rozjarzyły się czerwone smugi laserów, ostrzegając nierozsądnych turbonarciarzy i wskazując im właściwą drogę. Nierówna powierzchnia lodu szeptała pod miękkimi powietrznymi poduszkami turbonart Hana.

Nagle Han ujrzał, że odcinek nartostrady niespodziewanie się kończy, aby nieco dalej pojawić się na nowo, ale pod innym kątem. Zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa na chwilę przedtem, zanim znalazł się na skraju przepaści.

- Urwisko! - zawołał, pragnąc ostrzec jadącego przed nim młodzieńca.

Kyp jednak tylko przykucnął, jakby chciał zlać się z turbonartami w jedną całość. Przycisnął deflektorowe kijki do boków, uruchomił tylne silniki nart i łagodnym łukiem wystrzelił poza krawędź przepaści, by po chwili szybować na drugą stronę.

Niemal w ostatniej chwili Han także włączył silniki nart i poszybował w górę. Stwierdził, że jego żołądek opada szybciej niż siła ciężkości przyciąga resztę ciała. Czuł, jak podmuchy wiatru szarpią krawędzie kaptura jego kombinezonu.

Lecący przed nim Kyp wylądował miękko i nawet nie zachwiał się, pomknął niczym strzała w dalszą drogę.

Han zdążył tylko raz odetchnąć, gdyż natychmiast płaszczyzna lodowca po drugiej stronie popędziła na jego spotkanie. Wylądował z głośnym trzaskiem turbonart i momentalnie uchwycił silniej rękojeści kijków, rozpaczliwie próbując zachować równowagę.

W pewnej chwili na szlaku przed nimi wyrosła duża zaspą sypkiego śniegu. Kyp z rozmachem wbił końce kijków w lód, dzięki czemu poszybował w powietrze i przeskoczył nad przeszkodą, ale Han wpadł w sam środek zasy.

Fontanna śniegu zakleiła jego gogle, tak że został oślepiiony. Wymachiwał i dźgał na oślep kijkami. Jakimś cudem przetaił rękawicą gogle, w samą porę, by skręcić w lewo i uniknąć roztrzaskania się o wystającą bryłę litego lodu.

Zanim zdążył odzyskać równowagę, musiał przeskoczyć nad ziejącą szczeliną, która niespodziewanie pojawiła się w splekanym lodzie. Przez chwilę trwającą niemal całą wieczność spoglądał w bezdenną przepaść mającą zapewne miliony kilometrów, po czym wylądował po drugiej stronie. Następnie usłyszał za plecami głośny trzask, z jakim wielka bryła zmarniętego śniegu oderwała się od utrzymującego ją lodowca i objając się o pionowe ściany, spadła w czeluść.

Tymczasem Kyp dotarł do rejonu o nierównej powierzchni, usianej lodowymi bryłami. Laserowe nadajniki rozstawiono teraz w nieco większych odległościach od siebie, jakby rezygnując z ostrzegania lekkomyślnych turbonarciarzy albo pozwalając

im samym wybierać dalszą drogę. Kyp zachwiał się, kiedy trafił na jakiś lodowy pagórek przysypany śniegiem. Wzmocnił repulsorowe pole, żeby móc przeskakiwać przez nierówny teren na większej wysokości.

Widząc, że splekana i pokryta warstwą zmrożonego śniegu powierzchnia lodowca staje się coraz bardziej nierówna, Han zaczął złorzeczyć i narzekać przez zaciśnięte zęby. Z wielkim trudem utrzymywał równowagę, chociaż prawie udawało mu się dogonić Kypa. Zorientował się, że do jego ust zaczynają wpadać kryształki śniegu, które unosiły się za turbonartami chłopca. Z każdą chwilą pędził coraz szybciej, przybliżał się... i nagle stwierdził, że znów zależy mu na wygranu wyścigu. Może kiedyś, gdy będzie siedział w ciepłej kantine i opowiadał historie, zdoła przekonać samego siebie, że to wszystko było naprawdę wspaniałą zabawą.

Czuł, że może pozwolić sobie być chociaż przez chwilę lekkomyślnym, o co jeszcze niedawno oskarżał chłopca. Zaczął więc regulować dopływ energii do silników. Pochylił się jeszcze bardziej i poczuwszy przyływ adrenaliny, zwiększył prędkość, by po chwili zrównać się z młodzieńcem.

Przed sobą ujrzał pokryte śniegiem pole, nieskazitelnie białe, pozbawione nawet śladów turbonart innych narciarzy, mimo iż w tym suchym i zimnym powietrzu śnieg nie padał od ponad miesiąca. Dowodziło to, jak niewielu ludzi było na tyle głupich, żeby jeździć tak niebezpiecznym szlakiem.

W oddali można było już dostrzec ogrodzoną linami oazę ratunkową. Znajdowała się tam stacja łączności, ogrzewane chaty, a nawet wyłączone androidy, które jednak można było w każdej chwili uruchomić. Widać było także sklep, teraz nieczynny, w którym kiedyś podawano gorące napoje. Niedługo będą u celu - bezpieczni i cali!

Kyp zerknął na Hana, nie odwracając głowy, a w kąciку jego oka ukazały się drobne zmarszczki. Przykucnął jeszcze niżej i nastawił silniki swoich turbonart na pełną moc. Han także się skulił, żeby zmniejszyć opory powietrza. Otaczała go chmura dziewiczych płatków śniegu, z cichym sykiem przelatujących obok jego głowy.

Wskazujące im trasę promienie laserów skończyły się nagle jak ucięte nożem. Han nie miał czasu zastanawiać się nad znaczeniem tego faktu, gdyż w następnej sekundzie ujrzał przed sobą gładką pryzmę śniegu, która w tej samej chwili zapadła się do wewnątrz.

Usłyszał odgłos kruszenia i miażdżenia lodu, i towarzyszący temu jęk wielkiego silnika. Z zapadniętej pryzmy śniegu wystrzelił słup gorącej pary, a po chwili nad śniegiem ukazał się czerwony czub mechanicznego gorącego wiertła. Ukośnie ścięta końcówka w kształcie korkociągu nie przestawała się obracać nawet po przebicium warstwy litego lodu.

- Uważaj! - krzyknął Han do Kypa, ale ten właśnie skręcał w lewo, opierając ciężar ciała na jednym deflektorowym kijku i dźgając powietrze drugim. Han ponownie wcisnął guzik włączający zasilanie stabilizujących silników i skręcił w prawo, widząc, jak mamucia maszyna do przeróbki lodu zaczyna poszerzać wlot wydrążonego tunelu, rozszarpując ściany gigantycznymi szczękami.

Han przemknął obok ziejącej jamy, ale poczuł na policzkach podmuch gorącej pary. Stwierdził, że jego gogle ponownie pokryły się mgiełką. Jakimś cudem odnalazł

jednak drogę do stromego zamrożonego wodospadu, który był ostatnią przeszkodą przed linią mety. Z krawędzi przepaści zwisały długie sopte lodu, podobne do porzuconych kabli. Utworzyły się w czasach krótkich letnich odwilży, jakich wiele miało miejsce w ciągu tylu wieków.

Kyp włączył oba silniki turbonart i poszybował nad zamrożonym wodospadem. Han uczynił to samo, przyciągając rękojeści kijków do boków i patrząc na zmrożony śnieg na dole. Wyłądował z kłaśnięciem spodów nart, a dźwięk ten poniósł się po lodowych polach w tej samej chwili, kiedy z takim samym odgłosem opadł Kyp.

Potem obaj pomknęli dalej, a wyłączyli urządzenia dopiero na niewielkiej, pokrytej lodem polanie przed gromadą prefabrykowanych szafasów. Kyp zsunął kaptur narciarskiego kombinezonu i wybuchnął śmiechem. Han przez chwilę opierał się na deflektorowych kijkach. Czuł, jak całe jego ciało drży ze zmęczenia i ulgi po zbyt dużej dawce emocji. Później i on zaczął chichotać.

- To było naprawdę niemądre, chłopcze - odezwał się w końcu.

Czyżby? - odparł Kyp, wzruszając ramionami. - Kto właściwie był tak niemądry, że puścił się moim śladem? Po ciemnościach kopalni przyprawy na Kessel nie mogę uważać jakiegś turbonartostrady za zbyt duże zagrożenie. Hej, a może, kiedy wrócimy, poprosimy Threepia, żeby podał nam prawdopodobieństwo bezpiecznego zjechania z tego stoku?

Han pokręcił głową i obdarzył młodzieńca wymuszonym uśmiechem.

- Nie obchodzą mnie prawdopodobieństwa - oświadczył. - Zjechalibyśmy cali i zdrowi. Tylko to się liczy.

Kyp spojrział po okolicy pokrytej grubą warstwą lodu. Wyglądało na to, że spogląda na ciągnące się prosto jak strzelili linie rurociągów nie odbijających światła i pompownie, i stacje kontroli temperatury wody rozmieszczone mniej więcej w takich samych odległościach.

- Bardzo się cieszę, że bawiliśmy się tak wspaniale, Han - powiedział, wpatrując się w coś, co zapewne tylko sam widział. - Od kiedy wyratowałeś mnie z kopalni, przeżyłem i widziałem tyle, że mogę zapomnieć o poprzednim życiu.

Han poczuł się niewyraźnie, gdy pomyślał, ile mrocznych tajemnic kryje się za oświadczeniem Kypa. Zdecydował, że spróbuje go rozweselić.

- No cóż, chłopcze - odparł. - W tej ucieczce było co najmniej tyle samo twojej zasługi, co mojej.

Kyp sprawiał jednak takie wrażenie, jak gdyby go nie usłyszał.

- Myślałem o tym, co powiedział Luke Skywalker, kiedy odkrył, że potrafię posługiwać się Mocą - powiedział. - Na razie wiem na ten temat bardzo mało, ale wydaje mi się, że coś mnie wzywa. Mógłbym bardzo pomóc Nowej Republice. Imperium zniszczyło moje życie, zabrało brata i zabiło rodziców. Nie sprzeciwiałbym się, gdybym otrzymał szansę odegrania się za moje krzywdy.

Han przełknął ślinę, dobrze wiedząc, o czym może myśleć w tej chwili chłopiec.

- Więc uważasz, że jesteś gotów podjąć naukę wraz z innymi uczniami Jedi w akademii Luke'a?

Kyp poważnie kiwnął głową.

- Wolalbym co prawda zostać tutaj i bawić się tak dobrze do końca życia, ale...

- Zaslugujesz na to, wiesz? - cicho odezwał się Han.

On jednak pokręcił głową.

- Myślę, że czas, bym zaczął traktować siebie jak dorosłego. Jeżeli mam dar posługiwania się Mocą, nie mogę go zmarnować.

Han położył dłoń na ramieniu chłopca i mocno zacisnął palce, aż mimo grubej rękawicy poczuł delikatne kości.

- Dopilnuję, żebyś jak najszybciej znalazł się na Yavinie Cztery - obiecał.

Ciszę, jaka zapadła po jego słowach, przerwał nasilający się szum repulsorowych silników. Han obejrzał się i zobaczył zbliżającego się androida- posłańca, przemieszczającego się nad powierzchnią lodu niczym chromowany pocisk. Kierował się prosto ku nim.

- Jeżeli to przedstawiciel władz ośrodka wypoczynkowego, złożę skargę w sprawie tamtej maszyny do kruszenia lodu - mruknął Han. - Mogliśmy się przez nią zabić.

Kiedy android znalazł się nad nimi, obniżył lot i znieruchomiał na wysokości oczu Hana. Później otworzył przesłone panelu informacyjnego i odezwał się metalicznym beznamiętnym tonem:

- Generał Solo? Proszę o potwierdzenie tożsamości. Porównanie głosu wystarczy.

- Daj spokój, stary, jestem przecież na urlopie - jęknął Han. - Nie zamierzam zwracać sobie głowy dyplomatycznymi głupstwami.

- Tożsamość potwierdzona. Dziękuję - rzekł android. - Proszę przygotować się do odbioru zakodowanej informacji.

Android zawisnął w powietrzu, a z panelu komunikacyjnego wystrzeliła wąska smuga opalizującego światła, która na tle czystego śniegu utworzyła holograficzny wizerunek. Spojrzawszy na kasztanowe włosy, Han rozpoznał postać Mon Mothmy. Wyprostował się, zaskoczony. Przywódczyni Nowej Republiki niemal zawsze kontaktowała się z nim za pośrednictwem innych osób.

- Han - odezwała się kobieta. Jej cichy głos brzmiał niezwykle poważnie. Han natychmiast zauważył, że zwróciła się do niego po imieniu, opuszczając nazwisko i formalny tytuł. Poczuł, że jego żołądek ścisną przeczucie, że stało się coś strasznego.

- Przesyłam ci tę wiadomość, ponieważ wydarzył się wypadek - ciągnęła Mon Mothma. - Wahadłowiec admirała Ackbara roztrzaskał się podczas lądowania na planecie Vortex. Leciała z nim Leia, ale nic się jej nie stało. Ackbar zdążył ją katapultować przed lądowaniem. Później stracił kontrolę nad sterami i rozbił myśliwiec na terenie ważnego ośrodka kulturalnego Vorów. W ostatniej chwili udało mu się włączyć pole osłon przeciwdarowych, ale cała Katedra Wiatrów uległa zniszczeniu. Na razie potwierdzono śmierć trzystu pięćdziesięciu ośmiu Vorów, którzy zginęli pod jej szczytkami.

To dla nas bardzo smutny dzień. Han. Wracaj do Imperial City. Domyślam się, że Leia będzie chciała się zobaczyć z tobą, kiedy wróci.

Wizerunek Mon Mothmy zamigotał, a potem zamienił się w podobne do płatków śniegu błyski, które rozpląnęły się w powietrzu.

- To wszystko. Dziękuję panu - odezwał się android. - Oto pańskie potwierdzenie odebrania informacji.

Wypluł wąską niebieską kartkę, która wylądowała na niewielkiej górcie śniegu u stóp Hana.

Później odwrócił się, uniósł i zaczął oddalać w stronę bazy. Han obserwował go przez chwilę, a potem końcem kijka wcisnął niebieską kartkę w zaspę. Czuł, że zbiera mu się na mdłości. W jednej chwili wyparowało i przeżyte podniecenie, i radość z oświadczenia Kypa, a pozostało jedynie lodowate przerażenie.

- Chodźmy, chłopcze - powiedział. - Czas wracać.

Threepio pomyślał, że gdyby pozwoliły mu na to niezawodne serwomotory, cała jego złocista powłoka trzęsłaby się i drżała z zimna. Wewnętrznych urządzeń do kompensacji wpływu temperatury nie zaprojektowano z myślą o przebywaniu w podbiegunowych rejonach Coruscant.

Był androidem protokołarnym i potrafił posługiwać się biegle ponad sześcioma milionami języków i innych form komunikowania się między inteligentnymi istotami. Umiał także wykonywać nieprawdopodobnie dużo innych czynności. W tej chwili wszystkie pociągały go o wiele bardziej niż opiekowanie się parą źle wychowanych dwuipółletnich dzieci, które traktowały go jak zabawkę.

Threepio zabrał dzieci na pokryty grubą warstwą śniegu plac zabaw, malowniczo położony u stóp lodowej góry, gdzie bliźnięta mogły do woli jeździć na grzbietach oswojonych tauntaunów. Wyglądało na to, że małemu Jacenowi i jego siostrzyczce Jainie spodobały się parszkające, niezgrabne zwierzęta - a umgulliański hodowca, który sprowadził te porośnięte gęstym futrem stworzenia na Coruscant, sprawiał wrażenie zachwyconego, że może zarobić.

Później Threepio ze stoickim spokojem spełnił prośbę bliźniąt które chciały zrobić z niego „śniegowego androida”, i pozwolił, by pokryły jego lśniąca powłokę warstwą śniegu. Do tej pory czuł, jak w jego stawach trzeszczą małe kryształki lodu. Kiedy wzmościł sygnał z czujników optycznych, wydało mu się, że od niskiej temperatury jego złocisty pancerz zdecydowanie przybrał niebieskosiną barwę.

W tej chwili, bezpiecznie siedząc we wnętrzu śnieżnego ślizgacza, bliźnięta wirowały po oblodzonym stoku. Objijając się o wyściełane ściany, głośno piszczały i chichotały. Threepio cierpliwie czekał na dole, a kiedy dzieci zjechały, ponownie podjął uciążliwą wspinaczkę skrajem zbocza, żeby mogły zjechać po raz drugi. Miał wrażenie, że jest chyba pozbawionym rozumu roboczym automatem, mającym zbyt małą moc obliczeniową, by zrozumieć mękę swojej egzystencji.

- Och, jak chciałbym, żeby jak najszybciej wrócił pan Solo - westchnął.

Kiedy dotarł na szczyt wzgórza, upewnił się, że Jacen i Jaina są bezpiecznie przypięci pasami do foteli. Bliźnięta w tej samej chwili zwróciły ku niemu zaróżowione od mrozu twarze. Ludzie zawsze twierdzili, że zimowy chłód sprawia im radość, ale biedny Threepio żałował, że przed wyjazdem w te strony nie zaopatrzył się w bardziej skuteczne smary, odpowiednie w tak niskich temperaturach.

- Dzieci, uważajcie podczas zjeżdżania - powiedział. - Spotkam się z wami na dole i znów wciągnę was na górę. - Na chwilę przerwał. - Jeszcze raz - dodał.

Lekko pchnął ślizgacz, który zaczął wirować, zsuwając się po drugim stoku. Bliźnięta roześmiały się i zapiszczały, gdy poczuły na twarzach unoszące się spod ślizgacza kryształki śniegu, Threepio odwrócił się i szybkim krokiem pospieszył ku podnóżu góry.

Kiedy znalazł się na dole, bliźnięta usiłowały właśnie uwolnić się z zapiętych pasów. Jaina zdążyła nawet odpiąć jedną sprzączkę, chociaż właściciel toru, kiedy wypożyczał Threepiowi śnieżny ślizgacz, zapewniał, że odpięcie pasów bezpieczeństwa przez dzieci jest absolutnie niemożliwe.

- Dzieciaki, zostawcie te pasy w spokoju! - powiedział, podchodząc do nich.

Zapiął ponownie pas Jainy, włączył repulsorowy silnik ślizgacza, a potem złapał za uchwyt i zaczął wspinać się jeszcze raz ku platformie startowej.

Dotarł wreszcie na górę, a bliźnięta krzyknęły w tej samej chwili:

- Jeszcze raz!

Threepio pomyślał, że zapewne ich umysły są w jakiś sposób sprzężone. Zdecydował, że powinien poinformować dzieci o niebezpieczeństwach przesadnego oddawania się uciechom, ale zanim miał czas dobrać słowa, które wyraziłyby to dostatecznie dobitnie i poważnie, w pobliżu zatrzymał się zatłoczony śnieżny poduszkiarstwo. Z wnętrza wyłonił się Han Solo. Zsunął kaptur ciemnoszarego naciarskiego kombinezonu na plecy i zaczął się rozglądać, kołyszając trzymanymi na lewym ramieniu turbonartami. Po chwili z kabiny poduszkiarstwa wysiadł Kyp. Threepio uniósł złocistą rękę.

- Tutaj! - krzyknął. - Tutaj, panie Solo!

- Tatuś! - zawołała Jaina. W ułamek sekundy później to samo słowo powtórzył Jacen.

- Dzięki niech będą niebiosom - westchnął Threepio i zaczął odpinać sprzączki pasów bezpieczeństwa.

- Przygotujcie się do powrotu - odezwał się Han, kiedy znalazł się przy nich, nie kryjąc dziwnie poważnego wyrazu twarzy. Threepio pospieszył ku niemu i właśnie miał zacząć zapoznawać go z całą litanią skarg, gdy Han wręczył mu nieporęczne turbonarty.

- Panie Solo, czy stało się coś złego? - zapytał Threepio, usiłując utrzymać w równowadze ciężkie narty.

- Przykro mi, dzieciaki, że psuję wasze wakacje, ale musimy wracać do domu - rzekł Han, ignorując pytanie androida.

Threepio się wyprostował.

- Bardzo się cieszę, proszę pana, że to słyszę - oznajmił. - Nie chciałbym narzekać, ale nie zaprojektowano mnie z myślą o przebywaniu w tak wyjątkowo niskich temperaturach...

Poczuł nagle, jak coś miękkiego rozbiło się na jego głowie, i stwierdził, że musiała to być duża kula śniegu.

- Och! - wykrzyknął. Z przerażenia chciał unieść ręce, ale w porę przypomniał sobie, że przecież trzyma w nich narty Hana. - Panie Solo, stanowczo protestuję!

Jacen i Jaina zachichotali i natychmiast zaczęli lepić następne śniegowe piguły, by rzucić nimi w androida.

Han odwrócił się w stronę bliźniąt.

- Przestańcie dręczyć Threepia - powiedział. - Musimy wracać do domu.

Lando Calrissian przebywał na terenie jednego z lądowisk remontowych w dawnym Pałacu Imperialnym. Zastanawiał się, w jaki sposób Chewbacca przeciska potężne, porośnięte futrem ciało przez wąskie pomieszczenia remontowe „Tysiącletniego Sokola”. Stojąc w korytarzu, spoglądał na Wookiego, ale widział tylko jego brązowe futro wciśnięte między przetwornik mocy, kompensator przyspieszenia i generator pól osłon przeciwdударowych.

Nagle Chewbacca upuścił hydrokinetyczny klucz. Narzędzie odbiło się kilka razy i z głośnym brzękiem upadło w absolutnie niedostępnym miejscu. Wookie zawył, a później wydał skowyt, kiedy prostując się, uderzył głową o grubą rurę wypełnioną chłodziwem.

- Nie, nie, Chewie - odezwał się Lando. Przerzucił połą lśniącą peleryny na plecy i wsunął rękę w wąskie gardło korytarza remontowego. Starając się pokazać wiszące kable, powiedział: - Ten powinien być tu, a ten tam.

Wookie burknął na znak, że ma inne zdanie.

- Posłuchaj, Chewie - odparł Lando. - Znam ten statek jak własne dziesięć palców. Dobrze wiesz, że przez wiele lat byłem jego właścicielem.

Chewbacca kilka razy głośno zawył, a dźwięki te zlały się w jeden, odbijając się od ścian pomieszczenia.

- No dobrze, niech będzie po twojemu. Ostatecznie mogę otworzyć pokrywę luku z zewnątrz. Wyciągnę twój hydrokinetyczny klucz. Kto wie, jakie jeszcze śmieci znajdziemy przy tej okazji?

Lando odwrócił się i przeszedł do opuszczonej rampy. Schodząc po niej, słyszał zgiełk przekrzykujących się mechaników i szum uruchamianych silników innych gwiazdnych statków, które także remontowano na lądowisku. W powietrzu unosiła się woń olejów i smarów. Mieszała się z silnym zapachem lotnych chłodziw i gazów wydechowych silników różnych maszyn, od niewielkich dyplomatycznych wahadłowców po duże frachtowce. Wokół maszyn uwijali się naprawiający je ludzie i istoty nie będące ludźmi. Porośnięci szczeciną Ugnaughtowie krzatali się we wnętrzu otwartego luku, trajkocząc do siebie i wołając o podanie narzędzia lub pokazanie schematu, bez których nie mogli naprawić uszkodzonego silnika. Starannie dobrana ekipa kalamariańskich gwiazdnych mechaników admirała Ackbara nadzorowała dokonywanie specjalnych przeróbek kilku małych jednostek wchodzących w skład floty Nowej Republiki. Terpfen, ich przywódca, krążył od jednego statku do drugiego, nie rozstając się z podręcznym komputerem. Kontrolował zgłoszone do remontu statki i obracając na nie szkliste, podobne do rybich, oczy, upewniał się, jak postępuje praca jego ekipy.

Calrissianowi udało się w końcu otworzyć pokrywę luku z zewnątrz. Klucz hydrokinetyczny głośno brzęknął i wpadł prosto w podstawione dłonie Landa. Razem z kluczem wyleciało kilka spalonych cyberbezpieczników, niepotrzebny bocznik napędu nadprzestrzennego i zmięta folia, w którą kiedyś opakowano liofilizowaną żywność.

- Mam go, Chewie! - zawołał. Z wnętrza ciasnego pomieszczenia statku odpowiedział mu stłumiony ryk Wookiego.

Lando przyjrzał się ciemnym śladom na pokiereszowanym kadłubie „Sokola”. Pomyślał, że frachtowiec sprawia wrażenie przypadkowej zbieraniny łąt i naprędcy przyspawanych płyt. Przeciągnął stwardniałą od fizycznej pracy dłoń po kadłubie, jakby chciał pogłaskać szary metal.

- Hej! Co ty wyprawiasz z moim statkiem?

Lando szybko cofnął rękę i odwrócił się, jakby ktoś przyłapał go na gorącym uczynku. Zobaczył nadchodzącego Hana Solo. Z wnętrza ciasnej komórki „Sokola” zabrzmiał powitalny ryk Chewbaccy.

Marsowy wyraz twarzy Hana był niewątpliwie świadectwem złego humoru. Mężczyzna bardzo szybko szedł po zaśmieconej i brudnej płycie lądowiska remontowego.

- Potrzebuję natychmiast swojego statku - oświadczył. - Czy nadaje się do lotu?

Lando opuścił ręce.

- No cóż, staruszku, chciałem tylko dokonać w nim kilku napraw i przeróbek. A właściwie co się stało?

- Kto powiedział ci, że możesz w nim coś przerabiać? - Z nieznanego powodu Han wyglądał na rozzłoszczonego. - Chewie, musimy natychmiast wystartować. Dlaczego pozwoliłeś temu pajacowi grzebać w moich silnikach?

- Wolnego, Han! Dobrze wiesz, że kiedyś to był mój statek - odezwał się Lando, nie wiedząc, co wprawiło jego przyjaciela w taki zły nastrój. - A poza tym kto ocalił ten statek porywając go z bazy na księżycu Kessel? Kto ocalił twoje życie, kiedy ściagała cię imperialna flota?

Na platformie lądowiska remontowego pojawił się nagle Threepio.

- Ach, witam, generale Calrissian - powiedział.

Lando zignorował androida.

- Nie sądzisz, że powinieneś okazać mi więcej wdzięczności? Ratując twój statek, straciłem „Ślicznotkę”. Prawdę mówiąc, poświęciłem ją, by ocalić ci życie, i uważam, że w rewanżu mógłbyś teraz zwrócić mi „Sokola”.

- Ojej! - odezwał się Threepio. - To rzeczywiście pomysł, któremu warto byłoby poświęcić trochę uwagi, panie Solo.

- Zamknij się Threepio - odparł Han, nie oglądając się na androida.

- Wygląda mi na to, że masz problem z podjęciem decyzji, Han - stwierdził Lando.

Wyszczerzył w uśmiechu zęby, dobrze wiedząc, że jego przyjaciel wpadnie na ten widok w irytację. Swoimi bezpodstawnymi oskarżeniami Han wyczerpał zapas jego cierpliwości i Lando nie zamierzał puścić mu tego płazem.

Nie mógł się zorientować, co go tak rozzłościło. Han tymczasem był bliski wybuchu.

- Mam problem z tym, że dokonujesz sabotażu na moim statku - powiedział. - Masz trzymać swoje łapy z daleka od niego, rozumiesz? Spraw sobie nowy statek. Uważam, że mając milion kredytów nagrody, jaką otrzymałeś za schwytanie Dacka po wyścigach umgulliańskich purchlaków, możesz kupić sobie, jaki zechcesz, i przestać się zajmować moim.

- To świetny pomysł, proszę pana - pospieszył z pomocą Threepio. - Generale Calrissian, mając tyle pieniędzy, może pan naprawdę kupić wspaniały statek.

- Cicho bądź, Threepio - odezwał się Lando, biorąc się pod boki. - Nie zamierzam kupować sobie nowego statku, staruszk. - To ostatnie słowo zaakcentował ze szczególnym sarkazmem. - Jeżeli nie mogę mieć „Ślicznotki”, chcę „Sokoła”. Twoja żona pełni przecież funkcję minister stanu, Han. Możesz złożyć podanie, żeby rząd dał ci nowy statek. Możesz mieć jaki zechcesz. Dlaczego nie miałbyś wybrać sobie nowiutkiego myśliwca prosto z kalamariańskiej stoczni?

- Jestem pewien, że dałoby się to załatwić, proszę pana - zgodził się z nim android.

- Zamknij się, Threepio - powtórzył Han, nie odrywając spojrzenia od twarzy Calrissiana. - Nie potrzebuję żadnego innego statku. „Sokół” należy do mnie.

Lando spojrział gniewnie na przyjaciela.

- Wygrałeś go ode mnie w sabaka, ale jeżeli mam być szczerzy, staruszk, zawsze podejrzewałem, że w czasie tamtej gry oszukiwałeś.

Han cofnął się o krok, niemal siny z wściekłości.

- Oskarżasz m n i e, że oszukiwałem? Nazwano mnie kiedyś łajdakiem, ale jeszcze nikt nie nazwał mnie oszustem! Prawdę mówiąc, wydaje mi się - powiedział gardłowo, a w jego głosie zabrzmiała groźba - że sam wygrałeś „Sokoła”, zanim ja wygrałem go od ciebie. Czy w podobny sposób nie wygrałeś w sabaka instalacji do eksploatacji cennych gazów tibanna od byłego barona administratora Miasta w Chmurach? Co mogłeś zaproponować mu wówczas jako gwarancję wypłacalności, na wypadek, gdybyś przegrał? Ty sam jesteś parszywym oszustem, Calrissian. Przyznaj się, że oszukujesz.

- A ty jesteś piratem! - krzyknął Lando, zbliżając się o krok do Hana i z całej siły zaciskając pięści. Wszyscy wiedzieli, że cieszył się sławą doświadczonego i utalentowanego hazardzisty.

Z wnętrza „Sokoła” dobiegł stłumiony ryk, któremu towarzyszyły głośne brzęki i stuki, z jakimi Chwebacca wyplątywał się z ciasnego przejścia. Po chwili Wookie, potykając się, zszedł po rampie i przystanął oparty o wspornik tloka.

Threepio ujrzał, że Han i Lando podeszli do siebie, jakby chcieli walczyć ze sobą, więc wcisnął się w wolną przestrzeń między nimi.

- Przepraszam, panowie, ale czy mógłbym złożyć pewną propozycję? - zapytał. - Jeżeli naprawdę obaj wygraliście ten statek w sabaka i teraz kwestionujecie wynik ostatniej rozgrywki, może po prostu powinniście zagrać o niego jeszcze raz, by rozstrzygnąć ten problem raz na zawsze?

Threepio obrócił głowę i skierował błyszczące czujniki optyczne najpierw na Calrissiana, a potem na Hana.

- Zszedłem na dół tylko po to, żeby zabrać statek i odlecieć - oświadczył Solo. - Teraz jednak nie mogę, dopóki nie zmyję plamy na honorze.

Bez zmrużenia powiek Lando wbił prowokujące spojrzenie w oczy Hana.

- Mogę pokonać cię każdego dnia, kiedy zechcę, Hanie Solo - powiedział.

- Ale nie dzisiaj - odparł Han jeszcze bardziej gardłowo. - I nie będziemy grali w zwykłego sabaka. Zagramy w sabaka losowego.

Lando uniósł brwi, ale wytrzymał spojrzenie przyjaciela.

- A kto będzie naszym sędzią i rozjemcą? - zapytał.

Han ruchem głowy wskazał stojącego przy nich androida.

- Wykorzystamy Threepia jako modulator - powiedział. - Złota sztaba nie ma tyle sprytu, by oszukiwać.

- Ależ, proszę panów, prawdę mówiąc, nie zostałem zaprogramowany, żeby...

- Zamknij się, Threepio! - warknęli chórem Han i Lando.

- Niech będzie, jak chcesz, Han - odezwał się Calrissian. - Siadajmy do gry, zanim stracę cierpliwość.

- Stracisz coś więcej niż cierpliwość, zanim ta gra dobiegnie końca - odparł Han.

Lando rozkładał na stole karty do gry w sabaka, a tymczasem Han wypraszał z niewielkiej świetlicy ostatnich urzędników odpoczywających po pracy.

- Wychodźcie, tylko szybko - mówił. - Zajmujemy na jakiś czas to pomieszczenie.

Sprzeciwiali się i zrzędzili w kilku obcych językach, ale Han towarzyszył im do samych drzwi, a później delikatnie wypchnął na korytarz.

- Jeżeli chcecie, złożcie na mnie skargę w biurze Nowej Republiki - powiedział, zamykając drzwi, a potem odwrócił się do Calrissiana. - Jesteś gotów?

Pomieszczenie różniło się od zadymionych i cuchnących nor, w których zwykle siadał do sabaka. W niczym nie przypominało choćby owej podziemnej spelunki, w której wygrał kiedyś planetę dla Leii, kiedy chciał przekupić ją, by go pokochała.

Siedzący przy stole Lando rozłożył talię prostokątnych kart. Każda miała krystaliczny ekran umieszczony między dwiema cienkimi warstwami metalu.

- W każdej chwili, kiedy i ty będziesz, staruszk - odparł, ale wyglądał na zaniepokojonego. - Posłuchaj, Solo, naprawdę nie musimy tego robić...

Han zmarszczył brwi, kiedy wciągnął powietrze przesycone duszącą wonią ambasadorskich perfum i dezodorantów.

- Ja muszę - powiedział. - W czasie ostatniej dyplomatycznej wyprawy statek mojej żony rozbił się przy lądowaniu. Muszę teraz polecieć po nią i sprowadzić na Coruscant. Nie chcę, by leciała szpitalnym transportowcem.

- Leia jest ranna? - zapytał zdumiony Lando, wstając od stolika. - To dlatego jesteś taki zdenerwowany. Zapomnij o wszystkim i bierz statek. Prawdę mówiąc, tylko żartowałem. Zagramy kiedy indziej.

- Nie! - uciął Han. - Zagramy teraz albo nigdy nie rozwiążemy tego problemu. Threepio, chodź tutaj! Co ci zajmuje tyle czasu?

Złocisty android przydreptał z kąta, w którym spędził jakiś czas przed komputerowym terminalem. Jak zawsze, wyglądał na podnieconego.

- Jestem, jestem, panie Solo. Zapoznawałem się z najnowszymi programami z dziedziny reguł gry w sabaka.

Han wcisnął kilka guzików na pulpicie konsoli automatycznego barmana i uśmiechnął się, wybierając dla Landa wieloowocowy sok razem z niebieskim tropikalnym kwiatem zdobiącym szklanę. Dla siebie wziął piwo doprawiane korzeniami. Usiadł i odsunął szklanę z sokiem w stronę Calrissiana, a sam pociągnął łyk piwa.

Lando napił się soku, skrzywił się i z wymuszonym uśmiechem popatrzył na przyjaciela.

- Dzięki, Han. Chcesz, żebym rozdawał?

- Jeszcze nie - odparł Han, unosząc rękę. - Sprawdź te karty jeszcze raz, Threepio. Upewnij się, czy wszystkie są dokładnie potasowane.

- Ależ, proszę pana, z całą pewnością...

- Zrób to jeszcze raz. Chcemy być absolutnie pewni, że żaden gracz nie będzie oszukiwał drugiego. Nie mam racji, staruszku?

Nie przestając uśmiechać się z przymusem. Lando wręczył karty androidowi. Threepio jeszcze raz włożył je do umieszczonego z boku stołu urządzenia, by zmieniło ich walory w przypadkowy sposób.

- Są dokładnie potasowane, proszę pana - oznajmił.

Później rozdał po pięć płaskich metalowych płytek i Hanowi, i Calrissianowi.

- Jak panowie zapewne wiecie, ta gra nazywa się sabakiem losowym. Jej zasady są kombinacją różnych reguł, stosowanych w rozmaitych miejscach galaktyki - oświadczył, jakby recytował instrukcję z programu, z którym właśnie się zapoznał. - Istnieje pięć zestawów reguł. Są zmieniane losowo w absolutnie przypadkowych odstępach czasu. O kolejności i momencie zmian decyduje komputerowy generator stanów przypadkowych - czyli ja, panowie!

- Znamy reguły - burknął Han, chociaż wcale nie był tego taki pewien. - Wiemy również, co w tej grze jest stawką.

Ciemne oczy Landa, nieruchome jak kamienie, skierowały się na twarz Hana.

- Zwycięzca zostaje właścicielem „Sokoła”. Przegrywający będzie od tej chwili korzystał ze środków transportu publicznego Coruscant.

- Bardzo dobrze, proszę panów - oznajmił Threepio. - Mogą panowie teraz aktywować karty. Pierwszy gracz, który uzyska lub przekroczy sumę stu punktów, zostanie uznany za zwycięzcę. Na początku będą obowiązywały... - Zawiesił głos, a w tym czasie generator stanów przypadkowych dokonywał losowego wyboru reguł gry z listy. - ...zmiennie reguły kasyna Miasta w Chmurach.

Han wpatrywał się w obrazki, jakie pojawiły się na kartach, a w tym czasie pospieszenie przypominał sobie, w czym reguły kasyna Miasta w Chmurach różnią się od standardowych zasad, stosowanych na Bepinie. Spoglądał na wszystkie cztery kolory kart do gry w sabaka: monety, manierki, klepki i szable. Na wszystkich kartach widniały ich walory: dodatnie lub ujemne.

- Każdy gracz może wybrać jedną i tylko jedną kartę, której walor będzie chciał zmienić - przypomniał Threepio. - Później obliczymy sumy punktów kart, by przekonać się, który z panów uzyska wynik najbliższy plus lub minus dwudziestu trzem punktom albo zero.

Han jeszcze raz spojrzął na karty i skupił się, ale nie potrafił znaleźć takiej kombinacji, dla której suma punktów zapewniłaby mu wygraną. Lando szeroko się uśmiechał, ale zawsze miał taki wyraz twarzy, ilekroć siadał do gry w sabaka. Han pociągnął łyk gorzkiego, korzennego piwa, z wysiłkiem przełknął, a potem wybrał jedną kartę.

- Jesteś gotów? - zapytał, unosząc głowę i spoglądając na Calrissiana.

Lando nacisnął mały guzik umieszczony w lewym dolnym rogu karty, żeby zmienić jej walor. Han uczynił to samo i przyglądał się, jak ósemka klepka w jego dłoni zaczyna migotać i zamienia się w dwunastkę manierek. Razem z dziewiątką w tym kolorze, którą dostał przy rozdaniu, miał dwadzieścia jeden punktów. Nie najlepiej. Kiedy jednak zobaczył, że Lando krzywi się na widok swojej nowej karty, w jego serce zaczęła wstępować otucha.

- Dwadzieścia jeden - oświadczył, kładąc z trzaskiem karty na blacie stołu.

- Osiemnaście - spojrzawszy spode łba, burknął Lando. - Na razie jesteś lepszy.

- Czas minął! Zmiana reguł! - odezwał się Threepio. - Po pierwszym rozdaniu prowadzi trzema punktami pan Solo. W następnym będą obowiązywały reguły... priorytetowego systemu cesarzowej Tety.

Han spojrzął na nowe karty i z zachwytem stwierdził, że otrzymał silny sekwens. Przypomniał sobie jednak, że zgodnie z regułami cesarzowej Tety gracze mieli obowiązek wymienić z sobą jedną, dowolnie wybraną kartę. Kiedy Lando pochylił się i wyluskał kartę z prawej strony, Han miał nadzieję, że wyciągnie od przeciwnika dowódcę szabel, ale szczęście go zawiodło. Lando wygrał to rozdanie kilkoma punktami i uzyskał niewielką przewagę, ale zanim obaj zdążyli policzyć dokładnie jaką, Threepio ponownie oświadczył:

- Zmiana reguł!

Przewaga Calrissiana, obliczona zgodnie z obowiązującymi standardowymi regułami stosowanymi na Bepinie, uległa podwojeniu.

Han zaklął pod nosem, widząc zbieraninę przypadkowych kart w następnym rozdaniu, gdyż nie wiedział, którą ma zatrzymać, a którą odrzucić. Zanim jednak podjął decyzję, generator stanów przypadkowych w elektronicznym mózgu androida zmusił go do ogłoszenia kolejnej zmiany reguł.

- Tym razem koreliański gambit, proszę panów!

Han wydał okrzyk radości, gdyż zgodnie z nowymi regułami jego karty tworzyły zupełnie inną kombinację.

- Mam cię! - powiedział, kładąc karty na blacie stołu.

Lando mruknął, pokazując swoje karty, które jeszcze przed chwilą zapewniłyby mu dużą przewagę, ale zgodnie z nowym systemem liczenia kosztowały go czternaście punktów.

W czasie kilku następnych rozdań Han zwiększył przewagę, ale stracił ją, kiedy znów zaczęły obowiązywać reguły kasyna Miasta w Chmurach, zgodnie z którymi nie uwzględniano punktów wszystkich kart nie tworzących określonej kombinacji. Han wyciągnął rękę i wybrał jedną spośród kart Calrissiana. Lando uczynił to samo. Obaj znieruchomieli.

- Threepio, powiedz nam jeszcze raz, według jakich reguł gramy.

- To w tej chwili nieistotne, proszę panów - odezwał się złocisty android. - I tak miałem ogłosić zmianę reguł. Tym razem będą standardowe Bospina... Nie, chwileczkę! Kolejna zmiana reguł. Wracamy do priorytetowych cesarzowej Tety.

Han i Lando ponownie spojrzeli na swoje karty, z trudem nadążając za tak szybkimi zmianami. Han pociągnął jeszcze jeden łyk przyprawianego piwa, a Lando, krzywiąc się niemilosiernie, wypił resztki wieloowocowego soku. Łodyga jaskrawoniebieskiego kwiatu wypuściła korzenie, które układały się na dnie szklanki w splecione zwoje.

- Threepio, podaj nam jeszcze raz wynik gry - odezwał się Lando.

- Po ostatniej zmianie reguł, proszę panów, łączna suma punktów pana Solo wynosi dziewięćdziesiąt trzy, a generała Calrissiana osiemdziesiąt siedem.

Han i Lando wymienili piorunujące spojrzenia.

- Jeszcze tylko jedno rozdanie, staruszku - powiedział Han.

- Ciesz się, bo to ostatnie sekundy, kiedy możesz się czuć właścicielem „Sokoła” - odciął się Lando.

- Reguły koreliańskiego gambitu, proszę panów - oświadczył Threepio. - Szczególny przypadek obowiązujący podczas ostatnich rozdań.

Han czuł, że jego serce wali jak miotem. Usiłował przypomnieć sobie, co dzieje się przy ostatnim rozdaniu koreliańskiego gambitu. W pewnej chwili uniósł głowę i zobaczył, jak Lando naciska guzik, unieruchamiając walor tylko jednej karty, i wyciąga pozostałe, by położyć w polu przypadkowych zmian walorów na środku stołu.

Han przyjrzał się posiadanym figurom. Miał umiar i równowagę. Każda pozwoliłaby mu przekroczyć sto punktów. Nacisnął guzik unieruchamiający równowagę, co dawało mu jedenaście punktów, a pozostałe niemal rzucił na środek stołu.

Obaj gracze pochylili się nad blatem i w napięciu patrzyli, jak wizerunki na kartach migoczą i zmieniają się, by po chwili jeden po drugim znieruchomieć.

Lando z niedowierzaniem spoglądał na swoje karty, niemal same blotki. Tymczasem Han dostał najlepsze karty, jakie kiedykolwiek otrzymał w ciągu całej gry. Oprócz równowagi, którą zachował, miał same figury: dzierzawę, wytrwałość, gwiazdę oraz królową powietrza i ciemności. Bez trudu osiągnął upragniony cel, pozostawiając Landa daleko w tyle.

Wydał dziki okrzyk radości w tej samej chwili, w której Threepio ogłosił następną zmianę reguł. Czekał na to, co usłyszy, Han popatrzył groźnie na złocistego androida.

- Suma punktów tego rozdania zostanie obliczona według wariantu z Ecclessis Figg - oświadczył Threepio.

Han i Lando spojrzeli na siebie i równocześnie zapytali:

- Na czym polega wariant z Ecclessis Figg?

- Przy ostatnim rozdaniu wszystkie nieparzyste wartości figur są odejmowane od dotychczasowej sumy punktów, a nie dodawane. Oznacza to, panie Solo, że uzyskuje pan dziesięć punktów za wytrwałość oraz królową powietrza i ciemności, ale traci pan w sumie czterdzieści jeden za równowagę, gwiazdę i dzierzawę.

Threepio przerwał i przez chwilę nic nie mówił.

- Obawiam się, że pan przegrał - ciągnął. - Generał Calrissian uzyskuje w tym rozdaniu szesnaście punktów za swoje torty, dzięki czemu kończy grę z sumą stu trzech, podczas gdy suma pana punktów wynosi sześćdziesiąt dwa.

Han zamrugał, nie mogąc się otrząsnąć z przeżytego wstrząsu. Z niedowierzaniem patrzył na częściowo opróżnioną szklankę korzennego piwa. Lando triumfalnie uderzył pięścią w blat stołu.

- To była wspaniała gra, Han - powiedział. - A teraz bierz „Sokoła” i leć po Leię. Czy chcesz, żebym ci towarzyszył?

Han wpatrywał się w blat stołu i szklankę z piwem, ale nie unosił głowy, by nie musieć patrzeć na Calrissiana. Czuł w sercu dziwną pustkę. Zaledwie przed kilkoma godzinami dowiedział się o tragedii żony, a teraz stracił statek, który należał do niego od ponad dziesięciolecia.

- Ty go bierz, jest twój - burknął. W końcu uniósł głowę i spojrzał przyjacielowi w oczy.

- Daj spokój, Han. Jesteś nieprzytomny. Jeżeli chcesz znać moje zdanie, w ogóle nie powinieś się być zakładać. A teraz...

- Nie, Lando. „Sokół” należy do ciebie. Nie jestem oszustem, a zanim usiadłem do gry, zawarłem z tobą umowę. - Wstał od stolika i nie dopijając piwa odwrócił się tyłem do Landa. - Threepio, upoważniam cię do przeniesienia tytułu własności statku. Później skontaktujesz się z ośrodkiem dyspozycji lotów i upewnisz się, że wyślą po Leię jakiś dyplomatyczny wahadłowiec. Wygląda na to, że ja nie polecę.

Lando poruszył się niespokojnie na krześle.

- Uhm, będę o niego dbał, Han - powiedział. - Ani jednej rysy na kadłubie.

Bez słowa Han podszedł do drzwi świetlicy, otworzył je i wyszedł. Echo poniosło odgłos jego kroków.

ROZDZIAŁ

4

Admirał Daala stała nieruchomo na mostku imperialnego niszczyciela „Gorgona”. Dłonie, odziane w czarne rękawiczki, splotła za plecami.

Spoglądała przez okno na chmury świecących gazów. Oświetlone przez gromadę białych karłów, przydawały przestworzom Mgławicy Kocioł niesamowitego blasku. Odwróciła głowę i spojrzała przez tylne okno na wiszące na niebie dwa inne niszczyciele - „Bazyliszka” i „Mantykora”. Zjonizowane gazy zakłócały działanie czujników wszystkich statków, ale zarazem tworzyły z mgławicy wyśmienitą kryjówkę dla trzech w pełni uzbrojonych wojennych okrętów.

Usłyszała za plecami odgłos nieśmiałych kroków. Odwróciła się i ujrzała nadchodzącego komandora Kratasa.

- O co chodzi, komandorze? - zapytała.

Oliwkowoszary mundur leżał na niej niczym druga skóra, a długie, płomiennorude włosy poruszały się w takt ruchów jej głowy jak warkocz komety.

Kratas przywitał się, dziarsko salutując, i zatrzymał się, nie wchodząc na podwyższenie.

- Pani admirał, o dziewiątej zero, zero zakończyliśmy oceniać straty, poniesione podczas walk w rejonie Kessel - zameldował.

Daala zacisnęła wargi w wąską linię, pozbawioną wszelkich emocji. Kratas był niskim mężczyzną, który został zwerbowany do imperialnej marynarki na jednym z podbitych światów. Miał ciemne włosy, przystrzyżone do regulaminowej długości, szeroko rozstawione bladoniebieskie oczy, krzaczaste brwi, wystającą szczękę i bardzo cienkie, niemal niewidoczne wargi. Daala pomyślała, że największą zaletą Kratasa jest to iż zawsze wykonuje rozkazy. Bardzo dobrze wyszkolono go w imperialnej wojskowej akademii na Caridzie.

- Proszę mnie z nimi zapoznać, komandorze - rozkazała.

Kratas nawet nie mrugnął, kiedy zaczął cytować z pamięci liczby.

- Łącznie straciliśmy trzy eskadry myśliwców typu TIE i, rzecz jasna, całą załogę i sprzęt, jaki znajdował się na pokładach „Hydry”.

Daala, na wspomnienie zniszczonego statku, poczuła impuls gniewu. Kratas musiał zauważyć zmianę wyrazu jej twarzy, ponieważ zamrugał, ale się nie cofnął.

„Hydra”, czwarty gwiazdny niszczyciel Daali, został rozerwany na kawałki i wessany przez jedną z czarnych dziur Otchłani. Była to pierwsza poważna strata, jaką admirał Daala poniosła w prawdziwej walce. Wskutek kłopotów Hana Solo i doktor Qwi Xux, zdradzieckiej badaczki, którzy porwali jej najgroźniejszą broń, Pogromcę Słońc, i umknęli ze strzeżonego imperialnego Laboratorium Otchłani, straciła jedną czwartą niszczycielskiej siły ognia.

- Jednakże... - ciągnął Kratas. W pierwszej chwili jego głos zadrżał, ale niemal natychmiast osiągnął normalną siłę. W hangarach innych gwiazdnych niszczycieli znalazło schronienie czterdzieści pozostałych maszyn typu TIE z „Hydry”, dzięki czemu straty nie wydają się takie duże.

Trzy pozostałe gwiazdne niszczyciele Daali opuściły rejon Otchłani z zamiarem doścignięcia i pochwylenia statku Hana Solo. Niczym psy gończe natknęły się jednak na zbieraninę najprzeróżniejszych statków, tworzących obronną flotę planety Kessel. Gwiazdne okręty wojenne Daali zniszczyły co prawda niemal dwie trzecie jednostek wroga, ale „Bazyliszek” został uszkodzony. Trzeba było sprząć jego urządzenia z komputerem nawigacyjnym „Gorgony”, żeby dokonać skoku w nadprzestrzeń i umknąć do bezpiecznej kryjówki w przestworzach Mgławicy Kocioł.

- Jak szybko postępują naprawy na pokładach „Bazyliszka”? - zapytała Daala.

Kratas uznał za celowe strzelić obcasami, jakby pragnął podkreślić, że może przekazać dobre wieści.

Trzy z czterech turbolaserowych dział są już naprawione i w pełni nadają się do akcji. Spodziewamy się, że w ciągu najbliższych dwóch dni ukończymy naprawę czwartej baterii. Opancerzeni szturmowcy załatali dziurę w zewnętrznym kadłubie. Pokłady od siódmego do dziewiątego są już szczelne i w tej chwili ponownie pompujemy tam powietrze. Usunęliśmy także awarie okablowania i poprowadziliśmy trasy kablowe w innych miejscach, dzięki czemu komputer nawigacyjny i konsoly celownicze działają prawidłowo.

Głęboko odetchnął.

- Krótko mówiąc, pani admirał, moim zdaniem cała flota jest ponownie gotowa do walki.

Daala podeszła do okna mostka i stanęła przy transpastalowej szybie, drugimi palcami chwytając poręcz ze sztucznego drewna. Bezszywnie starała się ukryć uśmiech, jaki ukazał się na jej twarzy. Przesycone metaliczną wonią powietrze mostka uspokajało ją i krzepiło. Od ponad dziesięciu lat „Gorgona” była jej jedynym domem. Powietrze na statku regenerowano i odświeżano tak długo, aż pozbawiono je wszelkich ostrych aromatów organicznych, pozostawiając tylko sterylne zapachy smarów i metali, zmieszane z kojącymi woniami odprasowanych imperialnych mundurów i środków chemicznych, za pomocą których polerowano pancerze szturmowców.

- Czy mogę o coś zapytać, pani admirał? - odezwał się Kratas, rozglądając się na prawo i lewo. Wszyscy ludzie pełniący na mostku służbę pochylili głowy nad przyrządami, udając, że nie przysłuchują się rozmowie. Daala uniosła brwi i w milczeniu czekała na dalsze słowa komandora.

Z informacji, uzyskanych od Hana Solo, i z później przechwyconych transmisji wynika, że Imperator nie żyje. Darth Vader i wielki moff Tarkin także zginęli, a Imperium rozpadło się na księstwka, które toczą ze sobą ciągłe walki.

Kratas umilkł. Zamiast niego dokończyła Daala.

- Zastanawia się pan, komandorze, kto jest teraz naszym dowódcą?

Kratas energicznie kiwnął głową.

- Wielki admirał Thrawn został zabity - powiedział. - Lord Zsinj także nie żyje. Wiemy o kilku dowódcach, którzy walczą ze sobą o władzę nad resztkami Imperium. Domyślam się, że tych ludzi interesuje bardziej niszczenie rywali niż walka przeciwko oddziałom Rebeliantów. Jedyne wojskowa akademie na Caridzie dysponuje tak silnym uzbrojeniem, że może być uważana za oazę spokoju i stabilności. Może więc powinniśmy...

- Nie sądzę - przerwała ostro Daala.

Chcąc ukryć nachmurzoną minę, odwróciła się plecami do Kratasa. Pamiętała, jak kiedyś w wojskowej akademii na Caridzie musztrowano ją i besztano. Ponieważ była kobietą, raz po raz pomijano ją przy awansowaniu. Przydzielano jej najbardziej niewdzięczne prace. Czasami traktowano ją gorzej niż zwierzę. To wszystko sprawiło jednak, że tym bardziej starała się osiągnąć sukces.

W końcu stworzyła w niemal nieograniczonej sieci komputerowej Caridy fałszywą osobowość i posługując się pseudonimem, zaczęła uczestniczyć w symulowanych grach wojennych. Bardzo często wygrywała dzięki stosowaniu pomysłów taktyki, którą później z powodzeniem wykorzystywały imperialne naziemne oddziały szturmowe. Dopiero Tarkin odkrył jej prawdziwą tożsamość i wysoko ocenił jej umiejętności. Korzystając z władzy, jaką dawało mu stanowisko wielkiego moffa Odległych Rubieży, potajemnie zabrał ją z akademii i awansował do stopnia pełnego admirała. O ile wiedziała, była jedyną kobietą zajmującą tak wysoką pozycję w całej imperialnej Marynarce.

Ponieważ Imperator miał uprzedzenie do kobiet i istot nie będących ludźmi, Tarkin nie wyjawiał mu prawdy o nowej pani admirał. Później on i Daala zostali kochankami. Nie chcąc, by kobieta wpadła Imperatorowi w oko, Tarkin przydzielił jej cztery gwiazdne niszczyciele i powierzył zadanie strzeżenia supertajnego laboratorium naukowego, ukrytego w samym sercu gromady czarnych dziur.

Teraz jednak, kiedy admirał Daala opuściła tamten rejon, by płądrować i niszczyć każdy świat, lojalny wobec Nowej Republiki, nie zamierzała uznawać nad sobą władzy kogokolwiek spośród dawnych prześladowców z Caridy.

Głęboko odetchnęła i ponownie odwróciła się do komandora Kratasa. Mężczyzna stał nieruchomo, czekając na odpowiedź. Pozostałe osoby pełniące służbę uniosły głowy, ale widząc, że Daala na nie patrzy, bardzo szybko wróciły do poprzednich zajęć.

- Wygląda mi na to, że przywódcy walczących ze sobą frakcji zapomnieli, iż naszym prawdziwym wrogiem są Rebelianci - powiedziała. - Uważam, że powinniśmy dać imperialnym dowódcom przykład. Musimy skierować ich uwagę na właściwego wroga - Rebeliantów, którzy zabili wielkiego moffa Tarkina, zniszczyli Gwiazdę Śmierci i zamordowali Imperatora. W całej imperialnej flocie wielki admirał Thrawn

był jedyną osobą wyższą stopniem, o jakiej słyszałam. Mogę sądzić że w tej chwili mój stopień jest co najmniej tak samo wysoki jak któregoś spośród tamtych pretendentów.

Oczy Kratasa rozszerzyły się, ale Daala potrząsnęła głową. Jej długie włosy zdrząły jak migotliwe płomienie.

- Nie, komandorze, nie zamierzam ubiegać się o władzę nad tym, co pozostało z Imperium. To nie jest coś, co sprawiłoby mi satysfakcję. Zostawmy to małostkowym dyktatorom. Ja chcę zająć się płądrowaniem i niszczeniem. I to na jak największą skalę.

Jej usta ułożyły się jak do warknięcia, a w głosie pojawiły się chrapliwe tony.

- Myślę, że największą szansę osiągnięcia celu będziemy mieli, uciekając się do taktyki partyzanckiej, charakterystycznej dla wojny podjazdowej. Mamy do dyspozycji trzy gwiazdne niszczyciele. To wystarczy, żeby z powierzchni niejednego świata zetrzeć całe cywilizacje. Musimy zadawać silne ciosy i uciekać. Powinniśmy nękać Rebeliantów tak długo, jak będzie możliwe.

Rozejrzała się po mostku i stwierdziła, że wszyscy pełniący służbę wstali. Niektórzy spoglądali na Daalę, nie kryjąc zachwyty w szeroko otwartych oczach, a inni tylko się uśmiechali. Jej załoga, gotowa i rwąca się do walki, nie miała dotychczas szansy wykazania swoich umiejętności. Zmuszona do ochrony grupy kapryśnych naukowców, którzy wciąż projektowali nowe śmiertelne bronie, zbyt długo nudziła się w Otchłani.

Daala jeszcze raz popatrzyła na przez okno na Mglawicę Kocioł. Przez zasłone zjonizowanych gazów przedzierały się światła innych systemów gwiazdnych. Pośród nich można było znaleźć wiele celów.

Odwróciła się w stronę stanowiska nawigacyjnego.

- Poruczniku, proszę wytyczyć kurs, który zawiędzie nas w rejon najbliższego najmniej uczęszczanego gwiazdowego szlaku - powiedziała.

- Rozkaz, pani admirał - odparł porucznik i biegiem rzucił się do stanowiska.

- Proszę także powiadomić o tym załogi wszystkich trzech jednostek - dodała Daala.

Na jej ustach pojawił się zuchwały uśmiech. Czuli się tak jak gdyby cała krew w jej żyłach zamieniła się w roztopiony metal. Wydawało się, że z jej zielonych oczu za chwilę wystrzelą laserowe błyskawice, gotowe pochłonąć niczego nie podejrzewającą ofiarę.

Daala wyruszyła na nową wojnę.

- Wyprawiamy się na polowanie - oświadczyła, a obecni na mostku członkowie załogi odpowiedzieli jej radosnymi okrzykami.

Gdzieś w głębinach przestworzy czaiły się trzy gwiazdne niszczyciele. Z przyrządami nastawionymi na największą czułość czekały na pojawienie się jakiegoś statku. Zajęły pozycje w pobliżu węzła nadprzestrzeni na odległym krańcu koreliańskiego szlaku. Wszystkie jednostki zmierzające na Anoa, Bepin albo inne, znajdujące się nieco dalej światy, musiały opuszczać tam nadprzestrzeń, by dokonać poprawek dotychczasowych kursów i określić współrzędne nowych.

Daala przechadzała się po mostku „Gorgony”, spoglądając na swoich ludzi. Wszyscy czekali na jej rozkazy. Badawczy wzrok pani admirał sprawiał, że byli nerwowi i rozdrażnieni, chcąc wykonać swoje zadania bez żadnego błędu. Daala była dumna ze swojej załogi. Nie wątpiła, że w walce z rebelianckimi szumowinami odniesie wspaniałe zwycięstwo.

Nagle jeden z poruczników stojących przy konsolce z czujnikami wyprostował się i powiedział:

- Pani admirał! Zakłócenia pól grawitacyjnych przestworzy wskazują, że do węzła nadprzestrzeni zbliża się jakiś statek. Śledzę go... Zaraz wyskoczy!

Daala zaczęła wydawać krótkie, rzeczowe rozkazy.

- Natychmiast ogłosić czerwony alarm. Dowódcom „Bazyliuszka” i „Mantykory” przekazać polecenie uzbrojenia baterii turbolaserów.

Komandor Kratas oderwał się od swojego stanowiska dowodzenia i także zaczął wydawać rozkazy swoim podwładnym. Na pokładach gwiazdowego niszczyciela rozkrzyczały się przenikliwe jęki syren alarmowych. Szturmowcy zaczęli zajmować stanowiska bojowe, wypełniając wnętrza statków tupotem ciężkich butów i chrzęstem pancerzy.

- Kanonierzy! - krzyknęła do interkomu Daala. - Celować w taki sposób, żeby unieruchomić napęd! Musimy opanować ten statek!

- Oto on - odezwał się porucznik.

Daala odwróciła się i spojrzała w przestworza, w których nieruchome gwiazdy układały się w skomplikowane wzory. Zobaczyła, że światło niektórych załamuje się i drży, jakby na powierzchni pomalowanego na czarny kolor szkła pojawiła się nagle zmarszczka. Po chwili średniej wielkości statek wyłonił się z nadprzestrzeni i znieruchomiał, by kapitan miał czas sprawdzenia współrzędnych osiągniętego punktu.

Daala uśmiechnęła się do siebie. Wyobraziła sobie wyraz twarzy kapitana, który po wyłonieniu się z nadprzestrzeni znajdzie się oko w oko z trzema gwiazdnymi niszczycielami blokującymi dalszą drogę.

- To koreliańska korweta, pani admirał - odezwał się Kratas, jakby Daala nie potrafiła sama rozpoznać statku.

Zauważyła charakterystyczny kształt mostka, podobny do obucha i baterie dwunastu silników umożliwiających loty z prędkościami nadświatelnymi. Zwróciła też uwagę na napęd rakietowy, którego dysze jarzyły się błękitnobiałymi płomieniami wydechowymi.

- To najczęściej spotykany typ galaktycznego transportowca - ciągnął Kratas. - Jego kapitan może być najzwyczajszym handlarzem.

A kogo to może obchodzić? - rzekła Daala. - Przygotować się do otwarcia ognia. Przekonamy się, jak działają naprawione turbolaserowe baterie „Bazyliuszka”.

- Pani admirał, kapitan korwety coś sygnalizuje - odezwał się oficer łącznościowiec.

- Zignorować go. „Bazyliuszek”, otworzyć ogień. Dwa precyzyjne strzały. Unieruchomić rufowe silniki napędu nadprzestrzennego.

Daala patrzyła, czując dreszcz emocji. W przestworzach przemknęły dwie oślepiające zielone błyskawice. Pierwsza rozprysnęła się i znikła, pochłonięta przez wzmocnione pole ochronne korwety, ale druga przeniknęła przez osłabione miejsce i uszkodziła silniki rakietowe. Korweta zadrżała, a potem jak liść unoszony wodnym wirem zaczęła się obracać. Z uszkodzonego rdzenia reaktora wydobywała się czerwono-żółta poświata.

Trzy gwiazdne niszczyciele zajęły pozycje wokół unieruchomionego statku.

- Kapitan korwety sygnalizuje, że się poddaje - odezwał się oficer łącznościowiec.

Daala poczuła się zawiedziona, ale szybko odzyskała panowanie nad sobą. Nie mogła pozwolić sobie na kolejny głupi błąd. Zbyt skwapliwie puściła się w pościg za Hanem Solo i porwanym przez niego Pogromcą Słońc - i ten przesadny pośpiech kosztował ją utratę „Hydry”.

Komandor Kratas podszedł do niej, przystanął i powiedział półgłosem:

- A co będzie, jeżeli ten statek nie należy do Sojuszu Rebeliantów? Koreliańskich korwet używa przecież wielu przemytników.

- Możliwe, że ma pan rację - rzekła Daala. Wielki moff Tarkin bardzo dawno kazał jej zapamiętać, że dobry dowódca nie odrzuca rad, opinii i propozycji zaufanych oficerów. - Jeżeli naprawdę kapitan utrzymuje kontakty nie z Rebeliantami, jak sądzę, a z przemytnikami, może przekonamy go, by pracował dla nas. Moglibyśmy wykorzystać jego ludzi jako szpiegów i sabotażystów.

Kratas kiwnął głową, akceptując ten pomysł.

- Włączyć generator promienia ściągającego - rozkazała Daala. - Otworzyć wrota dolnego ładowiska i ściągnąć korwetę do hangaru.

Pstryknęła przełącznikiem znajdującym się z boku konsoli dowodzenia, włączając wąskopasmowy kanał łączności. Na podwyższeniu urządzenia do transmisji holograficznej ukazał się wizerunek generała imperialnych wojsk lądowych. Z powodu zakłóceń transmisji na obrzeżach hologramu pojawiły się błękitne iskry. Daala pochyliła się nad wizerunkiem jak gigant przyglądający się liliputowi.

- Generale Odosk, proszę wyznaczyć oddział, który wejdzie na pokład schwytanego statku - rozkazała. - Czy poinformował pan swoich ludzi o sytuacji?

- Tak jest, pani admirał - rozległ się przefiltrowany głos mężczyzny. - Wiemy co robić.

Daala machnięciem ręki zamieniła wizerunek generała w srebrzyste iskiereki szumów. Pomyślała, że pozwolenie, by abordażu obezwładnionego statku dokonali rozbitkowie z „Hydry”, było bardzo mądrym posunięciem.

Uszkodzona korweta, nie przestając tracić energii z rozszerzanego rdzenia reaktora, zbliżała się, przyciągana przez niewidzialne struny promieni ściągających „Gorgony”. Wrota dolnego ładowiska rozwarły się niczym szczęki potwornego drapieznika.

Ponownie odezwał się oficer łącznościowiec.

- Pani admirał, kapitan korwety bez przerwy prosi o wskazówki. Wygląda na to, że jest dosyć zdenerwowana.

Jakby uządlona przez pszczołę, Daala odwróciła się w jego stronę.

- Ona? - zapytała. - Kapitanem korwety jest kobieta?

- Jeżeli sędzić po głosie, tak jest, pani admirał.

Daala zetknęła czubki wyprostowanych palców, rozważając otrzymaną informację. Na ogół kobiety nie miały kłopotów z zajmowaniem ważnych stanowisk w Sojuszu Rebeliantów - ale brutalna walka o przeżycie i związane z nią cierpienia zahartowały admirał Daalę.

- Utrzymujcie ją nadal w niepewności - poleciła.

- Opanowanie korwety zakończone, pani admirał - zameldował komandor Kiatas.

- Nie napotkaliśmy żadnego oporu. Oddziały abordażowe czekają na rozkazy.

- Zamknąć wrota hangaru - odezwała się Daala. - Wysłać oddział w celu wyciągnięcia informacji z rdzenia pamięciowego komputera schwytanego statku. Potrzebujemy map, faktów historycznych. Musimy dowiedzieć się jeszcze tylu rzeczy.

- Czy przed chwilą nie wydała pani rozkazu, by na pokład korwety wszedł generał Odosk z grupą abordażową? - zapytał Kratas.

Zmarszczywszy brwi, Daala spiorunowała komandora spojrzeniem.

- Oni mają swoje rozkazy - warknęła. - Pan powinien wykonywać swoje.

- Tak jest, pani admirał - wyjąkał Kratas.

- Proszę sprawdzić dowódczynię korwety do kabiny przesłuchań - dodała. - Możliwe, że będziemy musieli zachęcić ją do wyjawienia prawdy.

Kratas kiwnął głową, odwrócił się i spieszenie opuścił mostek.

Drzwi ponurej kabiny przesłuchań rozsunęły się ze zniechęcającym sykiem. Kiedy Daala znalazła się w środku, z niejakim rozczarowaniem stwierdziła, że kapitanem pochwyconego statku jest niskiego wzrostu Sullustanin. Spojrzała na podobną do mysiej fizjonomię z charakterystycznymi obwisłymi policzkami, które niczym grube gumowe fałdy zwisały po obu stronach niewielkiej brody. Ogromne, szkliste gałki oczne, błyszczące i czarne jak dwa węgle, przywodziły Daali na myśl czarne dziury z rejonu Otchłani.

Na widok Daali sullustański kapitan zaczął panicznie trąkotać, a na jego mięsistych wargach pojawiły się kropelki śliny. Stojący obok niego przedpotopowy, chromowany protokolarz android był z pewnością tłumaczem kapitana. Poruszał rękami i nogami z cichym pomrukiem i terkotem wysłużonych serwowatorów, jakby jego komputerowy mózg był zbyt stary i powolny, by poradzić sobie z kontrolowaniem wszystkich funkcji naraz.

Kiedy android przemówił, w kabinie przesłuchań rozległ się szorstki kobiecy głos.

- Pani admirał! Tak się cieszę, że w końcu przyprowadzono mnie przed oblicze kogoś obdarzonego prawdziwą władzą. Czy możemy wyjaśnić to nieporozumienie? Nie zrobiliśmy przecież nic złego.

Stojący u boku androida sullustański kapitan nasunął fałd skóry na czubek spiczastej głowy, przykrywając ją jak czapką. Bez przerwy wydawał podniecone, bulgoczące dźwięki.

- Kapitan T'nun Bdu żąda wyjaśnienia... - zaczął tłumaczyć kobiecym głosem android.

Bulgotanie Sullustanina przybrało alarmujące tony. Kapitan schwycił nawet androida za platynową rękę.

- Poprawka. Kapitan z całym szacunkiem uprzejmie prosi, by zechciała pani wyjaśnić motyw swojego postępowania. Bardzo prosi, by powiedziała pani, czy jest coś, co mógłby uczynić, by zażegnać ten dyplomatyczny konflikt. Ze swojej strony chce podkreślić, że nie zamierzał do niego dopuścić.

Kapitan energicznie kiwnął głową. Zbierająca się na jego wargach ślina zaczęła ciec zagłębieniami fałdów obwisłych policzków.

- Proszę wytrzeć twarz - odezwała się Daala.

Spojrzała na niesamowity fotel do torturowania opornych więźniów, jaki stał pod ścianą w kącie pomieszczenia. Na ścianach wisały przymocowane wielkimi masywnymi śrubami metalowe płyty. Tu i ówdzie było widać na nich ciemne plamy w miejscach, których nie oczyszczono po dotychczasowych przesłuchaniach. Sam fotel tortur był wyposażony w najrozmaitsze zakrzywione rury, rzemienie ze sprzączkami, łańcuchy i szpikulce. Większość z nich nie miała służyć innemu celowi poza wywoływaniem panicznego przerażenia u przesłuchiwanego więźnia.

- Na razie chcielibyśmy prosić kapitana tylko o to, żeby zechciał udzielić kilku informacji - rzekła Daala. Odwróciła się plecami do fotela, jakby go w ogóle nie widziała. - Możliwe, że zechce udzielić ich dobrowolnie, tak byśmy nie musieli uciekać się do... nieuprzejmości.

Przerażony kapitan wzdrygnął się nerwowo. Platynowy android o kobiecym głosie przestąpił z nogi na nogę, a później wyprostował się, jakby podjął decyzję. Rzucił kapitanowi spojrzenie, w którym kryło się coś na kształt uwielbienia, po czym odezwał się pewnie i głośno:

- Pani admirał, ja mogę udzielić pani tej informacji. Nie ma potrzeby torturowania mojego kapitana.

Sullustanin zaczął nerwowo bulgotać, ale android sprawiał wrażenie, że go nie słucha.

- Lecieliśmy na planetę Dantooine, by dostarczyć niewielkiej grupie kolonistów sprzęt i żywność, niezbędne do przetrwania. W tej chwili kolonia nie należy do Nowej Republiki. Koloniści są nieszkodliwymi uciekinierami.

- Ilu ludzi zamieszkuje tę kolonię? - zapytała Daala.

- Około pięćdziesięciu. Przeniesiono ich z górniczej planety Eol Sha skazanej na zagładę. W chwili obecnej nie są nawet uzbrojeni.

- Rozumiem - odparła Daala. - Kapitanie, musimy zarekwirować pański ładunek. Przypuszczam, że w ładowniach pańskiego statku jest dość miejsca na sprzęt i żywność na czas nie przekraczający roku. Rekwiruję to wszystko w imieniu Imperium. Koloniści z Dantooine będą musieli zaopatrzyć się we wszystko w inny sposób.

Sullustański kapitan zabulgotał, nie kryjąc przerażenia, ale Daala przeszła go piorunującym spojrzeniem.

- A może woli pan, kapitanie, wyjść na zewnątrz służy i tam złożyć na mnie skargę? - zapytała.

Sullustanin natychmiast umilkł.

Drzwi do kabiny przesłuchań znów się otworzyły i do środka wszedł komandor Kratas w towarzystwie dwóch szturmowców.

- Proszę zabrać kapitana i jego androida z powrotem na pokład schwytanego statku - powiedziała, a potem schyliła głowę i spojrzała na Sullustanina. - W tej chwili nasze oddziały opróżniają ładownie pańskiego statku, ale generał Odosk wyznaczył grupę ludzi, którzy zajmują się naprawą uszkodzonego silnika. Powinni doprowadzić go do takiego stanu, żeby mógł pan dolecieć do najbliższego systemu.

Kapitan korwety zgiął się w ukłonie, nie przestając bulgotać w swoim języku. Android o kobiecym głosie stał w tym czasie na baczność, a kiedy kapitan skończył mówić, odezwał się, nie kryjąc zdziwienia.

- Bardzo dziękujemy pani admirał. To dowód niezwyklej szlachetności z pani strony. Doceniamy fakt, że zechciała pani okazać się tak gościnną.

Szturmowcy wyprowadzili ich z kabiny, stukając ciężkimi butami po podłogach sterylnie czystych korytarzy gwiazdnego niszczyciela. Drzwi z westchnieniem zasunęły się za nimi, a w pomieszczeniu została tylko Daala i komandor Kratas. Mężczyzna odwrócił się i obdarzył kobietę spojrzeniem ciemnych oczu błyszczących pod krzaczastymi brwiami.

- Pani admirał, czy naprawdę zamierza pani zniżyć się do poziomu gwiazdnych piratów? - zapytał. - Czy będziemy od tej chwili napadali na bezbronne transportowce i rabowali zawartość ich ładowni?

Daala wyciągnęła z kieszeni na biodrze elektroniczny notatnik i przycisnęła guzik włączający urządzenie. Na ekranie ukazała się ostatnia informacja, jaką otrzymała. Odwróciła notatnik w taki sposób, by komandor mógł zapoznać się z jej treścią.

Doceniam pańską troskę o honor imperialnej Marynarki - powiedziała. - Zanim jednak tu przyszedłem, by zobaczyć się z więźniami, zapoznałem się z raportem dotyczącym zawartości ładowni ich korwety. Rzeczywiście transportowali zaopatrzenie dla nowej kolonii, ale znaleźliśmy także ciężką bron, sprzęt do komunikacji dalekosiężnej i prefabrykowane elementy do budowy hangarów dla gwiazdnych myśliwców. - Gestem pokazała drzwi. - Wracamy teraz na mostek. Chcę zobaczyć, jak to będzie wyglądało.

Co ma pani na myśli? - zapytał Kratas.

Daala wyłączyła notatnik i spojrzała na komandora. - Zobacz pan - odparła. - Na razie proszę uzbroić się w cierpliwość.

Kiedy wyszli, drzwi kabiny przesłuchań zasunęły się za ich plecami. W ponurym pomieszczeniu pozostała uwięziona ciemność i woń trwogi.

Powiększony wizerunek generała Odoska zamigotał, ale admirał Daala widziała, jak mężczyzna układa szeroką śniadą twarz w pełen samozadowolenia uśmiech.

- Zadanie wykonane, pani admirał.

- Doskonale, generale - odparła. - Mam nadzieję, że ma pan dobre miejsce do obserwacji.

Odosk kiwnął głową.

- Tak, dziękuję - powiedział. - Nie przegapiłbym takiej okazji.

Stojąca na mostku „Gorgony” Daala odwróciła się plecami do okna obserwacyjnego. Uszkodzona koreliańska korweta wyleciała przez wrota hangaru i zaczęła dryfować w przestworzach, oddalając się od niszczyciela.

- Wycofać się - poleciała oficerowi nawigacyjnemu. - Przesłać rozkaz dowódcom „Bazyliuszka” i „Mantykory”, żeby wykonali taki sam manewr.

- Tak jest, pani admirał.

Trzy gwiazdne niszczyciele uruchomiły silniki i zwiększyły odległości dzielące je od znacznie mniejszego statku. Uszkodzone silniki korwety już się nie jarzyły.

Kratas pokręcił głową.

- Nadal nie mogę uwierzyć w to, że naprawdę chce pani pozwolić im odlecieć - powiedział.

Daala rzadko wyjaśniała sens rozkazów podwładnym, ale od czasu do czasu robiła wyjątek, żeby wzbudzić w nich większy podziw i szacunek. Podniósłszy zatem głos, tak by słyszeli ją wszyscy pełniący służbę na mostku, powiedziała:

- Statki bardzo często znikają, komandorze. Gdybyśmy zniszczyli go już teraz, mogłoby to zostać przypisane jakiemuś nieszczęśliwemu wypadkowi w rodzaju burzy meteorów, uszkodzonej płyty osłony reaktora czy niewłaściwie wytyczonemu szlakowi przez nadprzestrzeń. Jeżeli jednak pozwolimy, by kapitan tej korwety wysłał najpierw wiadomość, co się stało, wówczas Sojusz Rebeliantów będzie wiedział, że to nasze dzieło. Osiągniemy dokładnie to samo, ale wywołamy panikę i zamieszanie. Czy zgadza się pan ze mną?

Kratas kiwnął głową, ale było widać, że nie pozbył się wszystkich wątpliwości.

- Zaczyna działać transponder, który zainstalowaliśmy w urządzeniu do komunikacji dalekosiężnej - odezwał się oficer łącznościowiec. - Nadajnik statku wysła skupioną wiązkę fal, skierowanych w ściśle określone miejsce.

Daala się uśmiechnęła.

- To dobrze - powiedziała. - Spodziewałam się, że kapitan nie zechce poczekać, aż znikniemy z ekranów,

Oficer łącznościowiec przycisnął do ucha słuchawkę urządzenia odbierającego sygnały transpondera.

- Melduje o swoim położeniu, pani admirał. Trzy gwiazdne niszczyciele... strzelano do niego bez ostrzeżenia... uwięziono i poddano przesłuchaniu...

- Myślę, że to wystarczy - rzekła Daala, włączając system łączności. - Generale Odosk, proszę przystąpić do wykonywania rozkazu.

Oślepiła oczy.

Termiczne detonatory, umieszczone na ścianach reaktorów w pobliżu dwunastu głowic rakiet, eksplodowały w tej samej chwili, rozpętując na pokładzie koreliańskiej korwety prawdziwe piekło i przenikając jej kadłub śmiertelnie promieniowaniem. W ułamek sekundy później cały kadłub wskutek szalejącego żaru zamienił się w gazowy obłok metalicznych cząstek. Głowice rakiet przeistoczyły się w oślepiające kule białego światła, a potem cały statek zamienił się we wciąż rozprzestrzeniającą się ognistą chmurę.

Daala kiwnęła głową.

- Myślę, że w ten sposób rozbitkowie z „Hydry” wzięli odwet za to, co stało się z ich statkiem - oświadczyła.

Nie potrafiąc ukryć podziwu, komandor Kratas także kiwnął głową.

- Ma pani rację, pani admirał - odezwał się po chwili.

Daala odwróciła się i powiodła spojrzeniem po ludziach znajdujących się na mostku.

- Mamy teraz szczegółowe mapy i znamy polityczną sytuację Sojuszu Rebeliantów - oznajmiła. - Zadaliśmy mu pierwszy cios. Pierwszy z wielu.

Głęboko odetchnęła, czując, że każdy nerw, każdy mięsień jej ciała drży z euforii. Wielki moff Tarkin byłby z niej naprawdę dumny.

- Naszym następnym przystankiem będzie Dantooine - powiedziała. - Jest tam pewna mała kolonia, którą powinniśmy odwiedzić.

ROZDZIAŁ

5

Luke Skywalker, mistrz Jedi, zgromadził wszystkich dwanaścioro uczniów w wielkiej komnacie audiencyjnej świątyni Massassów.

Rozproszone pomarańczowe światło przesączało się przez wąskie świetliki. Bujne pnącza winorośli czepiały się ścian, splatając się w kątach w zielone pajęczyny. Większość płaskich kamieni miała matową, ciemnoszarą barwę, ale tu i ówdzie ogromną salę zdobiły ciemnozielone, cynobrowe i żółto- brunatne kamienne romby.

Luke pamiętał, jak będąc znacznie młodszy, stał w tej samej komnacie i razem z innymi cieszył się ze zniszczenia Gwiazdy Śmierci. Uśmiechnął się, gdy przypomniał sobie, jak księżniczka Leia udekorowała wówczas medalami jego, Hana Solo i Chewbacę. Teraz jednak w niemal pustej komnacie przebywał tylko Luke i mała grupa jego pierwszych uczniów.

Mistrz Jedi obserwował, jak kandydaci na rycerzy kierują się szerokim przejściem w jego stronę. Odziani w ciemno- brązowe płaszcze, szli w milczeniu po gładkiej, kamiennej posadzce, wyslizganej przed wieloma wiekami stopami tajemniczych Massassów.

Na czele procesji szli obok siebie Streen i Gantoris. Ten drugi, były przywódca kolonistów z Eol Sha, sprawiał wrażenie osoby mającej o sobie wysokie mniemanie. Spośród wszystkich, których Luke sprowadził do swojego ośrodka kształcenia przyszłych Jedi, Gantoris poczynił największe postępy. Wykazywał najwięcej wewnętrznej siły, ale zapewne nie uświadamiał sobie, że znalazł się na rozdrożu. Nie wiedział, że czeka go trudny wybór. Już wkrótce będzie musiał zdecydować, w jaki sposób chce doskonalić umiejętności władania Mocą.

Za tą dwójką szła Kirana Ti, jedna z młodych i obdarzonych dużymi zdolnościami czarodziejek z Dathomiry. Na rodzinnej planecie pozostawiła inne kobiety rzucające czary i dosiadające rankorów i przybyła na wezwanie Luke'a, żeby doskonalić swój talent. Kirana Ti oraz pozostałe czarodziejki z Dathomiry pomogły Luke'owi kiedyś wejść na pokład bardzo starego uszkodzonego gwiazdowego statku „Chu'unthora”. Przechowywano tam dokumentację na temat metod szkolenia dawnych Jedi - hologramy, z którymi Luke się zapoznał, kiedy opracowywał ćwiczenia dla swoich uczniów.

Obok Kirany Ti kroczył Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy, łysiejąca istota człękoksztalna o zielono- żółtej skórze. Dorsk przyleciał ze świata, na którym wszyscy osobnicy tworzący rodzinę byli genetycznie identyczni. Klonowano ich i wychowywano wyłącznie z myślą o zachowaniu dotychczasowego stanu. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy jednak, będąc osiemdziesiątym pierwszym wcieleniem zestawu tych samych cech i zalet, w dziwny sposób różnił się od pozostałych Dorsków. Choć pod względem zewnętrznym był zapewne identyczny, jego umysł funkcjonował w inny sposób. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy czuł Moc, działającą w jego ciele, dzięki czemu jego myśli toczyły się odmiennym torem. Z nadzieją, że wkrótce zostanie rycerzem Jedi, opuścił świat zamieszkiwany przez identyczne istoty i postanowił rozpocząć nowe życie.

Za tą dwójką szedł starszawy mężczyzna, Kam Solusar. Był synem rycerza Jedi, którego przed wielu laty zamordował Darth Vader. Przeżywszy okres ciężkich przesładowań, uciekł z części galaktyki opanowanej przez Imperium i kilka dziesięcioleci spędził sam z daleka od zamieszkiwanych światów. Kiedy zdecydował się wrócić, został pojmany i torturowany Przez złego Jedi, którego umysł był spaczony wskutek oddziaływania ciemnej strony Mocy. Luke pokonał go jednak Podczas gry w karty. Solusar nauczył się bardzo dużo, ale długie dobrowolne wygnanie sprawiło, że o wielu aspektach władania Mocą wiedział nadal bardzo mało.

Kiedy pozostali kandydaci zgromadzili się przed podwyższeniem, Luke zsunął na plecy kaptur i postanowił nie okazywać dumy, jaka rozpierała go na widok uczniów. Gdyby ukończyli pomyślnie naukę, mogliby stać się załóżkami nowego zakonu rycerzy Jedi, orędownikami Mocy. W trudnych chwilach mogliby pomóc chronić Nową Republikę.

Luke usłyszał, jak poruszają się ogarnięci podnieceniem. Nie odzywali się do siebie, bez wątplenia pogrążeni we własnych myślach. Starali się czerpać siłę z Mocy. Szukali nowych sposobów lepszego poznawania samych siebie i wszechświata; sposobów, z którymi mogli się zapoznać tylko dzięki naukom Jedi. Mimo że zbiorowy talent uczniów zdumiewał Luke'a, mistrz Jedi liczył na to, że niedługo będzie miał kilkoro nowych kandydatów. Han Solo powinien przysłać swojego młodego przyjaciela, Kypa Durrona. Luke miał także nadzieję, że do grupy uczniów dołączy jego niedawna przeciwniczka, Mara Jade, z którą zawarł nieco krepujący rozejm podczas walki przeciwko Joruuosowi Cbaothowi.

Wyprostował się, nie schodząc z podwyższenia. Znalazł w sobie tyle wewnętrznej siły, że odezwał się do uczniów pewnie i głośno.

- Przybyliście tu, żeby uczyć się i studiować, ale nie ukrywam przed wami faktu, że i ja się uczę. Każda żyjąca istota musi uczyć się aż do śmierci. Ci, którzy przestają się uczyć, znacznie szybciej umierają.

Możliwe, że wprowadziłem was w błąd, nazywając to miejsce akademią Jedi. Chociaż będę się starał nauczyć was wszystkiego, co wiem, nie chciałbym, żebyście tylko słuchali moich wykładów.

Wasze szkolenie będzie odkrywaniem samych siebie. Uczcie się nowych rzeczy i dzielcie z innymi tym, czego się nauczycie. Z uwagi na to będę od tej chwili nazywał to

miejsce *prakseum*. Korzenie tego słowa giną w mroku dziejów, a użył go po raz pierwszy uczony Jedi, który wpadł na pomysł nauki przez działanie. Nasze *prakseum* będzie zatem miejscem, w którym nauczycie się działać. Każdy Jedi jest świadom faktu, że nie może tracić czasu na bezmyślną kontemplację. Kiedy sytuacja wymaga czynów, Jedi działa.

Luke umieścił na znajdującym się obok niego podium niewielki opalizujący sześcian. Przesunął palcami po gładkiej powierzchni holocronu Jedi, skarbnicy starożytnej wiedzy, ukradzonej kiedyś przez Leie wskrzeszonemu Imperatorowi.

- Wywołamy teraz z holocronu dawno zmarłego mistrza Jedi - ciągnął Luke. - Posługiwaliśmy się tym urządzeniem, by zapoznać się z czasami starożytnych rycerzy. Przekonajmy się, jaką historię usłyszymy tego ranka.

Uruchomił drogocenny artefakt. W dawnych czasach było tradycją, że każdy mistrz Jedi gromadził wszystko, czego dowiedział się i co zdziałał w życiu, i przechowywał w niewielkiej skarbnicy, którą przekazywał następnie jednemu z uczniów. Luke zaczynał dopiero poznawać jej niezmiernie głębokie.

We wnętrzu i na zewnątrz sześcianu pojawił się migotliwy wizerunek. Był to na wpół rzeczywisty wyświetlony obraz, który jednak stanowił coś więcej niż tylko projekcję zapisanych w holocronie informacji. Wizerunek był interaktywną reprezentacją mistrza Jedi - obcej inteligentnej istoty będącej na wpół owadem, a na wpół skorupiakiem. Istota pochylała się, jakby przytłoczona zbyt dużą siłą grawitacji, a może po prostu przeżytymi latami. W miejscu nosa wyrastała dość krótka, przypominająca dziobek czajnika trąba, z której zwisały wąsate wypustki. Wąsko rozstawione szkliste oczy wpatrywały się w uczniów Luke'a jak błyszczące, nasączone wiedzą guziki.

Stworzenie wspierało się na drugiej, drewnianej, sękatej lasce. Stało na wrzecionowatych i pokrytych guzami nogach i przyglądało się grupie nowych widzów. Jego ciało pokrywały wystrzępione lachmany, sterczące we wszystkie strony jak płaty suchej skóry. Kiedy przemówiło, okazało się, że ma melodyjny, choć piskliwy głos przypominający trochę tony fletu.

- Jestem mistrzem Jedi i nazywam się Vodo- Siosk Baas.

- Mistrzu Vodo - odezwał się Luke. - Ja także jestem mistrzem i nazywam się Skywalker, a to są moi uczniowie. Widziałeś w życiu wiele rzeczy i zarejestrowałeś wiele myśli. Bylibyśmy zaszczytzeni, gdybyś zechciał zapoznać nas z tym, co powinniśmy wiedzieć.

Wizerunek mistrza Vodo- Sioska Baasa oparł podobną do dziobu głowę na zgrubieniu przegubu szyi, jakby zastanawiając się nad odpowiedzią. Luke zrozumiał, że holocron przeszukuje po prostu zasoby baz danych i wybiera najważniejsze informacje, posługując się osobistym algorytmem, zapisanym w wizerunku mistrza Jedi.

- Muszę opowiedzieć a o wielkiej wojnie Sithów, która miała miejsce . - Wizerunek ponownie znieruchomiał, gdyż holocron oceniał upływ czasu. - ... Cztery tysiące lat przed twoimi czasami.

Wojnę rozpętał jeden z moich uczniów, Exar Kun, który zapoznał się z zakazanymi naukami starożytnych Sithów. Zaczął naśladować ich styl życia i

wykorzystał zdobytą wiedzę do stworzenia własnej filozofii kodeksu postępowania Jedi. Jego nauki były zaprzeczeniem wszystkiego, co uznawaliśmy za sprawiedliwe i prawdziwe. Posługując się tą wiedzą, Exar Kun ustanowił liczne i silne bractwo, a później stanął na jego czele, przybierając tytuł pierwszego Czarnego Lorda Sithów.

Luke zeszywniał.

- Inni także przybierali ten sam tytuł - powiedział. - Nawet w moich czasach.

Pomyślał, że ostatnio uczynił to Darth Vader. Mistrz Vodo- Siosk Baas oparł się trochę mocniej na drewnianej lasce.

- Miałem nadzieję, że Exar Kun i podobni jemu odszczepieńcy zostali raz na zawsze pokonani. Exar Kun połączył siły z innym potężnym Jedi i wielkim lordem, który nazywał się Ulic Qel- Droma. Później uciekł się do zdrady i wypaczonych zdolności władania Mocą, by niewidzialną siecią intryg oplatać Starą Republikę, wskutek czego doprowadził ją do upadku.

Mistrz Vodo popatrzył na zebranych uczniów. Gantoris pochylał się i spoglądał na niego, nie potrafiąc oderwać szeroko otwartych oczu od wizerunku. Było widać, że bardzo chciałby dowiedzieć się czegoś więcej. Postać nie żyjącego od dawna mistrza Jedi odwróciła się w stronę Luke'a.

- Musisz ostrzec swoich uczniów, by walczyli z pokusą sięgania po władzę - powiedział. - Na razie nie mogę powiedzieć nic więcej.

Wizerunek zamigotał i zadrżał. Czując w sercu wielki niepokój, Luke uciszył urządzenie. Postać mistrza Jedi dołączyła do innych kształtów wirujących we wnętrzu opalizującego sześcianu.

- Myślę, że na razie to powinno wystarczyć - odezwał się Luke. - Wiemy wszyscy, że inni Jedi podążyli niewłaściwym szlakiem. Skazali w ten sposób na cierpienia i śmierć nie tylko siebie, ale i miliony innych żyjących istot. Mam do was zaufanie. Każdy Jedi musi ufać sobie, a mistrz Jedi musi ufać swoim uczniom.

Badajcie samych siebie i wszystko, co was otacza. Zależnie od tego, który sposób uznacie za najlepszy, możecie robić to w grupach albo samotnie. Zapuscacie się w głąb dżungli. Poznajcie inne zakamarki tej świątyni. Możecie też po prostu powrócić do komnat. Wybór należy do was.

Luke usiadł na krawędzi podwyższenia i obserwował, jak uczniowie opuszczają wielką komnatę audiencyjną. Opalizujący niemy sześcian holocronu stał obok niego - naczynie wypełnione drogocenną, ale niebezpieczną wiedzą.

Jednym z nauczycieli Luke'a był Obi- Wan Kenobi. Luke pamiętał każde słowo, które wypowiedział starszawy mężczyzna. Wierzył bez wyjątku we wszystkie, ale później przekonał się, że Obi- Wan pomijał milczeniem niektóre fakty, a inne przedstawiał w zniekształconym świetle. Sam Obi- Wan wyjaśnił mu kiedyś, że zapoznaje go z prawdami, ale patrzy na nie „z pewnego punktu widzenia”.

Luke spoglądał na sylwetki w ciemnych płaszczach. Zastanawiał się, czy jego uczniowie będą umieli uporać się z wiedzą, którą mogą kiedyś poznać. Co będzie, jeżeli jak starożytny Exar Kun z opowiadania mistrza Vodo i oni ulegną pokusie poznania zakazanych nauk Sithów, które w tak zasadniczy, choć subtelny sposób różniły się od prawdziwego kodeksu postępowania Jedi?

Luke obawiał się tego, co może się wydarzyć, gdyby i jeden z jego uczniów podążył niewłaściwym szlakiem. Wiedział jednak, że musi im zaufać, gdyż w przeciwnym razie nie będą mogli nigdy zostać rycerzami Jedi.

Była głęboka noc. Gantoris pochylał się nad blatem roboczego stołu, zarzuconym różnymi przedmiotami, potajemnie budując miecz świetlny.

Wokół panowała nieprzenikniona ciemność, skrywając to wszystko, co mogłoby odwrócić jego uwagę od wykonywanej pracy. Ciemne oczy mężczyzny przystosowały się do wąskiego strumienia światła padającego z jarzeniowej lampy. Rozjaśniała tylko blat stołu, pozostawiając niemal całą resztę komnaty w mroku. Kiedy Gantoris, sięgając po kolejne precyzyjne narzędzie, poruszył się, jego cień przesunął się po kamiennych ścianach niczym skrzydło drapieżnego ptaka.

Wielka świątynia była cicha, niczym starożytna pułapka tłumiła każdy dźwięk, każdy hałas. Pozostali studenci akademii Luke'a Skywalker'a - jego *prakseum*, ją ją nazwał - zmęczeni i wyczerpani udali się do prywatnych komnat na spoczynek. Spali lub medytowali, a może oddawali się ćwiczeniom Jedi odprężającym ciało i umysł.

Gantoris czuł ból w szyi. Mięśnie jego karku zdrętwiały od wielogodzinnego pochylania się nad stołem. Mężczyzna wciągał i wypuszczał powietrze, czując przytłaczającą woń pradawnego dymu i wilgotnego mchu, który w ciągu wielu tysiącleci przeciskał się przez szpary między pieczołowicie ułożonymi kamiennymi bryłami budowli.

Mech jednak usechł wkrótce po tym, jak Gantoris wprowadził się do komnaty...

Na zewnątrz cała dżungla Yavina Cztery kipiała niespokojnym nocnym życiem. Dochodzące stamtąd szelesty i szmery, śpiewy i przedśmiertne jęki dowodziły, że silniejsze zwierzęta polują, a słabsze giną.

Gantoris nie przerywał pracy. Nie potrzebował snu. Niezbędną energię czerpał, posługując się różnymi metodami i korzystając z poznanych tajemnic, których istnienia pozostali uczniowie Luke'a nawet nie podejrzewali. Nie zaplecione w warkocz czarne włosy sterczały we wszystkie strony jak włókna drucianej szczotki, a ze skóry i materiału płaszczka unosiła się woń strzelniczego prochu.

Gantoris powiódł spojrzeniem po częściach, rozłożonych na blacie stołu: srebrzystych podzespołach elektronicznych, matowo połyskujących metalowych obudowach i błyszczących elementach optycznych. Przesunął czubkami palców po zimnych końcówkach przewodów i sięgnął po pełen ostrych krawędzi mikrosterownik. Zauważył, że drżą mu palce. Rozszerzył ze zdumienia oczy i zaczął wpatrywać się w dłoń. Czynił to tak długo, dopóki drzenie nie ustało. Później znów wrócił do pracy.

Rozumiał, w jaki sposób ma połączyć wszystkie części w jedną całość. Kiedy się tego dowiedział, kiedy poznał wystarczająco dużo nauk Jedi, wszystko stało się oczywiste. Absolutnie oczywiste.

Eleganckie energetyczne ostrze było zawsze osobistą bronią rycerza Jedi, symbolem jego autorytetu, zręczności i honoru. Bronie bardziej toporne zapewne szczyły więcej zniszczeń, ale żaden przedmiot nie obrósł taką legendą jak miecz świetlny. Gantoris nie zamierzał zadowolić się niczym innym.

Każdy rycerz Jedi budował własny miecz. Dla każdego nowego ucznia zajęcie to stanowiło coś w rodzaju egzaminu dojrzałości. Mistrz Skywalker nawet nie zaczął go tego uczyć, chociaż Gantoris czekał i czekał. Nie wątpił, że jest najlepszy spośród wszystkich uczniów, zdecydował więc, że nie będzie zwlekał ani chwili dłużej.

Skywalker nie wiedział wszystkiego, czego prawdziwy mistrz Jedi powinien nauczyć swoich uczniów. Miał w wykształceniu duże luki, nieciągłości, z których albo sam nie zdawał sobie sprawy, albo o których nie zamierzał opowiadać swoim uczniom. Mistrz Skywalker nie był jednak jedynym źródłem wiedzy o naukach Jedi.

Kiedy Gantoris postanowił zrezygnować ze snu, zaczął chodzić korytarzami wielkiej świątyni. W całkowitym milczeniu stąpał bosymi stopami po zimnych, kamiennych posadzkach. Sprawiały wrażenie, że pochłaniają całe ciepło, bez względu na to, jaki upał panował w ciągu dnia w dżungli.

Czasami w nocy zapuszczał się w głąb tropikalnego lasu. Czuł wówczas wilgoć mgły i wsłuchiwał się w monotonne brzęczenie owadów. Krople rosy opryskiwały jego płaszcz Jedi i nogi. Spływały po ciele niemożliwymi do odszyfrowania szlakami, podobnymi do zakodowanych informacji. Nie zabierał ze sobą żadnej broni, w milczeniu rzucając wyzwanie wszystkim leśnym drapieżnikom. Był pewien, że umiejętności Jedi wystarczą jako broń przeciwko bezmyślnym kłom i pazurom. Żadne zwierzę nie zakłóciło jednak jego spokoju. Gantoris tylko raz usłyszał odgłos oddalającej się dużej bestii, kiedy przedzierała się przez gęste poszycie.

W czasie jednego z dręczących go czasami nocnych koszmarów usłyszał w głowie tajemniczy mroczny głos, który udzielił mu wskazówek, w jaki sposób skonstruować miecz świetlny. Od tej chwili Gantoris miał cel w życiu. Prawdziwy Jedi był przedsiębiorczy. Prawdziwy Jedi umiał radzić sobie w każdej sytuacji. Prawdziwy Jedi zdobywał to, czego potrzebował.

Korzystając z umiejętności manipulowania niewielkimi przedmiotami, pokonał pieczęcie i zamki, i włamał się do zabezpieczonej komnaty dowodzenia Rebeliantów, jaka znajdowała się na jednym z najniższych pięter wielkiej świątyni. Zobaczył regały, zastawione rzędami różnych urządzeń, komputerami, panelami sieci sterujących i zautomatyzowanych systemów obronnych, pokryte w ciągu dziesięciu lat warstwą kurzu. Mistrz Skywalker naprawił tylko kilka przedmiotów, uważając zapewne, że większość nie będzie potrzebna uczniom Jedi.

Nie zważając się nikomu i pracując w absolutnej ciszy, Gantoris usunął płyty czołowe i zajął się demontażem elektronicznych mikroobwodów, soczewek ogniskujących i diod laserowych. Na końcu wymontował cylindryczną obudowę o długości dwudziestu siedmiu centymetrów...

Znalezienie wszystkiego zajęło mu trzy noce. Pracował w milczeniu, wyszukując potrzebne części, wznosząc tumany kurzu i zarodniki roślin i zmuszając gryzonie i pajęczaki do chowania się po kątach. Znalazł jednak dokładnie to, czego szukał.

Teraz pracował, by złożyć części w całość.

Korzystając z jasnego światła, sięgnął po cylindryczną obudowę. Laserową zgrzewarką punktową wykonał w cylindrze otwory na przełączniki.

Każdy Jedi, konstruując własny świetlny miecz, kierował się osobistymi przekonaniem i upodobaniami. Niektórzy zaopatrywali broń w zabezpieczający przełącznik. Naciśnięcie powodowało chowanie się energetycznego ostrza z chwilą, kiedy obudowa wypadła z dłoni. Inne miecze były pozbawione takiego zabezpieczenia.

Gantoris miał także kilka własnych pomysłów.

Umieścił w obudowie niewielkie, ale bardzo silne ogniwo energetyczne. Z cichym trzaskiem znalazło się na właściwym miejscu. Pasowało idealnie. Gantoris westchnął, przez chwilę znów się skupiał, chcąc uspokoić drżące palce, a potem sięgnął po kolejny zwoj delikatnych drucików

Nagle zamrugnął i się odwrócił. Spojrzał na ciemności za plecami- Wydało mu się, że usłyszał, jak ktoś oddycha, szeleści ciemnym płaszczem. Szeroko otwierając podkrążone oczy wpatrywał się w ciemność czy nie zauważy w samym kącie niemal niewidocznej sylwetki człowieka.

- Odezwij się, jeżeli tam jesteś! - krzyknął.

Jego głos zabrzmiał chrapliwie, jakby Gantoris połknął rozżarzone węgle.

Kiedy nikt nie odpowiedział, Gantoris westchnął z prawdziwą ulgą. Czuł, że w jego gardle i ustach zaschło, ale całą siłą woli postanowił nie zwracać na taki drobiazg uwagi. Będzie mógł napić się wody rano. Prawdziwy Jedi potrafi być wytrzymały.

Konstruowanie świetlnego miecza miało być sprawdzianem jego umiejętności. Musiał pracować w samotności. Sięgnął później po najcenniejsze elementy broni, trzy drogocenne klejnoty corusca, uformowane w wysokociśnieniowym piekle jądra gazowego giganta, Yavina. Kiedy wraz ze Streenem, towarzyszem obdarzonym pokracznym umysłem, odkryli w sercu dżungli nieznaną świątynię Massassów, Gantoris dostrzegł te trzy klejnoty na jednym z wysokich obsydianowych murów. Kamienie, osadzone wśród hipnotyzujących wzrok piktogramów wyrytych w czarnym wulkanicznym szkliwie, błyszcząły w niepewnym pomarańczowym świetle poranka.

Chociaż pozostawały od tysiącleci na tych samych miejscach, pod wpływem spojrzenia Gantorisa oderwały się od ściany. Upadły u jego stóp i leżały wśród odłamków wulkanicznych skał, otaczających zaginioną świątynię. Gantoris pochylił się i podniósł klejnoty, wyraźnie czując ciepło kryształów w zamkniętej dłoni, a w tym czasie Streen przechadzał się między obeliskami, trąkając coś do siebie.

Sięgnął więc po kamienie. Pierwszy miał barwę jasno- różową, drugi był ciemnoczerwony, a trzeci zupełnie przezroczysty, jeżeli nie liczyć wewnętrznego niebieskiego ognia płonącego wzdłuż krawędzi ścianek. Pomyślał, że te klejnoty miały być jego własnością. Powinny stać się częścią jego świetlnego miecza. Teraz był tego zupełnie pewien. Rozumiał wszystkie dręczące go kiedyś nocne koszmary, wszystkie obawy.

Niemal każdy świetlny miecz był wyposażony tylko w jeden klejnot, który skupiał czystą energię i przekształcał ją w spójny promień. Zaopatrując swój miecz w większą liczbę kamieni, Gantoris nadawał ostrzu nieoczekiwane właściwości, które z pewnością wprowią w zdumienie mistrza Skywalkera.

Ukończył pracę. Usiadł prosto, czując, że bolą go wszystkie palce. Ból pulsował także ognistymi ścieżkami wzdłuż mięśni szyi, ramion i pleców, ale Gantoris usunął go bardzo prostym ćwiczeniem Jedi. Usłyszał zmianę w symfonii dźwięków dobiegających zza murów świątyni i zrozumiał, że nocne zwierzęta kładą się do nor na spoczynek, a dzienne zaczynają się budzić.

Unióśł cylindryczną rękojeść świetlnego miecza i uważnie przyjrzał się jej w jaskrawym świetle jarzeniowej lampy. Taka broń musiała być wykonana po mistrzowsku. Ledwo zauważalne niedokładności mogły wywołać katastrofalne skutki. Gantoris wykonał jednak wszystko jak należy. Nie pozwolił sobie na żadną niedbałość, o niczym nie zapomniał. Jego broń była po prostu doskonała.

Włączył przycisk wyzwalający energię. Zdumiewające ostrze wysunęło się z trzaskiem i sykiem i zaczęło pulsować i buczeć jak żywe zwierzę. Umieszczenie trzech klejnotów sprawiło, że energetyczne ostrze miało barwę jasnopurpurową. Przez biały rdzeń i ametystowe obrzeża przenikały fale tęczego światła przemierzające się w dół i w górę.

Gantoris musiał zamknąć nawykłe do ciemności oczy, żeby jasna poświata miecza ich nie poraziła. Później stopniowo otwierał je coraz szerzej, w zdumieniu patrząc na dzieło swoich rąk.

Poruszył rękojeścią, a ruch ostrza sprawił, że powietrze w komnacie zatrzeszczało. Głośne buczenie rozlegało się jak huk gromu, ale Gantoris był pewien, że pozostali uczniowie nie usłyszą tego dźwięku przez mamuciej grubości kamienne mury. Miał wrażenie, że miecz w jego palcach wije się jak skrzydlaty wąż, wysyłając ku jego nozdrzom silną woń ozonu.

Ciał mieczem na prawo i lewo. Zdawało mu się, że ostrze staje się częścią jego ciała, przedłużeniem ramienia, połączonym za pośrednictwem Mocy i gotowym porazić każdego wroga. Nie wyczuwał żadnego ciepła, które promieniowałoby od drżącego ostrza, tylko zimny, unicestwiający wszystko ogień.

Wyłączył energię i ogarnięty euforią, starannie ukrył świetlny miecz pod siennikiem łóżka.

- Teraz mistrz Skywalker przekona się, że jestem prawdziwym Jedi - odezwał się do cieni czających się pod ścianami. Żaden jednak mu nie odpowiedział.

ROZDZIAŁ

6

Członkowie rządu Nowej Republiki prowadzili dochodzenie w sprawie wypadku na Vortex, ale admirałowi Ackbarowi nie pozwolono uczestniczyć w ich obradach. Czekał na korytarzu, wpatrzony w wysokie plastalowe drzwi sali obrad, jakby miały się stać murem symbolizującym koniec jego życia. Nie mrugając powiekami, spoglądał na desenie i ślimacznice, wykonane przez rzemieślników Imperatora Palpatine'a na wzór starożytnych hieroglifów Sithów. Ten widok budził w nim niepokój.

Czując smutek, rozpacz i przygnębienie, Ackbar zajął miejsce na zimnej ławie, sporządzonej z syntetycznego kamienia. Ułożył wygodnie zabandażowaną lewą rękę i poczuł, jak mięśnie przeszywa dojmujący ból z powodu licznych szwów łączących rozcięcia jego skóry koloru łososiowego. Ackbar nie zgodził się, by zabiegu dokonywał medyczny android, zrezygnował także z leczenia w zbiorniku bacta dostosowanym do kalamariańskiej fizjologii. Chciał, żeby ból rekonwalescencji przypominał mu o zniszczeniach, jakich dokonał podczas lądowania na Vortex.

Przekrzywił ogromną głowę, wsłuchując się w to cichsze, to znów głośniejsze dźwięki dobiegające zza zamkniętych drzwi sali. Nie potrafił odróżnić słów, słyszał tylko gwar wielu głosów, niektórych piskliwych, innych natarcywych. Spojrzał w dół i niemal odruchowo strącił jakiś pyłek z nieskazitelnie czystego białego admiralskiego munduru.

Nie zagojone rany były jednak niczym w porównaniu z bólem, jaki odczuwał w sercu. Oczami wyobraźni wciąż widział krystaliczne iglice Katedry Wiatrów, łamiące się wokół niego i opadające lawiną odłamków, by rozlecieć się we wszystkie strony niczym szklane włócznie. Doskonale pamiętał widok koziołkujących wokół jego myśliwca ciał skrzydlatych Vorów, ciętych na kawałki przez ostre jak brzytwy krawędzie kryształowych mieczy. Przed roztrzaskaniem statku bezpiecznie katapultował Leię, ale nie miał tyle odwagi, by wyłączyć generator pola przeciwwadrowego i nie musieć żyć teraz z poczuciem winy. Nie kto inny tylko on pilotował myśliwiec, którym zabił tyle niewinnych istot. To on zamienił w stos szczątków unikatową, bezcenną Katedrę Wiatrów. Nie kto inny.

Na odgłos szurających butów uniósł głowę i zobaczył innego Kalamarianina, nadchodzącego korytarzem o różowych ścianach. Zbliżający się mężczyzna wciągnął głowę, ale obrócił wielkie, podobne do rybich oczy i spojrzął na admirała.

- Witaj, Terpfenie - odezwał się Ackbar. Usłyszawszy, że jego głos brzmi apatycznie, jakby słowa spadały na wypolerowaną podłogę, admirał uczynił wysiłek, by okazać trochę więcej entuzjazmu. - A jednak przyszedłeś.

- Nigdy nie opuściłbym pana, admirale. Cała kalamariańska załoga w dalszym ciągu popiera pana, nawet po tym...

Ackbar kiwnął głową, nie wątpiąc w niezachwianą lojalność głównego mechanika. Jak wielu innych Kalamarian, Terpfen został porwany z rodzinnego świata, pokrytego oceanem. Wykorzystując powszechnie znane doświadczenie i talent mieszkańców w zakresie budowy gwiazdnych statków, imperialni okupanci zmusili Terpfena do projektowania i dokonywania ulepszeń w swoich gwiazdnych niszczycielach. Kalamarianin chciał jednak dokonać sabotażu i został poddany torturom. Bardzo ciężkim. Wciąż było widać liczne blizny na jego zdeformowanej głowie.

W czasach imperialnej okupacji Kalamaru sam Ackbar został wcielony siłą do marynarki Imperatora i zmuszony do służby jako doradca moffa Tarkina. Służył mu przez kilka lat, a później uciekł, korzystając z ataku wojsk Rebeliantów.

- Czy zakończyłeś swoje dochodzenie? - odezwał się Ackbar. - Zapoznałeś się z rejestrami, które ocalały z katastrofy?

Terpfen odwrócił głowę i popatrzył na ścianę. Złączył szerokie dłonie podobne do płetw. Na skórze ukazały się jaskrawe kasztanowate plamy, świadectwo wstydu i zakłopotania.

- Przedstawiłem swój raport w tej sprawie - członkom rządu Nowej Republiki - odparł, spoglądając znacząco na zamknięte drzwi sali obrad. - Podejrzewam, że właśnie teraz o tym dyskutują.

Ackbar poczuł się jak ktoś, kto próbuje płynąć pod grubą warstwą lodu.

- Czy odkryłeś coś nowego? - zapytał stanowczo, pragnąc przywrócić głosowi dawne, nawykłe do wydawania rozkazów brzmienie.

- Nie odkryłem żadnego śladu, który wskazywałby na uszkodzenie mechaniczne, panie admirale - odparł Terpfen. - Przeglądałem te taśmy wiele razy i dokonałem symulacji trajektorii lotu. Uwzględniłem zarejestrowaną siłę, kierunek wiatru i warunki atmosferyczne, jakie panowały wówczas na Vortex. Otrzymałem niezmiennie ten sam wynik. Pański statek nie był uszkodzony.

Popatrzył na admirała i natychmiast ponownie obrócił głowę ku ścianie. Ackbar wiedział, że oznajmienie wyników dochodzenia było dla Terpfena tak samo bolesne jak dla niego ich wysłuchanie.

- Osobiście sprawdziłem pański statek przed startem na Vortex - ciągnął główny mechanik. - Nie stwierdziłem żadnej usterki mechanicznej. Możliwe jednak, że jakąś przeoczyłem...

Ackbar przerwał mu, kręcąc głową.

- Nie ty, Terpfenie - powiedział. - Wiem dobrze, jak przykładasz się do pracy.

- Na podstawie uzyskanych danych mogę wyciągnąć tylko jeden wniosek, panie admirale - zaczął nieco ciszej Terpfen, ale urwał, jakby obawiając się powiedzieć coś, co i tak było oczywiste.

Zamiast niego uczynił to Ackbar.

- Błąd pilota - powiedział - To ja doprowadziłem do katastrofy. To była moja wina. Od początku to wiedziałem.

Terpfen przestąpił z nogi na nogę. Spuścił głowę tak nisko, że było widać tylko ogromną, nieco spiczasto zakończoną kopułę czaszki.

- Bardzo chciałbym znaleźć coś, co pozwoliło by mi dojść do innego wniosku, panie admirale.

Ackbar wyciągnął dłoń i położył ją na ramieniu mechanika okrytym szarym mundurem.

- Wiem, że uczyniłeś wszystko, co było w twojej mocy - powiedział. - Teraz proszę cię tylko o jedno. Przygotuj do lotu inny myśliwiec typu B i wyposaż go we wszystko, co potrzebne do długiej podróży. Polecę sam.

- Ktoś mógłby się sprzeciwić, żeby pan znów leciał, panie admirale - odezwał się Terpfen. - Ale proszę się tym nie martwić, postaram się jakoś rozwiązać ten problem. Dokąd chciałby pan polecieć?

- Do domu - odparł Ackbar. - Zamierzam załatwić tylko kilka spraw, które muszą zostać zakończone.

Terpfen energicznie zsalutował.

- Pański statek będzie na pana czekał, panie admirale.

Ackbar czuł w sercu ukłucie bólu, kiedy także unosił dłoń do głowy. Później odwrócił się, podszedł do zamkniętych drzwi i kilka razy uderzył pięścią w zdobioną powierzchnię.

Ciężkie skrzydło drzwi ze skrzypieniem obróciło się na automatycznych zawiasach. Ackbar zatrzymał się na progu. Oczy wszystkich obradujących członków rządu zwróciły się w jego stronę.

Fotele z syntetycznego kamienia, stojące wokół wielkiego stołu, były rzeźbione i wypolerowane na wysoki połysk. Także ten, na którym teraz nikt nie siedział, oznaczony tabliczką z nazwiskiem admirała. Zbyt suche jak dla jego nozdrzy powietrze było niczym w muzeum przesycone wonią kurzu. Ackbar wyczuwał także kwaśny zapach ludzkiego potu zmieszany z pikantną wonią pary unoszącej się z gorących płynów.

Otęły senator Threkin Horm odwrócił się i machnął grubą ręką w jego stronę.

- Dlaczego nie mielibyśmy kazać jemu objąć dowództwa ekipy usuwającej zniszczenia? - zapytał. - Moim zdaniem to byłoby najbardziej sprawiedliwe.

- Nie sądzę, żeby Vorowie chcieli kiedykolwiek widzieć go na swojej planecie - odezwał się senator Bel- Iblis.

- Mieszkańcy Vortex nawet nie zwrócili się do nas z prośbą o pomoc w odbudowie katedry - oświadczyła Leia Organa Solo. - Nie sądzę, byśmy mogli ten fakt lekceważyć.

- Mamy szczęście, że Vorowie nie reagują tak emocjonalnie jak inne istoty. To dla nich straszna tragedia, ale chyba nie przerodzi się w incydent na galaktyczną skalę - stwierdziła Mon Mothma.

Przytrzymując się krawędzi stołu, wstała. Przyjęła do wiadomości pojawienie się Ackbara i odwróciła się w jego stronę. Podkrążone oczy i zapadnięte policzki podkreślały bladość jej wymizerowanej twarzy. Opuściła ostatnio tak wiele posiedzeń i zebrań członków rady, że Ackbar zastanawiał się, czy tragedia na Vortex nie pogorszyła stanu jej zdrowia.

- Admirale - rzekła. - Niniejsze posiedzenie jest zamknięte. Wezwiemy pana, kiedy zakończymy dyskusję i przeprowadzimy głosowanie.

Minister stanu Leia Organa Solo zwróciła na admirała ciemne oczy. Na jej twarzy ukazał się wyraz sympatii, ale zakłopotany i rozgniewany Ackbar odwrócił głowę w inną stronę. Wiedział, że spośród wszystkich członków rządu Leia najenergiczniej stawiała w jego obronie. Spodziewał się także poparcia ze strony generała Rieekana i generała Dodonny, ale nie potrafił przewidzieć, jak będą głosowali senatorowie Garm Bel-Iblis, Threkin Horm czy sama Mon Mothma.

To teraz i tak nie ma znaczenia - pomyślał. Chciałby uwolnić ich od konieczności podejmowania decyzji, uwalniając tym samym i siebie od jeszcze większego poniżenia.

- Możliwe, że mam sposób łatwiejszego i szybszego rozstrzygnięcia tego problemu - powiedział.

- Co pan ma na myśli, admirale? - zapytała Mon Mothma marszcząc brwi. Na jej twarzy ukazało się więcej zmarszczek niż zazwyczaj.

Leia zaczęła wstawać z fotela, jakby nagle zrozumiała, co Ackbar zamierza uczynić.

- Nie rób... - zaczęła.

Ackbar wykonał jednak zdecydowany gest lewą ręką i Leia, choć z oporami, znów usiadła.

Dotknął nieskazitelnie białego munduru i po chwili zmagania się z zapinką usunął odznakę stopnia admirała.

- Spowodowałem na Vortex mnóstwo zniszczeń i sprawiłem cierpienia wielu jej mieszkańcom - powiedział. - To z mojego powodu Nowa Republika znalazła się w kłopotliwej sytuacji i to ja okryłem się wstydem i hańbą. Niniejszym składam rezygnację ze stanowiska naczelnego dowódcy floty Nowej Republiki i proszę, by została niezwłocznie przyjęta. Ubolewam, że muszę odejść w tak przykrych okolicznościach, ale jestem dumny z powodu wszystkich lat, w ciągu których mogłem wiernie służyć Sojuszowi. Niezmiernie żałuję, że nie potrafiłem służyć jeszcze lepiej.

Położył odznakę na kremowym alabastrowym blacie stołu tuż przed pustym fotelem, który kiedyś zajmował jako członek rady.

Wstrząśnięci i milczący członkowie rządu wpatrywali się w niego jak niemi sędziowie. Zanim ktokolwiek jednak zdążył zgłosić nieunikniony w takich razach sprzeciw - najprawdopodobniej nieszczerzy - Ackbar odwrócił się i wyszedł z sali. Stąpił na tyle prosto, na ile się odważył pod ciężarem przygniatającej go winy.

Poszedł prosto do swoich kwater, by spakować najcenniejsze rzeczy przed udaniem się na lądowisko i dostaniem na pokład obiecanej przez Terpfena statku. Zanim wróci na swój rodzinny świat, Kalamar, chciał polecieć tylko w jedno miejsce.

Jeżeli generał Obi-Wan Kenobi mógł się zaszyć na nieznaną pustynną planetę Tatooine, Ackbar też mógł postąpić tak samo i spędzić resztę życia pośród bujnych drzew swojego świata, tworzących podwodne lasy.

Pod pretekstem sprawdzenia, jak myśliwiec typu B zachowuje się w warunkach wyjątkowo dużych naprężeń, Terpfen wystartował z Coruscant i wystrzelił w przestworza. Przed odlotem pozostali kalamariańscy mechanicy zdezorientowani jego decyzją życzyli mu powodzenia, przeświadczeni, że jest to jeszcze jedna rozpaczliwa próba zmazania plamy na honorze admirała Ackbara.

Zanim jednak dokonał skoku w nadprzestrzeń, Terpfen wprowadził do pamięci nawigacyjnego komputera zestaw całkiem innych współrzędnych.

Myśliwiec typu B zadrżał, szarpnięty potężną siłą napędu nadświetlnego. W iluminatorach pojawiły się świetliste smugi gwiazd i maszyna pogrążyła się w szaleńczym, niepojętym wirze nadprzestrzeni. Terpfen odruchowo przysłonił szkliste oczy błoną mrużną.

Czuł, że przez całe jego ciało przenikają dreszcze, kiedy czynił wysiłki, by oprzeć się wezwaniu. Po tylu latach jednak wiedział, że nic nie może zrobić, żeby się sprzeciwić. Powtarzające się koszarne sny nie pozwalały mu nigdy zapomnieć o ciężkich próbach, jakim został poddany podczas igrzysk diabelskiego treningu w imperialnym wojskowym ośrodku szkoleniowym na Caridzie.

Blizny na zdeformowanej głowie Terpfena nie powstały wyłącznie podczas tortur, ale były śladami po wiwisekcji. W kilku miejscach imperialni lekarze przepiłowali kości czaszki i usunęli fragmenty mózgu odpowiadające za kalamariańską lojalność, wolną wolę i odporność na specyficzne rozkazy. Okrutni ksenochirurdzy zastąpili później wycięte części mózgu Terpfena specjalnie wyhodowanymi organicznymi obwodami dokładnie imitującymi rozmiar, kształt i skład chemiczny usuniętych tkanek.

Wszczepione obwody były idealnie zamaskowane i niemożliwe do wykrycia za pomocą nawet najczulszych medycznych sond i instrumentów. Zamieniły Terpfena w bezwolnego cyborga, doskonałego szpiega i sabotażystę, który nie potrafił myśleć o sobie, kiedy jego imperialni mocodawcy pragnęli, by myślał tak jak oni. Organiczne obwody pozostawiły mu tylko tyle swobody umysłowej, żeby mógł wzorowo odgrywać swoją rolę i wymyślać logiczne wyjaśnienia za każdym razem, kiedy imperialni przełożeni wzywali go na spotkanie...

Ponieważ wydało mu się, że pilotuje statek przez kilka standardowych jednostek czasu, popatrzył na chronometr. W jednej chwili pociągnął za dźwignię, wyłączając silniki do lotów z prędkościami nadświetlnymi i uruchamiając napęd podprzestrzenny.

Jego statek wyskoczył z nadprzestrzeni w pobliżu koronkowego woalu Cron Drift, gazowej pozostałości po wybuchach kilku supernowych, szczątkach czterech gwiazd, które eksplodowały mniej więcej równocześnie przed jakimiś czterema tysiącami.

Wstęgi gazów w przestworzach jarzyły się różnymi barwami, od brudnobiałych przez zielone do różowych. Pozostałe po dawnych supernowych szczątkowe promieniowanie Roentgena i gamma wywoływało zakłócenia i trzaski w systemach łączności, ale jednocześnie skrywało statek przed oczami niepowołanych świadków.

W przestworzach już wisiał ciemny kształt caridańskiego statku, czekając na pojawienie się maszyny Terpfena. Caridanska jednostka, z kadłubem pokrytym ochronną farbą, zapewniającą niewidzialność, przypominała czarnego jak żużel chrząszcza, który pochłoniął światło niektórych gwiazd, kiedy rysował się sylwetką o nieregularnych kształtach na tle pozostałych. Lufy szturmowych działek blasterowych i anteny czujników sterczały we wszystkie strony jak ciernie.

W systemie łączności myśliwca Terpfena pojawiły się silniejsze zakłócenia, a potem w kadłub maszyny trafiła wąskopasmowa wiązka transmisji holograficznej i w wnętrzu kabiny pilota ukazał się hologram głowy ambasadora Furgana.

- No cóż, moja mała rybko - odezwał się Caridanin. Jego gęste krzaczaste brwi wyglądały jak czarne pióra. - Co chciałbyś mi zameldować? Wy tłumacz, dlaczego twoje dwie ofiary nie zginęły podczas katastrofy statku, którą tak starannie przygotowywałeś.

Terpfen uczynił wysiłek, by zachować milczenie, ale ukryte w jego głowie organiczne obwody włączyły się, by udzielić odpowiedzi oczekiwanej przez imperialnego ambasadora.

- To prawda, dokonałem sabotażu na pokładzie osobistego wahadłowca Ackbara, uważając, że to wystarczy do spowodowania śmierci obojga pasażerów, ale nawet ja nie doceniłem umiejętności pilotażu admirała.

Furgan spojrział spode łba na kalamariańskiego gwiazdnego mechanika.

- A zatem nie wykonałeś zadania - stwierdził.

- Wręcz przeciwnie - odparł Terpfen. - Uważam, że osiągnąłem nawet więcej niż zamierzałem. Poruszyłem prawdziwą lawinę zdarzeń, które będą miały na Nową Republikę większy wpływ, niż wywarłby zwykły wypadek, w którym zginęłaby minister stanu i admirał. W rezultacie ich dowódca floty podał się do dymisji i obecnie znajduje się w niełasce, a rządząca rada nie ma nikogo, kogo mogłaby mianować na to stanowisko.

Furgan zastanawiał się przez chwilę, a później kiwnął głową. Z wolna na jego nalanej twarzy i grubych wargach zaczął pojawiać się przebiegły uśmiech. Postanowił skierować rozmowę na inne tory.

- Czy możesz się pochwalić jakimiś sukcesami w poszukiwaniu miejsca ukrycia trzeciego dziecka Jedi? - zapytał.

Podczas tortur Terpfen spędził cztery tygodnie z głową całkowicie osłoniętą plastalowym hełmem. Nic nie widział, a umieszczone w hełmie elektrody wysyłały w nieregularnych, przypadkowych odstępach czasu elektryczne impulsy, które przesywały mózg ofiary niczym ogniste strzały. Terpfen nie mógł nic mówić, jeść ani pić, karmiony za pomocą podawanych dożylnie odżywczych płynów. Teraz, siedząc w ciasnej kabine pilota myśliwca typu B, czuł się znów, jakby został pochłonięty przez mroczną jamę.

Kiedy jednak odpowiedział, jego głos brzmiał pewnie, chociaż monotonna.

- Już to wyjaśniałem, panie ambasadorze. Anakin Solo jest ukrywany na nieznaną planetę, której współrzędne zna tylko kilka osób. Jedną jest admirał Ackbar, inną mistrz Jedi, Luke Skywalker. Uważam za bardzo mało prawdopodobne, by admirał Ackbar zechciał zdradzić jej nazwę w trakcie jakiejś zdawkowej konwersacji.

Furgan miał taki wyraz twarzy, jakby ugryzł coś kwaśnego i zastanawiał się, gdzie to wypłuć.

- Co z ciebie za pożytek? - zapytał.

Terpfen nie obraziłby się, nawet gdyby pozwoliłyby mu jego organiczne obwody.

- Opracowałem i wcielam w życie nowy plan; dzięki niemu może uda mi się uzyskać informację, której pan żąda.

Terpfen dokonał tego, posługując się częścią mózgu, nad którą nie miał żadnej władzy. Podobne do płetw ręce poruszane siłą nie jego woli ukończyły to, przed czym reszta osobowości wzdrygała się z całej siły.

- Lepiej będzie, jak twój plan okaże się skuteczny - odparł Furgan. - Na koniec jeszcze jedno pytanie. Zauważyłem, że w ciągu ostatnich tygodni Mon Mothma stara się unikać publicznych wystąpień. Nie uczestniczyła w wielu ważnych naradach i zebraniach, posyłając na nie swoich zastępców lub zastępczynię. Powiedz mi, jak się miewa nasza droga przywódczyni Nowej Republiki?

Zachichotał.

- Coraz gorzej - odparł Kalamarianin, przeklinając samego siebie.

Cała wesołość nagle zniknęła z twarzy Furgana, a holograficzne oczy wizerunku wpatrywały się w ogromne wodniste oczy Terpfena.

- Wracaj teraz na Coruscant, moja mała rybko, zanim zauważą twoją nieobecność. Nie chcielibyśmy ciebie stracić, zwłaszcza teraz, kiedy nadal jest tyle do zrobienia.

Holograficzny wizerunek caridańskiego ambasadora zamigotał. W następnej chwili jego statek, podobny do chrząszcza, zawrócił. Strzelił oślepiająco jasnym błękitnym płomieniem dysz wylotowych silników umożliwiających loty w nadprzestrzeni, a następnie zagłębił się w fałd przestworzy i zniknął.

Terpfen pozostał sam w ciemnościach. Spoglądał na jarzącą się szramę Cron Drift, otoczony przez echo własnej zdrady, odbijające się od ścian kabiny.

ROZDZIAŁ

7

Niosąc jarzeniową lampę, rzucającą przyćmione światło, Luke Skywalker prowadził procesję kandydatów na rycerzy Jedi ku najniższym poziomom świątyni Massassów. Uczniowie odziani w płaszcze z kapturami nie protestowali przeciwko tej nocnej wyprawie. Zdążyli przyzwyczaić się do ekscentrycznych metod szkoleniowych swojego nauczyciela.

Luke zwrócił uwagę na zimną, gładką powierzchnię kamiennej posadzki pod bosymi stopami, ale postanowił o tym nie rozmyślać. Jedi musi zawsze zdawać sobie sprawę ze wszystkiego, co go otacza, ale nie może pozwolić, żeby otoczenie wpływało na niego w niepożądany sposób. Luke powtórzył w myślach to zdanie, skupiając się na osiągnięciu stanu doskonałej kontroli. Sztukę tę opanował dzięki naukom Obi- Wana Kenobiego, Yody i własnym ćwiczeniom, które pozwoliły mu lepiej poznać samego siebie.

Z początku dostrzegał tylko ciszę świątyni, ale później zganiał siebie za to, że nie zwiększył zdolności postrzegania. Wielka świątynia nie była pogrążona w absolutnej ciszy. Kamienne bloki trzeszczały i drżały, ochładzając się od zimnego powietrza głębokiej nocy. W wąskich przejściach tańczyły powietrzne prądy niczym wolno płynące podziemne rzeki. Niewielkie pajęczaki z cichym stukiem spiczasto zakończonych odnóży chodziły i biegały po kamiennych posadzkach i ścianach. Osiadał kurz.

Luke sprowadził całą grupę po kamiennych schodach i zatrzymał się tuż przed litą kamienną ścianą. Zaczekał na uczniów.

Gantoris pierwszy zauważył wiotkie pasmo mgły przesączającej się przez szczelinę w litej skale.

- Widzę jakiś opar - powiedział.
- Czuję won siarki - odezwał się Kam Solusar.
- Bardzo dobrze - pochwalił Luke.

Mistrz Jedi nacisnął ukrytą płytę mechanizmu, który odsuwał kamienne drzwi, ukazując labirynt zrujnowanych i zawalonych korytarzy. Tunel wiódł coraz głębiej pod ziemię, a uczniowie widząc, że pochylony Luke ruszył mrocznym przejściem, podążyli śladami mistrza. Jarzeniowa lampa rzucała tylko niewielki, rozmyty na krańcach krąg

światła i cień Luke'a wyglądał jak zakapturzony potwór, zniekształcona, przesuwająca się po kamiennych ścianach sylwetka Dartha Vadera.

Podziemny korytarz skręcił w lewo. Luke poczuł silniejszą woń dymu przesyconego siarką. Na skalnych występach skraplała się para wodna, ściekając kroplami podobnymi do łez. Po chwili dał się słyszeć bulgot wody i cichy syk pary, jakby kamienie wzdychały, chcąc pozbyć się nadmiaru ciepła.

Luke wszedł do podziemnej groty i się zatrzymał. Głęboko odetchnął drażniącym płuca powietrzem. Czuł, że kamienie pod jego stopami są mokre i ciepłe.

Uczniowie dołączyli do niego i spojrzeli na mineralne źródło w kształcie nieforemnego koła. Bąbelki wulkanicznych gazów podobne do pereł przeciskały się przez szczeliny kamiennego dna stawu i wypływały z bulgotem na powierzchnię kryształowo czystej wody. Nad nią unosiła się mgielka, rozwiewana przez delikatne powietrzne prądy. Brzegi stawu obrosły algami, dzięki czemu woda widoczna w blasku jarzeniowej lampy miała szmaragdowozieloną barwę. Kamienne występy i stwardniałe mineralne osady tworzyły stopnie i miejsca do siedzenia na brzegach stawu wypełnionego gorącą wodą.

- To miejsce było celem naszej wyprawy - oznajmił Luke, gasząc lampę.

Całą grupę pochłoneły ciemności podziemi, ale tylko przez chwilę. Luke usłyszał, jak dwaj uczniowie - Streen i Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy - nabierają głęboko powietrza, ale pozostali powstrzymali się od okazywania zdumienia.

Luke wpatrywał się w czerń, pragnąc, żeby się rozstąpiła. Stopniowo zaczął dostrzegać coraz więcej światła, nikłego blasku odległych gwiazd, przesączającego się przez niewielki otwór w sklepieniu groty.

- To ćwiczenie powinno wam pomóc skoncentrować się i dostroić wasze organizmy do Mocy - powiedział. - Woda ma idealną temperaturę. Będziecie pływali albo unosili się na powierzchni, będziecie wybiegali zmysłami poza siebie i kontaktowali się z resztą wszechświata.

W niemal całkowitych ciemnościach zsunął płaszcz Jedi i ostrożnie, by nie zakłócić ciszy, wślizgnął się do ciepłej wody. Po chwili usłyszał szelest szat i szmer kroków. Zrozumiał, że jego uczniowie rozbierają się i podchodzą do brzegu stawu.

Nagła zmiana temperatury ciała sprawiła, że Luke poczuł pieczenie skóry, łaskotanej przez bąbelki unoszących się gazów. Po powierzchni stawu rozeszły się fale, kiedy uczniowie Jedi pojedynczo wchodzili do wody. Wyczuł, że zanurzają się i odprężają. Z trudem oddychali, chociaż było im ciepło i przyjemnie.

Luke oddychał głęboko i miarowo. Leżał na powierzchni wody na plecach i oczyszczał umysł oraz ciało. Cierpka woń siarki drażniła jego gardło i usuwała kurz, a ciepło i bąbelki gazów otwierały pory skóry.

- Nie ma emocji, jest spokój - odezwał się, powtarzając słowa kodeksu Jedi, których kiedyś nauczył go Yoda. - Nie ma ignorancji, jest wiedza. Nie ma namiętności, jest łagodność. Nie ma śmierci, jest Moc.

Usłyszał gwar wielu głosów, kiedy dwanaścioro uczniów powtórzyło jego słowa. Uznał jednak, że powiedzieli je zbyt sztywno, oficjalnie i nienaturalnie. Chciał, by

uczniowie go rozumieli, a nie wypowiadali wyuczone na pamięć formuły jak słowa mantry.

- W tej chwili pływacie w ciepłej wodzie w niemal zupełnych ciemnościach - powiedział. - Wyobraźcie sobie, że jesteście całkowicie zanurzeni, otoczeni, wolni. Pozwólcie umysłom wędrować swoimi ścieżkami, pozwólcie im podróżować wzdłuż fałdów Mocy.

Zaczął poruszać rękami, delikatnie mieszał wodę, żeby na powierzchni stawu utworzyły się niewielkie fale. Uczniowie także zaczęli się poruszać. Czuł ich obecność wokół siebie. Czuł, jak się koncentrują, nawet za bardzo.

- Spójrzcie w górę - rozkazał. - Przede wszystkim musicie określić miejsce, w którym teraz jesteście, a dopiero potem możecie wyruszyć gdzie indziej.

Wysoko nad głowami, przez szczelinę w skalnym sklepieniu grotu było widać blask odległych gwiazd. Jasne punkciki mrugały i drżały, kiedy ich światło przenikało przez warstwy atmosfery Yavina Cztery.

- Poczujcie Moc - szepnął Luke, a później powtórzył te słowa, kładąc większy nacisk na pierwsze z nich. - Poczujcie Moc. Jesteście przecież jej częścią. Korzystając z niej, możecie odbywać podróże. Możecie docierać i do gwiazd, i do jądra tego księżycy. Każda żywa istota i roślina ma swój udział w Mocy. Wszystko czerpie z niej siłę. Skupcie się jak ja i badajcie bezkresne przestrzenie, do których zawiodą was umiejętności.

Unosząc się na powierzchni ciepłej wody i czując łaskotanie bąbelków gazu, Luke także wpatrywał się w wypełnioną gwiezdny blaskiem skalną szczelinę nad głową, a później skierował spojrzenie ponownie na mroczną toń stawu.

- Czy je widzicie? - zapytał.

Dno stawu zadrzało i otworzyły się w nim wrota do wszechświata. Luke zobaczył majestat gwiazd, spiralnych ramion galaktyki, ciał niebieskich eksplodujących z tytanicznym przedśmiertnym bólem i obłoków mgławic łączących się w ogniste kule.

Usłyszał, jak zdziwieni uczniowie łapią powietrze, i zrozumiał, że zobaczyli tę samą wizję. Każdy z nich sprawiał wrażenie samowystarczalnej formy życia, unoszącej się nad wszechświatem, żeby objąć go spojrzeniem, zobaczyć z dużej wysokości.

Luke czuł zdumienie przenikające całe ciało. Zidentyfikował Coruscant i światy stanowiące kiedyś centrum władzy Imperatora. Zobaczył ogarnięte wojną planety, na których dowódcy ocalałych oddziałów imperialnych wciąż walczyli między sobą o władzę. Ujrzał spustoszone systemy gwiazdne, należące kiedyś do Imperium Ssi Ruuków, które dzięki paktowi na Bakurze zostało pokonane przez połączone oddziały Imperium i Rebeliantów. Luke dostrzegał i nazywał światy, które znał: Tatooine, Bepin, Hoth, Endor, Dathomirę i wiele innych - włącznie z nieznaną planetą Anoth, na której admirał Ackbar ukrył trzecie, najmłodsze dziecko Hana i Leii.

W pewnej chwili nazwy i współrzędne planet wypełniły goryczą umysł Luke'a. Mistrz Jedi zganiał siebie za to, że myśli o nich jak taktyk albo pilot gwiazdowego statku. Nazwa i położenie planety w przestworzach przecież nic nie znaczyły. Każdy świat i każda gwiazda była tylko częścią galaktyki, podobnie jak Luke i jego uczniowie w *prakseum*. Podobnie jak rośliny i zwierzęta w dżungli na powierzchni...

Wyostrome zmysły Luke'a wykryły nagle zmianę, jaka zaszła w położonych głęboko podziemnych komorach, w których uspiona wulkaniczna lawa dostarczała mineralnemu źródłu geotermicznego ciepła. Gdzieś w głębinach Yavina Cztery pojawił się ogromny bąbel gorącego gazu, który pod wpływem ciśnienia zaczął przeciskać się przez szczeliny i szpary w skałach, chcąc wydostać się na powierzchnię. Kierował się ku nim.

W wizerunku galaktyki pojawiła się ciemna rysa. Czując przerażenie, czterech uczniów Jedi, rozchlapując ciepłą wodę, zaczęło płynąć ku brzegowi. Pozostali, ogarnięci paniką, zamarli w wodzie.

Luke z wysiłkiem pokonał strach i postarał się, żeby jego głos miał dźwięczne, spokojne brzmienie, podobnie jak wówczas, kiedy prowadził negocjacje z Huttem Jabba. Mówił jednak pospiesznie, pragnąc wykorzystać każdą pozostającą chwilę.

- Rycerz Jedi nie odczuwa ani zimna, ani ciepła. Prawdziwy Jedi potrafi stłumić ból. Zaczerpnijcie energii z Mocy!

Pomyślał o tym, jak kiedyś on sam szedł po powierzchni jeziora rozżarzonej lawy, przechodząc próbę, do której zmusił go Gantoris. Otoczył wówczas ciało ochronną warstwą, osłonił skórę wyimaginowaną powłoką, cienką jak myśl i jak myśl wytrzymała.

Spojrzał przelotnie na zatrwożone twarze swoich uczniów. Kirana Ti zamknęła zielone oczy i zacisnęła zęby. Mężczyzna w średnim wieku, Kam Solusar, wpatrywał się w ciemności, ale sprawiał wrażenie pewnego siebie. Streen, pustelnik z Miasta w Chmurach na Bepinie, zapewne nie wiedział, o co chodzi, ale instynktownie otoczył ciało silniejszą ochronną warstwą.

Kiedy wielki, przybierający różne kształty bąbel gorących gazów przeciskał się przez szczeliny w dnie stawu, Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy, żółtoskóry klon ze świata rządzonego przez biurokratów, zaczął rozpaczliwie płynąć ku brzegowi. Luke w ułamku sekundy zrozumiał, że mężczyzna nie zdąży i jeżeli w ciągu następnych kilku sekund nie wzmocni osobistej ochrony, ugotuje się w wodzie, podgrzanej przez gorące gazy.

Zanim jednak zdążył uczynić ruch, obok Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego pojawił się Gantoris. Pokrytą odciskami dłonią mocno chwycił nagie ramię klona.

- Trzymaj się mnie! - powiedział głośno, chcąc przekrzyczeć syk wydobywającej się pary.

Bąble wulkanicznych gazów unosiły się ku powierzchni wody mineralnego źródła. Luke zobaczył, że ciała Gantorisa i Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego otacza ochronny mur, nieprawdopodobnie silny - a później wielkie bąble wzburzyły powierzchnię wody, zamieniając ją w spienione piekło.

Luke poczuł ukłucie straszliwego żaru, ale całą siłą woli usunął je ze swoich myśli. Czuł, że siła ochronnych powłok rośnie, i zrozumiał, że silniejsi kandydaci na rycerzy Jedi użyczają swojej energii słabszym. Zajadły szturm przegrzanych gazów trwał tylko kilka sekund, a później powierzchnia stawu zaczęła się uspokajać.

Okno na wszechświat jednak zniknęło.

- Na dzisiejszą noc wystarczy - powiedział Luke i westchnął z zadowoleniem. Ociekając wodą, wynurzył się ze stawu i stanął na brzegu. Czuł woń siarkowych gazów unoszących się ze skóry. Schylił się i podniósł z kamiennej posadzki swój płaszcz Jedi.
- Pomyślcie o tym, czego dzisiaj się nauczyliście.

Na te słowa jego uczniowie roześmieli się i zaczęli nawzajem dziękować sobie i gratulować. Po kolei i oni wychodzili na brzeg. Gantoris pomógł wyjść Dorskowi Osiemdziesiątemu Pierwszemu, który najpierw mu podziękował, a później podniósł płaszcz.

- Następnym razem będę silniejszy - powiedział w ciemnościach.

- Wiem, że będziesz - odparł Gantoris.

Luke podszedł do ciemnowłosego mężczyzny w chwili, kiedy ten wkładał przez głowę swój płaszcz Jedi.

- To, co dzisiaj zrobiłeś, bardzo dobrze o tobie świadczy - powiedział.

- To był najzwyczajniejszy w świecie żar - stwierdził Gantoris, ale w jego głosie brzmiały ponure tony. - Istnieją rzeczy o wiele gorsze niż żar. - Przerwał, a potem dodał trochę ciszej, jakby zdradzał tajemnicę: - Mistrzu Skywalkerze, teraz wiem, że nie ty jesteś owym mężczyzną, spowitym całunem mroku. To nie ty prześladowałeś mnie na Eol Sha w czasie nocnych koszmarów. Teraz jestem tego pewien.

Wyznanie to zaskoczyło Luke'a. W panujących ciemnościach nie mógł widzieć twarzy Gantorisa. Pamiętał, że przywódcę kolonistów trafiły na Eol Sha straszliwe przecucia, ale od chwili przylotu na Yavina Cztery mężczyzna nie wspominał o tamtych koszmarach ani razu. Luke był ciekaw, dlaczego powiedział o tym teraz. Zanim jednak zdążył zapytać, Gantoris odwrócił się i precyzyjnie między pozostałymi uczniami, by pospieszyć z powrotem ponurym korytarzem.

O mglistym poranku uczniowie Luke'a zgromadzili się na lądowisku gwiazdnych statków, na którym ćwiczyli umiejętności Jedi. Z powodu mgły tylko z trudem było widać szczyt wielkiej świątyni. Z budzącej się do życia dżungli dochodziły odgłosy ptaków i zwierząt. Nie rozpraszały jednak uwagi uczniów, którzy aż do znużenia powtarzali ćwiczenia mające poprawić ich nadprzyrodzoną wewnętrzną równowagę i doskonalić podstawową sztukę lewitacji.

Luke przechadzał się między nimi. Obserwował, jak starają się wykonywać ćwiczenia, których Yoda nauczył go na parnej, pokrytej bagnami Dagobah. Uśmiechnął się na widok ćwiczących razem Kirany Ti i Tionny, młodej śpiewaczki- historyczki. Na przemian śmiejąc się i koncentrując, obie kobiety uniosły w powietrze Artoo- Detoo, który przedtem krzątał się koło nich, usuwając z powierzchni lądowiska wdzierające się tam wszędobylskie chwasty. Nie przestając obracać kółkami, kwitujący Artoo wydawał pełne przerażenia piski.

Ze świątyni wyłonił się Gantoris i ruszył ku polanie skapanej w mglistym świetle. Luke ujrzał go kątem oka i odwrócił się w jego stronę.

- Jestem rad, że dołączasz do nas - powiedział, nie kryjąc zadowolenia, ale i lekkiej nagany. Znaczącym uniesieniem głowy pokazał, jak wysoko znajduje się pomarańczowa kula gazowego giganta, która zdążyła wypełnić znaczną część nieba.

Czerwona i pomarszczona twarz Gantorisa sprawiała wrażenie spieczonej dziwnym żarem. Tylko miejsca na czole, w których powinny znajdować się brwi, były pokryte gładką skórą. Mężczyzna splótł grube czarne włosy w długi warkocz, który luźno opadał na plecy.

- Przygotowywałem się do nowego ćwiczenia - odparł, sięgając między fałdy płaszcza. Wyciągnął stamtąd czarny cylinder.

Zaskoczony Luke zamrugał na widok niedawno skonstruowanego świetlnego miecza.

Z piskiem przerażenia Artoo runął na ziemię, kiedy i Kira- na Ti, i Tionna przestały się koncentrować. Pozostali uczniowie także przerwali ćwiczenia i zamarli ze zdumienia, wpatrzni w kolegę.

- Zmierz się ze mną, mistrzu Skywalkerze - odezwał się Gantoris.

Zdjął płaszcz, pod którym miał podniszczony mundur kapitański. Nosił go na Eol Sha jako przywódca kolonistów.

- Skąd masz ten miecz? - zapytał przezornie Luke.

W tym czasie jego umysł rozważał setki możliwości. Żaden spośród jego uczniów nie powinien był opanować techniki wytwarzania takiej broni ani umiejętności posługiwania się nią tak wcześniej.

Gantoris nacisnął guzik na obudowie. Z głośnym trzaskiem wysunęło się świetliste ostrze, biały opalizujący rdzeń otoczony ciemnofioletową poświatą. Mężczyzna poruszył nadgarstkiem, przesuując świecąca smugą w prawo i w lewo, jakby zamierzał wypróbować działanie broni. W powietrzu rozległo się buczenie przenikające do szpiku kości.

- Przecież jedno z ćwiczeń Jedi polega na budowie własnego miecza, prawda? - odparł.

Luke postanowił zachować ostrożność.

- Miecz świetlny może być najprostszą ze wszystkich broni, ale nauka posługiwania się nim należy do najtrudniejszych. Nie mający doświadczenia konstruktor może zrobić krzywdę nie tylko swojemu przeciwnikowi, ale i sobie. Nie jesteś jeszcze gotów do posługiwania się taką bronią, Gantorisie.

Mężczyzna z Eol Sha stał jednak nieruchomo jak kamienny kolos ze świątyni Massassów. Trzymał płonące ostrze Pionowo tuż przed twarzą.

- Jeżeli nie zapalisz swojego miecza i nie będziesz walczył ze mną, przetnę cię na pół tam, gdzie stoisz - oświadczył i przerwał, z przymusem się uśmiechając. - To byłby raczej mało chwalebny koniec mistrza Jedi, prawda?

Nie umiając ukryć, że robi to niechętnie, Luke zsunął z ramion płaszcz Jedi. Od pasa wygodnego szarego kombinezonu odpiął własny świetlny miecz i czując w całym ciele drżenie Mocy, wysunął świecące żółtozielone ostrze.

Pozostali uczniowie spoglądali na nich w milczeniu pełnym zdumienia. Luke tymczasem rozmyślał o tym, w którym miejscu szkolenia popełnił błąd, na co nie

zwrócił uwagi, co przeoczył. Jakim cudem Gantoris zdobył informacje, które powinny być znane tylko uczniom bardziej zaawansowanym?

Uniósł ostrze i zbliżył się o krok do Gantorisa. Mężczyzna spogląda! na niego bez mrugania powiekami. Luke zauważył w jego oczach obwiedzionych czerwonymi obwódkami bezbrzeżne napięcie i doznał przelotnego ukłucia strachu.

Próbując swoich sił, skrzyżowali ostrza mieczy z trzeszczeniem rozpraszanej energii. Luke poczuł opór, jaki stawia świetlista smuga broni przeciwnika, zauważył przepływ Mocy. Po raz drugi skrzyżował własne ostrze z ostrzem Gantorisa, tym razem nieco silniej, aż posypały się iskry.

Rezygnując z udawania, że tylko ćwiczy, Gantoris rzucił się ku mistrzowi Jedi, wymachując i tnąc biało- fioletowym ostrzem. Luke parował każdy cios, ale jedynie się bronił. Starał się nie prowokować swojego ucznia.

Tymczasem Gantoris nie odzywał się ani słowem, tylko zadawał cios za ciosem. Zaciekłość, z jaką atakował, zdumiewała Luke'a, który nie mogąc zrozumieć zachowania przeciwnika, zaczął cofać się w stronę skraju dżungli.

Mężczyzna z Eol Sha wykorzystywał przewagę. Luke usunął z mózgu wszystkie myśli o tym, że obserwują ich pozostali uczniowie.

- Czy jestem już rycerzem Jedi? - zapytał ochryple Gantoris.

Luke odparował jeszcze jeden cios i zablokował następny. Oba ostrza się zwarły. We wszystkie strony posypały się snopy oślepiających iskier.

- To ćwiczenie wymaga wytrwałości i sumienności - odezwał się przez zaciśnięte zęby. - I opanowania. Jedi musi wiedzieć coś więcej oprócz tego, jak skonstruować świetlny miecz. Musi także nauczyć się, jak i kiedy go używać.

Przejął nagle inicjatywę i skoczył ku Gantorisowi. Teraz on zadawał jeden cios po drugim. Starał się nie zranić przeciwnika, ale pragnął pokazać mu, co potrafi.

- Miecz świetlny jest bronią rycerza Jedi, ale prawdziwy Jedi bardzo rzadko używa jej tylko po to, by rozstrzygać spory. O wiele lepiej jest przechytrzyć przeciwnika i przewidzieć, co chce zrobić. Dopiero kiedy nie ma innego wyjścia, Jedi wyciąga miecz i walczy, ale wówczas działa prędko i zdecydowanie.

Zadał szybki, bardzo mocny cios.

Nieporadnie usiłując się bronić, Gantoris cofnął się na skraj dżungli. Krople rosy opryskiwały stopy walczących, kiedy obaj deptali po bujnie rosnących paprociach. Spłoszone ptaki poderwały się z drzew i z głośnym skrzeczeniem odleciały. Gantoris, starając się dosięgnąć Luke'a, machał mieczem na oślep, ale dłonią mężczyzny nie kierował umysł, a zwyczajna brutalna siła. W pewnej chwili zahaczył ostrzem o gruby pień drzewa Massassów i na ziemię posypały się kawałki purpurowobrąznej kory.

Luke stanął przed Gantorisem, zamierzając ogłosić koniec walki, ale ujrzał, że oczy przeciwnika płoną jaśniejszym blaskiem. Jakby rad, że mistrz Jedi zaraz wpadnie w zastawioną pułapkę, Gantoris nacisnął guzik na rękojeści świetlnego miecza i nagle biało- fioletowe ostrze wysunęło się jak włócznia i osiągnęło niemal podwójną długość.

Luke zareagował błyskawicznie. Odskoczył na bok, ale i tak koniec energetycznego ostrza miecza przeciął materiał rękawa jego szarego kombinezonu, zamieniając go w dymiące strzępy.

Przez ułamek sekundy mistrz Jedi wpatrywał się z niedowierzaniem w oczy ucznia. Gantoris nie tylko skonstruował własny świetlny miecz, ale wyposażył go w kilka kosztownych kamieni, dzięki czemu mógł zmieniać długość ostrza. Wykonanie takiej broni było co najmniej dwa razy trudniejsze niż tradycyjnej, a mężczyzna ukończył pracę sam, nie prosząc nikogo o pomoc.

Bez chwili wytchnienia Gantoris wykorzystywał przewagę, atakował i usiłował zadawać ciosy dłuższym ostrzem. Dobrze wiedział, że Luke nie może podejść na tyle blisko, by dosięgnąć go swoim świetlnym mieczem.

- Gantorisie! - usłyszeli nagle piskliwy, drżący głos Streena, ale i mistrz Jedi, i jego przeciwnik nie zwrócili na to uwagi. Pozostali uczniowie wycofali się na skraj dżungli, zostawiając wolną przestrzeń Luke'owi i Gantorisowi.

Skywalker był przerażony, widząc, jak lekkomyślnie i brawurowo atakuje Gantoris. Jego zachowanie przypominało mu ostatnią walkę, jaką sam stoczył z Darthem Vaderem. Przyglądający się jej Imperator pożerał ich spojrzeniem, zachęcał Luke'a, by pozwolił przepłynąć przez swoje ciało fali gniewu. Luke omal wówczas nie przegrał, niemal poddał się gniewowi i prawie rozpoczął podróż do krainy ciemnej strony Mocy. W ostatecznej rozgrywce okazał się jednak wystarczająco silny.

Gantoris sprawiał wrażenie, że i on znalazł się niebezpiecznie blisko granicy dzielącej go od ciemnej strony.

Luke sprężył mięśnie, zebrał siły i skoczył w górę. Wykorzystał umiejętność lewitowania i poszybował na tyle wysoko, że znalazł się na poziomie jednej z niższych grubych gałęzi drzewa Massassów. Wylądował jak piórko i, nie tracąc równowagi, spojrzął z góry na rozwścieczonego Gantorisa.

- Jak się tego nauczyłeś? - zawołał, przekrzykując buczenie obu świetlnych mieczy i próbując przełamać emocjonalną barierę ucznia.

Niecierpliwy, porywczy mężczyzna uniósł głowę i spiorunował Luke'a spojrzeniem.

- Nie jesteś jedynym źródłem wiedzy o naukach i ćwiczeniach Jedi!

Wydał ochryply okrzyk, ujął oburącz rękojeść miecza i zamachnąwszy się z całej siły, przeciął gruby pień drzewa. Powietrze wypełniło się iskrami, wonią dymu i zapachem cynamonu, jaki wydzielają gotujące się soki. Wiekowe drzewo zachwiało się, pochyliło, a potem runęło na ziemię z głośnym trzaskiem łamiących się konarów.

Luke w porę zeskoczył i łagodnie wylądował w gęstwinie na wpół zgniłych paproci i połamanych gałęzi. Pomyślał, że powinien jak najszybciej zakończyć ten pojedynek. Jego przeciwnik sprawiał wrażenie ogarniętego gniewem, nad którym nie panował, i proste techniki rycerzy Jedi, mające koić nerwy, po prostu nie skutkowały.

Nie mogąc walczyć w gąszczu roślin, Gantoris skrócił ostrze miecza do poprzedniej, bardziej poręcznej długości, dostosowanej do rozmiaru ostrza broni przeciwnika, i na nowo przystąpił do ataku. Luke powoli się cofał, coraz dalej zapuszczał się w głąb dżungli. Ostrożnie stąpał po bujnie rozrośniętych paprociach i jaskrawych mgławicowych orchideach. Posługując się Mocą, badał otaczające go zarośla, szukał w nich czegoś, co pozwoliłoby mu odwrócić uwagę przeciwnika.

W końcu znalazł.

Udał, że potyka się o wyszczerbioną, wystającą skałę, porośniętą grzybami, a później odskoczył w bok w stronę gęściej rosnących pnączy. Gantoris rzucił się za nim, tnąc świetlnym mieczem pędy winorośli, które rozstępowały się przed nim, wydzielając obłoczki szarego dymu. Nawet nie usłyszał mruczenia i chrząkania, jakie dochodziło od strony zarośli.

Kiedy zamachnął się świetlnym mieczem jak cepem, Luke uskoczył na bok w przeciwną stronę. Biało- fioletowe ostrze przecięło kolczaste gałęzie krzewu, a spod krzaka wyskoczył zdumiony, rozwścieczony runyip i z głuchym warczeniem rzucił się do ucieczki.

Chrzążąc, parszcząc i kołyszając się z boku na bok, zwierzę przemknęło obok nich jak pocisk i zniknęło w dżungli. Było masywnym, niezgrabnym stworzeniem, porośniętym błyszczącą, jakby naoliwioną sierścią. Do groźnego giętkiego ryja, którym ryło głębę w poszukiwaniu smacznych korzeni pośród gnijących szczątków, przylgnęły grudki ziemi.

Pojawienie się zwierzęcia odwróciło uwagę Gantorisa tylko na sekundę. Czas ten jednak wystarczył, żeby Luke, posługując się Mocą, wyłuskał rękojeść świetlnego miecza z dłoni przeciwnika i zgasił broń, jednym zręcznym ruchem naciskając wyłączający guzik.

Chwyciwszy lewą dłonią szybującą ku niemu broń, Luke wyłączył swój miecz świetlny. Nie słysząc głośnego buczenia i syku obu ostrzy, pomyślał, że dżungla wydaje się nienaturalnie cicha.

Gantoris znieruchomiał, wpatrzony w oczy Luke'a. Obaj ciężko oddychali. Stali tak blisko siebie, że jeden mógłby dosięgnąć drugiego, gdyby zechciał wyciągnąć rękę. Na ich czołach perliły się kropelki potu.

Luke pierwszy przerwał panującą ciszę. Obrócił w dłoni ciemny cylinder rękojeści świetlnego miecza Gantorisa i podał go mężczyźnie. Gantoris ostrożnie ujął broń, popatrzył na nią, a potem przeniósł spojrzenie znów na mistrza Jedi.

- To było dobre ćwiczenie, Gantorisie - odezwał się Luke. - Musisz jednak nauczyć się panować nad gniewem. Jeżeli nie będziesz tego umiał, ten błąd może przyczynić się do twojej zguby.

ROZDZIAŁ

8

Ignorując drżącą mgiełkę ochronnego pola istniejącego w jednym ze stalobetonowych labiryntów Coruscant, Kyp Durrone spoglądał na wnętrze hangaru z Pogromcą Słońce, którego sylwetka przypominała cień.

Zmrużył oczy, by lepiej widzieć, i pochylił się tak bardzo, że trzej uzbrojeni po zęby strażnicy Nowej Republiki niemal zaczęli bieć, by zagrozić drogę. Nieco dalej, w środku hangaru inna grupa strażników rozstawiona była wokół niewielkiego statku. Tuż za powierzchnią elektrostatycznego pola wisiały wielkie, pancerne wrota, gotowe w każdej chwili z głośnym hukiem opaść na płytę lądowiska.

Mając na uwadze swoją drobną sylwetkę, rozbijając szczery uśmiech i rozwichrzone włosy, Kyp nie sądził, że stanowi zagrożenie, ale wszyscy strażnicy wymierzili w niego lufy blasterów.

- To strefa, w której przebywanie jest zabronione - odezwał się sierżant. - Proszę natychmiast odejść albo wydam rozkaz otwarcia ognia.

- Hej, nie bójcie się - rzekł Kyp, unosząc ręce. - Gdybym miał zamiar ukraść to cacko, w ogóle bym tu nim nie przylatywał.

Sierżant obdarzył go sceptycznym spojrzeniem. Było jasne, że nie ma pojęcia, o czym chłopak mówi.

- Nazywam się Kyp Durrone. To ja i Han Solo przylecieliśmy Pogromcą Słońce. Porwaliśmy go z Laboratorium Otchłani. Chciałem tylko na niego zerknąć.

Sierżant jednak nie zmienił obojętnego, kamiennego wyrazu twarzy.

- Nie znam osobiście generała Solo - powiedział. - Mam rozkaz, by nie dopuszczać nikogo. Żadnych wyjątków.

Kyp przesunął się nieco w bok, by móc widzieć między ciałami rosnących strażników. Nie przejmował się ich obecnością, tylko jeszcze raz rzucił okiem na kanciąstą superbroń, którą zaprojektowała w Laboratorium Otchłani doktor Qwi Xux, zmuszona do niewolniczej pracy.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, badaczka wymyśliła i zbudowała broń mogącą zamieniać gwiazdy w supernowe i niszczącą wszelkie życie w całych systemach gwiazdnych. Qwi dokonała tego, wykonując ćwiczenie, które miało na celu poznanie granic jej własnego talentu naukowego. Han uświadomił jej jednak, jaki jest

prawdziwy cel tej pracy, dzięki czemu badaczka zrozumiała, co stworzyła. Później Qwi pomogła im porwać superbroń i uciec z Laboratorium Otchłani przed niszczycielami rozwścieczonej admirał Daali.

Kyp był rad, że Pogromca Słońc jest teraz własnością Nowej Republiki, ale martwił się, że senatorowie nie potrafią podjąć decyzji, co z nim zrobić. Fakt istnienia tak potężnej i śmiertelnej broni wydawał się zmieniać nastawienie nawet najbardziej pokojowo usposobionych członków rządu.

Kyp śledził wszystkich inżynierów i mechaników krzątających się wokół Pogromcy i pragnących zrozumieć zasadę działania tej broni. Chcąc uporać się z supertwardym molekularnym pancerzem, stosowali laserowe spawarki, ale żadne urządzenie nie potrafiło nawet zarysować powierzchni niezniszczalnego statku.

Dwaj mechanicy wyszli właśnie przez górny właz, niosąc metalowy cylinder mniej więcej półtorametrowej długości i pięćdziesięciocentymetrowej średnicy. Trzej inżynierowie stojący na płycie lądowiska wyciągnęli szyje, ale kiedy ujrzeli cylinder, z przerażenia upuścili hydrokinetyczne klucze. Czwarta osoba, kobieta, odłożyła precyzyjny kalibrator i zaczęła powoli się wycofywać.

- To jedna z tych torped, które powodują eksplozje supernowych - odezwał się jeden z inżynierów.

Mechanicy niosący cylinder znieruchomieli. Ktoś włączył syrenę alarmową i w pomieszczeniu rozległo się ponure wycie. Strzegący Pogromcy Słońc strażnicy rozbiegli się we wszystkie strony w poszukiwaniu celu, do którego mogliby strzelać. Uwięzieni inżynierowie i mechanicy zaczęli panicznie krzyżeć, żeby ktoś wyłączył śmiertelne pole i pozwolił im oddalić się od statku. Trzej strażnicy stojący na zewnątrz pola jak na rozkaz odwrócili się i wymierzili lufy blasterów w pierś Kypa, jakby uważali go za sprawcę całego zamieszania.

Kyp się roześmiał.

- To tylko cylinder rejestracyjny - oświadczył, zwracając się do sierżanta. - Niech pan powie, żeby go otworzyli, a wówczas sami się przekonają. To właśnie tam są umieszczane rejestratory najistotniejszych parametrów, żeby można było te urządzenia wystrzelić w przestworza. Na wypadek, gdyby mimo wszystko Pogromcy Słońc groziła zagłada.

Słyszając zawroźnienie syreny i widząc naukowców biegnących we wnętrzu strzeżonego hangaru, strażnicy nie wyglądali na zainteresowanych wyjaśnieniami Kypa.

- Lepiej będzie, młodzieńcze, jak znikniesz - odezwał się sierżant. - I to natychmiast!

Kręcąc głową po części ze zdumienia, a po części z rozbawienia, Kyp odwrócił się i ruszył długim korytarzem. Zastanawiał się, ile czasu zajmie rzekomym naukowcom zorientowanie się, co kryje wnętrze cylindra.

Wedge Antilles spoglądał z zachwytem, jak piękna i wiotka istota płci żeńskiej, doktor Qwi Xux, podchodzi do mównicy, żeby zwrócić się do senatorów i członków rządu Nowej Republiki zgromadzonych w wielkiej sali.

Nieśmiała Qwi Xux nie lubiła przemawiać do wieloosobowych gremiów i przez kilka poprzednich dni chodziła zdenerwowana, przygotowując się do wystąpienia. Samotna niemal całe życie, zaczęła darzyć większym zaufaniem tylko Wedge'a Antillesa, który spędzał prawie cały czas jako jej osobisty strażnik, powiernik i oficer łącznikowy. Zachęcał ją, jak potrafił, starał się ją uspokoić i tłumaczył, że z pewnością spisie się na medal. On także był tego samego zdania, co doktor Qwi, że nie wolno dłużej ignorować faktu istnienia tak straszliwej broni.

Qwi spojrzała z wdzięcznością na generała. Jej szeroko otwarte ciemnoniebieskie oczy kontrastowały ostro z bladą jasnobłękitną barwą skóry i opalizującymi jak klejnoty delikatnymi włosami opadającymi na ramiona.

Qwi zajęła miejsce za mównicą, a potem spojrzała na Mon Mothmę i pozostałych ministrów. Wyprostowała się i luźno opuściła długie ręce. Zaczęła mówić, a brzmienie jej piskliwego głosu przypominało trochę śpiew egzotycznych ptaków.

- Szanowna Mon Mothmo i wy, czcigodni reprezentanci rządu Nowej Republiki - zaczęła. - Kiedy przyleciałam tu na pokładzie Pogromcy Słońc i poprosiłam was o udzielenie azylu, oświadczyliście, że mogę zwracać się do was, ilekroć uznam za konieczne. Korzystam z tego zaproszenia teraz, ponieważ muszę podzielić się z wami czymś, co jest dla mnie sprawą najwyższej wagi. Postaram się mówić zwięźle, gdyż z pewnością będziecie chcieli podjąć jakąś decyzję.

Owłosiony Chewbacca, siedzący obok Wedge'a, warknął gardłowo, nie potrafiąc opanować zniecierpliwienia, ale Wedge i tak był zdumiony, że ogromny Wookie zachowywał się do tej pory tak spokojnie i cicho. Generał dobrze wiedział, że Chewie nie cieszy się opinią istoty cierpliwej i taktownej.

Threepio, który siedział za nimi, odezwał się półgłosem:

- Uspokój się, Chewie. Już wkrótce i ty będziesz miał szansę powiedzieć, co myślisz na ten temat. Tylko czy jesteś absolutnie pewien, że nie chcesz, bym zmienił formę twojej wypowiedzi? Mimo wszystko jestem przecież androidem protokolarnym i znam dobrze reguły obowiązujące podczas takich wystąpień.

Na znak zdecydowanego sprzeciwu Chewie zabezczał jak owca, a Wedge uciszył obu, chcąc słyszeć, o czym mówi doktor Qwi. Jej melodyjny głos nawet nie zdrzął i generał czuł z tego powodu prawdziwą dumę.

- Pogromca Słońc jest najdoskonalszą bronią, jaką udało się skonstruować - mówiła Qwi. - Wiem o tym lepiej niż ktokolwiek inny, gdyż to ja zaprojektowałam ją i zbudowałam. Pod względem siły rażenia przewyższa o rząd wartości nawet Gwiazdę Śmierci. Na szczęście nie znajduje się już w łapach imperialnych siepaczy, ale bardzo obchodzi mnie to, co chce zrobić z nim Nowa Republika. Mam powód, by nie zdradzać tajemnicy jego funkcjonowania, ale wasi naukowcy od tygodni trzymają go w zamknięciu, badając w strzeżonych laboratoriach naukowych, majstrując i starając się odkryć wszystkie tajemnice. Jestem pewna, że na próżno.

Przerwała, by głęboko zaczerpnąć powietrza, a Wedge Antilles zaczął obawiać się, że badaczka może stracić panowanie nad głosem. Qwi jednak wyprostowała się jeszcze bardziej i ciągnęła:

- Wzywam was, żebyście zniszczyli Pogromcę Słońc. Broni tak śmiercionośnej i potężnej nie powinno się zostawiać pod kontrolą jakiegokolwiek rządu.

Mon Mothma, choć sprawiała wrażenie zmęczonej i osłabionej, uniosła głowę i spojrzała na Qwi. Siedzący o kilka miejsc na lewo od niej stary generał Jan Dodonna wstał z fotela i powiedział:

- Doktor Qwi, zgodnie z raportami naszych inżynierów Pogromca Słońc nie może być zniszczony. Jego molekularny pancerz sprawia, że nawet nie potrafimy rozebrać go na części.

- A zatem musicie znaleźć inny sposób, żeby pozbyć się tej broni raz na zawsze - rzekła Qwi.

Nie kryjąc wzburzenia, wstał odwieczny i nieubłagany przeciwnik Mon Mothry, senator Garm Bel- Iblis.

- Nie możemy pozwolić, żeby broń o takiej sile rażenia dostała się w niepowołane ręce - oświadczył. - Pogromca Słońc zapewnia nam taktyczną przewagę, której nie ma nikt spośród naszych imperialnych wrogów.

- Dość tego! - odezwała się Mon Mothma, choć jej głos był cichy i drżący. Zaczerwienione policzki kontrastowały z bladą skórą reszty twarzy. - Dyskutowaliśmy na ten temat wiele razy, ale ja nie zmieniałam zdania. Broń o takiej niszczącej sile rażenia jest po prostu brutalna i nieludzka. Imperator mógł być potworem, który całkiem poważnie chciał jej użyć, ale Nowa Republika w żadnych okolicznościach nie ucieknie się do takiego barbarzyństwa. Nie potrzebujemy takiej broni, a sam fakt jej posiadania dzieli nas i skłóca. Jestem przeciwna prowadzeniu dalszych badań Pogromcy Słońc i do ostatniego tchu będę walczyła z każdym, kto ośmieli się zaproponować, żebyśmy użyli jej przeciwko jakiemukolwiek wrogowi czy to imperialnemu, czy innemu.

Spojrzała na dowódców swoich wojsk, a Wedge poczuł się onieśmielony zarówno stanowczością jej głosu, jak widokiem oczu przywódczym Nowej Republiki. Puste miejsce, zajmowane przez admirała Ackbara, którego zdanie wprowadzało do dyskusji zawsze umiar i spokój, wyglądało jak głęboka niezaleczona rana. Wedge nieznacznym gestem zachęcił Qwi, by mówiła dalej.

Qwi, jakby tylko czekała na ten znak, znów przemówiła, nie zmieniając melodyjnego tonu głosu.

- Przepraszam, ale czy mogłabym zaproponować pewne rozwiązanie? Ponieważ Pogromcy Słońc nie można zniszczyć za pomocą konwencjonalnych metod, powinniśmy włączyć system automatycznego pilotowania i wysłać statek w sam środek tarczy jakiegoś słońca albo przynajmniej do jądra gazowego giganta, skąd nie można byłoby go odzyskać.

- Myślę, że gazowy gigant by wystarczył - odezwał się generał Crix Madine. - W samym jądrze takiej planety panuje tak duże ciśnienie, że jego wartość przekracza wszystko, co mogą znieść nasze nawet najbardziej wytrzymałe statki. Pogromca Słońc pozostanie tam poza zasięgiem czyichkolwiek rąk na zawsze.

Senator Bel- Iblis spojrzał w prawo i w lewo, a w jego ciemnych oczach pojawiły się błyski. Czuł, że jego zdanie nie zostanie uwzględnione i zdawał sobie sprawę z

faktu, że gazowy gigant jest jednak trochę mniej groźny niż oślepiające piekło jądra gwiazdy, powiedział więc:

- No dobrze, w takim razie pošlijmy go do środka gazowego giganta, bez względu na to, jaką może to stanowić dla nas stratę.

Mon Mothma uniosła dłoń, jakby chciała wydać ostateczny wyrok, ale przeszkodził jej w tym znów Bel- Iblis.

- A jeżeli mówimy już na ten temat, pragnę przypomnieć, że Laboratorium Otchłani w dalszym ciągu stanowi dla nas zagrożenie. Admirał Daala może zabrała stamtąd swoje gwiazdne niszczyciele, ale przebywający tam naukowcy nadal pracują, chronieni przez przestworza pełne czarnych dziur. I zgodnie z raportem generała Solo wciąż dysponują w pełni funkcjonalnym prototypem Gwiazdy Śmierci.

Rzucił Mon Mothmie wyzywające spojrzenie.

Chewbacca zerwał się z fotela i przeciągle zawył. Jego ryk odbił się od ścian wielkiej sali i zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Threepio zaczął wymachiwać złocistymi rękami.

- Jeszcze nie teraz, Chewie, jeszcze nie teraz! To jeszcze nie twoja kolej!

Mon Mothma jednak odwróciła się, spojrzała na podnieconego Wookiego i gestem zachęciła go do kontynuowania wypowiedzi.

- Chciałeś nam coś powiedzieć, Chewie? - zapytała. - Bardzo proszę.

Chewbacca wypowiedział kilka drugich, pełnych warknięć i wyć zdań w języku Wookiech. Zanim skończył, obok niego stanął Threepio i zaczął pospiesznie tłumaczyć. W wielkiej sali rozległ się jego metaliczny głos, kiedy powiedział:

- Chewbacca pragnie przypomnieć szanownym członkom rządu, że Laboratorium Otchłani jest nie tylko miejscem pobytu inteligentnych imperialnych naukowców, ale pełni także funkcję więzienia wielu Wookiech, którzy od prawie dziesięciu lat zmuszani są do niewolniczej pracy. Chewbacca z całym szacunkiem chciałby zaproponować...

Android nagle przerwał i uniósł metalową rękę w ten sposób, jakby chciał przysłonić dłonią usta Chewbaccy.

- Nie tak szybko, Chewie! - zawołał. - I tak staram się, jak mogę. - Znów odwrócił się do zebranych. - Proszę o wybaczenie. Chewbacca zwraca się z uprzejmą prośbą, żeby władze Nowej Republiki zechciały zastanowić się nad propozycją wysłania do Laboratorium Otchłani ekspedycji w celu uwolnienia jego ziomków i opanowania kompleksu naukowego.

Chewbacca zaryczał, ale nic nie wskazywało na to, że Threepio przejmuje się jego uwagami.

- Wiem, że to nie jest dokładnie to samo, co powiedziałaś, Chewie, ale z pewnością właśnie to miałeś na myśli, a więc bądź cicho i pozwól mi skończyć.

Szanowni państwo! Wysyłając taką ekspedycję, Nowa Republika będzie mogła zapewnić bezpieczeństwo i przeszkodzić w użyciu śmiercionośnych broni, które mogły zostać skonstruowane w Laboratorium Otchłani. Chewbacca uprzejmie dziękuje za wyrozumiałość i uwagę oraz życzy wszystkim członkom rządu owocnych obrad.

Chewbacca wymierzył mu szturchańca i Threepio niezgrabnie opadł na sąsiedni fotel, nie mogąc dojść do ładu ze złocistymi rękami i nogami.

- Och, bądź cicho - powiedział. - Każda zmiana, której dokonałem, była tylko na lepsze.

Mon Mothma spojrzała po twarzach obradujących członków rządu Nowej Republiki. Wszyscy sprawiali wrażenie zadowolonych z pomysłu wysłania ekspedycji do Laboratorium Otchłani. Qwi Xux, jeszcze trochę zdenerwowana, ale zaczynająca się uspokajać, usiadła obok Wedge'a, który uściśnął jej rękę, gratulując wystąpienia. Uśmiechnęła się do niego, a on odwzajemnił jej uśmiech.

- Mam wrażenie, że wszyscy zgadzamy się co do tego - odezwała się Mon Mothma, a później zmusiła się do niewyraźnego uśmiechu i dodała: - Chociaż raz. Zorganizujemy i wyślemy ekspedycję do Laboratorium Otchłani, by uwolnić przetrzymywanych tam Wookiech i przechwycić skonstruowane bronie. Musimy działać szybko, jak najszybciej, ale nie na tyle szybko, by popełnić błędy.

Ponownie rozejrzała się po sali, jakby nie pragnąc niczego bardziej niż powrotu do prywatnego apartamentu i udania się na odpoczynek. Zaniepokojony Wedge zmarszczył brwi.

- Jeżeli nie ma innych spraw - rzekła Mon Mothma - ogłaszam koniec posiedzenia.

ROZDZIAŁ

9

Imperialny gwiazdny niszczyciel „Gorgona” niczym nóż o szerokim ostrzu wbił się w przestworza otaczające planetę, przygotowując się do zadania ciosu. Po obu stronach statku wyłoniły się „Bazyliszek” i „Mantykorą”, gotowe do natychmiastowej akcji.

Komandor Kratas, który stał przy konsolce nawigacyjnej, zameldował:

- Jesteśmy na orbicie w rejonie Dantooine.

Daala złączyła za plecami dłonie odziane w rękawiczki i się odwróciła. Popatrzyła na twarze ludzi pełniących służbę na mostku.

- Co wskazują czujniki? - zapytała i przerwała, czekając aż porucznik dokona wzorcowania przyrządów i odczyta wartości sygnałów dochodzących od planety widocznej na ekranach.

- To bardzo prymitywny świat, pani admirał. Żadnego przemysłu, którego ślady dałoby się wykryć. Kilka osad o charakterze nietrwałym, zamieszkiwanych najprawdopodobniej przez nomadów. - Przerwał. - Chwileczkę. W okolicach równika wykryłem obecność jakiejś grupy ludzi.

Daala przyjrzała się wirującej oliwkowej, niebieskiej i brązowej kuli, zatrzymując spojrzenie na przesuwającej się granicy światła i mroku.

- Wykryłem coś, co może być ruinami dawnej bazy, która w chwili obecnej sprawia wrażenie całkowicie opuszczonej ciągnął oficer. - Tereny zamieszkałe nie są dobrze zagospodarowane. Znajdują się tam na ogół budowle wzniesione z elementów prefabrykowanych.

Porucznik podrapał się po głowie porośniętej krótkimi brązowymi włosami i pochylił się trochę niżej nad świecącym ekranem.

- Widzę także ślady robot ziemnych, prowadzonych w miejscach, w których są budowane nowe domy - dodał, unosząc głowę i spoglądając na admirał Daalę. - Ich konfiguracja ma zapewne związek ze znajdującą się w pobliżu wielką anteną paraboliczną jakiegoś nadajnika. Możliwe, że nawet generator pola ochronnego.

Daala zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad tym, jak postąpiłby w takiej sytuacji jej dawny nauczyciel, wielki moff Tarkin.

Komandor Kratas zapewne wyczuł jej niezdecydowanie, gdyż zasugerował:

- Wygląda na to, że nie powinni stawiać dużego oporu naszym oddziałom.

Daala zacisnęła wargi.

- Nawet jeżeli stawiają opór, i tak bez trudu ich pokonamy. Nie o tym jednak myślę.

- Przesunęła szczytym palcem po szyi, odgarniając z powrotem na tył głowy pasmo miedzianorudych włosów. - Zaczniemy od tego, że pozostając na orbicie, wymierzmy lufy turbolaserowych dział w opuszczoną bazę i zrównamy ją z powierzchnią ziemi. To będzie z pewnością fantastyczny widok.

Gwiezdne niszczyciele Daali dysponowały wystarczającą siłą ognia, by zamienić całą planetę w żużel, ale pani admirał na razie nie chciała ujawniać całej swojej mocy.

Dantooine znajduje się zbyt daleko od uczęszczanych gwiazdnych szlaków, żeby taka demonstracja siły odniosła zamierzone skutki - powiedziała. - Mimo to i tak przyda się do moich celów. Komandorze Kratas, chciałabym, żeby został pan dowódcą oddziału, który potem wylądować na planecie. Proszę wziąć dwa roboty typu AT- AT z „Gorgony” i po dwa z pozostałych gwiazdnych niszczycieli. Sześć opancerzonych transporterów powinno wystarczyć.

- Ja, pani admirał? - zapytał zdziwiony Kratas. - Z pewnością generał Odosk czy inny dowódca imperialnych oddziałów lądowych...

- Czy ma pan jakieś kłopoty z wykonaniem rozkazu, komandorze? - przerwała Daala.

- Nie, pani admirał. Absolutnie żadnych.

- Chciałabym, żeby wykazał się pan wszechstronnością. Czyżby nie przeszkolono pana w tym zakresie w imperialnej akademii na Caridzie?

- Oczywiście, że tak, pani admirał - odparł Kratas. - Myślałem tylko, że o wiele skuteczniej można byłoby zniszczyć ich bez wysyłania oddziału.

Daala obdarzyła go kamiennym spojrzeniem szmaragdowych oczu.

- Proszę potraktować to jako ćwiczenie, komandorze - powiedziała. - Pilnując Laboratorium Otchłani, zbyt długo przebywaliśmy beczynnie w jednym miejscu. Nie będziemy mieli następnej szansy przyłapania Nowej Republiki tak nie przygotowanej i bezbronnej.

Teraz, kiedy nareszcie został statecznym kolonistą i nie musiał się martwić, co przyniesie jutro, Warton wstał na tyle wcześnie, żeby móc nacieszyć oczy widokiem słońca wschodzącego na bezchmurnym, pastelowym niebie. Przeciągnął się, po czym wyszedł za próg swojego domu, wzniesionego z prefabrykowanych, samorzutnie rozstawiających się elementów. Wszystkimi zmysłami chłonał każdą chwilę przedświt. Po raz pierwszy w ciągu całego życia czuł się spokojnie i bezpiecznie.

Bołały go wszystkie kości, ale była to miła dolegliwość po poprzednim dniu, wypełnionym sprawiającą radość, chociaż męczącą pracą. Pomyślał, że zapewne nigdy nie odpocznie po latach ciężkiego życia, które przeżył na skazanej na zagładę planecie Eol Sha. Każdego dnia spędzonego bez trzęsień ziemi, wybuchów wulkanów czy gejzerów z wrzącą wodą czuł się coraz bardziej szczęśliwy.

Południowo-wschodnia część horyzontu pojaśniała w miejscu, w którym wkrótce miało wzejść bursztynowe słońce Dantooiny. Nad głową ujrzał trzy jasne gwiazdy

przemierzające się po ciemniejszym, purpurowym niebie na tle innych, nieruchomych punkcików światła.

Później zwrócił uwagę na gromadę sześciu meteorów, które odłączyły się od gwiazd i poszybowały ku horyzontowi, zostawiając na niebie ślady jak po ostrych pazurach. Po chwili ciszę poranka zakłócił ogłuszający huk fali dźwiękowej, dowodzący, że meteory poruszały się z prędkością ponaddźwiękową. Warton zobaczył błysk, z jakim zetknęły się z ziemią, a sawanna w pobliżu kolonii rozjarzyła się blaskiem wzniesionego pożaru.

Niektórzy koloniści z Eol Sha wyszli z domów, obudzeni hukem dobiegającym z niebios. Niedaleko na wschód od osady wznosiły się nie zamieszkałe ruiny dawnej bazy Rebeliantów, wystawały nad morze traw niczym umocnienia z cegieł wysuszonych przez słoneczny żar. W pobliskim obozowisku było widać niewielką grupę krzątających się inżynierów budowlanych Nowej Republiki.

- Co się stało? - zapytała żona Warton, Glena, która wyszła z domu, stanęła obok męża i ujęła go pod rękę. Mężczyzna pokręcił głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

A później niebiosa zaczęły kierować ku nim śmiercionośne strumienie światła, podobne do błyskawic.

Ucichło brzęczenie ogromnych much. Oślepiające zielone sztychy błyskawic laserowego światła spadały na ziemię, rażąc opuszczoną bazę, i wznosiły ogromne chmury, pełne szczątków budowli i syntetycznych skał.

Turbolaserowe promienie z przestworzy nieustannie przecinały niebo, przelatując tym samym, przetartym przez pierwsze błyskawice szlakiem. W ciągu zaledwie kilku sekund zniszczyły całą nie zamieszkałą bazę. Zamieniły ją w dymiące rumowisko zgłiszcz i ruin.

Wszyscy koloniści z Eol Sha wybiegli z domów. Niektórzy krzyczeli, inni stali jak sparaliżowani z przerażenia. Luke Skywalker obiecał im, że znajdzie dla każdego bezpieczne miejsce, ale wyglądało na to, że mistrz Jedi się pomylił.

Ruiny bazy wciąż dymiły, płonąc z głośnym trzaskiem, a na stepie wysuszonym przez słoneczny żar szalał pożar. Mimo to do uszu Warton dobiegł pulsujący, basowy dźwięk: buczenie ogromnych silników, dźwięczenie metalu i łoskot gigantycznych łap wsporników.

Warton zmrużył oczy, wciąż jeszcze oślepienie przez zielone laserowe błyskawice, chcąc ochronić je przed blaskiem wschodzącego słońca, i w końcu dostrzegł monstrualne sylwetki olbrzymich krocących maszyn. Czworonogie i podobne do wielbłądów roboty kroczące, zwane oficjalnie uniwersalnymi terenowymi transporterami opancerzonymi typu AT- AT, pozostawiły za sobą kręgi wypalanej trawy, w których wylądowały, i w niezgrabnym szyku maszerowały przez sawannę.

Opuściły „głowy” wyposażone w rzędy luf laserowych działek, by umożliwić artylerzystom celowanie. Z luf wybiegły czerwone i zielone błyskawice strzałów. Trafione prastare, jakby obrzmiałe pnie drzew biba zapaliły się jak pochodnie, a od ognia zajęła się rosnąca wokół nich trawa. W niebo uniosły się kłęby gryzącego dymu, a wiatr przyniósł woń spalonej roślinności i mdlący swąd ciał niewielkich zwierząt smażących się w płomieniach.

- Wszyscy uciekać! - krzyknął Warton. - Tylko nie kryjcie się w swoich domach! Z pewnością obiorą je za pierwszy cel strażników!

Imperialne maszyny krocące z każdą chwilą znajdowały się coraz bliżej, więc koloniści z Eol Sha rozbiegli się po okolicy, szukając schronienia w wysokiej trawie. Każdy robot typu AT- AT pokonywał jednak w trakcie jednego kroku odległość większą niż istota ludzka mogła przebiec w czasie trzydziestu sekund i już wkrótce imperialni artylerzyści zaczęli mierzyć do uciekających kolonistów. Trafiali jednego po drugim promieniami laserowymi o sile rażenia mogącej zniszczyć niejednego mały gwiazdny statek.

Glena uwolniła rękę i krzyknęła do męża:

- Zaczekaj na mnie!

Odrzuciła się i zaczęła biec w kierunku ich małego prefabrykowanego domu.

- Nie! - zawołał Warton. Nie potrafił wyobrazić sobie, co mogło skłonić Glenę do podjęcia takiej decyzji.

Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, oślepiająca błyskawica turbolaserowego światła trafiła jego żonę w środek pleców. Skamieniały z przerażenia Warton obserwował, jak Glena znika w ognistej, skwierczącej chmurze czerwonej pary.

Artylerzyści wszystkich sześciu robotów krocących nie przerywali ataku, tylko dalej strzelali do drzew, biba, domów kolonistów i wszystkiego, co się poruszało. Ogromne maszyny rozproszyły się, by otoczyć osadę.

Zgromadzeni w swoim obozie inżynierowie Nowej Republiki ustawili na trójnogu małe jednolufowe jonowe działko. Przerażony Warton nadal nie potrafił ruszyć ani ręką, ani nogą. Przyglądał się niewielkim sylwetkom, rozpaczliwie usiłującym ustawić paraboliczną antenę generatora. Dobrze wiedział, że mężczyźni obsługujący działko są zwykłymi cywilami i nie mają doświadczenia w prowadzeniu walki.

Warton bardzo chciałby wiedzieć, dlaczego. Tyle innych pytań przelatywało jednak przez jego głowę, że nie umiał myśleć o niczym innym poza jednym: „Dlaczego?”

Inżynierowie Nowej Republiki podłączyli zasilanie jonowego działka. Ustawili antenę i oddali w końcu pojedynczy strzał, który trafił imperialnego robota krocącego w jedną z kończyn. Błyskawica stopiła przegub kolanowy przedniej nogi wspornika i zamieniła w bryłę serwowotory stawu. Robot krocący zatrzymał się, a potem usiłował wycofać, niepewnie wspierając się na sztywnej nodze.

Pozostałe pięć maszyn typu AT- AT jak na rozkaz skierowało wieżyczki w tę samą stronę, wymierzyło w nieszczęsne działko, po czym zasypało je lawiną oślepiająco jasnych zielonych błyskawic, niszcząc w powodzi światła i urządzenia celownicze, i sam mechanizm.

Później roboty krocące odwróciły się, a ich artylerzyści zaczęli strzelać niemal na oślep, nie wybierając celów. Prefabrykowane domy kolonistów, jeden po drugim, stawały w ogniu. Nienasycone płomienie szalały, pochłaniając całe połacie sawanny porośniętej wyschniętą trawą.

Uciekający ludzie Wartona krzyczeli, potykali się, przewracali i umierali. W uszach mężczyzny dźwięczały odgłosy towarzyszące zniszczeniom i śmierci, ale

Warton wciąż nie mógł się poruszyć. Z rękoma luźno opuszczonymi wzdłuż boków stał jak sparalizowany i tylko całe jego ciało drżało.

Nawet przeklęta, skazana na zagładę Eol Sha, nie była nigdy takim piekłem jak Dantooine.

Komandor Kratas siedział w fotelu ciasnej i obco wyglądającej wieżyczki robota krocącego typu AT- AT, skąd kierował ruchami sześciu ogromnych maszyn. Ich artylerzyści strzelali do wszystkich, którzy starali się uciec. Wznicało to w wielu miejscach wysepki pożarów i zmuszało do ucieczki kolonistów ukrytych w trawach. Kratas nie zamierzał zostawiać ani jednego miejsca, w którym mogliby się schronić.

Osobiście upewnił się, że wszystkie domy i chaty zostały doszczętnie zniszczone, a każdy uciekający człowiek trafiony strzałem z blastera. Z rebelianckimi inżynierami i ich jonowym działkiem rozprawił się za pomocą pojedynczej serii, a niewielkie uszkodzenie, jakiemu uległ wspornik jednej z maszyn, mogło zostać bez trudu naprawione w warsztatach pokładowych „Gorgony”.

- Bardzo chciałbym, żeby się chociaż poruszył - odezwał się artylerzysta.

Kratas spojrział przez okienko na sylwetkę samotnego mężczyzny, który stał nieruchomo pośród zgliszcz i ruin i spoglądał na nich.

- Żadna sztuka trafić do celu, który się nie porusza - ciągnął ten sam członek załogi, unosząc osłonę czarnego hełmu. - Gdyby uciekał, mógłbym chociaż nabrać więcej wprawy w celowaniu.

Kratas przyjrzał się zniszczeniom i tysiącom miejsc, z których unosiły się kłęby ciemnego dymu. Zrozumiał, że jego zadanie zostało wykonane.

- Mimo to załatw go jak najszybciej - rozkazał. - Nie możemy tracić czasu na zabawę.

Artylerzysta nacisnął spust działka i ostatni żyjący kolonista zniknął w rozbłysku zielonego światła.

Komandor Kratas połączył się z flagowym statkiem floty, a kiedy ujrzał nad pulpitem komunikatora niewielką migotliwą sylwetkę admirała Daala, kiwnął głową.

- Wyprawa zakończyła się całkowitym sukcesem, pani admirał - zameldował. - Nie straciliśmy ani jednego członka załogi i tylko jedna maszyna typu AT- AT została lekko uszkodzona.

- Jest pan pewien, że absolutnie wszyscy koloniści zginęli? - zapytała Daala.

- Tak jest, pani admirał. Także wszystkie domy zostały bardzo zniszczone. Okolica nie nadaje się do zamieszkania.

- Doskonale. - Daala lekko kiwnęła głową. - Może pan teraz wracać na pokład statku. Przypuszczam, że wystarczająco jasno wyluszczyliśmy nasze zamiary. A poza tym nabraliśmy trochę większej wprawy.

Przerwała i nieznacznie się uśmiechnęła.

- Przy następnej okazji wybierzemy jakiś ważniejszy świat do zadania druzgocącego ciosu - dodała.

ROZDZIAŁ

10

Sen Jedi tylko bardzo rzadko bywał przerywany przez nocne koszmary. Wypoczynek, uzyskiwany dzięki technikom koncentracji i medytacji, na ogół nie pozostawiał miejsca na myśli zakłócające spokój czy na grę cieni. Tym razem jednak nocny koszmar przedostał się do snu Luke'a Skywalkera.

Mistrz Jedi usłyszał w mglistej, sennej nicości czyjś głos, który zawołał:

- Luke! Luke, mój synu! Musisz mnie wysłuchać!

Spośród oparów i mgieł wyłoniła się ciemna postać i nagle szczegóły otoczenia stały się wyraźniejsze. Luke ujrzał siebie odzianego w jasnoszary lotniczy kombinezon, poplamiony krwią, smarami i potem. Przypomnił sobie, że dokładnie tak samo wyglądał, kiedy prznosił ciężkie ciało ojca z drugiej Gwiazdy Śmierci na pokład imperialnego promu.

Obrzeża widmowej sylwetki jarzyły się bladą poświatą. Luke ujrzał stanowczą twarz Anakina Skywalkera, ale nie było widać na niej śladów cierpienia i bólu, jakie zło, wyrządzone przez Dartha Vadera, zadało jego ciału.

- Ojcze! - zawołał Luke. Jego głos zabrzmiał dziwnym echem, jakby odbił się od mgieł i oparów.

- Luke - odezwał się wizerunek Anakina.

Luke czuł, jak przez jego ciało przenika zdumiewające ni to drzenie, ni to mrowienie. Czyżby miała to być jeszcze jedna wiadomość w rodzaju tej, którą ostatnio przekazał Obi- Wan Kenobi? Ale przecież Obi- Wan pożegnał się i powiedział, że już nigdy się z nim nie skontaktuje.

- Ojcze, skąd się tutaj wziąłeś?

Anakin się wyprostował. Kiedy zerwał się silniejszy wiatr rozwiewający opary, szata okrywająca jego ciało zafalowała. Nagle świat otaczający obu mężczyzn stał się bardziej wyrazisty. Luke zorientował się, że on i ojciec stoją na wierzchołku wielkiej świątyni, wzniesionej na powierzchni Yavina Cztery. Nad ich głowami wisiała pomarańczowa kula gazowego giganta, a okoliczna dżungla wyglądała, jakby nie zaszły w niej żadne zmiany. I tylko kamienie świątyni były czyste i białe, z wyraźnymi śladami ociosywania w kamieniołomie. Wzdłuż jednej ze ścian bocznych zigguratu

ciągnęło się prymitywne rusztowanie. Luke słyszał dobiegające z dołu monotonne mruczenie i zawodzenie, z jakim mozolący się niewolnicy ustalali tempo pracy.

Ujrzał zaginiony lud Massassów trudzących się razem i wyťažających siły, ciągnących potężne kamienne bloki drogami, które sami wyrąbali w dziewiczej dżungli. Massassowie byli człekokształtnymi istotami o gładkiej, jasnoszaro-zielonej skórze i ogromnych oczach, podobnych do lamp. Anakin Skywalker stał na samym szczycie świątyni. Zdawało się, że kieruje pracą grup istot.

- Nie daj się zwieść, Luke - powiedział. - Nie wierz we wszystko, co wydaje ci się prawdą. - Słowa Anakina brzmiały trochę śpiewnie, jakby wypowiadał je z lekkim obcym akcentem charakterystycznym dawno zmarłych ludzi. - Obi- Wan skłamał ci i to co najmniej kilka razy.

Luke poczuł narastający niepokój. Bez względu na to, jak bardzo kochał Obi- Wana Kenobiego, pamiętał, że starzec nie zawsze grał z nim w otwarte karty.

- Tak, wiem, że czasami ukrywał przede mną prawdę - odparł. - Powiedział mi, że Darth Vader ciebie zabił, podczas gdy w rzeczywistości ty stałeś się Vaderem.

Anakin odwrócił się, przestając patrzeć na nieustannie trudzących się niewolników. Skierował na Luke'a oczy tak głębokie i przepastne jak sam wszechświat.

- Czy to było jedyne kłamstwo, jakie usłyszałeś od Obi- Wana? - zapytał.

- Nie. Ukrywał przede mną prawdę także o innych rzeczach.

Luke spojrział na dżunglę ciągnącą się aż po horyzont księżycy i w oddali zobaczył inną polaną z budowaną pośrodku niej drugą wysoką świątynią.

- I zapewne Obi- Wan powiedział, że robi to, by cię chronić. Czy prosiłeś go o taką ochronę, Luke?

- Nie. - Luke starał się zdławić niepokój.

- Obi- Wan chciał, żebyś był jego uczniem - ciągnęło widmo Anakina. - Nie zapewnił ci jednak dostatecznej swobody, żebyś mógł samodzielnie podejmować decyzje we wszystkich, dotyczących ciebie sprawach. Czyżby tak mało ci ufał? Czy zawsze zgadzałeś się z jego „pewnym punktem patrzenia” na niektóre sprawy?

- Nie - odparł Luke, chociaż czuł, że ogarniają go coraz większe wątpliwości.

- Obi- Wan nie zgadzał się ze skomplikowanymi naukami Sithów, które udało mi się odkryć. - W głosie Anakina zabrzmiała wyraźna gorycz. - Sam dobrze ich nie rozumiał, ale zabronił mi studiowania ich, chociaż zawsze podkreślał, że podczas nauki muszę wykazywać się samodzielnością i wybierać własną drogę. Nie zgadzałem się z jego krótkowzrocznością i patrzaniem na niektóre sprawy tylko pod jednym kątem. Nalegałem, żeby odkrył przede mną sekrety, na których poznanie nie byłem przygotowany. Tajemnice te pochłonęły mój umysł w takim stopniu, że w końcu przeszedłem na ciemną stronę i zostałem Czarnym Lordem Sithów.

Spojrzenie Anakina, które skierował na syna, było nacechowane poczuciem winy i udręką.

- Gdyby jednak Obi- Wan pozwolił mi zapoznać się z tymi naukami w wybranym przeze mnie czasie, może stałbym się silniejszy duchowo, odporniejszy. Może ciemna strona nie skusiłaby mnie tak łatwo. On nigdy tego nie rozumiał.

Wizerunek Anakina pokręcił głową.

- Jeżeli zamierzasz kształcić innych, Luke, musisz zdawać sobie sprawę ze wszystkich konsekwencji tego, czego z czasem mogą się nauczyć. I sam musisz się zapoznać z naukami i dziedzictwem starożytnych Sithów. To jest część twojego wykształcenia Jedi.

Luke z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Boję się uwierzyć ci, ojciec - odparł. - Już kiedyś odczułem na własnej skórze, jak silne może być przyciąganie ciemnej strony.

Massasscy niewolnicy pod świątynią nie przestawali monotonicznie mrużyć i śpiewać. Kilka grup istot wciągało gigantyczny kamienny blok po rampie, pokrytej warstwą błota i wyłożonej ociosanymi pniami.

Stojący na szczycie świątyni drżący wizerunek Anakina Skywalkera ze snu Luke'a odezwał się znów, tym razem bardziej stanowczo.

- Tak, ale nauki Sithów pozwolą ci jeszcze lepiej zrozumieć i poznać własną siłę. Niemal jednym ruchem ręki będziesz mógł zdusić resztki żalosnego Imperium, nieustannie nękającego twoją Nową Republikę. Będziesz mógł stać się kimś więcej niż tylko pokornym sługą jej słabego i skorumpowanego rządu. Będziesz mógł sam rządzić całą galaktyką jako sprawiedliwy i dobrotliwy władca.

Zasługujesz na to bardziej niż ktokolwiek inny, Luke. Będziesz mógł sprawować władzę nad wszystkim, jeżeli tylko posłużysz się Mocą jak narzędziem, a przestaniesz ograniczać się do bycia jej pokornym sługą.

Luke zeszytniał, nie mogąc uwierzyć w to, co powiedział ojciec. Dopiero po chwili zauważył, że w miarę wzrostu siły namiętności w głosie, wizerunek Anakina Skywalkera staje się coraz mniej wyraźny, drżący. W końcu było widać jedynie mroczny kształt, czarną zakapturzoną sylwetkę pochłaniającą z powietrza całą energię.

Wreszcie zrozumiał, chociaż zajęło mu to trochę czasu.

- Ty nie jesteś moim ojcem! - krzyknął, obserwując, jak postać zaczyna całkowicie niknąć. - Mój ojciec okazał się w końcu dobrym człowiekiem, a jasna strona Mocy go uleczyła!

Na niebie starożytnego Yavina Cztery ze snu Luke'a pojawiły się smugi oślepiających błyskawic. Przerażeni Massassowie pracujący u podnóża świątyni rozbiegli się po dżungli, widząc, jak monumentalna budowla, rażona seriami laserowych strzałów, rozlatuje się na kawałki. Pancerniki Starej Republiki nie przestawały atakować powierzchni księżyca.

- Kim jesteś? - zawołał Luke, starając się przekrzyknąć huk błyskawic siejących zagładę. - Kim jesteś?

Coraz mniej wyraźny cień roześmiał się i nie przestawał się śmiać dosyć długo. Ignorował zniszczenia spowodowane laserowymi błyskawicami, które może nawet go bawiły. Świątynia Massassów eksplodowała ogniem, a pożar przerzucił się na gęste tropikalne lasy.

Sylwetka mrocznego mężczyzny zaczęła rosnąć i po chwili wypełniła całe niebo. Luke cofnął się o krok, ale w swoim śnie postawił stopę na krawędzi najwyższego piętra okazałej budowli i potknąwszy się, zaczął lecieć w dół, spadać...

Gantoris, otoczony grubymi, kamiennymi murami swojej komnaty, nawet nie usiłował kłaść się na spoczynek. Siedział na pryczy i czekał na pojawienie się mężczyzny spowitego całunem mroku, postaci z dawnych sennych koszmarów.

W palcach obracał rękojeść świetlnego miecza, który własnoręcznie skonstruował. Czuł gładką powierzchnię cylindra i szorstkie miejsca, w których złączył wszystkie części w całość, zostawiając otwory na guziki wysuwające energetyczne ostrze. Zastanawiał się, czy i jak mógłby użyć broni przeciwko starożytnemu duchowi, który nauczył go wielu rzeczy. Rzeczy przerażających nie tylko dlatego, że mistrz Skywalker nigdy nie pokazałby ich swoim uczniom Jedi.

- Czy chcesz zadać mi cios tą bronią? - odezwał się nagle głuchy głos.

Gantoris odwrócił się jak użądłony i ujrzał, jak z masywnych kamiennych murów wylania się błyszcząca, ale niesamowicie czarna postać. W pierwszej chwili naprawdę zamierzał zapalić świetlny miecz i przesyć fioletowo- białym ostrzem mroczną zjawę. Powstrzymał się jednak, świadom, że nie skończyłoby się to dobrze.

Mroczna sylwetka roześmiała się, a kiedy przemówiła, w jej głosie dał się słyszeć obcy, prastary akcent.

- Doskonale! Jestem rad, że nauczyłeś się okazywać mi szacunek. Przed czterema tysiącami lat nie potrafiła mnie zniszczyć cała flota Starej Republiki i setki mistrzów Jedi, którzy do walki ze mną połączyli siły. Z pewnością nie dokonałbyś tego sam jak palec.

Mężczyzna spowity całunem mroku nauczył Gantorisa, jak pożyczać energię od innych istot żywych i w ten sposób zwiększać rezerwy własnej. Umysł Gantorisa był jasny, ale ciało zmęczone, a nerwy napięte do ostatecznych granic.

- Czego chcesz ode mnie? - zapytał. - Chyba nie pojawiłeś się tylko po to, by mnie uczyć?

Zjawa przyznała mu rację.

- Pragnę twojego g n i e w u, Gantorisie. Chcę, żebyś otworzył wrota władzy. Co prawda nie mogę istnieć w świecie fizycznym, ale mając do dyspozycji dostatecznie dużą liczbę wyznawców nauk Sithów, będę mógł spocząć w pokoju. Może będzie mi dane znów cieszyć się życiem.

- Nie dam ci swojego gniewu. - Gantoris przełknął, starając się odnaleźć pokłady drzemiącej w nim dawnej siły. - Jedi nie poddaje się gniewowi. Nie ma namiętności, jest łagodność.

- Przestań cytować komunały! - odezwała się mroczna postać, nie kryjąc rozdrażnienia w zimnym, wibrującym głosie.

- Nie ma ignorancji, jest wiedza - ciągnął Gantoris, powtarzając słowa kodeksu Jedi. - Nie ma namiętności, jest łagodność.

Spowity całunem mroku mężczyzna znów się roześmiał.

- Łagodność? W takim razie pozwól, że pokażę ci, co dzieje się właśnie w tej chwili. Czy przypominasz sobie ludzi z Eol Sha, których ocaliłeś? Czy pamiętasz, jak się cieszyłeś, kiedy powiedziano ci, że zostali przetransportowani na planetę, która wydała ci się istnym rajem? Popatrz.

W środku mrocznej sylwetki zakapturzonego mężczyzny pojawił się obraz ukazujący porośnięte trawami równiny Dantooine. Widok ten był dobrze znany Gantorisowi, gdyż oglądał taśmy z nagraniami postępów, jakie czynili jego ludzie, przetransportowani tam przez Wedge'a Antillesa.

Teraz jednak zobaczył błyskawice strzałów imperialnych laserów, równające z ziemią domy kolonistów. Ujrzał, jak po sawannach poruszają się gigantyczne roboty kroczące strzelające do wszystkiego, co się poruszało. Zapalone świetlistymi smugami domy płonęły. Krzyczący w panice ludzie biegali we wszystkie strony. Jego ludzie.

Rozpoznawał większość twarzy, ale zanim miał czas przypomnieć sobie nazwiska, uciekający koloniści jeden po drugim ginęli, zamieniając się w kule oślepiającego światła. Drzewa płonęły jak stożkowate pochodnie, a z trawionej płomieniami sawanny unosiły się kłęby ciemnego dymu.

- To kłamstwo! - krzyknął Gantoris. - To jakaś podła sztuczka!

- Nie muszę kłamać, kiedy prawda wygląda tak przeraźliwie - odparła mroczna zjawa. - A ty nie możesz zrobić nic, by tej rzezi zapobiec. Czy cieszy cię widok ginących ludzi? Czy nie pobudza cię do słusznego gniewu? Tylko w gniewie odnajdziesz prawdziwą siłę.

Gantoris ujrzał starszego mężczyznę, Wartona, którego znał przez całe życie. Kolonista stał nieruchomo w samym środku piekła. Opuścił ręce i patrzył przerażony, dopóki nie powaliła go na ziemię zielona błyskawica.

- Nie! - krzyknął Gantoris.

- Daj upust swojemu gniewowi - odezwał się mroczny duch. - Spraw, że stanę się silniejszy.

- Nie! - powtórzył Gantoris, odwracając głowę, jakby nie chciał dłużej obserwować zwęglonych ciał i płonących domów.

- Wszyscy zginęli. Ani jeden nie ocalał - zakpiła postać spowita całunem mroku. - Ani jeden.

Zapaliwszy świetlny miecz, Gantoris rzucił się w kierunku czarnej zjawy.

Z sennego koszmaru wyrwało Luke'a dopiero natarczywe pikanie Artoo- Detoo. Skywalker oprzytomniał natychmiast - posłużył się techniką Jedi, żeby pozbyć się senności i otrząsnąć z przeżytego wstrząsu.

- Co się stało, Artoo? - zapytał.

Mały robot zapiszczał, wspominając coś na temat wiadomości, która miała czekać na Skywalkera w ośrodku dowodzenia. Luke narzucił na ramiona lekki płaszcz. Stwierdził, że zbliża się czas wschodu planety, po czym pospieszył ku sali łączności holograficznej, stawiając boscie stopy na zimnych kamieniach posadzki. Turbowindą zjechał na drugi poziom świątyni i wszedł do dużej sali, która kiedyś pełniła funkcję tętniącego życiem ośrodka dowodzenia.

- Artoo, przynieś jakieś światło - powiedział.

Przecisnął się wąskim przejściem między zgromadzonymi urządzeniami, zakurzonymi krzesłami, nieczynnymi komputerowymi konsolami i stołami, zarzuconymi stosami najróżniejszych dokumentów. Kiedy dotarł do stanowiska

komunikacyjnego, które Wedge uparł się zainstalować podczas ostatniej dostawy sprzętu, włączył urządzenie.

Zobaczył postać Hana Solo, niecierpliwącego się i niespokojnie wierzącego się w fotelu nadajnika. Na widok postaci przyjaciela, która pojawiła się pośrodku płyty komunikatora, Han szeroko się uśmiechnął.

- Cześć, Luke - powiedział. - Przepraszam, że nie uwzględniłem różnicy czasów. U ciebie pewnie jeszcze nawet nie świta, prawda?

Luke przecesał czubkami palców jasnobrązowe włosy.

- Nawet Jedi musi czasami spać, Han - odparł.

Solo się roześmiał.

- No cóż, możesz nie mieć okazji do snu, kiedy dotrze do ciebie nowy uczeń. Chciałem tylko powiedzieć ci, że Kyp Durrón uznał swoje wakacje za zakończone. Myślę, że po tylu latach, spędzonych w kopalniach przypraw, zdążył przyzwyczaić się do niewygód. Wysyłam go, ponieważ najbardziej przypominającym kopalnię przyprawy miejscem, o jakim pomyślałem, jest twoja akademia. W ten sposób Kyp Durrón będzie przez cały dzień pracował, ale chociaż przy tej okazji udoskonali swoje umiejętności.

Luke uśmiechnął się do przyjaciela.

- Będę zaszczycony, jeżeli go przyślesz, Han - powiedział. - Czekamy tu na niego. Ze wszystkich uczniów właśnie on dysponuje najsilniejszym potencjałem, jaki kiedykolwiek odkryłem u kandydata Jedi.

- Chciałem tylko uprzedzić cię o tym, że przybywa - rzekł Han. - Postaram się zorganizować mu przelot na pokładzie następnego transportowca, który odleci na Yavina Cztery.

Luke zmarszczył brwi.

- A dlaczego po prostu nie przylecisz z nim swoim „Sokołem”? - zapytał.

Han zwiesił głowę. Sprawiał wrażenie przybitego i nieszczęśliwego.

- Ponieważ już nie jestem właścicielem „Sokoła” - odparł niepewnie.

- Co takiego?

Han wyglądał na wyjątkowo zakłopotanego. Było widać, że jak najszybciej pragnie zakończyć tę rozmowę.

- Posłuchaj, Luke, muszę już kończyć - powiedział. - Pozdrowię od ciebie Leię i uściskam dzieciaki.

- Dziękuję, Han, ale...

Han wyszczerzył zęby w niepewnym uśmiechu i bez słowa przerwał połączenie.

Luke nie przestał wpatrywać się w pustą przestrzeń, gdzie przed chwilą migotał wizerunek Hana. Nieco wcześniej przeżył nocny koszmar, w którego trakcie zobaczył mroczną postać tajemniczego mężczyzny podającego się za Anakina Skywalkera, a teraz otrzymał ponurą wieść, że Han straci! „Tysiącletniego Sokoła”...

Od strony korytarza dobiegły go dźwięki dowodzące, że dzieje się coś złego. Najpierw usłyszał odgłosy bosych stóp, biegnących po kamieniach, a potem liczne krzyki. Luke popatrzył w tamtą stronę, gotów zbesztać każdego ucznia za brak

panowania nad nerwami, i ujrzał, jak do ośrodka dowodzenia wpada Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy.

- Mistrzu Skywalkerze! Powinieneś natychmiast pójść ze mną!

Luke wyczuł fale promieniującego od ucznia przerażenia i cierpienia.

- Co się stało? - zapytał. - Opanuj się! Posłuż się techniką uspokajania nerwów, której was nauczyłem.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy jednak schwycił go za rękę.

- Tędy!

Obca istota o oliwkowo- żółtej skórze niemal siłą wyciągnęła Luke'a z pomieszczenia. Skywalker wyczuł kręgi przerażenia, rozchodzące się w kamiennych ścianach niczym sejsmiczne fale po trzęsieniu ziemi.

Mistrz i uczeń pobiegli razem. Skorzystali z turbo windy i dotarli na poziom, na którym znajdowały się komnaty uczniów Jedi.

Powietrze było przesycone wonią kwaśnego dymu. Luke poczuł, jak w jego żołądku zaczyna rosnąć bryła lodu, ale nie przestał ostrożnie iść dalej. Doświadczony przez trudy życia Kam Solusar i obdarzony dziwnym umysłem Streen stali na progu otwartych drzwi komnaty Gantorisa. Obaj wyglądali, jakby zbierało się im na mdłości.

Przez ułamek sekundy Luke wahał się, ale później wszedł do komnaty.

W środku niewielkiego pomieszczenia ujrzał to, co pozostało z Gantorisa. Jego ciało, szerniałe i skulone, leżało w kącie na posadzce. Sprawiało wrażenie jakby wypalonego wewnętrznym ogniem. Osmalone miejsca na kamiennych ścianach świadczyły o tym, że uczeń na oślep zadawał ciosy świetlnym mieczem. Na białych, rozsypujących się na proszek kościach było widać płyty czarnej, zwęglonej skóry. Ze strzępów tkaniny, która była płaszczem Jedi, unosiły się jeszcze smugi siwego dymu.

Na posadzce leżała rękojeść świetlnego miecza, własnoręcznie skonstruowanego przez Gantorisa. Było jasne, że musiał z kimś walczyć - i przegrał.

Chcąc zachować równowagę, Luke oparł się o zimną kamienną ścianę. Czuł, że traci ostrość wzroku, ale na widok ciała ucznia nie potrafił powstrzymać łez.

Tuż za drzwiami zgromadzili się pozostali uczniowie. Luke tak silnie uchwycił się wyslizganego skraju kamiennych drzwi, że nawet zaokrąglony brzeg wpijał się w jego palce. Musiał aż trzykrotnie posłużyć się techniką uspokajania nerwów Jedi, zanim upewnił się, że może znów panować nad swoim głosem. Kiedy odezwał się, słowa w jego ustach smakowały jak mokry popiół, tak samo, jak kiedyś przepowiedział Yoda.

- Strzeżcie się ciemnej strony - zwrócił się do uczniów.

ROZDZIAŁ

11

Po wykonaniu ośmiu pozornie chaotycznych skoków przez nadprzestrzeń, żeby zmylić każdego, kto chciałby go śledzić, Ackbar skierował myśliwiec typu B na kurs wiodący ku planecie Anoth. Leciał statkiem, który „wypożyczył” dla niego Terpfen. Twierdził, że wymazał z komputerowych baz danych wszelkie informacje o istnieniu maszyny. Ackbar nawet nie chciał wiedzieć, jakim cudem jego mechanikowi udało się tak łatwo pokonać systemy bezpieczeństwa.

Leżąca na uboczu Anoth była od kilku lat bezpieczną kryjówką dla dzieci Jedi, dzięki temu, że nikt wcześniej jej nie odkrył i nie naniósł jej współrzędnych na gwiazdne mapy. Bliźnięta wróciły do domu na Coruscant przed miesiącem czy dwoma, ale na planecie przebywało jeszcze najmłodsze dziecko, roczny Anakin. Pozostawał pod opieką wiernej pokojówki Leii, Winter, z daleka od wścibskich spojrzeń imperialnych sług czy wpływów ciemnej strony Mocy, która mogłaby wypaczyć delikatny, podatny na jej oddziaływanie umysł małaństwa.

Kiedy smugi gwiazd zamieniły się w pojedyncze punkty, Ackbar ujrzał gromadę brył stanowiących układ Anoth. Tworzyły go trzy duże kule obracające się wokół wspólnego środka ciężkości. Dwie większe bryły prawie się stykały, otoczone wspólnym płaszczem trującej atmosfery, w której środku niemal bez przerwy szalały straszliwe burze. Trzecia znajdująca się nieco dalej kula krążyła po nietrwałej orbicie w bezpiecznej odległości od tamtej dwójki. Właśnie na tej planecie, w strzeżonej twierdzy, Ackbar, Luke i Winter ukrywali małego Anakina.

W przestworzach między dwoma niemal stykającymi się bryłami Anoth było widać krzaczaste błyskawice wyładowań atmosferycznych. Piekło zjonizowanych gazów skutecznie osłaniało trzecią, nadającą się do zamieszkania planetę. Tworzyło elektryczną burzę, która chroniła planetę przed wizytami nieproszonych gości. Cały system gwiazdny pozostawał w niestabilnym stanie. Miał ulec rozpadowi po upływie czasu, który w kosmicznej skali był niewiele dłuższy niż mrugnienie powieką, ale w ciągu ostatnich stu czy dwustu lat zapewniał istotom człekokształtnym warunki, w których mogły przeżyć.

Ackbar przeciął ciemnopurpurowe niebo Anoth, po czym skierował swój myśliwiec ku powierzchni planety. Z końców skrzydeł maszyny tryskały snopy iskier,

ale Kalamarianin był pewien, że ani jemu, ani statkowi nie stanie się nic złego. Pomyślał, że lądowanie na Anoth jest śmiesznie proste w porównaniu z przedzieraniem się przez burzowe wiry atmosfery otaczającej Vortex.

Siedział w ciasnej kabinie myśliwca typu B odziany tylko w lotniczy kombinezon, a nie mundur admiralski. Chciał zostawić później maszynę w jednej z kalamariańskich stocznii, z której jakiś pilot Nowej Republiki odprowadzi ją z powrotem na Coruscant. On sam już nigdy nie zamierzał siadać za sterami myśliwca, więc maszyna nie była mu potrzebna.

Uruchomił system komunikacji i przesłał Winter krótką informację, że przylatuje, ale nie odpowiedział na jej pełne zdumienia pytania. Po wyłączeniu aparatury łączności, zaczął się zastanawiać, jakich słów ma użyć, żeby opowiedzieć Winter o wszystkim, co się stało. Potem skupił się na podchodzeniu do lądowania.

Rozciągająca się w dole powierzchnia Anoth wyglądała jak las spiczastych iglic, pełen ostrych krawędzi i szczytów przypominających szpony. Pomiędzy nimi było widać otwory wielu jaskiń. Powstały przed wiekami, kiedy lotne substancje wyparowały, pozostawiając jedynie lite, jakby szkliste skały.

We wnętrzu labiryntu skalnych tuneli o gładkich, błyszczących ścianach znalazła tymczasowe schronienie i Winter, i troje potomków Jedi. W tej chwili piastunka opiekowała się tylko najmłodszym. Po upływie następnego roku, kiedy Anakin ukończy dwa lata, miała powrócić na Coruscant do czynnej służby w rządzie Nowej Republiki.

Małe białe słońce planety nigdy nie dostarczało Anoth wystarczającej ilości światła. Na powierzchni panował gotycki purpurowy zmierzch, tylko od czasu do czasu rozjaśniany błyskami międzyplanetarnych wyładowań atmosferycznych. Ackbar i Luke Skywalker odkryli planetę i spośród wielu innych właśnie ją uznali za najbezpieczniejsze miejsce na kryjówkę dla potomków Jedi. Teraz, przed powrotem na macierzysty świat, Kalamar, Ackbar chciał odwiedzić ją po raz ostatni.

Bardzo współczuł maleńkiemu Anakinowi, który w ciągu pierwszego roku życia musiał mieszkać w tak niegościnnym miejscu. Ackbar zawsze czuł silną emocjonalną więź łączącą go z najmłodszym dzieckiem Leii, i dlatego chciał się z nim pożegnać, zanim na zawsze zaszyje się przed wzrokiem ludzi.

Obniżył lot myśliwca i zaczął lecieć nad skałami, pewną ręką kierując maszynę ku wlotom całej gromady jaskiń. Uruchomił silniki manewrowe i włączył repulsory, a potem łagodnie osadził myśliwiec na dnie wielkiej groty.

Czekając, aż silniki umilkną, i przygotowując się do wyjścia, ujrzał, jak w przeciwległej skalnej ścianie otworzyły się metalowe drzwi. Na progu pojawiła się wysoka kobieta o stanowczym, nieugiętym wyrazie twarzy. Jej szata i siwe włosy nie pozostawiały cienia wątpliwości, że jest to wierna służąca Leii, Winter. Ackbar pomyślał, że kobieta wygląda poważnie i dostojnie, mimo iż jest istotą ludzką.

Nieporadnie, z trudem stawiając zeszywniałe nogi, wygramolił się z kabiny myśliwca i odwrócił głowę, by nie spojrzeć prosto w oczy kobiety. Kątem oka zauważył jednak, że u jej stóp bawi się roczne dziecko. Wydawało pełne zadowolenia dźwięki, jakby cieszyło się z wizyty niespodziewanego gościa. Ackbar poczuł dreszcz

na myśl o tym, że najprawdopodobniej widzi ciemnowłosego chłopca po raz ostatni. A później przemówiła Winter. Ackbar nigdy nie słyszał takiego zaniepokojenia w jej zazwyczaj spokojnym, pozbawionym emocji głosie.

- Admirale Ackbar, bardzo proszę powiedzieć mi, co się stało.

Kalamarianin odwrócił się ku niej i wskazał na lotniczy kombinezon, na którym nie było już naszywek stopnia wojskowego.

- Już nie jestem admirałem - oznajmił. - I to bardzo długa historia.

Ackbar siedział przy stole, jedząc przygotowany z racji żywnościowych posiłek, który dzięki umiejętnościom Winter smakował nawet całkiem dobrze. Opowiedział kobiecie ze szczegółami o tragedii na Vortex i wyjawiał powody, dla których postanowił zrezygnować z dalszej służby. Winter go nie potępiała. Siedziała i słuchała, bardzo rzadko mrugając powiekami i jeszcze rzadziej kiwając głową.

Mały Anakin bawił się na kolanach Ackbara, gaworzył do siebie, przesuwając ciekawskimi dłońmi po zimnej, wilgotnej skórze i starał się dosięgnąć wielkich, szklistych oczu Kalamarianina. Chichotał, kiedy gałki oczne obracały się w różne strony, by uniknąć zetknięcia z pulchnymi paluszkami.

- Czy zostanie pan tu na noc, panie... - zaczęła Winter, ale urwała, jakby zakłopotana, że omal nie nazwała go admirałem.

- Nie - oświadczył Ackbar, unosząc z kolan dziecko i tuląc je do piersi. - Nie mogę. Nikt nie powinien podejrzewać, że tu jestem. Gdybym pozostał tu zbyt długo, zorientowaliby się, że nie polecałem prosto na Kalamar.

Winter zawahała się przez chwilę, a kiedy znów się odezwała, w jej głosie dało się usłyszeć więcej emocji niż zazwyczaj.

- Wie pan dobrze, że zawsze bardzo wysoko ceniłam pańskie umiejętności. Dlatego wyświadczyłby mi pan zaszczyt, gdyby zechciał pan zostać tu ze mną, zamiast lecieć na swój świat, by się ukryć.

Ackbar popatrzył na kobietę i poczuł, że przez jego ciało przepływa fala wzruszenia. Propozycja Winter zawierała w sobie tyle siły, że zdołała zmyć z jego sumienia grubą warstwę poczucia winy i wstydu.

Kiedy nie odpowiedział natychmiast, ciągnęła, jakby chciała podać więcej argumentów.

- Jestem sama, skazana tylko na własne siły i bardzo przydałaby mi się pana pomoc. Dziecko czuje się samotne... i ja także.

Ackbar w końcu odzyskał spokój ducha na tyle, że mógł odpowiedzieć. Unikając spojrzenia Winter, odezwał się szybko, jakby bał się, że może zmienić zdanie.

- Pani oferta to dla mnie wielki zaszczyt, ale obawiam się, że nie jestem jej godzien. A przynajmniej jeszcze nie w tej chwili. Muszę lecieć na Kalamar i tam czekać, aż odnajdę wewnętrzny spokój. Jeżeli... - Urwał, gdyż poczuł, że dalsze słowa nie chcą przejść przez jego gardło. Zorientował się, że drży. - Jeżeli znajdę pokój, może wróć. Do pani... i do dziecka.

Kiedy wspinał się do kabiny statku, czuł na sobie spojrzenie kobiety. Włączył repulsory, uniósł myśliwiec i skierował dziób ku otworowi groty. Obrócił głowę i ujrzał Winter stojącą na progu drzwi. Kilka razy włączył i wyłączył pozycyjne światła.

Winter uniosła rękę i pomachała mu na pożegnanie. Później drugą dłonią ujęła rączkę Anakina i także nią pomachała.

Myśliwiec Kalamarianina wystrzelił w przestworza.

Na Coruscant pozostał Terpfen. Drżąc i czując, że ogarnia go atak mdłości, leżał w prywatnej komnacie i ze wszystkich sił usiłował się opierać. W końcu jednak organiczne obwody w środku tego, co było kiedyś jego mózgiem, wzięły górę i pokonały jego wolę.

Wstał i poruszając się jak automat, zszedł do pomieszczenia wysyłania wiadomości, które znajdowało się na jednym z najniższych poziomów dawnego Pałacu Imperialnego. Nikt nie zwracał uwagi na to, co robi w wielkiej, zatłoczonej sali, pełnej dyplomatycznych androidów spieszących w różne strony. Niosąc paczki lub ważne przesyłki, kierowały się ku różnym ambasadom lub platformom startowym.

Terpfen zakodował tajną wiadomość, zawierając w niej wszystkie informacje. Uzyskał je z ukrytego nadajnika, który potajemnie umieścił na pokładzie myśliwca Ackbara. Zapieczętował wiadomość i umieścił ją we wnętrzu pojemnika przypominającego trumnę, po czym zasłonił ciałem aparaturę do wysyłania. Spojrzał ukradkiem w prawo i w lewo, a potem wystukał na klawiaturze osobisty dyplomatyczny kod admirała. Wiedział, że dzięki temu będzie mógł uniknąć wszelkich kontroli i opłat celnych. Na szczęście nikomu jeszcze nie przyszło na myśl, żeby unieważnić kombinację cyfr i liter Ackbara.

W przeciwnym końcu urzędnicy otworzyły się wylotowe drzwiczki i na polu startowym pojawił się srebrzysty pojemnik z wiadomością. Tknięty nagłym wyrzutem sumienia, Terpfen wyciągnął ręce i usiłując pochwycić gładkie ścianki, niemal zarysował powierzchnię ostrymi krawędziami dłoni. Pojemnik wystrzelił jednak w przestworza i po chwili zniknął na niebie Coruscant.

Aby uniemożliwić komukolwiek wytropienie miejsca lądowania, Terpfen zaprogramował aż pięć różnych tras lotu. Był pewien jednak, że pojemnik z wiadomością wyląduje szybko i bezpiecznie na terenie imperialnej akademii wojskowej na Caridzie. Wiedział, że zakodowana wiadomość zostanie wyświetlona tylko na osobistym ekranie ambasadora Furgana. Zdradzi mu współrzędne nieznanej planety, na której zostało ukryte ostatnie dziecko Jedi.

ROZDZIAŁ

12

- Dasz sobie radę, chłopcze - odezwał się Han, usiłując zachować szeroki uśmiech na twarzy.

Kyp Durrton stał przed drzwiami prywatnego apartamentu Hana i Leii. Kiwnął głową, było widać jednak, że lekko drżą mu wargi.

- Będę się starał, jak najlepiej potrafię, Han - odparł. - Wiesz o tym.

Czując, że nie umie powiedzieć ani słowa, Han uściśnął Kypa. Nie przestawał kłać w duchu klujących łez, które nabiegły mu do oczu.

- Zostaniesz najlepszym Jedi, jaki istniał - powiedział. - Wkrótce prześcigniesz nawet Luke'a.

- Bardzo wątpię - rzekł Kyp. Uwolnił się z objęcia Hana i odwrócił głowę, ale i on nie potrafił ukryć łez w błyszczących oczach.

- Zaczekaj - odezwał się Han. - Mam dla ciebie coś jeszcze, zanim odejdziesz.

Niemal wbiegł do swojego pokoju i po chwili powrócił z niewielkim zawiniątkiem. Kyp ujął je z niepewnym uśmiechem i wyciągnął z opakowania miękką czarną pelerynę, połyskującą srebrzystymi niemi, jakby utkaną ze światła gwiazd na bezchmurnym niebie.

- Dał mi ją Lando - ciągnął Han. - Zapewne dręczony wyrzutami sumienia z powodu odebrania mi „Sokoła”, ale ja przecież nie mogę pokazać się w czymś takim. Chciałbym więc, żebyś ty ją nosił. Po spędzeniu tylu lat w mrocznych i zakurzonych tunelach kopalni przyprawy zasługujesz na to, żeby mieć coś ładnego.

Kyp się roześmiał.

- Chcesz powiedzieć, że powinienem mieć coś przyzwoitego co mógłbym wkładać podczas uroczystości w akademii Jedi? - zapytał, ale po chwili spoważniał. - Dzięki, Han... za wszystko. Teraz muszę już iść. Lecę z generałem Antillesem, który ma eskortować Pogromcę Słońc na Yavina. Obiecał, że przy okazji podrzuci mnie do akademii Luke'a.

- Powodzenia - odezwał się Han.

- Przykro mi, że straciłeś „Sokoła” - oświadczył młodzieniec.

- Nie martw się - odparł Han. - I tak był niewiele lepszy niż sterta złomu.

- Masz rację - przyznał Kyp z uśmiechem, ale obaj wiedzieli, że naprawdę tak nie myśli.

- Chcesz, żebym odprowadził cię do hangaru? - zapytał Han, zdając sobie w tej samej chwili sprawę z tego, że wcale nie jest pewien, czy chciałby to zrobić.

- Nie-e - odparł Kyp, odwracając się plecami do drzwi. - Nie znoszę długich pożegnań. Do zobaczenia przy następnej okazji.

- Trzymaj się, chłopcze - powiedział Han.

Przez dłuższy czas wpatrywał się w sylwetkę Kypa. Obserwował, jak młodzieniec stawiając drugie, pozornie sprężyste kroki, kieruje się korytarzem do turbowindy.

W pierwszej chwili miał zamiar wrócić do swojego pokoju, ale zmienił zdanie i pomyślał, że zejdzie do jakiegoś baru. Leia udała się na jedno z posiedzeń rady, w którym miała także brać udział Mon Mothma. Han wiedział, że takie zebrania przeciągały się zazwyczaj do późnych godzin nocnych. Bliźnięta spały, więc tylko polecił Threepiowi, by nie ograniczał mocy wyjściowej i opiekował się dziećmi.

Ostatecznie wylądował w tej samej świetlicy, w której kiedyś on i Lando grali w sabaka o to, kto zostanie właścicielem „Sokoła”.

Przez okno było widać panoramę prostopadłościennych budynków odbudowywanego Imperial City. Metalowe i transplastowe gmachy wznosiły się na wysokości, na których powietrze było rozrzedzone. Na wyniosłych iglicach wieżach błyskały różnobarwne światła ostrzegawczych nadajników i parabolicznych anten. Między smukłymi wieżowcami przemykały się startujące i lądujące wahadłowce, korzystając z powietrznych prądów.

Przy sąsiednim stoliku siedział ithoriański ambasador, z głową, podobną do obucha, skierowaną w stronę głośników syntetyzatora dźwięków. Cicho mrucał, wtórując atonalnym szumom, i odrywał małe liście z przekąski w kształcie paproci. Przy innym stoliku Ugnaught zwracał głowę przypominającą pysk mopsa ku wykwintnie ubranemu Ranatowi, z którym grał w elektroniczne kości. Między stolikami krążył android barowy usiłujący obsługiwać gości.

Han usiadł przy stoliku i po kilku chwilach zupełnie zapomniał, gdzie jest i po co przyszedł. Rozmyślał o dziwnych kolejach swojego losu i o tym, jak bardzo zmieniło się jego życie od czasów, kiedy przemycał przyprawę, pracując dla Hutta Jabby, a później awansował na generała Sojuszu Rebeliantów. Czuł, że jego życie nadal ma sens i miał wrażenie, że wciąż robi wiele potrzebnych rzeczy, ale wiedział też, że nie dają mu tyle p r a w d z i w e j radości, co kiedyś.

Dużo przyjemności sprawiło mu spędzanie czasu z Kypem Durrinem. Młodzieniec bardzo przypominał mu jego samego, ale teraz odlatywał, żeby stać się takim samym Jedi jak Luke Skywalker.

- Będziesz tęsknił za tym chłopcem, prawda? - usłyszał nagle czyjś głęboki głos. Uniósł głowę i ujrzał Landa Calrissiana, który stał przy stoliku i szeroko się uśmiechał.

- Co tu robisz? - zapytał, nie potrafiąc ukryć rozdrażnienia.

- Kupuję ci coś do picia staruszk - odparł Lando. Podał Hanowi szklanę z tym samym wielowocowym sokiem, który Han zafundował mu podczas gry w sabaka

wówczas, gdy grali o „Sokoła”. Nie brakowało nawet jaskrawego tropikalnego kwiatu zdobiącego szklanę.

- Wielkie dzięki - powiedział Han.

Pociągnął mały łyk, skrzywił się, a potem wypił większy. Lando odsunął krzesło i usiadł przy stoliku.

- Nie zapraszałem cię, żebyś usiadł - burknął Han.

- Posłuchaj - odparł Lando, starając się, żeby jego głos brzmiał poważnie. - Kiedy wygrałeś ode mnie „Sokoła” w sabaka, czy przez kilka następnych lat gniewałem się i nie odzywałem do ciebie?

Han wzruszył ramionami i spojrzał na Calrissiana.

- Nie wiem - odparł. - Przez kilka następnych lat właściwie trzymałem się na uboczu. - Przerwał, ale potem pospiesznie dodał: - A kiedy się spotkaliśmy, wydałeś mnie Darthowi Vaderowi.

- Hej, to nie była moja wina, a później aż z nawiązką ci to wynagrodziłem - przypomniał Lando. - Posłuchaj, mam dla ciebie propozycję. Uważam, że kiedy będziesz mógł, ty i ja powinniśmy polecieć „Sokołem” i przekonać się, co zostało z Kessel. Może znajdziemy tam mój stary statek. Jeżeli tak, z przyjemnością przesiądę się na „Ślicznotkę”, a ty będziesz mógł mieć swojego „Sokoła”. - Wyciągnął wielką dłoń. - Co ty na to?

Han niechętnie przyznał, że było to najlepsze wyjście, jakiego mógł się spodziewać w swojej sytuacji.

- Zgadza się, kumpl - odparł, potrząsając ręką Calrissiana.

- Solo! - odezwał się dźwięczny kobiecy głos. - Mówiono mi, że cię tutaj znajde.

- Czy człowiek już nie może mieć ani chwili dla siebie? - zapytał.

Odrzucił się i ujrzał szczupłą, powabną kobietę stojącą przy drzwiach świetlicy. Miała długie do ramion rudobrzowe włosy o odcieniu przypominającym barwę egzotycznej rośliny. Jej twarz sprawiała wrażenie jakby wyrzeźbionej: szczupły podbródek i wąskie usta, które zapewne przez wiele lat zaciskały się w cienką linię i dopiero niedawno nauczyły się układać do uśmiechu. Kryształki lodu, które kiedyś stanowiły nieodłączną część oczu Mary Jade, częściowo stopiły się od czasów, kiedy Han widział ją po raz ostatni.

Lando wstał, szarmanckim, zamaszystym gestem zsunął pelerynę na plecy i wyciągnął rękę.

- Coś takiego! - powiedział. - Witam, witam! Proszę się do nas przysiąść, panno Jade. Czy mogę przynieść pani coś do picia? Spotkaliśmy się już kiedyś, ale nie jestem pewien, czy mnie pani pamięta. Jestem...

- Zamknij się, Calrissian - odparła kobieta. - Muszę porozmawiać z Hanem Solo.

Lando roześmiał się i nie zwracając uwagi na jej słowa, oddalił się, żeby przynieść drinka.

Na ramionach i rękawach kurtki Mary Jade było widać ciemniejsze prostokątne ślady jakby po odprutych niedawno naszywkach wojskowego stopnia. Kobieta była kiedyś Ręką Imperatora, specjalną doradczynią samego Palpatine'a. Po jego śmierci

uznała, że życie straciło wszelki sens. Winiła za to Luke'a Skywalker'a i poprzysięgła mu zemstę, z której zrezygnowała stosunkowo niedawno.

Obecnie, po wycofaniu się z interesów słynnego przemytnika Talona Karrde'a, Mara sprawiała wrażenie kobiety mniej skrytej i bardziej skłonnej brać udział w ważniejszych wydarzeniach. Chcąc pomóc w walce z wielkim admirałem Thrawnem, doprowadziła nawet do powstania kruchej koalicji przemytników. Organizacja ta istniała w dalszym ciągu, mimo iż najgorsi zbrodniacy w rodzaju osławionego Morutha Doole'a z Kessel nie chcieli mieć nic wspólnego z Nową Republiką i sojuszem przemytników.

- Co sprowadza cię do nas na Coruscant, Maro? - zapytał Han.

Wrócił Lando, niosąc dwie szklanki z tym samym wieloowocowym sokiem: jedną dla siebie i drugą dla kobiety. Postawił je na stoliku, ale Mara Jade demonstracyjnie zignorowała swoją i ciągnęła, zwracając się do Hana.

- Przynoszę ci wiadomość. Jeżeli chcesz, zapoznaj z nią wszystkich, których może interesować. Twoja imperialna przyjaciółka, admirał Daala, wysłała swoich emisariuszy, chcąc nakłonić przemytników, by zostali jej szpiegami i sabotażystami. Niektórzy skorzystali z propozycji, ale nie sądzę, żeby większość zechciała zaufać Daali po tym, jak rozprawiła się z obronną flotą Kessel. Chociaż Moruth Doole nie należał do naszego przemytnika, był przemytnikiem, jednym z nas - a przemytnicy trzymają się razem, zwłaszcza jeżeli chodzi o walkę z imperialnymi sługusami.

- Tak - odparł Han. - Otrzymałszy wiadomość, że zaatakowała jeden z naszych transportowców i zniszczyła go, zanim dotarł na Dantooine.

Mara spojrzała na niego, a w jej oczach znów jakby pojawiły się kryształki lodu.

- Czy naprawdę nie słyszałeś, co stało się z waszą kolonią na tej planecie? - zapytała. - Wiesz, admirał Daala już ją odwiedziła.

- Co takiego? - równocześnie zawołali zdumieni Han i Lando.

- Mała grupa inżynierów Nowej Republiki zakłada tam bazę łączności - wyjaśnił Han. - Od jakiegoś tygodnia czy dwóch nie połączyliśmy się z nimi ani razu.

- No cóż, już nie musicie - rzekła Mara. - Przed dwoma dniami wszyscy koloniści i inżynierowie Nowej Republiki zostali zabici. Kolonia na Dantooine została zrównana z ziemią. Daala unicestwiła ją ogniem trzech gwiazdnych niszczycieli, a później znów zniknęła, by zaszyć się w nieznanym miejscu.

- A ty przyleciałaś tu tylko po to, by przekazać tę informację? - zapytał Han, starając się otrząsnąć z przeżytego wstrząsu.

Mara upiła duży łyk słodkiego wysokokalorycznego soku, który tak bardzo zdawał się smakować Calrissianowi. Wzruszyła ramionami.

- Zawarłam umowę z rządem Nowej Republiki, a ja zawsze dotrzymuję swoich zobowiązań.

Han czuł, jak narasta w nim gniew i złość z powodu postępków Daali. Lando postanowił zmienić temat rozmowy.

- A więc dokąd teraz pani leci, panno Jade? - zapytał.

Pochylił się nad stołem i skierował na kobietę swoje piwne oczy. Sprawiał wrażenie, iż chce stopić kryształki lodu w jej źrenicach. Han przewrócił oczami.

- Jeżeli pani chce, przez jakiś czas może pani tutaj zostać - ciągnął Lando. - Z przyjemnością pokazałbym pani kilka najciekawszych miejsc w mieście. Zwłaszcza z wierzchołka wielkiej wieży widok jest naprawdę wspaniały.

Mara obdarzyła go lodowatym spojrzeniem, jakby zastanawiała się, ile wysiłku miałyby kosztować ją udzielenie odpowiedzi na jego pytanie.

- Za chwilę odlatuję - oświadczyła. - Mam zamiar spędzić trochę czasu w ośrodku szkolenia kandydatów Jedi Luke'a Skywalker'a. Ze względu na mój zawód doszłam do wniosku, że powinnam się nauczyć jak najlepiej korzystać ze swoich umiejętności Jedi. Chociażby tylko po to, by używać ich do samoobrony.

Han wyprostował się, zdumiony.

- Naprawdę zamierzasz uczyć się w akademii Luke'a? - zapytał. - Myślałem, że go nienawidzisz! Kilka razy starałaś się go zabić.

Mara spojrzała na niego, jakby chciała przeszyć wzrokiem na wylot, ale po chwili popatrzyła nieco łagodniej i nawet się uśmiechnęła.

- My... doszliśmy do porozumienia - odparła. - Można nawet powiedzieć, że zawarliśmy rozejm. - Zerknęła na szklankę z napojem, ale jej nie dotknęła. - A przynajmniej na razie - dodała, a potem uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Wstała, zamierzając wyjść ze świetlicy. - Dziękuję ci za to, że poświęciłeś mi tyle czasu, Solo.

Wyszła, całkowicie ignorując obecność Calrissiana.

Lando obserwował, jak kieruje się do drzwi. Podziwiał połyskującą satynową szarą tkaninę jej marynarskich spodni i obcisłej kurtki.

- Ostatnio bardzo wyładniała - zauważył.

- Ta- a, słyszałem, że tak zawsze dzieje się z większością płatnych morderców tuż po przejściu na emeryturę - oświadczył Han.

Lando sprawiał wrażenie, że go nie usłyszał.

- Jak mogłem nie zauważyć jej w tronowej sali Hutta Jabby? - mruknął. - Ona tam była i ja także, ale wcale jej nie widziałem.

- Ja też tam byłem - przypomniał Han. - I też jej nie widziałem. Rzecz jasna, przebywałem tam zamrożony w bryle karbonitu.

- Myślę, że mnie lubi - stwierdził Lando. - Może zgłoszę się na ochotnika jako pilot następnego transportowca lecącego z zaopatrzeniem na Yavina Cztery, żeby móc jeszcze raz ją zobaczyć?

Han pokręcił głową.

- Posłuchaj, Lando, przecież ona chciała, żebyś zniknął - powiedział. - Nawet nie dała po sobie znać, że cię widzi.

Lando wzruszył ramionami.

- Czasami potrzeba trochę więcej czasu, żeby mój osobisty urok zaczął działać. - Błysnął zębami w jednym ze swoich olśniewających uśmiechów, którymi zawsze czarował kobiety. - A kiedy zacznie...

- Och, bracie - westchnął Han.

Dopił sok i wyszedł, a tymczasem Lando dalej siedział przed swoją szklanką soku, której najprawdopodobniej nawet nie dostrzegął.

ROZDZIAŁ

13

Następnego wieczoru Leia właśnie usiadła, by nacieszyć się posiłkiem w towarzystwie męża i dzieci, kiedy otrzymała nagłą wiadomość od Mon Mothmy.

Jak zwykle, przez cały dzień była zajęta pracami rządu. Po katastrofie na planecie Vortex nie miała ani chwili wytchnienia, a liczba jej obowiązków jeszcze wzrosła, gdyż Mon Mothma z każdym dniem coraz bardziej wycofywała się z publicznego życia. Wymawiała się od mniej istotnych spotkań i wysyłała na nie Leię w charakterze swojej zastępczyni.

Leia nawykła do zajmowania się sprawami natury politycznej, dorastając na spokojnym Alderaanie jako córka senatora Baila Organy obdarzonego dużą władzą. Przyzwyczała się do ciągłych wezwań, wiadomości pojawiających się o najróżniejszych porach dnia i nocy, prowadzonych szeptem negocjacji czy nieszczerych, wymuszonych uśmiechów. Postanowiła udać się w ślady senatora Organy, dobrze wiedząc, jakiego to będzie wymagało poświęcenia.

Wszystkie chwile, które niemal ukradkiem spędzała w towarzystwie Hana i bliźnięt, ceniła jak najdroższy skarb. Wydawało się jej, że całe wieki upłynęły od chwili, kiedy po raz ostatni mogła odwiedzić maleńkiego Anakina, chociaż sam Han poleciał do Winter aż dwa razy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Tego dnia Leia wróciła do mieszkania dość późno, wzburzona i zmęczona, ale zastała Hana, Jacena i Jainę czekających na nią z obiadem. Posiłek przyrządził Threepio jako test swojego nowego i nie sprawdzonego kulinarnego oprogramowania, które przekazał mu komputer syntetyzatora żywności.

Usiedli w miejscu, w którym zwykle jadali, gdzie świecące paski nadawały pomieszczeniu kojące, różowo-brzoskwiniowe barwy. Han włączył łagodną muzykę, napisaną przez jednego z ulubionych alderańskich kompozytorów, a potem wszyscy zasiedli do stołu, zastawionego wykwinną imperialną porcelanową zastawą pochodzącą z prywatnych zbiorów nie żyjącego Imperatora.

Nie miał to być romantyczny posiłek, gdyż liczące po dwa i pół roku bliźnięta nieustannie domagały się uwagi, uderzając srebrnymi sztućcami o blat stołu, ale Leia tym się nie przejmowała. Cieszyła się, że Han zrobił wszystko, co było w jego mocy, żeby jego żona mogła spędzić ten wieczór w rodzinnym gronie.

Uśmiechnęła się, kiedy Threepio podał obiad. Była to całkiem przyjemnie wyglądająca rolada z mięsa jakiegoś egzotycznego trawożernego zwierzęcia, pikantne bulwy i słodkie placki nadziewane niezwykle smacznymi jagodami.

- Spodziewam się, że będzie smakowało - oświadczył android, z ukłonem stawiając nieco mniejsze porcje przed Jacenem i Jainą.

- Obrzydliwe - odezwał się Jacen.

Jaina spojrzała na brata, jakby szukała u niego poparcia, a potem powiedziała:

- Nie lubię tego.

Oburzony Threepio wyprostował się.

- Dzieci, nawet nie tknęłyście jedzenia - zaprotestował. - Nalegam, byście chociaż spróbowały.

Leia i Han wymienili spojrzenia, a potem się uśmiechnęli. I chłopiec, i dziewczynka mieli błyszczące oczy, podobne rysy twarzy i ciemnobrązowe włosy jak ich rodzice. Bliźnięta były jak na swój wiek wyjątkowo rozwinięte. Mówiły krótkimi, ale pełnymi zdaniem. Zdumiewały rodziców wiadomościami, które zdobywały, i pomysłami, jakie czasami przychodziły do ich głów.

Wydawało się, że Jacen i Jaina opanowali własny sposób porozumiewania się ze sobą. Bardzo często świetnie się rozumieli, mówiąc tylko część zdania, albo w ogóle nie odzywając się do siebie, jakby tylko czytali w myślach. Leii wcale to nie dziwiło. Luke powiedział jej przecież, że Moc w jej rodzinie jest bardzo silna.

Han uważał, że dzieci wiedzą jak korzystać ze swoich umiejętności znacznie lepiej niż skłonne są to przyznać. Zdarzało się, że zastawał drzwi sekretarzyka w tajemniczy sposób otwarte po tym, jak upewniał się, iż dobrze je zamknął. Czasami błyszczące zabawki, które zostawiał na najwyższych półkach, znajdowały się na podłodze, jakby używane do zabawy. Syntetyzatory żywności, pozostające zawsze poza zasięgiem rączek dzieci, bywały przeprogramowywane w ten sposób, żeby dodawały po dwie łyżki słodzika do wszystkich potraw, nie wyłączając zupy.

Biedny Threepio, zakłopotany tymi dziwnymi zjawiskami, nieustannie przeszukiwał najrozmaitsze i najstarsze bazy danych. Uważał, że najlepszym wyjaśnieniem wszystkich zdarzeń może być zamierzchły przesąd dotyczący złośliwych duchów. Leia podejrzewała jednak, że może mieć to jakiś związek z małymi dziećmi i ich umiejętnościami Jedi.

Leia ugryzła kawałek cienko pokrojonego i posypanego suszonymi ziołami mięsa. Stwierdziła, że ma wspaniały zapach, przypominający trochę woń orzechów. Było delikatne, miękkie i znakomicie przyprawione, by zneutralizować gorycz, jaka często pozostawała po spożyciu importowanych filetów z mięsa zwierząt roślinożernych. Leia zastanawiała się, czy nie powinna pochwalić protokolarnego androida, ale pomyślała, że zapewne stałby się zbyt zachwycony sobą.

- Popatrzcie, co robi Jaina! - odezwał się nagle Jacen.

Leia zobaczyła w osłupieniu, jak mała dziewczynka trzymając na czubku paluszka delikatny szpikulec z pikantnymi bulwami i posługując się Mocą, obraca nim jak bakiem.

- Panienko Jaino, bardzo proszę natychmiast przestać bawić się jedzeniem - powiedział Threepio.

Zdumieni Han i Leia spojrzeli na siebie. Leia była zadowolona, że Luke utworzył w końcu swoją akademię. Pomyślała, że kiedyś jej dzieci będą mogły lepiej zrozumieć, jakim wspaniałym i potężnym darem zostały obdarzone.

Kurant u drzwi rozległ się w salonie głośno niczym dzwon narowy. Hałas wystraszył Jainę. Utrzymywany w chwiejnej równowadze szpikulec spadł z jej palca i dziewczynka się rozplakała.

Han westchnął, a Leia z cichym jęknięciem wstała i ruszyła do drzwi.

- Nie wierzyłam, że bez przeszkód dotrzemy do końca - powiedziała.

Uruchomiła mechanizm zamka. Ozdobna plastalowa płyta z cichym sykiem się odsunęła, ukazując androida- posłańca unoszącego się na repulsorach. Stał na korytarzu, niecierpliwie podskakując niczym korek na wodzie i błyskając wirującymi światełkami.

- Pani minister stanu Leio Organa Solo - zaczął. - Przywódczyni Mon Mothma chciałaby natychmiast widzieć panią w swoim prywatnym apartamencie w celu odbycia niecierpiącej zwłoki narady. Proszę iść za mną.

Siedzący przy stole Han przewrócił oczami i zrobił marsową minę, nie patrząc właściwie na nikogo. Był wyraźnie zły na to, że Leię znów wzywają obowiązki. Jaina nie przestawała płakać, a w dodatku przyłączył się do niej Jacen. Threepio starał się uspokajać dzieci, ale bez najmniejszego rezultatu.

Leia spojrzała błagalnie na Hana, ale on zrobił nieznaczny ruch ręką na pożegnanie.

- Idź, Mon Mothma cię potrzebuje - powiedział.

Leia przygryzła dolną wargę. Wyczuła w jego głosie gorycz, której usiłował nie okazywać.

- Postaram się, żeby trwało to jak najkrócej - obiecała. - Wrócę tak szybko, jak będzie możliwe.

Han kiwnął głową i zajął się jedzeniem, jakby jej nie uwierzył. Spiesząc jasno oświetlonym i łukowato sklepionym korytarzem za unoszącym się posłańcem, Leia poczuła, jak w jej żołądku narasta jakaś klucha. Stwierdziła, że zaczyna kipieć w niej irytacja i sprzeciw, ale nie przestawała iść miarowym, zdecydowanym krokiem.

Zgadzała się na wiele rzeczy. Ze schyloną pokornie głową szła wszędzie, dokąd kazała jej iść Mon Mothma. Miała jednak własną rodzinę i musiała spędzać z nią chociaż trochę więcej czasu. Jej kariera zawodowa była ważna, a może nawet bardzo ważna, ale Leia poprzysięgła sobie, że będzie się zajmowała i jednym, i drugim. Musiała jednak zdecydować, co ważniejsze, i postępować zgodnie z przyjętymi regułami.

Podążając za androidem- posłańcem, dotarła do turbowindy, która przewiozła ją do odosobnionej części dawnego Pałacu Imperialnego. Prawdę mówiąc, Leia była rada z wezwania Mon Mothmy. Sama zamierzała poruszyć kilka spraw w trakcie rozmowy z przywódczynią Nowej Republiki. Była pewna, że obie potrafią dojść do kompromisu.

Kiedy jednak android przekazał urzędzeniu wejściowemu specjalny kod dostępu, dzięki czemu opancerzone drzwi prywatnego apartamentu Mon Mothmy się odsunęły, Leia poczuła, jak jej serce przeszywa coś zimnego jak sople lodu. Komnaty przywódczyni Nowej Republiki były zbyt ciemne, oświetlone jedynie łagodnym zielonkawym światłem jarzeniowych lamp, mającym zapewnić odpowiednie warunki do relaksu, odpoczynku... i leczenia. Leia poczuła mdlący zapach różnych lekarstw i dziwnych środków, a jej gardło zaczęła ścisnąć świadomość, że Mon Mothma musi być ciężko chora.

Weszła do następnej komnaty i ujrzała, że wazony są pełne lilii i storczyków, które przesycały powietrze słodką wonią mającą zagłuszyć nieprzyjemny zapach lekarstw.

- Mon Mothmo? - zapytała. W ograniczonej przestrzeni pomieszczenia jej głos zabrzmiał dziwnie głucho.

Uchwyciła kątem oka jakiś ruch, odwróciła więc głowę w lewo i ujrzała androida medycznego typu Too- Onebee o głowie przypominającej pocisk. Mon Mothma, otoczona diagnostycznymi przyrządami, leżała na wielkim łożu. Była tak wychudzona, że wyglądała jak mumia. Inny niewielki robot nadzorował wskazania przyrządów i czujników. Jeżeli nie liczyć cichego szmeru automatów, w pomieszczeniu panowała niezwykła cisza.

Leia czuła się trochę zakłopotana tym, że zwraca uwagę na mało istotne rzeczy. Na stoliku stojącym obok łoża Mon Mothmy dostrzegła słoiczki z kosmetykami i syntetycznymi środkami do upiększania twarzy, jakby kobieta rozpaczliwie starała się ukryć objawy choroby przed spojrzaniem innych ludzi.

- Ach, Leio - odezwała się Mon Mothma. Jej głos zabrzmiał patetycznie cicho, jak szmer zeschniętych liści. - Dziękuję ci, że przyszedłeś. Nie mogę ukrywać dłużej swojej tajemnicy. Muszę o wszystkim ci opowiedzieć.

Leia przelknęła ślinę. Czuła, że wszystkie jej pełne oburzenia argumenty parują niczym mgła w promieniach czerwonego giganta. Usiadła obok łoża Mon Mothmy na niewielkim wyściełanym krześle i słuchała, nie odzywając się ani słowem.

Han nie zdążył położyć dzieci do łóżek, kiedy wróciła Leia. Na myśl o tym, że znów przeszkodziły im jej obowiązki, przez całą resztę wieczoru czuł się zniechęcony i rozdrażniony. Aby skrócić czas oczekiwania na powrót żony, bawił się z bliźniętami, jakby szukał pociechy w ich towarzystwie.

Leia weszła cicho do salonu. Threepio zakończył właśnie codzienną ceremonię kąpienia dzieci w wodzie z bąbelkami, a Han odpoczywał w salonie, przyglądając się utrwalonym obrazom przedstawiającym „nostalgiczne widoki Alderaanu”, które kiedyś podarował Leii. Na niewielkim postumencie stojącym w widocznym miejscu pyszniła się zabawna koreliańska maskotka, znak firmowy jakiegoś baru szybkiej obsługi. Kupiła ją kiedyś Leia i dała Hanowi w prezencie, przypuszczając, że jest to może trochę krzykliwa, ale z całą pewnością cenna rzeźba pochodząca z ojczyzny męża.

Kiedy Han ujrzał wchodzącą żonę, natychmiast wyprostował się i palcami przeczesał włosy. Leia jednak odwróciła się do niego plecami i bez słowa zajęła się

zamykaniem drzwi wejściowych. Sprawiała wrażenie przygnębionej i zamkniętej w sobie. Poruszała się powoli i bardzo ostrożnie, jakby obawiała się, że może jednym nagłym ruchem coś roztrzaskać.

- Nie spodziewałem się, że wrócisz tak wcześniej - odezwał się Han. - Czyżby Mon Mothma zrezygnowała z obarczenia cię nową pracą?

Kiedy Leia odwróciła się do niego, Han ujrzał w jej oczach drżące iskierki łez, które z trudem starała się powstrzymać. Oczy Leii były podkrążone, a wargi mocno zaciśnięte.

- Co się stało? - zapytał. - Czego chciała od ciebie tym razem? Jeżeli wymaga od ciebie zbyt wiele, sam pójde do niej i to powiem. Powinnaś...

- Ona u m i e r a, Han - szepnęła Leia.

Han urwał, czując, że jego argumenty jeden po drugim pękają jak mydlane bańki. W głowie czuł zamęt. Zanim zdołał odzyskać zdolność mowy, Leia wyjaśniła mu, o co chodzi.

- Cierpi na jakąś dziwną chorobę, która trawi jej całe ciało. Medyczne androidy nie potrafią postawić żadnej diagnozy. Nigdy nie spotkały się z czymś takim, a choroba rozwija się w zastraszającym tempie. Wygląda na to, że coś niszczy geny Mon Mothmy od wewnątrz.

Pamiętasz te cztery dni, kiedy rzekomo poleciała do Miasta w Chmurach, by wziąć udział w tajnej konferencji? Nigdzie nie wylatywała. Nie było żadnej konferencji. Spędziła ten czas w zbiorniku bacta. Podjęła ostatnią rozpaczliwą próbę uleczenia swojego organizmu, ale chociaż zbiornik bacta oczyścił jej systemy z wszelkich bakterii, nie powstrzymał rozwoju choroby. Jej ciało się rozkłada. W tym tempie, w jakim choroba się rozwija, Mon Mothma może być... może umrzeć przed upływem miesiąca.

Han przełknął ślinę, myśląc o obdarzonej tak silną wolą kobiecie, która będąc polityczną przywódczynią Sojuszu Rebeliantów, doprowadziła do powstania Nowej Republiki.

- A więc to dlatego powierza innym coraz więcej swoich obowiązków - rzekł Han. - To dlatego na twoje barki spada coraz więcej pracy.

- Tak, robi wszystko, co może, by w czasie publicznych wystąpień wyglądać jak zawsze, ale szkoda, Han, że jej nie widziałeś! Wygląda, jakby z trudem stała i chodziła. Uznała, że nie może dłużej trzymać tego w tajemnicy.

- A więc... - zaczął Han, nie wiedząc, co powiedzieć ani jakie zaproponować rozwiązania. - Co to znaczy, jeżeli chodzi o ciebie? Co właściwie powinnaś teraz zrobić?

Leia przygryzła wargę. Wyglądała, jakby chciała znaleźć w sobie więcej siły. Podeszła do Hana i przytuliła się do niego. Han objął ją ramionami.

- Teraz, kiedy Mon Mothma słabnie, a admirał Ackbar udał się na dobrowolne wygnanie, umiarkowane skrzydło naszej rady właściwie przestanie istnieć. Nie mogą dopuścić do tego, żeby Nowa Republika stała się jeszcze jednym agresorem. I tak wycierpieliśmy zbyt dużo. W obecnej chwili musimy przede wszystkim zacieśniać więzy między światami. Powinniśmy umacniać Nową Republikę, zawierając polityczne

układy ze światami, które mogą albo chcą do nas się przyłączyć. Nie możemy wysyłać naszych wojsk, by niszczyły imperialne twierdze, jakie jeszcze pozostają w tym sektorze galaktyki.

- Przypuszczam, że wiem, komu na tym zależy - stwierdził Han, myśląc o kilku starych generałach, którzy nie mogli zapomnieć pełnych chwały dni, kiedy Rebelianci toczyli i wygrywali najważniejsze bitwy.

- Muszę lecieć, by namówić Ackbara do powrotu - rzekła Leia.

Uniosła głowę, żeby spojrzeć w oczy męża. Jej blada twarz wydała się Hanowi jeszcze piękniejsza niż kiedykolwiek. Przypomniał sobie, jak Leia spoglądała na niego w Mieście w Chmurach na chwilę przedtem, zanim Darth Vader pograżył go z komorze zamrażania karbonitu. Han spędził wówczas w lodowatej nicości kilka miesięcy, ale w pamięci dźwięczały mu ostatnie słowa Leii: „Kocham cię”. Postarał się nie okazać rozczarowania.

- A więc chcesz lecieć na Kalamar? - zapytał.

Kiwnęła głową, ale nie oderwała głowy od jego piersi.

- Muszę, Han. Nie mogę dopuścić, żeby Ackbar ukrywał się tam w takiej chwili jak teraz. Nie może obwiniać siebie za ten wypadek. Jest potrzebny tutaj.

Przeszkodził im Threepio, który nagle wszedł do salonu.

- Och - powiedział, zaskoczony. - Witam, pani Leio! Cieszę się, że pani już wróciła.

Trzymał dwa białe, puszyste ręczniki. Po jego błyszczącym pancerzu spływały strużki wody, które rozpryskiwały się na podłodze. W odległym korytarzu było widać, jak dwoje nagich, chichoczących dzieci wymknęło się z łazienki i pobiegło do sypialni.

- Bliźnięta czekają na bajkę - oznajmił Threepio, zwracając się do Hana. - Czy chce pan, żebym ja wybrał jakąś, proszę pana?

Han pokręcił głową.

- Nie, prawie zawsze płaczą, kiedy ty wybierasz. - Spojrzał na Leię. - Chodź, ty też możesz posłuchać. Ja opowiem im bajkę na dobranoc.

Kiedy dzieci ubrały się w piżamy i zakopały pod przytulnymi, ciepłymi kocami, Han usiadł między małymi łózkami. Leia zajęła miejsce na innym krześle i spojrzała tęsknie na bliźnięta.

- Jaką bajkę chcecie dzisiaj na dobranoc, dzieciaki? - zapytał Han. Przed sobą trzymał mały ekran projektora, na którym mogły być wyświetlane zarówno słowa bajki, jak i animowane obrazki.

- Ja dzisiaj wybieram - oświadczyła Jaina.

- Ja chcę wybrać - odezwał się Jacen.

- Ty wybierałaś poprzedniego wieczoru, Jaino - przypomniał Han. - Dzisiaj kolej twojego brata.

- Chcę o maleńkim zagubionym banthusiu - rzekła Jaina.

- Ja wybieram! - upierał się Jacen. - O maleńkim zagubionym banthusiu.

Han się uśmiechnął.

- A to niespodzianka - mruknął. Leia zauważyła, że zanim bliźnięta podjęły decyzję, zdążył wybrać bajkę i wyświetlić pierwszy obraz na ekranie projektora.

Zaczął czytać.

- Kiedy straszna burza piaskowa wypędziła maleńkiego banthusia z domu, zaczął błąkać się po pustyni. Prażony promieniami słońca, szedł i szedł, aż w samo południe na jednej z piaszczystych wydm zobaczył piaskoczołg z Jawami.

„Zgubiłem się - powiedział. - Bardzo proszę, pomóżcie mi odnaleźć moje stado”.

Mali Jawowie pokręcili jednak głowami i odmówili.

Bliźnięta wychyliły się z łóżek i chłonęły pobudzane przez głos Hana obrazy i napisy przesuwające się na ekranie. Chociaż słyszały bajkę dziesiątki razy, wyglądały na rozczarowane faktem, że Jawowie nie zgodzili się pomóc banthusiowi.

- Więc szedł dalej i szedł, aż spotkał błyszczącego androida - ciągnął Han. - Błąkał się już przez tyle godzin, że nie posiadał się z radości.

„Zgubiłem się - oznajmił. - Proszę, pomóż mi wrócić do mojego stada”.

„Nie zaprogramowano mnie po to, żebym ci pomagał - odparł android. - Nie bądź śmieszny”.

Android nawet się nie zatrzymał, tylko szedł w tę samą, co poprzednio stronę, nie rozglądając się na prawo ani lewo. Maleńki banthus spoglądał za nim, aż błyszcząca sylwetka zniknęła z jego oczu.

Leia słuchała opowiadania o dalszych przygodach banthusia: jak spotykał kolejno farmera i ogromnego smoka krayta. Zasluchane bliźnięta w napięciu czekały na dalszy ciąg bajki.

„Zjem cię!” - warknął smok, a później, kłapiąc zębami, rzucił się na malca. Banthus jednak odwrócił się i zaczął uciekać, ile sił w małych nóżkach.

Jacen i Jaina byli zachwyceni, kiedy w końcu maleńki banthus spotkał plemię Piaskowych Ludzi, którzy odprowadzili go do rodziców i stada. Leia pokręciła głową, zdumiona wrażeniem, jakie wywoływała zawsze bajka na dzieciach.

Kiedy Han skończył opowiadać i wyłączył urządzenie, on i Leia ucałowali dzieci na dobranoc i szczerzej otulili kocami, a później na palcach wyszli z sypialni.

- Jaka szkoda, że nie pozwolił mi pan upiększyć bajki efektami dźwiękowymi - odezwał się drepczący obok nich Threepio. - Nie wątpię, że byłaby wówczas bardziej prawdziwa i sprawiłaby dzieciom większą radość.

- Nie - odparł Han. - Później śniłyby się im koszmary.

- Coś takiego! - parsknął android, a potem skierował się do kuchni.

Leia uśmiechnęła się do Hana, ujęła go pod rękę, przytuliła się do niego i pocałowała w policzek.

- Jesteś wspaiałym ojcem - oświadczyła.

Zarumienił się, ale nie zaprzeczył.

ROZDZIAŁ

14

Niewielki, ale niesamowicie śmiertcionośny Pogromca Słońc, lecąc skrzydło w skrzydło z opancerzonym transportowcem Nowej Republiki, znalazł się w końcu na orbicie okrążającej gigantyczną kulę gazowej planety Yavin.

Siedzący w wygodnym fotelu pilota młody Kyp Durrone czuł, jak precyzyjne układy sterowania superbroni reagują na dotyk jego palców. Spoglądał przez segmentowany dziobowy iluminator na wirującą w dole pomarańczową planetę, bezdenną przepaść, w której Pogromca Słońc już niedługo miał pograć się na zawsze.

- Jesteś gotów posłać go na dół, Kyp? Prosto jak strzelił? - dobiegł go głos Wedge'a Antillesa mimo trzasków w głośniku komunikatora.

Kyp przesunął palcami po klawiszach, czując, że przenika go dreszcz sprzeciwu. Pogromca Słońc był tak doskonałą, idealnie zaprojektowaną bronią, że potrafił oprzeć się każdemu atakowi. Kyp czuł dziwne przywiązanie do mającego kształt kolca albo ciernia małego statku, dzięki któremu on i Han Solo wydostali się na wolność. Wiedział jednak, że Qwi Xux ma rację, twierdząc, że wcześniej czy później każdy może ulec pokusie użycia tej broni. Tylko Qwi, projektantka i konstruktorka Pogromcy, wiedziała, na jakiej zasadzie funkcjonuje statek, ale przysięgła sobie, że nie zdradzi tego nikomu. Co więcej, nalegała, żeby uniemożliwić wszystkim dostęp do tej strasznej broni.

Kyp sprawdził współrzędne trajektorii lotu.

- Programuję komputer nawigacyjny - powiedział. - Przygotuj się do połączenia.

Wpisał do pamięci kilka poleceń, dzięki którym komputer powinien uruchomić silniki manewrowe Pogromcy Słońc i skierować mały statek ku planecie. Trajektoria lotu miała znaleźć kres w pomarańczowych chmurach kłębiących się wokół zagęszczonego jądra.

- Jesteśmy gotowi cię przyjąć - oznajmił Wedge.

- Chwileczkę - odparł Kyp.

Unieruchomił dźwignie sterowe i po raz ostatni pieszczotliwie przesunął palcami po wyglądającej zdradziecko prosto płycie konsoli sterowniczej. Naukowcy i inżynierowie Nowej Republiki nie potrafili pojąć zasady działania urządzeń i mechanizmów broni. Nie wiedzieli, w jaki sposób rozbroić rezonansowe torpedy, które

powodowały eksplozje supernowych. Qwi Xux oświadczyła, że im nie pomoże... a teraz Pogromca Słońc miał zniknąć na zawsze.

Tok myśli Kypa został przerwany przez głos Qwi przypominający ptasi świergot.

- Upewnij się, że wszystkie systemy zasilające są wyłączone - powiedziała. - I uszczelnij pole ochronne.

Kyp pstryknął przełącznikami umieszczonymi w jednym rzędzie.

- Gotowe - zameldował.

Usłyszał stłumiony dźwięk metalu ocierającego się o metal i zrozumiał, że Wedge dotknął burty Pogromcy Słońc końcówką cumowniczego rękawa, łącząc go ze swoim opancerzonym transportowcem.

- Pole magnetyczne włączone, Kyp - rzekł Wedge. - Otwieraj właz i chodź do nas.

- Tylko nastawię zegar - odparł chłopak.

Uruchomił automatycznego pilota, wyłączył oświetlenie kabiny i zaczął się przeciskać ku niewielkiej śluzie. Otworzył ją i przeszedł kilka kroków, a potem znalazł się w ramionach czekającego Wedge'a.

Uśmiechnięty ciemnowłosy mężczyzna pomógł wejść Kypowi na pokład transportowca. Zamknął i zdalnie uszczelnił śluzę Pogromcy, odłączył cumowniczy rękaw, a potem wrócił do kabiny i zajął miejsca na fotelu pilota obok powabnej Qwi.

Imperialna badaczka siedziała, przypięta pasami bezpieczeństwa. Wedge tracił dźwignię, zmieniając siłę ciągu, i obrócił transportowiec wokół osi, żeby wszyscy mogli obserwować, co się stanie. Wydłużony, przypominający okruh kryształu Pogromca Słońc oddalał się, przyciągany przez grawitacyjne szczelki Yavina.

Kyp przycupnął między Wedgem i Qwi i patrzył przez iluminator, jak mały statek kładzie się na zaprogramowany kurs. W dolnej części Pogromcy było widać antenę generatora rezonansowych torped mającą kształt nieregularnego toroidu. Po kilkunastu sekundach śmiercionośny statek zamienił się w cienką kreskę. Coraz bardziej zbliżał się do chmur Yavina, przecinanych jaskrawymi błyskawicami wyładowań. Młodzieniec westchnął z prawdziwą ulgą na myśl o tym, że Pogromca Słońc już nigdy nie zostanie użyty do zniszczenia jakiegokolwiek systemu słonecznego.

Qwi siedziała w milczeniu, zacisnąwszy wargi. Była taka zdenerwowana, że podskoczyła, kiedy Wedge wyciągnął rękę i położył na jej ramieniu.

Kyp bez przerwy wpatrywał się w sylwetkę Pogromcy, obserwując malejącą plamkę. Obawiał się, że gdyby choć na chwilę popatrzył w inną stronę, mógłby stracić ją na tle pomarańczowych chmur zmagających się jakby w tytanicznej walce. Ujrzał, jak drobny punkcik zagłębia się w najwyższe warstwy atmosfery i podąża niezmiennym kursem w stronę jądra planety. Wyobraził sobie, jak statek coraz głębiej i głębiej zanurza się w gęstsze warstwy. Wiedział, że palący żar, spowodowany tarciami cząsteczek gazu o pancierz, wzbudzi dźwiękowe fale, a Pogromca będzie pogrążał się, aż dotrze do jądra mającego gęstość diamentu.

- No cóż - oświadczył Wedge, starając się, by zabrzmiało to beztrzesko. - Już nigdy nie będziemy musieli martwić się o to cacko.

Na twarzy Qwi przypominającej elfa malowała się mieszanina sprzecznych uczuć. Obca istota zamrugała powiekami ciemnoniebieskich oczu.

- Tak będzie najlepiej - mruknął Kyp, jakby sam nie bardzo wierzył w swoje słowa.

Wedge uruchomił silniki opancerzonego transportowca. Zgrabnym łukiem opuścił dotychczasową orbitę i skierował statek ku krańcom systemu, gdzie było widać grupę księżyców.

- No cóż, Qwi i ja lecimy teraz na Vortex, by przekonać się, jak postępuje odbudowa Katedry Wiatrów - oznajmił. - Nadal chcesz, żebyśmy podrzucili ciebie na tamten księżyc porośnięty dżunglą, Kyp?

Młodzieniec kiwnął głową, jakby trochę się niepokoił, ale nie rezygnował z rozpoczęcia nowego etapu życia.

- Tak - odrzekł cicho, ale po chwili nabrał głęboko powietrza i powtórzył głośniejszym głosem, chcąc podkreślić swój entuzjazm: - Tak! Mistrz Skywalker na mnie czeka!

Wedge odwrócił się ku konsolocie sterowniczej i skierował transportowiec ku szmaragdowej kuli, która była czwartym księżycem planety Yavin.

- A zatem, Kyp, niech Moc będzie z tobą - powiedział.

Krocząc na czele grupy uczniów, Luke Skywalker wyszedł z wielkiej świątyni. Chciał się przyjrzeć lądowaniu transportowca, na którego pokładzie przybywał nowy kandydat.

Luke powiedział uczniom wszystko na temat przylotu Kypa. Zareagowali na tę wieść z umiarkowanym entuzjazmem, ale ucieszyli się, że będą mieli wśród siebie nowego adepta. Ich radość mąciło jedynie wspomnienie tajemniczej, ognistej śmierci Gantorisa.

Kanciasty, prostopadościenny statek, ozdobiony na burtach błękitnymi błyskawicami Nowej Republiki, przeciął pasma mgły i zawisnął nad lądowiskiem. Błysnęły reflektory oświetlające polanę i wysunęły się grube wsporniki lądownicze.

Artoo potoczył się na skraj lądowiska i zatrzymał w pobliżu wejścia wielkiej świątyni. Luke podszedł do miejsca, w którym miał osiąść transportowiec. Podmuchy powietrza z dysz silników repulsorowych wichrzyły włosy mistrza Jedi i łopotały kapturem jego płaszcza. Luke przez cały czas spoglądał na statek. Dopóki transportowiec nie znieruchomiał, musiał mrugać, chcąc uchronić oczy przed kłębami kurzu.

Wysunęła się rampa, a po chwili ukazał się na niej Wedge Antilles. Wyszedłszy, odwrócił się i wyciągnął rękę, żeby pomóc wyjść błękitnoskórej obcej istocie płci żeńskiej.

Luke uniósł na powitanie lewą rękę, a potem zwrócił uwagę na młodzieńca, który także wyłonił się z wnętrza sutku. Kyp Durrone był szczupłym, żyłastym osiemnastolatkiem, pełnym zapału i dobrych chęci, zahartowanym dzięki wieloletniej ciężkiej pracy w kopalniach przyprawy na Kessel.

Pracując w podziemnych tunelach, Kyp dowiedział się, jak może korzystać z Mocy. Uczyla go wieszona tam kobieta, Vima- Da- Boda, upadła Jedi. Kyp instynktownie wykorzystał tę wiedzę, żeby pomóc Hanowi Solo i Chewbaccy w ucieczce najpierw z kopalni, a potem z Laboratorium Otchłani. Kiedy Luke badał Kypa,

chcąc sprawdzić jego potencjał Jedi, siła odpowiedzi chłopca była tak duża, że odrzuciła mistrza Jedi w przeciwną stronę pokoju.

Luke nie mógł się doczekać, kiedy uczeń taki jak ten trafi w końcu do jego akademii.

Kyp zszedł po rampie, na początku patrząc w inną stronę, ale kiedy przystanął, postanowił spojrzeć prosto w oczy Luke'a. Mistrz Jedi dostrzegł w spojrzeniu chłopca dużą inteligencję, bystry umysł i niepokromiony temperament - cechy zrodzone w czasie wielu lat walki o przetrwanie. Dojrzał także nieugięte zdecydowanie. To była najważniejsza cecha charakteru kandydata na rycerza Jedi.

- Witaj, Kypie Durrone - powiedział.

- Jestem gotów, mistrzu Skywalkerze - odparł Kyp. - Naucz mnie, jak zostać dobrym Jedi.

ROZDZIAŁ

15

Kiedy Leia wyjrzała przez duże okno orbitalnej stacji, pomyślała, że oglądane z bliska kalamariańskie stocznie wywierają jeszcze większe wrażenie, niż mogła sądzić po tym, co jej powiedziano.

Zakłady, w których wytwarzano gwiazdne statki, unosiły się wysoko nad upstrzoną plamkami błękitną kulą. Platformy dostawcze ciągnęły się we wszystkie strony. Znajdujące się na ich obrzeżach czerwone, zielone i żółte światła mrugały, wskazując położenie lądowisk i pomostów cumowniczych. Niewielkie automaty wytłaczały plastalowe dźwigary z olbrzymich brył materiału, dostarczanych z jedyne go księżycy Kalamaru. Dźwigarów tych używano następnie jako szkieletów konstrukcji nośnych słynnych krążowników gwiazdnych klasy Mon Calamari. Podobne do krabów automaty konstrukcyjne krzątały się wokół i wewnątrz hangaru ogromnego kosmicznego doku jak małe owady uwijające się przy mamuciej sylwetce nie ukończonego krążownika.

- Przepraszam, czy pani minister Organa Solo?

Leia odwróciła się i ujrzała drobną postać Kalamarianki, odzianej w jasnobłękitną dyplomatyczną szatę. Podczas gdy głowy Kalamarian przypominały pokryte wypukłościami cebule, głowy osobników płci żeńskiej miały bardziej opływowe kształty, a na bladłososiowej skórze było widać oliwkowe cętki.

- Jestem Cilghal - przedstawiła się Kalamarianka.

Kiedy uniosła w geście pozdrowienia obie ręce, Leia zauważyła, że błony między jej szpachlowato zakończonymi palcami sprawiają wrażenie bardziej przezroczystych niż u admirała Ackbara.

Leia podniosła rękę na znak potwierdzenia.

- Dziękuję, że zechciała pani się spotkać ze mną, pani ambasador - powiedziała. - Doceniam to, że pragnie pani mi pomóc.

Cętki na skórze Cilghal ściemniały. Leia przypominała sobie, że jest to oznaka humoru albo rozbawienia.

- Wy, ludzie, zawsze nazywaliście Kalamar „duszą Rebelii” - odparła pani ambasador. - Usłyszawszy taki komplement, jak mogłabym odmówić jakiegokolwiek prośbie?

Kalamarianka zbliżyła się o krok i gestem wskazała krzątaninę w najbliższej stoczni.

- Widzę, że przygląda się pani pracy przy budowie naszej „Gwiezdnej fali”. To będzie pierwsza jednostka, jaką po wielu miesiącach przerwy zbudujemy dla floty Nowej Republiki. W ciągu tego czasu niemal wszystkie siły i środki poświęciliśmy na odbudowę naszego świata po ataku imperialnych Niszczycieli Światów.

Leia kiwnęła głową i ponownie spojrzała na sylwetkę gwiazdowego krążownika klasy Mon Calamari, odpowiednika imperialnego gwiazdowego niszczyciela. Na statku, mającym kształt nieregularnej elipsoidy, było widać zgrubienia podobne do guzów. W miejscach tych miały się znajdować stanowiska dział i generatory pól ochronnych, a także iluminatory i punkty dowodzenia. Były rozmieszczone w odstępach, które na pierwszy rzut oka mogły wydawać się przypadkowe. Każdy gwiazdny krążownik był trochę inny, skonstruowany co prawda według identycznych planów, ale ze zmianami uwzględniającymi indywidualne potrzeby, których nawet Leia nie do końca rozumiała.

- Wszystkie systemy napędowe zostały zainstalowane - ciągnęła Cilghal. - Można powiedzieć, że kadłub jest już prawie ukończony. Wczoraj sprawdzaliśmy silniki do lotów z prędkościami podświetlnymi. Zrobiliśmy to w ten sposób, że statek i stocznia jeden raz okrążyły planetę. Montaż wewnętrznych grodzi, pomieszczeń dla załogi i uzbrojenia powinien zająć następne dwa miesiące.

Leia oderwała spojrzenie od krzątaniny w stoczni i kiwnąwszy głową, zwróciła się do Cilghal.

- Jak zawsze jestem zdumiona przedsiębiorczością, pomysłowością i poświęceniem Kalamarian. Imperium chciało zrobić z was niewolników, później Niszczyciele Światów zadały wam ciężkie straty, a mimo to nie ustajecie w pracy dla dobra Nowej Republiki. Czuję się zakłopotana, że proszę o pomoc, ale znalazłam się naprawdę w rozpaczliwej sytuacji. Muszę porozmawiać z admirałem Ackbarem.

Cilghal rozprostowała fałdy błękitnej jak niebo dyplomatycznej szaty.

- Szanujemy wolę admirała, który po tragedii na Vortex oświadczył, że pragnie żyć w odosobnieniu i rozmyślać o wszystkim, co się stało. Nasi obywatele nadal są dumni z niego i nie przestali go popierać. Jeżeli chce pani wytoczyć przeciwko niemu dalsze zarzuty...

- Nie, nie - przerwała szybko Leia. - Ja także go popieram, nawet bardzo. Od czasu jednak, kiedy zdecydował się na to dobrowolne wygnanie, okoliczności uległy dramatycznej zmianie. - Przełknęła ślinę i pomyślała, że jeżeli ma zaufać Cilghal, nie może ukrywać przed nią niczego. - Przyleciałam, by namówić go do powrotu.

Plamki na skórze Kalamarianki zmieniły barwę na ciemnooliwkową. Wykonując szybkie ruchy, zaczęła przemieszczać się nad podłogą stacji orbitalnej.

- W takim razie wahadłowiec jest gotów, żeby zabrać panią na powierzchnię planety - oznajmiła.

Spoglądając na Cilghal, Leia uchwyciła się poręczy fotela w przedziale pasażerskim statku. Kalamarianka manewrowała jajowatym wahadłowcem, jakby nie zwracała uwagi na ulewny deszcz i burzowe chmury kłębiące się za oknami.

Posepną powierzchnię oceanu, który pokrywał niemal cały Kalamar, zdobiły białe grzywacze fal. Cilghal obniżyła lot wahadłowca, nie przejmując się podmuchami silnego wiatru. Pewnie trzymając spłaszczonymi palcami dźwignie sterownicze, pochyliła się ku ekranom monitorów. Urządzenia te, zapewniające wysoką rozdzielczość obrazu, zaprojektowano z myślą o szeroko rozstawionych, charakterystycznych dla Kalamarian oczach, a dźwignie o stępionych końcach przystosowano do palców inteligentnych istot tego wodnego świata.

W pewnej chwili Cilghal skreśliła, by łagodnym łukiem ominąć grupę bagnistych wysp, na których ziemno- wodni Kalamarianie przed wieloma wiekami założyli pierwsze osady. Kiedy Cilghal skierowała statek burtą do wiatru, po transpasterowych szybach przedziału pasażerskiego zaczęły spływać wąskie strużki deszczu.

Kalamariańska ambasador trąciła jedną z bulwiasto zakończonych dźwigni kontrolnych i odezwała się do niewidocznego mikrofonu systemu łączności.

- Foamwander City, tu wahadłowiec SQ- jeden. Proszę o podanie aktualnej prognozy pogody i współrzędnych trajektorii lądowania.

Głos Cilghal brzmiał miękko i melodyjnie, jakby istota płci żeńskiej przez całe życie ani razu nie musiała uciekać się do krzyku.

W głośniku komunikatora odezwał się gardłowy męski głos.

- Pani ambasador Cilghal, przekazujemy żądane współrzędne trajektorii lądowania. Spodziewamy się, że siła wiatru będzie rosła, ale nie przekroczy wartości charakterystycznych dla tej pory roku. Nie oczekujemy żadnych niespodzianek, ale nie zalecamy lotu nad powierzchnią, szczególnie po południu.

- Potwierdzam odbiór - odparła Cilghal. - Dalszą część lotu planujemy odbyć w zanurzeniu. Dziękuję. - Przerwała połączenie, a potem zwróciła się do Leii: - Proszę się nie obawiać, pani minister. Wyczuwam, że jest pani zaniepokojona, ale zapewniam panią, że nie ma podstaw do żadnych obaw.

Leia wyprostowała się, usiłując ukryć zdenerwowanie, dopóki nie zorientowała się, co jest jego przyczyną.

- Nie wątpię w to, pani ambasador, ale... moje ostatnie lądowanie w czasie burzy miało miejsce właśnie na Vortex.

- Rozumiem. Obiecuję, że za kilka minut bezpiecznie wylądujemy - odparła Cilghal, poważnie kiwnąwszy głową.

Leia wyczuła, że Kalamarianka stara się nie ukrywać niczego, a rzut oka na spokojną, podobną do rybiej twarz pani ambasador sprawił, że poczuła się znacznie pewniej.

Przez pasma mgły i fale siekącego drobnego deszczu patrzyła, jak zbliżają się do sztucznej wyspy zbudowanej z metalu. Niezgrabna bryła Foamwander City o zaokrąglonych krawędziach, charakterystycznych raczej dla naturalnej rafy koralowej, wynurzała się z białych grzywaczy fal jak nieforemna półkula. Z wierzchołka wyrastał istny las wzmocnionych strażniczych wież i telekomunikacyjnych anten, ale pozostała część miasta miała opływowe kształty i nadbudówki wypolerowane jak powierzchnie gwiazdnych krążowników klasy Mon Calamari.

Jasne światła w tysiącach okien znajdujących się nad wodą jak klejnoty rzucały na powierzchnię oceanu iskry światła widoczne nawet mimo ulewnego deszczu. Leia wiedziała, że pływające miasta mają pod półkulistą kopułą podwodne wieże i wielopiętrowe konstrukcje, podobne do tych, które na Coruscant wznosiły się nad powierzchnią. Rosnące w głąb oceanu wysokościowce, budynki mieszkalne i stacje uzdatniania wody pod półkulą sprawiały, że pływające miasta wyglądały jak mechaniczne meduzy.

Kiedy na bagnistych wyspach zaczęło brakować surowców, Kalamarianie, obawiając się upadku cywilizacji, nawiązali współpracę z inną rasą inteligentnych istot żyjących pod powierzchnią oceanu. Quarrenowie, człekokształtne istoty o głowach podobnych do hełmów i wąsko osadzonych oczach, spod których wyrastały pęki macek, zajmowali się wydobywaniem rud metali z dna oceanu. Chcąc pomóc Kalamarianom, zbudowali dziesiątki pływających miast. Chociaż także mogli oddychać powietrzem, wybrali życie pod powierzchnią, zgadzając się, by Kalamarianie projektowali i konstruowali swoje gwiazdne statki i badali odległe świecące „wyspy w przestworzach”.

Cilghal zbliżyła się do nieforemnej półkuli Foamwander City i skierowała wahadłowiec na zawietrzną, żeby masyw metropolii osłonił statek przed podmuchami porywistego wiatru. Zwieńczone białymi grzywami fale rozbijały się o matowoszary metal zewnętrznej skorupy miasta. Rozbryzgiwały się fontannami kropli, które błyszczały jak diamenty.

- Otworzyć wrota falochronu - odezwała się Kalamarianka do mikrofonu.

Zwróciła dziób statku ku linii jaskrawych światła, które miały prowadzić lądujące jednostki. Zanim Leia zdążyła zauważyć miejsce złączenia, masywne wrota otworzyły się po przekątnej jak wykrzywiona paszcza.

Nie zwalniając, Cilghal skierowała statek w wąski tunel o gładkich ścianach, dobrze oświetlony zielonymi jarzeniowymi pasmami. Wrota falochronu zamknęły się za nimi, chroniąc metropolię przed furją szalejącej burzy.

Leia czuła się jak porwana, podążając za kalamariańską ambasadorką. Cilghal szła, jakby płynęła, spokojnie, ale nieustępliwie kierując się ku coraz niższym podwodnym poziomom metropolii. Poruszała się dość szybko, stawiając równe kroki, co pomagało Leii się spieszyć, ale nie wywoływało niepokoju. To nie była zwyczajna dyplomatyczna misja.

Idąc szybko zakrzywiającymi się wielobarwnymi korytarzami górnych pięter, Leia miała wrażenie, że przemierza wijące się jak spirala tunele we wnętrzu gigantycznej muszli. Nigdzie nie zauważyła ostrych kantów ani narożników, jedynie zaokrąglone krawędzie i gładkie, wypolerowane ozdoby, wykonane z koralowca i macy perłowej. W powietrzu czuło się woń soli, nie było to jednak nieprzyjemne.

- Czy wiesz, gdzie w tej chwili przebywa Ackbar? - zapytała w końcu Leia.

- Właściwie nie - odparła pani ambasadorka. - Pozwoliliśmy mu udać się, dokąd chciał, i później go nie śledziliśmy. - Cilghal dotknęła szeroką płetworęką ramienia Leii. - Ale proszę się tym nie martwić. Kalamarianie mają dostęp do źródeł informacji,

których istnienia Imperium nigdy nie podejrzewało. Nawet podczas imperialnej okupacji udało się nam zachować naszą zbiorową wiedzę w nietkniętym stanie. Odnajdziemy Ackbara.

Leia podążyła za Cilghal do turbowindy, która zawiozła je do najniższych podwodnych poziomów pływającego miasta. Kiedy wyszły z kabiny, Leia spostrzegła, że wystrój korytarzy uległ radykalnej zmianie. Jasnyniebieskie, przyćmione i migotliwe światło wydobywało się z wnętrza jarzeniowych lamp, których oszlifowane, jakby diamentowe powierzchnie rozpraszały je we wszystkie strony. Trochę światła wpadało także przez grube transpastalowe szyby okien, przez które było widać głębinę oceanu.

Leia zauważyła także nurków przemykających się między splątanymi sieciami i linami cumowniczymi, szczątkami satelitów i małymi podwodnymi jednostkami pływającymi wokół podwodnych wieżowców miasta. Powietrze było bardziej wilgotne i zatechłe. Większość istot na tym poziomie stanowili Quarrenowie. Krzatali się, zajęci własnymi sprawami, pozorne nie zwracając uwagi na przybycie gości.

Quarrenowie i Kalamarianie połączyli kiedyś siły, by zbudować tę cywilizację, ale Leia wiedziała, że współzycie obu ras nie było pozbawione tarć i sporów. Kalamarianie z charakterystycznym dla swojej rasy uporem dążyli do wytkniętego celu, jakim były podróże do odległych gwiazd, podczas gdy Quarrenowie pragnęli żyć w spokoju w głębinach oceanu. Jedna z plotek głosiła, że to Quarrenowie wydali swój świat w ręce Imperatora, ale później, w czasach imperialnej okupacji, byli traktowani równie źle jak Kalamarianie.

W pewnej chwili Cilghal przystanęła i powiedziała coś do Quarrena, który stał obok stanowiska kontroli zaworów. Zaskoczona tym istota człekokształtna podniosła głowę i skierowała spojrzenie ciemnych oczu najpierw na Leię, a później znów na Cilghal. Z ust kalamariańskiej ambasadorki wydobywały się bulgoczące, piskliwe dźwięki, ale Quarren nagle przerwał jej, wydając w odpowiedzi serię takich samych odgłosów. Gestem ręki pokazał na znajdującą się po lewej stronie rampę, która niczym gigantyczny korkociąg opadała stromo ku jeszcze niższemu poziomowi.

Cilghal kiwnęła głową na znak podziękowania i nie zwracając uwagi na Quarrena, skierowała się w stronę rampy. Leia podążyła za Kalamarianką i po kilku chwilach obie znalazły się w przestronnym pomieszczeniu, wypełnionym aparaturą i sprzętem ciśnieniowym umożliwiającym łatwy dostęp do głębin oceanu.

Pięciu Kalamarian krzotało się wokół małego podwodnego statku, sprowadzonego z głębin za pomocą promienia ściąającego. Kiedy statek znieruchomiał, wszyscy zajęli się wyciąganiem ociekających wodą okratowanych skrzyń z ładowni towarowej. Nieco dalej Quarrenowie w obcisłych czarnych kombinezonach, na których powierzchniach widniało coś na kształt drobnych łusek, nurkowali do wody przez otwory zabezpieczone polami ochronnymi. Na ścianach pomieszczenia migotały błyski przyćmionych jarzeniowych lamp, odbite od powierzchni wody. Wędrowały po wypolerowanych powierzchniach w dół i w górę, ozdabiając je szmaragdowymi i ciemnoniebieskimi wzorami.

Cilghal podeszła do szeregu niewielkich porcelanowych pojemników i jeden otworzyła. Zanim jednak zdążyła sięgnąć do środka, obok niej wyrosło jak spod ziemi

dwóch Qurenów. Obaj wydawali podniecone dźwięki w swojej bulgoczącej mowie. Leia poczuła nieznany kwaśny zapach.

Cilghal zgięła się w geście mającym oznaczać przeprosiny, a potem udała się w stronę innego rzędu pojemników. Otwierając jeden, tym razem zachowała nieco większą ostrożność. Leia starała się nie rzucać nikomu w oczy. Zorientowała się że w całym pomieszczeniu jest jedyną istotą nie pochodzącą z tego świata. Quarrenowie rzucali na nią ukradkowe spojrzenia, ale Kalamarianie zachowywali się, jakby w ogóle jej nie widzieli.

Pani ambasador wyjęła z pojemnika dwa śliskie kombinezony w rodzaju tych, jakie mieli na sobie nurkujący Quarrenowie, i jeden podała swojej towarzyszkce. Leia przesunęła palcami po materiale. Wydało się jej, że dotyka żywej istoty. Tkanina była istotnie śliska, ale natychmiast przylgnęła do jej palców. Delikatne sploty rozszerzyły się, a potem zwały, jakby chciały przybrać odpowiedni kształt, jak najlepiej dostosowany do rozmiarów ciała użytkownika.

- Obawiam się, że nasze przebieralnie są dosyć ciasne - oznajmiła Cilghal i wskazała wąskie drzwi jakiegoś niezbyt przestronnego pomieszczenia.

Leia weszła do środka. Po zamknięciu drzwi wejściowych stwierdziła, że zielono-niebieskie światło w małej kabinie stało się bardziej intensywne. Rozebrała się, a potem wślizgnęła w czarny kombinezon. Poczowała świerzbiecie skóry, kiedy tkanina na jej ciele rozciągała się, a potem kurczyła, starając się dostosować do kształtu ciała. Gdy uczucie swędzenia minęło, Leia miała wrażenie, że ma na sobie najwygodniejszy strój, jaki kiedykolwiek nosiła, zarazem ciepły i chłodny, chroniący ciało przed zimnem i lekki, puszysty i śliski.

Po wyjściu z kabiny ujrzała stojącą obok drzwi Cilghal, odzianą tylko w kombinezon do nurkowania. Nie mówiąc ani słowa, Kalamarianka włożyła na plecy Leii stelaż z wodnym silnikiem strumieniowym, a potem zebrała jej drugie włosy i umieściła je w naprędcie wykonanej delikatnej siatce. Spojrzawszy na gładką, łososiowo-oliwkową skórę kopulastej głowy Cilghal i bezwłosą skórę opinającą czaszki Quarrenów, Leia powiedziała:

- Nie wydaje mi się, byście potrzebowali tu siatek do włosów.

Cilghal wydała dźwięk, który, zdaniem Leii, mógł być śmiechem, i poprowadziła swojego gościa ku jednemu z miejsc, zabezpieczonych za pomocą ochronnego pola. Obok okrągłego otworu, nad którym unosiła się drżąca mgielka pola uniemożliwiającego wdarcie się kalamariańskiego oceanu, znajdowała się urna z jakąś bulgoczącą cieczą. Cilghal zanurzyła w niej obie pletwiaste dłonie i wyciągnęła galaretowatą opalizującą masę. Kiedy ją uniosła, rozległ się cichy syk i na powierzchni ukazały się bąble piany.

- Czasami ludziom wydaje się to nieprzyjemne - powiedziała. - Zechciej mi wybaczyć.

Nie uprzedziła Leii o tym, co zamierza zrobić, tylko nałożyła galaretowatą masę na jej twarz, pokrywając nos i usta. Galareta była zimna i mokra, ale przylgnęła do skóry twarzy. Prerażona Leia napięła mięśnie. Potrząsnęła głową, ale dziwna galaretowata masa trzymała się jak przyklejona.

- Proszę się odprężyć, a przekonasz się, że będziesz mogła oddychać - odezwała się Cilghal. - To jest symbiont, którego zadaniem jest filtrowanie tlenu z wody oceanu. Może spełniać swoją funkcję przez kilka tygodni nieustannego przebywania pod powierzchnią wody.

Czując, że zaczyna się dusić, Leia spróbowała zaczerpnąć haust powietrza i stwierdziła, że naprawdę oddycha czystym gazem, mającym woń ozonu. Jej płuca wypełnił tlen, a kiedy powoli go wypuściła, na zewnętrznej powierzchni dziwnej błony pojawiły się pęcherzyki.

Cilghal nałożyła drugą porcję symbionta na swoją nieforemną twarz. Potem wcisnęła w miękką galaretę miniaturowy mikrofon, a następnie umieściła w uchu mikroskopijną słuchawkę.

Podała drugi komplet takich samych małych urządzeń Leii. Mikrofon wszedł w miękką galaretę bez oporu, ale symbiont uchwycił go dosyć mocno. Kiedy Leia włożyła słuchawkę, usłyszała bardzo wyraźnie głos Cilghal.

- Musisz starannie wymawiać słowa - odezwała się Kalamarianka. - Poza tym system łączności funkcjonuje całkiem dobrze.

Nie mówiąc ani słowa więcej, ujęła swojego gościa pod rękę. Leia czuła bardzo wyraźnie uścisk jej palców, a nawet dotyk łączących je błon, przekazywany przez dziwną tkaninę śliskiego kombinezonu. Ześlizgnęły się do otworu, przeniknęły przez pole ochronne i po chwili pogrzyły się w toni kalamariańskiego oceanu.

Zanurzając się coraz głębiej, Leia czuła na czole i wokół oczu ciepłe prądy wodne. Symbiont dostarczał jej wystarczających ilości tlenu, a tkanina kombinezonu sprawiała, że w ogóle nie miała wrażenia, iż jest w wodzie. Niektóre pasma jej włosów wymknęły się spod naprędcy wykonanej siatki i teraz falując w rytm ruchów ciała, ciągnęły się za głową.

Oddaliła się od migotliwych światła Foamwander City, pływającej metropolii, która niczym ogromny podwodny potwór unosiła się na wodzie, otoczona tysiącami drobnych figurek przemykających się między wieżowcami. W dole widziała przyćmiony pomarańczowy blask kopulastych miast, w których Quarrenowie mieszkali i wydobywali z dna morza cenne surowce. Woda w górze miała mleczną barwę przefiltrowanego przez spienione fale światła pochmurnego, deszczowego popołudnia.

Leia niemal się nie odzywała, chociaż system łączności działał całkiem dobrze. Kiedy pływające miasto pozostało daleko w tyle, kobieta poczuła niepokój na myśl o tym, że jest teraz zdana wyłącznie na własne siły.

Słyszając plusk i bulgot wody wydobywającej się z dysz silników, starała się pozostawać jak najbliżej Kalamarianki. W końcu Cilghal gestem pokazała pęknięcie w skorupie dna oceanu, otoczone kępami koralowców i falującymi czerwonymi i brunatnymi liśćmi oceanicznych chwastów.

- Zbliżamy się do banku kalamariańskiej wiedzy - odezwała się do miniaturowego mikrofonu.

Cilghal i Leia, często zmieniając kierunek, przepłynęły przez labirynt podwodnych, jakby rzeźbionych skał, porośniętych koralowcami i cienkimi jak włosy

niemi podwodnych roślin. Strumień wody w tym miejscu wydawał się silniejszy, gdyż skaliste wąwozy zmieniały kierunki błędzących prądów. Wokół nich j nad nimi pływały lawice małych, jaskrawo ubarwionych ryb. Od czasu do czasu żywiły się nimi większe ryby. Otwierały paszcze, polykały zdobyc i płynęły dalej, rozglądając się za następnymi ofiarami.

Leia spojrzała przed siebie i zobaczyła zbiorowisko rozrzuconych chaotycznie wielkich wypolerowanych muszli niezdarnych małż, mających mniej więcej metr średnicy. Wydało się jej, że ze środka muszli wydobywa się słaba poświata.

Cilghal niespodziewanie wyłączyła swój strumieniowy silnik, a Leia przepłynęła jeszcze kilka metrów, zanim uczyniła to samo. Kalamarianka gwałtownie złączyła szerokie stopy i zaczęła opadać na dno, pomagając sobie silnymi ruchami ramion.

Kiedy zbliżały się do ogromnych małż, Leia tylko z trudem nadażała za Cilghal. Wykonując powolne ruchy nogami, żeby nie dać się znieść dość silnemu prądowi, pani ambasador rozłożyła szeroko ręce i pochyliła się nad największą półkulistą muszlą spoczywającą na samym skraju grupy. Zaczęła monotonnie mruzczyć. Leia usłyszała dziwny dźwięk, przekazywany zarówno przez cząsteczki wody, jak i umieszczoną w uchu słuchawkę komunikatora.

- Mamy kilka pytań - odezwała się Cilghal, zwracając się do gigantycznej muszli. - Chciałybyśmy uzyskać dostęp do wiedzy, zgromadzonej i przechowywanej w waszej zbiorowej pamięci. Musimy wiedzieć, czy możecie udzielić nam odpowiedzi na te pytania.

Z cichym jękiem górna część muszli największej małży zaczęła się otwierać. Szczelina między obydwoma skorupami powiększała się, aż wewnątrz zajaśniało złocistą poświatą, jakby w środku nieprzezroczystej muszli mieszkało schwyte i uwięzione słońce.

Zdumiona Leia nie potrafiła wykrztusić ani słowa. Z każdą chwilą szczelina stawała się coraz szersza, a w wydostającym się ze środka świetle było widać miękką mięsistą masę, zwiniętą i poskręcana. Leia zrozumiała, że widzi nie tylko bryłę ciała mięczaka, ale patrzy na mózg, ogromny mózg, pulsujący życiem i wydzielający żółte światło.

W uszach Leii zabrzmiał dziwny, rytmicznie pulsujący dźwięk przekazywany przez cząsteczki wody. Cilghal odwróciła się w stronę Leii.

- Odpowiedzą - oznajmiła.

Leia obserwowała, jak jedna po drugiej gigantyczne muszle otwierają się, oświetlając ściany wąskiej rozpadliny ciepłym złocistym blaskiem i ukazując zwinięte sploty innych wielkich mózgow.

- Spoczywają - odezwała się Cilghal. - Czekają. Nasłuchują. Wiedzą o wszystkim, co dzieje się na tej planecie. Nigdy niczego nie zapominają.

Cilghal zaczęła długi, ceremonialny rytuał komunikowania się z bankiem wiedzy drzemającym w mózгах małż. Od czasu do czasu coś mówiła, wypowiadając słowa powoli, jakby w transie. Poruszając rękami i nogami, Leia nic dawała się znieść prądowi, urzeczona i podekscytowana.

W końcu Kalamarianka cofnęła się i odpłynęła, wykonując zamaszyste ruchy szerokimi dłońmi. Gigantyczne małże zamknęły muszle, przestały rozjaśniać najciemniejsze zakamarki rozpadliny.

Leia miała kłopoty z przyzwyczajaniem się do ciemności głębin, ale słowa pani ambasador zabrzmiały w jej uchu głośno i wyraźnie.

- Powiedziały mi, gdzie go znaję.

Leia nie usłyszała w jej głosie żadnej emocji, ale czuła wyraźnie, że ją samą przenika dreszcz podniecenia.

Kiedy obie zaczęły płynąć w górę, Leia uniosła głowę i spojrzała ku krawędziom szczeliny. Znieruchomiła, gdy zobaczyła wydłużony śmiercionośny kształt przypominający sylwetkę imperialnego wojennego okrętu. Zorientowała się, że patrzy na ogromną żywą istotę mającą długie ciało podobne do pocisku, kolczaste płetwy i paszczę, w której było widać mnóstwo ostrych zębów. Z obu stron pyska wyrastały pęki giętkich macek zakończonych ostrymi jak brzytwy szczypcami.

Leia zaczęła wykonywać nagłe ruchy, chcąc odpłynąć jak najdalej od groźnego potwora Cilghal złapała ją za rękę i ściągnęła w głąb rozpadliny.

- Krakana - oznajmiła.

Wydawało się, że bestia zauważyła zamieszanie, jakie powstało w głębi szczeliny. Prerażona Leia zaczęła spazmatycznie oddychać, a z jej osłoniętych symbiontem ust wydobywały się bąbelki piany. Cilghal jednak jej nie puściła.

- Czy nas zaatakuje? - zapytała Leia, kierując słowa do mikrofonu komunikatora.

- Tak, jeżeli nas wyczuje - odparła Cilghal. - Krakana jest zwierzęciem wszytkożernym.

- A więc co... - zaczęła Leia.

- Nie znajdzie nas.

W głosie Kalamarianki brzmiała niezachwiana pewność. Roje przestraszonych ryb pływały, rozpaczliwie usiłując się oddalić od sylwetki drapieżnika mającej kształt torpedy. Wyglądało na to, że Cilghal się koncentruje.

- Nie, zaatakuje tamtą rybę - powiedziała, gestem szerokiej ręki wskazując kielera w niebieskie i żółte paski. - Potem połknie tamtą mniejszą, pomarańczową, z samego środka ławicy. Do tej pory wszystkie inne uciekną, więc krakana odpłynie, żeby poszukać łupu w innym miejscu. Wówczas będziemy mogły wypłynąć ze szczeliny.

- Skąd to wiesz? - zapytała Leia, chwytając się szorstkiej krawędzi koralowca wyrastającego ze skalnej ściany.

- Po prostu wiem - odparła Cilghal. - Mam taki dziwny dar.

Prerażona, ale i zafascynowana Leia patrzyła, jak krakana, atakując od dołu, jednym błyskawicznym ruchem rzuca się na ofiarę, jak chwyta kilkoma mackami nieszczęsnego niebiesko-żółtego kielera i rozrywa szczypcami na kawałki, żeby później wpełznąć je do paszczy, wypełnionej ostrymi zębami.

W następnej chwili groźny potwór pochłonął w całości jasnopomarańczową rybkę. Reszta ławicy się rozproszyła, a pojedyncze ryby albo ukryły się w szczelinach skalnych ścian rozpadliny, albo odpłynęły, by zniknąć w niezmiernych

przestworzach oceanu. Krakana także zniknęła w głębinach, nie przestając rozglądać się za następną ofiarą.

Leia spojrzała na Cilghal, zaskoczona faktem, że Kalamarianka potrafi przewidywać przyszłość, ale pani ambasador jeszcze raz ścisnęła jej rękę, a potem uruchomiła swój silnik strumieniowy.

- A teraz musimy odnaleźć Ackbara - powiedziała.

ROZDZIAŁ

16

Po wielu godzinach spędzonych w głębi oceanu Leia i Cilghal w końcu podплыły nieco bliżej wzburzonej powierzchni. Otaczały je teraz podwodne drzewa. Ich konary miały żyłki jarzące się niebieską i czerwoną poświatą. Drzewa kołysały się i chwiały, miotane spienionymi falami i głębinowymi prądami wody.

Liście podwodnych drzew tworzyły istny gąszcz, w którym pływało tysiące dziwnych ni to ryb, ni to bulw, skorupiaków i wyposażonych w długie macki groźnych stworzeń. Większość miała niewielkie rozmiary, ale niektóre, przemykając się między gałęziami i żywiąc wypełnionymi powietrzem pęcherzykami, które utrzymywały rośliny na powierzchni, rzucały całkiem pokaźne cienie.

- Kiedy Ackbar był młodszy, miał w największym gąszczu dzikich podwodnych drzew własne małe mieszkanie - oznajmiła Cilghal. - Teraz ryby zauważyły, że powrócił, a chociaż nie mają dobrej pamięci, przekazywały tę wieść jedne drugim, aż w końcu wiadomość o tym dotarła do inteligentnych małż i ich banku wiedzy.

Leia czuła ból we wszystkich mięśniach rąk i nóg, wywołany długim pływaniem, chociaż zadziwiające delikatne sploty materiału kombinezonu jakby usuwały zmęczenie, przywracały mięśniom dawną świeżość.

- Chciałabym tylko porozmawiać - odparła.

Przed sobą zauważyła nagle kulisty podwodny dom, wykonany z plastali, ale porośnięty teraz algami i chwastami. Zapewne wyrosły z nasion i strąków, które na przestrzeni wielu lat przyczepiły się do kadłuba. W kilku nie porośniętych roślinnością miejscach na zakrzywionej powierzchni było widać duże zawory urządzeń uzdatniających i odsalających wodę, a także okrągłe iluminatory. Umieszczony nieco z boku podwodny pomost sprawiał wrażenie, jakby niedawno został odkrobany i oczyszczony. Z jednej strony pomostu było widać przymocowaną małą, białą łódź podwodną, jajowatego kształtu, jeżeli nie liczyć licznych wystających anten, ramion, chwytaków i manipulatorów.

Leia wypłynęła na powierzchnię, wciąż smaganą podmuchami wiatru i zacinającego deszczu, i głęboko odetchnęła poprzez błonę symbionta. Po chwili poczuła uchwyt dłoni Cilghal, która namawiała ją do powrotu pod wodę.

- Wejście znajduje się pod powierzchnią - odezwał się jej głos w słuchawce komunikatora.

Leia zanurkowała i zaczęła płynąć w stronę wejścia. Kapsuła będąca mieszkaniem Ackbara nie przemieszczała się, przymocowana do grubych pni podwodnych drzew, ale wraz z nimi kołysała się z boku na bok. Pod kapsułą było widać resztki sieci i podwodnych wnyków. W niektórych pływały małe zielone rybki, które jednak bez trudu mogły przedostać się przez oka sieci. Przez otwory w dolnej części kuli sączyło się jaskrawe światło przeszywające głębiny niczym podwodne włócznie.

W dnie kapsuły znajdował się otwór przypominający szerokie usta. Cilghal pierwsza przecisnęła się przez ochronne pole. Po chwili to samo uczyniła i Leia, czując, jak jej ramiona ocierają się o metalową krawędź. Kiedy znalazła się w środku przyciemnionego pomieszczenia, ściągnęła z twarzy galaretę, otrząsnęła się i rozejrzała po zaniedbanym mieszkaniu admirała Ackbara.

Zaskoczony i zdumiony Kalamarianin wstał z ławy wykonanej z ociosanego kamienia i nie mogąc wykrztusić ani słowa tylko patrzył, jak Cilghal i Leia wyłaniają się z podwodnego otworu. Leia przez chwilę ociekała wodą, dopóki zdumiewające sploty jej kombinezonu nie pochłonęły nadmiaru wody albo nie wessały jej między ultracienkie warstwy.

Na widok Ackbara Leia westchnęła z prawdziwą ulgą, ale wyczuła jego nagłe zaniepokojenie, zakłopotanie... i coś więcej. Wszystkie mowy jakie ułożyła, przygotowując się do spotkania z admirałem, wyciekły z jej pamięci jak krople wody, które właśnie wysychały na podłodze. Przez chwilę ona i Ackbar stali w milczeniu, tylko spoglądając na siebie. W końcu Leia pierwsza odzyskała zdolność mowy.

- Admirale Ackbar, bardzo się cieszę, że w końcu cię odnaleźliśmy.

- Leio - odezwał się Kalamarianin. Uniósł ręce w obronnym geście, ale później opuścił je, jakby nie miał pojęcia, co z nimi zrobić. Odwrócił się w stronę Cilghal. - Pani ambasador wydaje mi się, że już dwa razy się spotkaliśmy?

- Za każdym razem był to dla mnie wielki zaszczyt, panie admirale - odparła Cilghal.

- Bardzo proszę używać tylko mojego nazwiska - rzekł Ackbar. - Już nie jestem admirałem.

Jego mieszkanie przypominało wielką bańkę, w której wnętrzu wykonano wybrzuszenia, pełniące funkcje siedzeń, stołu, łoża i półek, a także wklęsnięcia, służące do przechowywania różnych przedmiotów. Podłoga w tej części mieszkania była zaśmiecona, ale odległą część pomieszczenia starannie uporządkowano i uprzątnięto. Zapewne właściciel zaczął metodycznie naprawiać uszkodzenia i wszystko układać, ale sprząając po metrze kwadratowym dziennie, nie zdążył ukończyć całej pracy.

Ackbar gestem wskazał jasno oświetloną część kuchenną pomieszczenia, skąd dochodziło bulgotanie i dolatywała woń smakowitych potraw.

- Czy zechcecie zjeść ze mną posiłek? - zapytał, a potem dodał, zwracając się do Leii. - Nie będę obrażał osoby, obdarzonej umiejętnościami Jedi, i nie zapytam, jak mnie tu znalazłaś, ale chciałbym wiedzieć, co sprawiło, że odbyłaś z Coruscant tak daleką drogę.

Siedzieli przy stole i kończyli jeść niewyszukany, ale bardzo smaczny gulasz rybny. Leia przełknęła kawałek delikatnego mięsa i przesunęła językiem po wargach, chcąc lepiej zapamiętać piekący, chociaż słodki smak charakterystycznych kalamariańskich przypraw.

Przez cały czas posiłku zbierała w sobie odwagę, ale to Ackbar pierwszy zaczął rozmowę na ten temat.

- Leio, nie powiedziałaś mi jeszcze, dlaczego tu jesteś.

Leia nabrała głęboko powietrza i usiadła prosto.

- Chciałam porozmawiać z tobą, admi... mhm... Ackbarze - powiedziała. - I zapytać cię o to samo. Dlaczego ty tu jesteś?

Ackbar sprawiał wrażenie, jakby świadomie źle zrozumiał jej pytanie.

- Tu jest mój dom - odparł.

Leia poczuła ogarniającą ją frustrację, ale jeszcze nie dawała za wygraną.

- Wiem, że tu jest twój ojczysty świat, ale są także inne, które ciebie potrzebują. Nowa Republika...

Ackbar wstał, zebrał puste czarki po gulaszu i odwrócił się tyłem do stołu.

- Moi ludzie także mnie potrzebują - odparł. - Widziałem tyle zniszczeń, tyle śmierci...

Leia zastanawiała się, czy miał na myśli atak imperialnych Niszczycieli Światów na Kalamar, czy katastrofę swojego myśliwca na Vortex i zburzenie Katedry Wiatrów.

- Mon Mothma umiera - powiedziała szybko, jakby w obawie, że mogłaby zmienić zdanie.

Cilghal raptownie się wyprostowała. Leia jeszcze nigdy nie widziała u opanowanej Kalamarianki tak szybkiej reakcji.

Ackbar obrócił zmęczone oczy i popatrzył na Leię. Postawił puste czarki z powrotem na stole.

- Skąd możesz być tego pewna? - zapytał.

- To jakaś wyniszczająca dolegliwość, która trawi ją od wewnątrz - odparła. - Medyczne androidy i eksperci nie są w stanie określić, co właściwie jej dolega. Wygląda bardzo źle. Widziałeś ją, zanim nas opuściłeś, ale Mon Mothma miała wówczas na twarzy grubą warstwę pudrów i kremów. Zapewne chciała ukryć przed nami fakt, że jest bardzo chora. Potrzebujemy ciebie, admirale.

Tym razem Leia użyła świadomie jego wojskowego tytułu. Pochyliła się nad stołem i spojrzała na Ackbara, nie kryjąc rozpaczy w ciemnych oczach.

- Przykro mi, Leio - odrzekł Ackbar pokręciwszy głową. Gestem wskazał niedawno uprzątniętą część mieszkania będącą pracownią i ustawioną tam aparaturę naukową. - Mam tutaj odpowiedzialną pracę. Podczas ataku wojsk Imperium mój świat został bardzo zniszczony, a poza tym ostatnio coraz częściej zdarzają się tektoniczne wstrząsy. Postawiłem sobie za cel sprawdzić, czy naprawę skorupa naszej planety staje się niestabilna. Muszę zebrać jak najwięcej danych. Moi ludzie mogą znaleźć się w niebezpieczeństwie. Nie chcę, żeby z mojego powodu zginął ktokolwiek więcej.

Cilghal obróciła głowę w prawo i lewo. Przysłuchiwała się rozmowie, ale nie odzywała się ani słowem.

- Admirale, nie mogę dopuścić, żeby Nowa Republika rozpadła się tylko z powodu twoich wyrzutów sumienia - oświadczyła Leia. - Od tego zależy przecież życie wielu istot w całej galaktyce.

Ackbar przestąpił niespokojnie z nogi na nogę, jakby nie chciał słuchać słów Leii.

- Mam tak dużo pracy, że nie mogę zwlekać ani chwili - odparł. - Właśnie przygotowywałem się do rozmieszczenia kilku nowych czujników fal sejsmicznych. - Poczłapał w stronę półki, na której stały opakowane elektroniczne przyrządy. - Proszę, zostaw mnie w spokoju.

Leia wstała.

- Pomożemy ci rozmieścić te czujniki, admirale - oświadczyła.

Ackbar zawahał się, jakby mimo samotności obawiał się towarzystwa innych istot. Odwrócił się i spojrzał najpierw w oczy Leii, a potem na Cilghal.

- Tak, byłbym zaszczycony, gdybym mógł liczyć na waszą pomoc - odparł w końcu. - W mojej łodzi podwodnej jest miejsce akurat dla trzech osób. - Zamrugał powiekami wielkich, okrągłych, smutnych oczu. - Cieszę się, że będę mógł przebywać z wami, chociaż spełnienie twojej prośby, Leio, jest dla mnie bardzo trudne.

Leia, przypięta pasami bezpieczeństwa do jednego z foteli w ciasnej kabinie łodzi podwodnej, przysłuchiwała się bulgotaniu wody omywającej kadłub i pokład. Po chwili głębiny oceanu połknęły małą łódź, która otoczona lasem podwodnych drzew zanurzała się tak długo, aż woda na zewnątrz zaczęła przypominać lity blok ciemnozielonego szkliwa. Zdumiona Leia patrzyła, jak Ackbar pewnie steruje łodzią między grubymi jak liny pnączami i pniami drzew podwodnego lasu. Podobnymi do kolumn.

Widziała rozkwitłe podwodne kwiaty w różnych odcieniach czerwieni i błękitu. Ich drżenie wydawało się wabić wysmukłe oceaniczne stworzenia, przemykające się między liśćmi. W pewnej chwili jedna z mniejszych ryb podpłynęła zbyt blisko jaskrawo ubarwionego kwiatu. Wówczas łodyga szarpnęła się, a płatki zacisnęły niczym pięść, zamykając ofiarę jak w klatce, by następnie pochłonąć w całości.

- Swoje sieci czujników fal sejsmicznych zacząłem rozstawiać stosunkowo niedawno - rzekł Ackbar, jakby pragnął skierować rozmowę na inne tory. - Pierwsze umieściłem na dnie morza bezpośrednio pod domem, ale jeżeli chcę otrzymać wyraźniejszy i bardziej wiarygodny sygnał, muszę pociągnąć sieć czujników jeszcze dalej, w kierunku podwodnego lasu.

- Jestem bardzo zadowolona z tego, admirale, że wykonuje pan tak ważną pracę dla naszej planety - odezwała się w końcu Cilghal.

Leia była rozbawiona, słysząc, jak kalamariańska ambasador nie przestaje tytułować Ackbara admirałem - bez względu na to, czy robiła to świadomie, czy nieświadomie.

- Trzeba starać się robić w życiu ważne rzeczy - oświadczył Ackbar.

Później umilkł, jakby chciał odgradzić się murem ciszy. W ciasnej kabinie było słychać tylko drżenie elektronicznych przyrządów, umieszczonych obok złożonych sieci i koszyków do przechowywania oceanicznych plonów.

Leia chrząknęła i przemówiła, starając się, by jej głos zabrzmiał łagodnie i cicho.

- Ackbarze... Rozumiem, jak się czujesz. Ja też tam byłam, pamiętasz?

- Jesteś dla mnie bardzo miła, Leio, ale obawiam się, że n i e rozumiesz, jak się czuję - odparł Ackbar. - Czy to ty pilotowałaś myśliwiec typu B, który uległ katastrofie? Czy to ty odpowiadasz za śmierć setek niewinnych istot? - Pokręci głową. - Czy każdej nocy słyszysz w snach ich głosy, które cię wołają?

Ackbar włączył głębinowe reflektory i ciemnozieloną wodę przeciął stożek jasnego światła.

Leia nie rezygnowała, odwołując się raczej do intuicji niż posiadanej wiedzy.

- Nie możesz ukrywać się na Kalamarze do końca życia.

Ackbar nadal na nią nie patrzył.

- Nie ukrywam się - odparł. - Mam pracę. Bardzo ważną pracę.

Powoli opadali na dno w pobliżu jednego z sękatych grubych pni podwodnego drzewa. Z mlecznobiałego piasku wystawały zaokrąglone wzniesienia ciemnych skał. Ich wygładzone przez wodę powierzchnie były porośnięte algami, dzięki czemu całe dno sprawało wrażenie przytulnego i miękkiego. Ackbar skulił się i pochylił. Spoglądając przez iluminator na głębiny rozświetlone blaskiem reflektorów, starał się wypatrzeć stabilne miejsce, w którym mógłby umieścić kolejny czujnik fal sejsmicznych.

- Możliwe, że to bardzo ważna praca - rzekła Leia. - Ale z pewnością nie twoja. Wielu Kalamarian z radością pomogłoby w tych badaniach dna oceanu, admirale. Czy przypuszczasz, że naprawdę zrobisz wszystko własnymi rękami? Czy pamiętasz jeszcze to przysłowie, które często cytowałeś, kiedy ja narzekałam na zbyt częste i bezsensowne, moim zdaniem, posiedzenia rady? „Wiele oczu zauważy to, czego jedne nie dostrzegą”. Czy nie powinieneś zwierzyć się ze swoich obaw grupie specjalistów?

Przerwała jej Cilghal. Pochyliła się w stronę iluminatora, by pokazać jakiś powyginany, na wpółzagrzebany w piasku kawał metalu, podobny do żebrowanej skorupy jakiegoś podnośnika czy ładownika.

- Co to jest? - zapytała.

Krawędzie dziwnego przedmiotu zardzewiały, a w zagłębieniach wzmacniających konstrukcję rosły kolonie alg.

- Możliwe, że wrak jakiegoś gwiazdowego statku - stwierdził Ackbar.

Cilghal kiwnęła głową.

- Stawialiśmy zaciekły opór, kiedy zaatakowało nas Imperium - przypomniała. - Pod wodą znalazło grób wiele jego gwiazdnych statków.

Ackbar umieścił dłonie w otworach elastycznych rękawic manipulacyjnych, za pomocą których mógł poruszać zautomatyzowanymi chwytakami wystającymi z przedniej części łodzi. Szybkie, precyzyjne ruchy mechanizmów zakończonych szczypcami przypominały Leii wąsy potwornej krakany, która omal nie zaatakowała jej i Cilghal w pobliżu grupy małż kalamariańskiego podwodnego banku wiedzy.

- Jeżeli ten wrak spoczywa stabilnie od wielu lat, może być dobrym miejscem do umieszczenia kolejnego czujnika - stwierdził Ackbar.

Leia, patrząc na wyciągnięte metalowe ramiona chwytaków, zauważyła, jak Ackbar wyluskał jakąś puszkę z zewnętrznego pojemnika w burcie łodzi. Kalamarianin osadził łódź na dnie, unosząc chmurę jasnego piasku, która przypominała Leii oglądaną w zwolnionym tempie burzę piaskową na planecie Tatooine. Zwinne mechaniczne ramiona ustawiły cylinder pionowo w miękkim szlamie.

Zmieniwszy kierunek obrotów wirnika silnika, Ackbar oderwał łódź od dna oceanu. Wyciągnął szyję, by lepiej i widzieć przez dziobowy iluminator, po czym wcisnął na pulpicie guzik z napisem: AKTYWACJA. Ukryty w sejsmicznym pojemniku niewielki ładunek wybuchowy eksplodował, wprawiając w drżenie cały kadłub łodzi. W skorupę dna zagłębił się długi, cienki pręt, a symetrycznie we wszystkie strony wystrzeliły małe wtórne czujniki fal sejsmicznych i spoczęły na dnie.

- A teraz wysłemy sygnał próbny - oświadczył Ackbar.

Silniki zamruczały trochę głośniejsze, kiedy skierował łódź w górę, przedzierając się między splątanymi gałęziami drzew podwodnego lasu. Płynął jednak na tyle powoli, żeby liście miały czas odsuwać się na boki i ześlizgiwać po obłej powierzchni kadłuba.

Leia kręciła się niespokojnie. Zastanawiała się, jakimi jeszcze innymi argumentami mogłaby przekonać Ackbara, ale wszystkie wydawały się jej zbyt banalne.

- Admirale - zaczęła w końcu. - Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny na tym świecie, jak ważny jest dobry dowódca. Tylko on może sprawić, że wszyscy jego podwładni będą w zgodzie dążyli do wspólnego celu. Pamiętaj, że to ty pomogłeś zjednoczyć małe grupy rebelianckich statków z różnych planet i stworzyłeś z nich potężną flotę, która była zdolna zadać druzgocący cios flocie Imperium. To ty kierowałeś nimi, kiedy tworzyli nową władzę.

Ackbar przez chwilę pozwolił płynąć łodzi dotychczasowym kursem. Odwrócił się i spojrzął w oczy Leii. Ona zaś ciągnęła pospiesznie, jakby obawiała się usłyszeć jakiegokolwiek kontrargumenty.

- Uważam, że mógłbyś wrócić ze mną na Coruscant i przynajmniej porozmawiać z Mon Mothmą. Ty i ja przez wiele lat stanowiliśmy doskonale się rozumiejącą parę. Nie idziesz chyba stał beczynnym i przyglądał się, jak Nowa Republika się rozpada.

Admirał westchnął i mocniej ścisnął dźwignię sterownicze. Gałęzie podwodnych drzew smagały transparentne szyby iluminatorów.

- Wygląda na to, że znasz mnie lepiej niż sądziłem - zaczął. - Ja...

Przerwał mu nagle alarmowy sygnał, który odezwał się z głośnika pulpitu sterowniczego. Ackbar zareagował niemal odruchowo. Szarpnął dźwignię i sprawił, że łódź zwolniła. Skierował szeroko rozstawione oczy na ekrany i wskaźniki czujników.

- To ciekawe - powiedział.

- Co takiego? - zapytała Leia.

- Jeszcze jedna bryła metalu zaplątana w gąszcz chwastów nad naszymi głowami.

- Może druga część tamtego wraku - zauważyła Cilghal.

- Jeżeli coś wpadło w gęstwiny drzew podwodnego lasu, może pozostawać tam przez całą wieczność - stwierdził Ackbar. Tracił dźwignię i podwodna łódź popłynęła trochę szybciej.

Po chwili Leia zauważyła zarys ciemnego przedmiotu o wielu nogach, zaplątanego w gąszcz podwodnych drzew i porośniętego algami. Z początku pomyślała, że widzi szczątki jakiejś obcej, ale kiedyś żyjącej istoty. Dopiero później dostrzegła spłaszczoną kulistą głowę i składający się z segmentów tułów z licznymi przegubowymi ramionami. Całość miała matową czarną barwę.

Już kiedyś widziała takie urządzenie, na lodowej planecie Anoth, kiedy Han Solo i Chewbacca natknęli się na imperialnego robota sondującego.

- Admirale... - zaczęła.

- Widzę go. To robot sondujący typu Arakyd Viper, zwany w skrócie probotem. Imperium wysyłało tysiące takich do różnych zakątków galaktyki, chcąc odkryć rozmieszczenie baz Rebeliantów.

Musiał wylądować na Kalamarze przed wielu laty - odezwała się Cilghal. - Wrak, który widzieliśmy na dnie, jest z pewnością jego ładownikiem.

Ackbar kiwnął głową.

- Kiedy probot chciał się unieść i wypłynąć na powierzchnię, zaplątał się w gąszczu oceanicznych chwastów. Zapewne od dawna nie działa.

Podpłynął trochę bliżej i ustawił podwodną łódź w taki sposób, by oświetlić sylwetkę probota promieniem reflektora głębinowego.

Kiedy jednak słup światła musnął owalną głowę robota sondującego, wszystkie oczy umieszczone na obwodzie głowy i przypominające pęcherzyki, zamrugały i rozjarzyły się jasnym blaskiem.

- Obudził się! - stwierdziła Leia.

Usłyszała wysoki, wibrujący dźwięk uruchamianych potężnych generatorów i ujrzała, że probot się poruszył. Głowa w kształcie spłaszczonej kuli obróciła się na osi i skierowała własny promień światła na łódź admirała.

Ackbar przełączył silniki na ciąg wsteczny, ale zanim jego jednostka zdążyła się oddalić, robot sondujący wyciągnął ku niej chwytaki podobne do kleszczy kraba. Mechaniczne manipulatory uchwyciły jedną z obłych płetw łodzi, ale głowa sondującego robota nie przestała się obracać. Leia zrozumiała, że imperialny automat stara się wymierzyć w ofiarę lufę wbudowanego laserowego działka, ale liście gałęzi podwodnych drzew uniemożliwiają mu szybkie ruchy.

Ackbar skierował całą moc do silników usiłujących cofnąć łódź, ale udało mu się tylko wyszarpnąć probota z gąszczu oplątujących go od wielu lat gałęzi i chwastów, i pociągnąć za sobą.

Ponownie umieścił szerokie dłonie w otworach elastycznych rękawic manipulacyjnych, dzięki którym mógł poruszać chwytakami łodzi. Uniósł dwa połączone przegubowo mechaniczne wysięgniki i starał się uwolnić z uchwytu czarnych szczęk imperialnego automatu.

Nagle w głośniku komunikatora podwodnej łodzi rozległ się głośny szum, przez który przedarła się długa seria dziwnych dźwięków, podobnych do niezrozumiałej

obecnej mowy. Żadnych słów jednak nie dało się zrozumieć. Może w ogóle ich nie było, a sygnał zawierał tylko jakąś zakodowaną informację. W każdym razie stało się jasne, że transmisja, która trwała chwilę i wysyłana była w przestworza, jest emitowana przez probota, nie przestającego tymczasem zmagać się z łodzią Ackbara.

Czarny automat zdołał w końcu obrócić głowę w taki sposób, że mógł skierować mroczny wylot lufy blisterskiego działka na ofiarę.

Ackbar, za pomocą bocznych silników manewrowych, zakotłosał i łodzią, i probotem. Wystarczyło to, by śmiertelne światło laserowe przecięło głębiny oceanu obok kadłuba, wypalając tunele pary w wodzie. Admirał uruchomił następne dwa sąsiednie chwytaki, tym razem wyposażone w laserowe palniki.

Skierował urządzenia w ten sposób, by objęły metalowe kleszcze, uczipione płatów łodzi. Ich głowice rozjarzyły się jasnoczerwonym światłem. Po chwili Ackbarowi udało się odciąć plastalowe ramię i uwolnić płetwę. Podwodna łódź odskoczyła do tyłu, a Kalamarianin widząc, że robot sondujący znów obraca głowę i stara się wymierzyć z laserowego działka, by ponownie strzelić, uniósł oba chwytaki z laserowymi palnikami jakby w obronnym geście.

Leia wiedziała, że nie mają żadnej szansy. Nie było czasu na ucieczkę, a ich laserowe palniki nie mogły się równać z bronią wroga dysponującą o wiele większą mocą. W przeciwieństwie do Luke'a nie opanowała na tyle technik Jedi, by zapewnić łodzi jakąkolwiek obronę. Ackbar jednak, nie tracąc zimnej krwi, wypalił dwa razy z lasera, mierząc w głowę robota sondującego, jakby chciał unieszkodliwić jego czujniki optyczne. Dwie mizerne smugi światła dotarły do celu...

Robot niespodziewanie eksplodował. Jaskrawe koncentryczne fale światła błysnęły w iluminatorach, a silna fala zakotłosała łodzią i uniosła ją jak piórko. Leia poczuła, że automatycznie zaciskają się pasy bezpieczeństwa jej fotela. Do kadłuba łodzi dotarła fala akustyczna, rozbrzmiewając w ograniczonej przestrzeni niczym dźwięk gongu. W iluminatorach było widać pęcherzyki powietrza i różne szczątki przepływające obok podwodnej łodzi. Na dno oceanu zaczęły opadać kawałki pni i konarów rozłupane wybuchem.

- Robot uległ autodestrukcji! - oznajmiła Cilghal. - A przecież w walce z nim nie mieliśmy żadnej szansy.

Leia przypomniała sobie, co powiedział na ten temat Han na lodowej planecie Hoth.

- Roboty sondujące są zaprogramowane w ten sposób, żeby raczej uległy samodestrukcji niż pozwoliły, by zebrane formacje wpadły w ręce wroga.

Ackbar w końcu zdołał uspokoić koziołkującą łódź podwodną. Cztery wysięgniki wystające z dziobowej części zostały jednak oderwane. Było widać jedynie poszarpane krawędzie metalowych ramion, oderwane kable i zniszczone obwody.

Admirał zaczął wdmuchiwać powietrze do jednego ze zbiorników balastowych i łódź popłynęła ku powierzchni. Leia zauważyła trzy cienkie jak włosy pęknięcia w transparentnych szybach dziobowego iluminatora i dopiero wówczas uświadomiła sobie, że omal nie zostali zgnieceni przez uderzeniową falę eksplozji probota.

- Ale robot sondujący zdażył wysłać sygnał - odezwała się Cilghal. - Słyszeliśmy go, zanim imperialny automat uległ autodestrukcji.

Leia poczuła, że jej żołądek ścisną coś podobnego do lodowatej pięści, ale Ackbar albo zlekceważył niebezpieczeństwo, albo starał się ją uspokoić.

- Ten robot sondujący przebywał w gąszczu podwodnych drzew przez dziesięć lat albo dłużej - powiedział. - Poza tym zapewne to był stary kod, niemal z pewnością od dawna nie stosowany. A nawet gdyby ktoś umiał rozszyfrować wiadomość, kto w przestworzach mógłby po tylu latach wciąż nasłuchiwać?

ROZDZIAŁ

17

Dysponując trzema gwiazdnymi niszczycielami, bezpiecznie ukrytymi za chmurami zjonizowanych gazów Mgławicy Kocioł, admirał Daala udała się do prywatnej kwatery, by rozmyślać, jaką obrać taktykę.

Usiadła sztywno w fotelu klubowym, ale nie pozwoliła sobie na dotknięcie plecami miękkiej tkaniny. Czowała się zdecydowanie nieswojo, kiedy było jej wygodnie.

W skąpo oświetlonym pokoju stał przed nią holograficzny wizerunek wielkiego moffa Tarkina, nie zmieniony mimo tylu lat, które upłynęły od jego śmierci. Szczupły, obdarzony niezłomną wolą mężczyzna wygłaszał przemówienia, które zostały zarejestrowane na holotaśmie, dawał rady. Daala oglądała te nagrania dziesiątki razy.

Tylko w zaciszu prywatnej kwatery mogła tęsknić za jedynym człowiekiem z całej imperialnej akademii wojskowej, który poznał się na jej talencie. To właśnie Tarkin awansował ją do stopnia admirała. O ile wiedziała, w imperialnej marynarce była jedyną kobietą, która dostąpiła zaszczytu otrzymania najwyższego stopnia.

Podczas wielu lat spędzonych na wygnaniu w Laboratorium Otchłani, Daala bardzo często oglądała nagrane przemówienia Tarkina, ale teraz przysłuchiwała się jego słowom ze zdwojoną uwagą. Zmarszczyła brwi i zwięzła do szparek oczy, koncentrując uwagę na każdym wypowiedzianym wyrazie. Szukała nieocenionej rady, z której mogłaby skorzystać w prywatnej wojnie przeciwko Rebeliantom.

- Zlikwidowanie kilkunastu niewielkich zagrożeń jest łatwiejsze niż zniszczenie jednego dużego ośrodka buntu - mówił wizerunek. Było to nagranie wygłoszonego na Caridzie przemówienia, w którym wielki moff przedstawiał założenia tak zwanej „doktryny Tarkina”. - Wymuszajcie posłuch, raczej grożąc użyciem siły niż samą siłą. Jeżeli użyjemy naszej siły mądrze, zastraszymy tysiące światów, dając nauczkę tylko kilku wybranym.

Daala przewinęła holotaśmę, by ponownie wysłuchać tego samego przemówienia. Wydawało się jej, że właśnie zbliża się do zrozumienia czegoś bardzo ważnego. Przeszkodził jej jednak dźwięczny kurant u drzwi wejściowych. Wyłączyła holoprojektor.

- Rozjaśnić! - rozkazała.

W drzwiach stał komandor Kratas, sztywno wyprostowany i odziany w nieskazitelnie gładki mundur. Dłonie trzymał za plecami. Starał się ukryć uśmiezek zadowolenia z samego siebie, ale Daala rozpoznała go bez trudu, widząc lekkie drżenie mięśnia twarzy i nieznaczne uniesienie kącików wąskich warg mężczyzny.

- Tak, komandorze, co się stało? - zapytała.

- Odebraliśmy właśnie sygnał - odparł Kratas. - Wygląda na to, że został nadany przez kogoś z tajnych imperialnych robotów sondujących z Kalamaru, jednej z ważniejszych planet opanowanych obecnie przez siły Rebeliantów. Znajdują się tam duże orbitalne stocznie, w których buduje się wiele gwiazdnych statków. Trudno powiedzieć, czy ta informacja jest jeszcze aktualna.

Daala uniosła brwi i pozwoliła, żeby jej bezkrwiste wargi ułożyły się w uśmiechu. Obiema dłońmi przerzuciła pasma ognistorudych włosów na plecy. Poczowała między palcami trzeszczenie ładunków elektrostatycznych, jakby powstałych dzięki trawiącemu ją podnieceniu.

- Czy możemy być pewni, że ten meldunek jest wiarygodny? - zapytała. - Do kogo był adresowany?

- To był szerokopasmowy sygnał, pani admirał. Przypuszczam, że te roboty wysyłano na wiele przypadkowo wybieranych światów. Kiedy przekazywały sygnał z meldunkiem, nie kierowały go do żadnego imperialnego gwiazdnego niszczyciela w szczególności.

- Czy może to być jakieś oszustwo albo figiel Rebeliantów? Może pułapka?

- Nie sądzę - odparł Kratas. - Sygnał został zakodowany w bardzo skomplikowany sposób. Rozszyfrowaliśmy go z największym trudem, a i to tylko dlatego, że wpadliśmy na pomysł sprawdzenia zgodności z jednym z naszych najnowszych kodów, jaki przekazał nam wielki moff Tarkin podczas ostatniej wizyty w Laboratorium Otchłani.

- Doskonale, komandorze - odparła Daala, przesuwając obiema dłońmi po gładkim oliwkowo- szarym materiale spodni kombinezonu. - Właśnie szukaliśmy nowego celu, który można byłoby zaatakować. Jeżeli ten Kalamar jest naprawdę tak ważnym ośrodkiem budowy gwiazdnych statków, może być bardzo dobrym kandydatem. Przypuszczam, że nie gorszym niż jakikolwiek inny. Chcę, żeby pan i pozostali dwaj kapitanowie moich statków spotkali się ze mną w centrum dowodzenia. Proszę dopilnować, żeby pozostałe gwiazdne niszczyciele były gotowe do natychmiastowego startu. Naładować wszystkie baterie turbolaserów. Przygotować do akcji wszystkie myśliwce typu TIE.

Tym razem będziemy postępowali dokładnie według wskazówek wielkiego moffa Tarkina. - Daala podkreśliła wagę ostatnich słów, przecinając powietrze wyciągniętym wskazującym palcem. - Proszę dopilnować, żeby wszyscy przejrzeliby jeszcze raz taśmy z wydanymi rozkazami. Nie życzę sobie żadnych pomyłek. To ma być bezbłędny atak.

Zanim wyszła na korytarz, wydała rozkaz przyciemnienia światła. Kiedy ruszyła, tuż za nią szło dwóch jej osobistych strażników- szturmowców. Odgłos zgodnych, rytmicznych kroków całej grupy rozbrzmiał w korytarzu niczym stuk butów jednego człowieka.

- Skończyliśmy z ćwiczeniami - oświadczyła Daala, zwracając się do Kratasa. - Po naszym ataku Kalamar będzie tylko stosem dymiących szczątków.

Leia pilotowała odkryty ślizgacz Ackbara, niemal lecąc nad wzburzonymi falami kalamariańskiego oceanu. Niebo nadal przypominało zakrzepłą gęstą zupę ciemnych chmur, ale burza z poprzedniego dnia wyraźnie straciła siłę. W dalszym ciągu wiał jednak świeży, chłodny wiatr, obryzgiwał twarze pasażerów kropelkami słonej piany. Leia nie mogła powstrzymać pełnego ulgi uśmiechu na myśl o tym, że w końcu Ackbar zgodził się wrócić z nią na Coruscant, choćby jedynie po to żeby porozmawiać z Mon Mothmą.

Na razie Leia i Cilghal zabierały go z powrotem do Foamwander City, żeby mógł przekazać innym kalamariańskim naukowcom zebrane wyniki badań dotyczących rozchodzenia się fal sejsmicznych. Siedzący na tylnym fotelu ślizgacza Ackbar sprawiał jednak wrażenie zamyślnego, niespokojnego i niepewnego siebie.

Półkolista bryła kalamariańskiego pływającego miasta wyglądała jak ciemnoszara, metalowa wyspa. Roili się wokół niej inne ślizgacze. Wpływały przez otwarte wrota miasta albo wypływały, by zebrać zastawione sieci.

Nagle Ackbar się wyprostował.

- Słuchajcie! - krzyknął.

Mimo szumu wiatru i fal Leia wyraźnie usłyszała ostry jęk syren, ogłaszających powszechny alarm. Chwyciła ręczny komunikator i pospiesznie wystukała kombinację cyfr ośrodka dowodzenia Foamwander City.

- Tu ślizgacz siedemnaście zero jeden koma siedem - powiedziała. - Jaka jest przyczyna alarmu?

Zanim jednak usłyszała odpowiedź, przez ciemne chmury przebiła się smuga oślepiającego światła, która wpadła do oceanu w pobliżu pływającego miasta. Z szumem podobnym do huku gromu wystrzelił w powietrze gejzer wodnej pary.

- To turbolaser! - krzyknęła zdumiona Leia.

Ackbar uchwycił się poręczy fotela.

- Jesteśmy atakowani przez jakiś statek, który znajduje się na orbicie!

- Wrota falochronu się zamykają - odezwał się przerażająco spokojny głos kalamariańskiego spikera w głośnikach systemu ostrzegania. - Wszyscy obywatele mają natychmiast wrócić do miasta. Powtarzam, wrota falochronu się zamykają.

Większość ślizgaczy zdążyła zniknąć w różnych otworach, jakich wiele było rozmieszczonych na linii wody w kadłubie Foamwander City. Ci, którzy nie przedostali się przez wrota pozostawiali ślizgacze i skakali przez burty, żeby wpłynąć do miasta przez otwory podwodne.

Prawie wszystkie wrota falochronu zostały już zamknięte albo właśnie zamykały się po przekątnej niczym wykrzywione usta. Leia skierowała ślizgacz ku najbliższemu otwartemu wejściu i wcisnęła guzik akceleratora. Siła przyspieszenia wtoczyła plecy pasażerów w miękkie oparcia wyściełanych foteli.

Nad głowami przeleciała cała eskadra myśliwców i bombowców typu TIE. Widok ich skrzydeł ostrych jak brzytwy przywodził na myśl stado padlinożernych ptaków. Maszyny zanurkowały z rykiem i wyciem podwójnych silników jonowych.

Bombowce typu TIE rzuciły do wody jarzące się energetyczne bomby, które wybuchając, posyłały we wszystkie strony wysokie fale i zwiewane przez wiatr fontanny pary wodnej i piany. Myśliwce z hukiem przeleciały nad Foamwander City, siekąc miasto ogniem laserowych działek. Błyskawice zielonego światła wypalały w pancerzu dymiące smugi.

Jedna z wzbudzonych przez bomby wielkich fal znalazła się na kursie ślizgacza Leii, ale ona, uchwyciwszy mocniej dźwignię, nie zwolniła, spoglądając jak urzeczona na zamykające się wrota falochronu. Wiedziała, że jeżeli nie zdąży przez nie przemknąć, pozostaną bezradni na powierzchni i staną się łatwym łupem dla imperialnych artylerzystów.

- Mamy przecież całą eskadrę myśliwców typu B do obrony orbitalnych stoczni - odezwał się Ackbar. - Gdzie one są? Muszę wiedzieć, co dzieje się tam, w górze.

- Może są zajęte czymś innym - zasugerowała Cilghal. Jak zwykle w jej głosie nie dało się wyczuć żadnej emocji.

- Trzymajcie się! - ostrzegła Leia i wcisnęła guzik awaryjnych silników raketowych.

Ślizgacz uniósł się o następny metr nad powierzchnię oceanu, jakby resztką sił próbował dotrzeć do kurczącej się szczeliny. Leia pochyliła się, widząc, że metalowe usta z każdą sekundą znajdują się coraz bliżej, ale i coraz niżej.

Przepływając przez szczelinę, Leia zawadziła burtą o dolną krawędź plastalowych ciężkich wrót, a później jak strzała poszybowała bezpiecznym tunelem, rozjaśnionym zieloną poświatą. Otarcie przy tak dużej szybkości o wrota sprawiło jednak, że ślizgacz zaczął obracać się i obijać o ściany. Leia zmagiła się z dźwigniami, starając się zmniejszyć prędkość lotu, ale ślizgacz nie przestawał odbijać się od ścian jak kula bilardowa, przy każdym zetknięciu wzniecając snopy iskier. Kiedy w końcu znieruchomiał, pasażerowie usłyszeli z wielokrotnionym echem huk, z jakim zamknęły się wrota falochronu.

- To zależy od tego, jak długo uda nam się bronić przed atakami - odparła Leia.

Chociaż twarz Cilghal nie zdradzała wyraźnie określonych uczuć, było widać, że pani ambasador nie umie ukryć dumy.

- Kalamarianie rzucili jarzmo imperialnej okupacji, dysponując jedynie ograniczonymi środkami i kilkoma rozwiązaniami technicznymi - oświadczyła. - Tym razem mamy do dyspozycji prawdziwą broń. Powstrzymamy ich tak długo, jak będzie konieczne. - Kiwnęła głową, wskazując najbliższą konsolę. - Jeżeli chcesz przesłać wiadomość, możesz skorzystać z tego komunikatora.

Leia pospieszyła do konsoly i wystukała na klawiaturze kod zapewniający jej absolutne pierwszeństwo i umożliwiający przesłanie na Coruscant skupionej wiązki, a wraz z nią automatycznie kodowanej informacji.

- Tu minister Leia Organa Solo - powiedziała. - Przebywam na Kalamarze. Planeta jest atakowana przez dwa imperialne gwiazdne niszczyciele. Proszę o

natychmiastową pomoc. Powtarzam, n a t y c h m i a s t o w ą. Jeżeli się nie pospieszycie, możecie w ogóle nie przylatywać.

Dowódca obrony miasta wyciągnął rękę i wskazał jakieś punkty na holograficznym obrazie bitwy.

- Pozostawiliśmy całą eskadrę myśliwców typu B, żeby broniła stoczni, ponieważ sądziliśmy, że to one są najbardziej prawdopodobnym celem - powiedział. - Te gwiazdne niszczyciele po wyjściu z nadprzestrzeni zajęły jednak pozycję na orbicie i zaczęły atakować nasze pływające miasta. W tej chwili obie nieprzyjacielskie jednostki skupiają całą siłę ognia na Reef Home City. Imperialni dowódcy przeznaczyli tylko dwie eskadry bombowców i myśliwców typu TIE, żeby bombardowały i ostrzeliwały Foamwander City. Następne trzy eskadry maszyn wroga atakują Coral Depths.

- Komandorze - odezwał się jeden z kalamarianskich taktyków, dotykając mikrosłuchawki implantowanej za uchem. - Straciliśmy wszelką łączność z Reef Home. Ich ostatni meldunek zawierał informacje o przebiciu zewnętrznego pancerza w co najmniej piętnastu miejscach, przez które zaczęła się wdzierać woda. Ostatni obraz, jaki otrzymaliśmy ukazywał gigantyczną eksplozję. Analiza fali nośnej wysyłanej przez ich nadajniki pozwala przypuszczać, że całe miasto zostało doszczętnie zniszczone.

Wśród Kalamarian zebranych w ośrodku dowodzenia dał się słyszeć cichy jęk przerażenia.

- Właśnie zamierzałem wydać rozkaz wycofania wszystkich myśliwców broniących stoczni i rzucenia ich do walki przeciwko napastnikom - odezwał się niepewnie dowódca obrony miasta.

Ackbar skierował spojrzenie na rój maszyn typu B zjadadł atakujących wroga.

- Słuszna decyzja, komandorze - powiedział, ale nie odrywał spojrzenia od mapy z księżycem, dwoma niszczycielami i planetą znajdującą się między satelitą a wrogimi jednostkami. - Proszę chwilę zaczekać - odezwał się nagle. - Coś w tym wszystkim wydaje mi się znajome.

Przerwał i zaczął z namysłem kiwać wielką głową, jakby była zbyt dużym ciężarem dla jego ramion.

- Dobrze, komandorze - oznajmił w końcu. - Proszę wycofać z okolic stoczni wszystkie myśliwce typu B. Wszystkie. Proszę też wydać rozkaz, by podjęły walkę z gwiazdnymi niszczycielami. Stocznie powinny pozostać całkowicie bezbronne.

- Czy to rozsądna decyzja, admirale? - zapytała Leia.

- Nie - odparł Ackbar. - To pułapka.

Admirał Daala, dowodząca z mostka gwiazdnego niszczyciela „Gorgona”, obserwowała, jak bitwa rozwija się przed jej oczami. Dokładnie tak, jak przewidywała.

Czuła w sercu dumę na myśl o tym, jakim geniuszem taktycznym był wielki moff Tarkin. Zawieszony w przestworzach tuż obok jej statku „Bazyliżek” także szerzył zniszczenia na powierzchni wodnego świata. Myśliwce typu TIE jak roje rozdrażnionych owadów atakowały nieliczne maszyny przeciwnika, który nie potrafił się zdobyć na skuteczną obronę.

Rebelianckie myśliwce typu B i niektóre inne średniej wielkości jednostki tylko w nieznacznym stopniu utrudniały Daali zadanie. Kiedy „Gorgona” i „Bazyliżek” zaczęły starannie przemyślany atak mający na celu odwrócenie uwagi obrońców planety, ci zareagowali dokładnie tak, jak się spodziewała, niczym pociągane za sznurki marionetki.

Odwróciła się do oficera, odpowiedzialnego za utrzymywanie łączności z pozostałymi jednostkami.

- Proszę porozumieć się z kapitanem Bruscem na pokładzie „Mantykory” - rozkazała. - Kalamariańscy dowódcy zdecydowali się w końcu wycofać wszystkie siły broniące stoczni. Może natychmiast rozpocząć atak.

Gwałtownie gestykułując, Ackbar z ożywieniem, niegodnym oficera tak wysokiego stopnia, zaczął tłumaczyć, jakby wiedział, że nie zostało mu wiele czasu.

- Zanim zostałem uwolniony przez oddziały Rebeliantów wielki moff Tarkin próbował zrobić ze mnie swojego ucznia! Ogromną przyjemność sprawiało mu wyjaśnianie, w jaki sposób zamierza podbić i zniewalać następne światy. Obserwując go, nauczyłem się podstaw taktyki gwiazdnych walk, ale przede wszystkim poznałem kilka jego ulubionych strategii.

Gestem wskazał wizerunki dwóch gwiazdnych niszczycieli.

- Tarkin wprawdzie nie żyje, ale rozpoznaję jego taktykę - ciągnął. - Domyślam się, co chce zrobić dowódca imperialnych statków. Czy dysponujemy siecią czujników po drugiej stronie księżyca?

- Nie, panie admirale - odparł dowódca obrony miasta. Planowaliśmy rozmieścić kilka w poprzednim roku, ale...

- Tak sądziłem - przerwał Ackbar. - A więc nie ma tam niczego, co mogłoby nas ostrzec, mam rację?

- To prawda.

- Do czego pan zmierza, admirale? - zapytała Leia.

- Jestem pewien, że po drugiej stronie księżyca czai się trzeci gwiazdny niszczyciel wroga.

Kiedy Ackbar wymówił te słowa, połowa Kalamarian zgromadzonych w ośrodku dowodzenia nagle umilkła. Pozostali spojrzeli na niego, nie kryjąc zaskoczenia.

- Jakże ma pan na to dowody?

Leia usiłowała się posłużyć nie do końca wyćwiczonymi umiejętnościami Jedi, żeby korzystając z Mocy, stwierdzić istnienie nieprzyjacielskiego statku, ale albo odległość była zbyt duża, albo nie potrafiła tego zrobić, albo... żadnego niszczyciela tam nie było.

- Postępowanie nieprzyjacielskiego dowódcy mówi mi wszystko na ten temat, co chcę wiedzieć - oświadczył Ackbar. - Ich główny cel stanowią rzeczywiście nasze stocznie. W chwilę po wyskoczeniu z nadprzestrzeni tych dwóch gwiazdnych niszczycieli wyłonił się także trzeci, który teraz kryje się w cieniu księżyca. Atak tej dwójki ma na celu odciągnięcie naszych maszyn od stoczni i rzucenie ich do walki z przeciwnikiem, który niepokoi pozorne cele. Dopiero wówczas zza księżyca wyskoczy

trzeci gwiazdny drapieźnik i lecąc z największą prędkością podświetlną, rzuci się na stocznice pozbawione obrony. W ten sposób jednym ciosem zniszczy wszystkie nasze urządzenia do budowy gwiazdnych statków i nie ponosząc najmniejszych strat, wycofa się i zniknie.

- Ale, admirale - odezwał się dowódca obrony miasta. - W takim razie dlaczego kazał pan wycofać wszystkie myśliwce, broniące dotychczas stoczni?

Ackbar kiwnął głową.

- Ponieważ przekazał mi pan zdalne sterowanie tamtym statkiem - odparł, wskazując gestem olbrzymi gwiazdny dok, w którym wisiał na orbicie szkielet kadłuba konstruowanego krążownika „Gwiazdna fala”.

- Ależ panie admirale, żaden z systemów uzbrojenia tego statku jeszcze nie funkcjonuje!

- Ale silniki działają, o ile mi wiadomo?

- Tak - przyznał dowódca obrony miasta. - Silniki do lotów z prędkościami podświetlnymi zostały sprawdzone w ubiegłym tygodniu. Zainstalowaliśmy także rdzeń reaktora napędu nadświetlnego, ale ani razu nie dokonaliśmy skoku statkiem w nadprzestrzeń.

- To nie będzie potrzebne - oznajmił Ackbar. - Czy wszyscy technicy i inżynierowie zostali ewakuowani?

- Tak, w pierwszych chwilach ataku.

- A więc proszę przekazać mi zdalne sterowanie.

- Panie admirale... - zaczął bezradnie dowódca obrony miasta, ale później wystukał kombinację cyfr kodu uruchamiającego zdalne sterowanie. - Gdyby poprosił mnie o to ktokolwiek inny...

Chcąc przejąć sterowanie, admirał wstąpił na pole, na którym widniał holograficzny obraz konsoli sterowniczej „Gwiazdnej fali” z paralaksą uwzględniającą kalamariańskie teleskopowe, szeroko rozstawione oczy.

Uruchomił silniki nieukończonego krążownika i przygotował go do startu. Z niesłyszalnym rykiem potężnych silników umożliwiających loty z prędkościami podświetlnymi nieuzbrojony statek opuścił orbitę, i nabierając prędkości zaczął oddalać się od planety. Silniki miały taki zapas mocy, że bez trudu rozpędzały i krążownik, i otaczającą go konstrukcję gwiazdznego doku.

Ackbarowi to nie przeszkadzało. Pomyślał nawet, że im większa masa, tym lepiej.

Leia przygryzła wargę, słysząc docierające nawet na taką głębokość odgłosy eksplozji i widząc na holograficznych monitorach uszkodzenia zewnętrznej skorupy Foamwander City. Obserwowała, jak fala za falą myśliwców typu TIE nurkuje, by strzałami z laserowych działek razić obnażone lub uszkodzone miejsca.

Cilghal sprawiała wrażenie, jakby znajdowała się w transie. Leia zastanawiała się nawet, czy nie jest to jakieś odrętwienie wywołane przeżytym wstrząsem. Kalamariańska pani ambasador stała przed holograficzną mapą pełną wizerunków atakujących myśliwców typu TIE i broniących się maszyn typu B. Wyciągając raz po raz rękę pozornie na chybił trafił dotykała jarzących się punkcików.

- Ten, teraz ten... a teraz tamten - mówiła.

Wizerunek myśliwca w następnym ułamku sekundy po dotknięciu gwiazdki rozbłyskiwał i ginął na znak unicestwienia wskazanej maszyny.

Zdumiona Leia nie mogła uwierzyć, że Cilghal potrafi wskazywać je tak dokładnie. Dzięki naukom Luke'a, chociaż nie ukończonym, wyczuwała emanującą z pani ambasador jakąś siłę, która przyciągała ją i wabiła. Była pewna, że Kalamarianka umie posługiwać się Mocą. Mimo iż podejrzewała, że zna odpowiedź, zapytała:

- W jaki sposób to robisz?

- W taki sam, w jaki wskazywałam ryby z tamtej ławicy - odparła cicho Cilghal. - To tylko niewinna sztuczka, ale bardzo chciałabym nawiązać łączność z pilotami maszyn. Ta, teraz tamta!

Drugim palcem przesunęła w ślad za jakimś myśliwcem typu B, który w samym środku eskadry sprawiał wrażenie całkowicie bezpiecznego. W następnej chwili jednak został trafiony przez koziołkującą uszkodzoną maszynę typu TIE, która wymknęła się spod kontroli imperialnego pilota i, przeleciawszy przez grupę innych myśliwców, zniszczyła nieszczęsną ofiarę. Cilghal dokonywała tej samej sztuki, kiedy wskazywała w ławicy ryby, które w następnej sekundzie atakowała polująca krakana.

Kalamariańska ambasador wyglądała na zdumioną i jakby natchnioną.

- Brakuje mi czasu - oświadczyła. - Nie nadażam ich wszystkich pokazywać.

Leia czuła ogarniający ją podziw. Nawet bez przeprowadzania badań wiedziała, że Cilghal dysponuje potencjałem Jedi. Pomyślała, że musi wysłać ją do akademii Luke'a na Yavinie Cztery - jeżeli jakimś cudem uda im się przeżyć to piekło.

Sterując ogromnym statkiem z ośrodka dowodzenia w jądrze Foamwander City, Ackbar czuł się, jakby stanowił integralną część opuszczonego statku. Nie zwracał uwagi na głośne sygnały alarmowe i meldunki o stanie rozmaitych urządzeń, przekazywane na mostek. Kiedy spoglądał przez optyczne czujniki zastępujące oczy, całe jego ciało wydawało się przedłużeniem „Gwiazdnej fali”.

Potężne silniki nie przestawały zwiększać prędkości gigantycznego kadłuba. W miarę upływu czasu Ackbar dostrzegał coraz większą tarczę księżyca Kalamaru, a później zmienił kurs i zaczął lecieć nisko nad pozbawioną atmosfery i pooraną kraterami powierzchnią. Pozostawał całkowicie niewidoczny dla kogoś, kto ukrywał się za ciemną stroną. Na przykład dla dowódcy czającego się tam gwiazdnego niszczyciela.

Uruchomił zasilanie rdzenia reaktora napędu nadprzestrzennego i wyłączył automatyczne systemy doprowadzania chłodziwa. Kiedy systemy bezpieczeństwa zaczęły ostrzegać o grożącej katastrofie, ciało admirała przeniknęły sygnały alarmowe. Kalamarianin zwiększył jednak jeszcze bardziej moc wyjściową, ale czekał na właściwą chwilę. Starał się trzymać na uwięzi potworną energię, która tylko czekała na wyrwanie się z objęć wielkiego nieukończonego gwiazdnego krążownika.

W pewnej chwili, lecąc statkiem nad krzywizną satelity, zobaczył podobny do grotu strzały kształt trzeciego imperialnego gwiazdnego niszczyciela. Jego dowódca kierował właśnie moc baterii do turbolaserowych dział.

- A jednak jesteś - mruknął do siebie.

Dowódca trzeciej jednostki nagle dostrzegł zbliżający się krążownik klasy Mon Calamari i natychmiast zaczął zasypywać go seriami turbolaserowych błyskawic, ale Ackbarowi to nie przeszkadzało.

Jeden ze strzałów trafił w spojenie szkieletu doku otaczającego „Gwiezdną falę” i w przestworza poszybowały belki i dźwigary. Z miejsca w kadłubie sterburty, w którym następny strzał z turbolaseru zamienił kawał metalu w parę, wyprysnęły rozżarzone krople.

Ackbar nadal zwiększał prędkość samobójczego lotu, kierując krążownik prosto ku wieżycze, najczulszemu miejscu gwiazdnego niszczyciela. Imperialna jednostka nie przestawała zasypywać go błyskawicami strzałów.

W końcu Kalamarianin zwolnił ostatni mechanizm chroniący pozbawione chłodziwa reaktory napędu nadprzestrzennego przed wybuchem. Wiedział, że przegrzany energetyczny stos powinien osiągnąć konieczną do eksplozji temperaturę w ciągu kilku sekund.

Oderwał się od wizerunku sterowniczej konsoli i pozwolił, żeby prawa fizyki dokonały reszty.

- Kapitanie Brusce, proszę meldować, co się dzieje! - krzyknęła do mikrofonu komunikatora admirał Daala.

Jej „Mantykora” zaczęła właśnie triumfalny marsz, którego celem miało być całkowite unicestwienie kalamariańskich stocznii, kiedy rozpętało się prawdziwe piekło. W głośniku komunikatora rozbrzmiały sygnały alarmowe.

Kapitan „Mantykory” miotał się po mostku jak oszalały, wydając rozkazy.

- To chyba jakiś statek, pani admirał! - odparł, spoglądając kątem oka na podwładnych, żeby wydać im jakiś rozkaz, ale obawiając się zignorować pytanie Daali. - Wyłonił się jak duch. Musieli wiedzieć, że tu jesteśmy!

- To wykluczone - odparła Daala. - Nie mogli tego wiedzieć. Nie pozostawiliśmy po sobie ani śladu. Niech to diabli!. Proszę przekazać mi obraz z taktycznych czujników „Mantykory”.

Na ekranie ujrzała trzeci gwiazdny niszczyciel i szkielet zbliżającego się ku niemu kalamariańskiego krążownika. Wyglądał dziwnie nieporadnie, hamowany przez ciężką konstrukcję gwiazdnego doku, ale nieubłaganie zbliżał się z każdą chwilą. Daala natychmiast zorientowała się w samobójczych zamiarach jego kapitana.

- Wynoście się stamtąd! - rozkazała. „Mantykora” skreśliła, starając się zejść z kursu „Gwiezdnej fali”, ale kalamariański krążownik zbliżał się przerażająco szybko. Turbolaserowe baterie gwiazdnego niszczyciela nie powodowały zmniejszenia prędkości leżącego statku.

Daala stała sztywno i patrzyła, nie pozwalając sobie nawet na mrugnięcie powieką. Uchwyciła mocno zimną poręcz stanowiska dowodzenia na mostku „Gorgony”. Kostki jej palców stały się całkiem jasne, niemal białe. Miała wrażenie, że plastalowy pokład usuwa się pod jej nogami. Zasnęte wargi ułożyły się do bezgłośnego krzyku: Nie!

Kalamariański krążownik wbił się w podbrzusze „Mantykory”. Na chwilę przed zderzeniem zamienił się jednak w supernową, eksplodując z oślepiającym błyskiem i wyzwalając falę energii, która rozerwała kadłub niszczyciela na strzępy.

Obraz przekazywany przez kapitana Brusca raptownie zniknął.

Daala odwróciła się, zgrzytając zębami, ale ani jedna gorzka łza nie zakreśliła się w jej zielonych oczach. Myślała o ludziach, którzy zginęli na pokładzie, o broni, która uległa zniszczeniu, i odpowiedzialności, którą za to wszystko ponosiła.

Zza księżycowej tarczy wydołał się blask podwójnej eksplozji, tworząc sztuczne zaćmienie. Wpatrująca się w przestworza admirał Daala została niemal oślepiąca.

ROZDZIAŁ

18

Kyp Durron czuł się wspaniale, ale było mu też trochę głupio. Pozostali uczniowie Jedi przerwali ćwiczenia i podeszli do niego, by przyglądać się, jak ćwiczy.

Widząc wokół siebie gęstą roślinność dżungli i czując, że wilgotne powietrze omywa jego ciało jak pot, Kyp starał się zachować równowagę. Usztynił ciało w pasie i skierował stopy ku niebu. Utrzymał się w pozycji pionowej na jednej dłoni, która dosyć głęboko wcisnęła się w miękkie podłoże. Pomiędzy palcami było widać liczne żdzbla ostrej trawy.

O wiele łatwiej mógłby utrzymywać równowagę, gdyby oparł dłoń na twardszym, mniej nierównym terenie, ale takie ćwiczenie byłoby wówczas zbyt łatwe. Wokół twarzy Kypa zwisały kosmyki ciemnych włosów, a po skórze młodzieńca ściekały strużki potu.

Drugą dłonią podtrzymywał duży, porośnięty mchem głaz, który wyrwał z zagłębienia w miękkim gruncie. Na trawę spadały z niego grudki ziemi. Kyp utrzymywał kamień w powietrzu niemal bez wysiłku. Starał się, żeby Moc wykonywała za niego praktycznie całą pracę.

W pewnej chwili usłyszał zaniepokojony świergot Artoo- Detoo spoczywającego na jednej z najwyższych gałęzi dużego drzewa. Młodzieniec uniósł robota w powietrze i posadził na gałęzi, kiedy przeprowadzał rozgrzewkę przed ćwiczeniami. Zamierzał we właściwej chwili opuścić go na ziemię, ale na razie starał się zachowywać jak największe skupienie.

Usunął z myśli świadomość faktu, że obserwują go pozostali uczniowie. Przymknął oczy i pogłębił koncentrację, po czym wyszarpnął z gąszczy niebieskolistnych krzewów spoczywający na ziemi długi, spróchniały konar porośnięty grzybami, i postawił go na sztorc obok siebie.

Później powoli wypuścił powietrze i skoncentrował się na tym, żeby wszystkie przedmioty, nad którymi panował, znalazły się na swoich miejscach. Miał wrażenie, że skupia się wokół niego cała reszta wszechświata. Zespolony z nim do granic możliwości wyczuł drżenie Mocy, jakąś zmarszczkę znamionującą podziw i dumę.

Mistrz Skywalker przyszedł i zaczął przyglądać się, jak ćwiczy.

Kyp wiedział już, jak odczuwać Moc, jak się nią posługiwać. Wiedzę tę traktował jak coś naturalnego. Jak wówczas, kiedy podczas ucieczki z Laboratorium Otchłani pilotował Pogromcę Słońce przez przestworza pełne czarnych dziur, wyczuwał Moc właściwie instynktownie. Wydawało mu się, że potrafił robić to przez całe życie. Nie umiał tego wcześniej, gdyż nikt nigdy mu nie pokazał, jak korzystać z tego talentu. Teraz jednak, kiedy mistrz Skywalker skierował Kypa na właściwą drogę, nowe umiejętności napłynęły jak potężna fala, kiedy ktoś odkręci zamknięty zawór.

W ciągu tygodnia i kilku dni wyteżonych ćwiczeń Kyp prześcignął wszystkich innych uczniów Jedi. Świadomie nie próbował spotykać się z nimi ani szukać pośród nich przyjaciół. Rozmawiał tylko z niektórymi, a każdą wolną chwilę poświęcał na doskonalenie umiejętności, pogłębianie koncentracji i zacieśnianie więzi z Mocą. Bardzo często nachodził mistrza Skywalkera, prosząc o pokazanie nowych ćwiczeń. Pragnął wykonywać coraz trudniejsze, by wciąż lepiej posługiwać się Mocą.

Teraz, otoczony w samym sercu dżungli przez innych uczniów, nie traktował swoich ćwiczeń jak popisu. Nie przejmował się tym, czy mistrz Skywalker będzie go obserwował, czy odejdzie. Chciał przekraczać granice swoich możliwości. Po skończeniu jednego zestawu ćwiczeń przechodził do następnego, trudniejszego, traktując go jak nowe wyzwanie. Tylko w ten sposób mógł stawać się coraz lepszy. Kiedy został uwięziony na pokładzie gwiazdowego niszczyciela „Gorgona” i skazany na śmierć przez admirała Daalę, przysiągł sobie, że nie dopuści, by jeszcze kiedykolwiek był taki bezbronny. Jedi nigdy nie był bezbronny, gdyż Moc pochodziła od wszystkiego, co żyło.

Wciąż utrzymując równowagę, przymknął oczy. Był świadom obecności innych stworzeń w dżungli, czuł wywoływane przez nie zmarszczki na powierzchni Mocy. Dochodziła do niego woń roślin i kwiatów, a także małych zwierząt w tropikalnym lesie. Nie zwracał uwagi na roje komarów brzęczących wokół jego ciała i głowy.

Kiedy sięgnął myślami w przestworza, poczuł pulsujące wibracje gazowego giganta, Yavina, i jego pozostałych księżyców. Na myśl o tym, że jest częścią wszechświata, ogarnął go dziwny spokój. Zaczął się zastanawiać, w jaki sposób mógłby jeszcze bardziej skomplikować swoje ćwiczenie. Zanim jednak się zdecydował, wyczuł, że Artoo- Detoo zostaje uniesiony z wysoko rosnącej gałęzi drzewa Massassów, a potem łagodnie opuszczony na ziemię. Mały robot zaczął piszczeć z wyraźną ulgą.

Później Kyp poczuł, że porośnięty mchem głaz zostaje jakby niewidzialną ręką uniesiony z jego dłoni i umieszczony z powrotem w swoim zagłębieniu. Próchniejący konar także odpłynął, by po chwili wylądować na ziemi w gąszczy liści dokładnie w tym samym miejscu, z którego został wyciągnięty.

Kyp zdumiał się, że jego ćwiczenie zostało tak bezceremonialnie przerwane. Kiedy otworzył oczy, spostrzegł Luke'a Skywalkera, który stał obok niego i nie kryjąc dumy, szeroko się uśmiechał.

- Bardzo dobrze, Kypie - odezwał się mistrz Jedi. - Prawdę mówiąc, to co robisz, jest wręcz niesamowite. Nie jestem pewien, czy nawet Obi- Wan albo Yoda wiedzieliby, co mają z tobą zrobić.

Kyp skorzystał z niedawno poznanej umiejętności lewitacji - wyskoczył w górę, wywinął koźła i wylądował na obu stopach. Patrząc w oczy mistrza Skywalkera, poczuł radosne bicie serca. Wiedział, że przepelnia go tak wielka energia, że nie jest w stanie nad nią zapanować.

Oddychał z wysiłkiem i mrugał, jakby dopiero teraz otworzył oczy i przekonał się, że jest o wiele widniej niż sądził. Odezwał się do Luke'a:

- Czego jeszcze nauczysz mnie dzisiaj, mistrzu.

Czuł, że ma wypieki. Po jego policzkach i ciemnych włosach ściekały krople potu. Mistrz Skywalker pokręcił jednak głową.

Dzisiaj nie nauczę cię już niczego - powiedział. Pozostali uczniowie Jedi stali przygarbieni, jakby wyczerpani, opierając się o pnie połamanych drzew i skały porośnięte mchem.

Kyp uczynił wysiłek, by nie okazać rozczarowania.

- Muszę się jeszcze tyle nauczyć - stwierdził.

- To prawda - przyznał mistrz Skywalker, z trudem powstrzymując się od uśmiechu. - Między innymi cierpliwości. Umiejętność robienia różnych rzeczy to nie wszystko. Musisz dobrze zdawać sobie sprawę z tego, co robisz. Powinieneś opanować wszystko, co związane jest z tą czynnością. Musisz także rozumieć, w jaki sposób każde działanie wynika ze stanu twojej świadomości i wiedzy. Jeżeli chcesz, żeby twoje szkolenie było wszechstronne, musisz umieć nad tym wszystkim zapanować.

Kyp przytaknął pełnym mądrości słowom swojego mistrza. Nie wątpił, że właśnie tak postąpiłby każdy uczeń Jedi. Obiecał sobie jednak, że uczyni wszystko, co konieczne, żeby nowe umiejętności opanować jak najlepiej.

Panowała głęboka i ciemna noc, ale Kyp nie spał. Po lekkiej, choć pożywej kolacji, którą zjadł w samotności, udał się do chłodnej komnaty, by oddawać się medytacjom i ćwiczyć umiejętności, jakie poznał tego dnia.

Małe pomieszczenie oświetlał nikły blask lampy jarzeniowej umieszczonej w samym kącie. Kyp osiągnął stan koncentracji, po czym wysłał palce myśli, żeby przeciskały się przez szczeliny między kamiennymi blokami wielkiej świątyni. Obserwował, jak rosną tam łodygi mchu. Śledził ruchy małych pajęczaków przemykających się korytarzami i znikających w ciemnych dziurach. Kiedy podążały w mroku do kryjówek, mógł dotykać ich delikatnymi myślowymi palcami.

Miał wrażenie, że stanowi część wielkiej sieci żyjących tworzeń. Ta świadomość pozwalała jego myślom swobodnie płynąć i sprawiała, że czuł się kimś zarazem nieistotnym i wszechmocnym.

Rozmyślając i ćwicząc niedawno poznane umiejętności, wyczuł nagle na powierzchni Mocy ogromną szczelinę promieniującą zimnem. Miał wrażenie, że patrzy na czarne rozcięcie ukazujące mu strukturę wszechświata. Natychmiast oprzytomniał.

Odwrócił się, a wtedy ujrzał pojawiający się właśnie cień wysokiego mężczyzny okrytego płaszczem. Pomimo panującego w komnacie półmroku ta niezwykle czarna sylwetka wydała się pochłaniać całe światło. Kyp nie odezwał się tylko patrzył. W obrębie sylwetki tajemniczej zjawy zauważył nagle światelka odległych słońc.

- Moc jest w tobie bardzo silna, Kypie Durronie - odezwała się mroczna postać.

Kyp uniósł głowę. Nie czuł strachu. Został kiedyś uwięziony i skazany na śmierć przez imperialne władze. Ponad dziesięć lat spędził w absolutnych ciemnościach na Kessel w kopalniach przyprawy. Stoczył tam walkę w drapieżnym energochłonnym pająkiem, a później przeleciał przez obszar z czarnymi dziurami. Na widok okazałej sylwetki, stworzonej jakby z płynnej czerni, czuł ciekawość i zdumienie.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Mógłbym zostać twoim nauczycielem - odezwała się czarna postać. - Mógłbym pokazać ci wiele rzeczy, o których nie ma pojęcia nawet twój mistrz Skywalker.

Kyp poczuł przenikającą go falę podniecenia.

- Jakich rzeczy?

- Mógłbym pokazać ci techniki, zapomniane przed tysiącletiami, tajemnicze obrzędy i sposoby zdobywania władzy, o których żaden słabowity mistrz Jedi w rodzaju Skywalkera nie odważy się nawet myśleć. Ale ty jesteś silny, Kypie Durronie. Czy odważysz się podjąć tę naukę?

Kyp miał świadomość tego, że może postępuje nierozważnie, ale ufał swojemu instynktowi. W przeszłości nie zawiódł go ani razu.

- Nie boję się podjąć tej nauki - oświadczył. - Ale najpierw musisz powiedzieć mi, jak się nazywasz. Nie pozwolę, żeby moim nauczycielem był ktoś, kto nawet obawia się przedstawić.

Kyp poczuł się głupio w tej samej chwili, w której wypowiedział te słowa. Mroczna sylwetka zadrżała, jakby zaniósła się od bezgłośnego śmiechu. Głos zagrzmiął jednak znowu, nie posiadając się z dumy.

- Byłem kiedyś największym Czarnym Lordem Sithów. Nazywam się Exar Kun.

ROZDZIAŁ

19

Han Solo wpadł jak bomba do pustej komnaty sypialnej, która należała do niego i Leii.

- Światła! - krzyknął.

Zrobił to jednak tak głośno, że detektory głosu nie zrozumiały jego polecenia. Han zmusił się do powtórzenia rozkazu przez zaciśnięte zęby:

- Światła.

Dopiero wtedy w komnacie rozjarzyły się lampy.

Popatrzył na prawo i lewo, starając się myśleć o wszystkich rzeczach, które powinien zabrać w drogę. Wystukał kod, który umożliwił mu dostęp do jednej ze skrytek w górnej części szafy, otworzył ją i wyciągnął całkowicie naładowany osobisty blaster, a później sięgnął po rezerwowy pojemnik z zasilaczem. Wyjmując czyste ubranie na zmianę, poczuł ukłucie w sercu na widok nietkniętych ubrań Leii wiszących w jej części wielkiej szafy.

- Chewie! - ryknął. - Chodź tutaj!

Z nieznaney przyczyny reagujący na głos automat ponownie wyłączył oświetlenie. Nie kryjąc rozdrażnienia, Han rozkazał po raz trzeci:

- Światła!

Do pokoju wkroczył dumnie Threepio, a tuż za nim dwoje płaczących dzieci.

- Proszę pana, czy musi pan robić tyle hałasu? - zapytał android. - Denerwuje pan dzieci. Czy nie mógłby pan poświęcić trochę czasu, by wyjaśnić, o co chodzi?

Z sąsiedniej komnaty rozległ się ryk Chewbaccy. Han usłyszał, jak biegnąc do sypialni, Chewie przewraca jakieś meble. Po chwili przystanął w drzwiach komnaty. Otworzył różowe usta i nie usiłując przyglądać nastroszonego futra, ukazał drugie kły. Ryknął ponownie, tak głośno, że dzieci jeszcze bardziej się przestraszyły.

Światła w sypialni zgasły po raz drugi.

Gotowy do drogi Wookie trzymał swoją śmiercionośną kuszę i kilkanaście racji żywnościowych. Potykając się w ciemności, Han odnalazł jeszcze jedną małą skrytkę w boku szafy i wyciągnął swój wierny zautomatyzowany medyczny pakiet, który w ostatniej chwili zabrał z pokładu „Tysiącletniego Sokola”.

- Światła - odezwał się spokojnie Threepio. Tym razem oświetlenie włączyło się na dobre.

- Threepio, gdzie jest Lando? - zapytał Han. - Czy mógłbyś go odnaleźć?

- Pan Calrissian jest na dole, w hangarze z gwiazdnymi statkami, proszę pana - odparł android. - Poleciał mi, bym poinformował pana, że jest bardzo rozczarowany technicznym stanem statku, który kiedyś należał do pana.

- Cóż, mogę powiedzieć tylko tyle, że lepiej będzie, gdy szybko przygotuje go do lotu - odparł Han.

Głośno płacząca Jaina zapytała między jednym a drugim chlipnięciem:

- Gdzie mamusia?

Han zatrzymał się w pół kroku jakby nagle trafiony strzałem z paralizatora. Odwrócił się, uklęknął przed dziewczynką i spojrzał w jej oczy. Otarł jej łzy z policzków, położył obie dłonie na ramionach i lekko je ucisnął, pragnąc dodać otuchy.

- Tatusz leci, by ją uratować - oznajmił.

- Uratować ją? O rety! - wtrącił się Threepio. - Dlaczego pani Leia musi być uratowana? - Chewbacca ryknął coś w odpowiedzi, ale Threepio zbył go machnięciem złościwej ręki. - Sam wiesz, że to nic nie da, więc się nie wtrącaj, dobrze?

Han odwrócił się do Wookiego.

- Nie tym razem, chłopie - powiedział. - Potrzebuję ciebie tutaj, żebyś opiekował się dziećmi. Nie ma nikogo, komu mógłbym ufać tak bardzo jak tobie. - Chewbacca zaryczał w odpowiedzi, ale Han pokręcił głową. - Nie, nie mam jeszcze żadnego planu. Wiem tylko, że muszę dotrzeć na Kalamar zanim zniszczą go oddziały imperialne. Nie mogę zostać tu i dopuścić, żeby Leia walczyła z nimi sama.

Umieścił w lekkim pleconym worku wszystko, czego potrzebował, wyszarpnął racje żywnościowe z włochatych rąk Chewbaccy. Zanim jednak włożył jedzenie do worka, rzucił okiem na etykiety, żeby sprawdzić, czy może być strawione przez człowieka.

- Jak długo potrwa pańska nieobecność, proszę pana? - zapytał Threepio, starając się powstrzymać Jacena od wspinania się ku otwartym skrytkom w szafie.

- Tak długo, jak będzie konieczne dla uratowania żony - odparł Han.

Zaczął biec ku drzwiom, ale po dwóch krokach raptownie się zatrzymał. Odwrócił się i podszedł do dwójki płaczących dzieci. Pochylił się i objął je ramionami.

- Bądźcie grzeczne i nie sprawiajcie kłopotów Threepiowi i Chewiemu - przykazał. - I uważajcie na siebie.

- Zawsze jesteśmy grzeczni - odparł Jacen z lekkim oburzeniem. Hanowi ścisnęło się serce na myśl o tym, jak bardzo rysy twarzy chłopca przypominają mu w tej chwili jego matkę.

- Ostatnio poddałem aktualizacji swoje programy opieki nad dziećmi, proszę pana - oświadczył Threepio. - Nie będziemy mieli żadnych kłopotów. - Złocisty android ujął rączki dzieci i usiłował nakłonić bliźnięta do powrotu do sypialni. - Chodźcie teraz, opowiem wam zabawną bajkę. Jacen i Jaina znów się rozplakali.

Han po raz ostatni spojrział tęsknie na dzieci, a później wybiegł z komnaty. Zatrzymał się tylko na chwilę w salonie, żeby podnieść wyściełane krzesło, które przewrócił tam Chewbacca.

Cyberbezpiecznik upadł z głuchym stukiem i grzechocząc, potoczył się po metalowej podłodze sterowni „Tysiącletniego Sokoła”. Lando Calrissian przez chwilę spoglądał na niego z niesmakiem, a potem zainteresował się znów pulpitem sterowniczym.

Właśnie ukończył aktualizację oprogramowania komputera nawigacyjnego, ale zabieg ten spowodował dziwne zwarcie w obwodzie oświetlenia sterowni statku. Lando zaczął szperać w niewielkiej skrzynce ze starymi, zatłuszczonymi częściami rezerwowymi i wyciągnął zapasowy bezpiecznik, który wydał mu się odpowiedni.

„Sokół” został złożony z tylu różnych części, że Calrissian już dawno przestał liczyć, dzięki ilu wiązkom przewodów i pojedynczym kablom jeszcze latał. Po raz setny Lando się zastanawiał, dlaczego tak bardzo kocha ten statek.

Umieścił bezpiecznik w gniazdku, włączył zasilanie, a później wcisnął kilka guzików, umieszczonych na pulpicie w jednym rzędzie. Światelka pod przełącznikami pozostały jednak nadal ciemne.

- No, dalej! - powiedział, uderzając z całej siły otwartą lewą dłonią w pulpit.

Urządzenia statku obudziły się do życia z narastającym buzieniem i wonią chemicznych odczynników dochodzącą z kanałów wentylacyjnych. Lando zamknął oczy i pozwolił sobie na głębokie westchnienie ulgi.

- Stara, niezawodna procedura naprawcza numer jeden - powiedział do siebie.

- Hej, Lando!

Głośny, stanowczy głos dobiegał spoza statku, zapewne z platformy startowej. Nie wyglądając Lando wiedział, że Han Solo pojawił się i czegoś chce od niego.

Był zmęczony, a skóra swędziła go od potu. Czuł frustrację na myśl o tym, ile czasu zajęło mu doprowadzenie „Tysiącletniego Sokoła” do stanu, w którym, jego zdaniem, powinien być zawsze. Wstał z fotela i ruszył krótkim korytarzem. Niecierpliwie kroki mężczyzny rozbrzmiały echem odbitym od metalowych płyt pokładu. Pochylił się, wysunął głowę i popatrzył poza opuszczoną rampę.

- Lando! - powtórzył na jego widok Han Solo i pospieszył w górę rampy. Na jego twarzy malował się rumieniec, a krople potu zlepiały kosmyki jego ciemnych włosów. Kroczył tak zdecydowanie jak stary imperialny robot budowlany.

- Han - jęknął na powitanie Lando. - Kiedy graliśmy w sabaka, nie powiedziałeś mi, że ta sterta złomu jest w tak koszmarnym stanie.

Han zignorował tę uwagę i dotarł do wjazdu. Niósł pleciony worek z zapasami na drogę, a na biodrze miał przypięty blaster. Lando uniósł brwi.

- Han...

- Posłuchaj, Lando - przerwał Han. - Potrzebuję „Sokoła”. Natychmiast.

Prześlizgnął się obok Calrissiana, rzucił worek na płyty pokładu i przycisnął guzik unoszący rampę. Lando w ostatniej chwili wskoczył do środka, widząc, jak pokryte smarami cylindry siłowników umieszczają pochylnię na swoim miejscu.

- Han, to jest teraz mój statek - powiedział. - Nie możesz tak po prostu...

Han tymczasem przeszedł do sterowni i opadł na fotel pilota. Lando pobiegł za Hanem.

- Co to wszystko ma znaczyć? - zapytał.

Han odwrócił się i obdarzył Calrissiana spojrzeniem, które przeszło go niczym para laserowych błyskawic.

- Planeta Kalamar jest w tej chwili atakowana przez admirała Daalę - odparł. - Leia znajduje się tam jak w pułapce. A teraz czy pozwolisz mi polecieć „Sokołem” na ratunek, czy mam złapać cię za kark i wyrzucić ze statku?

Lando cofnął się o krok i uniósł obie dłonie w pojedynczym geście.

- Spokojnie, spokojnie, Han. Leia ma kłopoty? W takim razie lecimy... ale ja pilotuję - powiedział, gestem zapraszając Han do zajęcia miejsca w fotelu drugiego pilota. - Mimo wszystko to jest mój statek.

Mamrocząc coś pod nosem, Han odpiął pasy bezpieczeństwa i przesiadł się na umieszczony po prawej stronie fotel, na którym zazwyczaj siadywał Chewbacca. Lando wduśił przycisk komunikatora.

- „Tysiącletni Sokół” prosi o zgodę na natychmiastowy start - powiedział.

Włączył repulsory, uniósł zmodyfikowany lekki koreliański frachtowiec nad płytę startową i obrócił, a kiedy kontrola lotów na Coruscant wyraziła zgodę, włączył silniki do lotów z prędkościami podświetlnymi. „Sokół” przeciął warstwy atmosfery i poszybował ku gwiazdom.

Na Vortex Qwi Xux przechadzała się po obrzeżach wielkiego placu, na którym trwała gorączkowa odbudowa zniszczonej Katedry Wiatrów. Towarzysz Qwi, Wedge Antilles, pracował wspólnie z innymi ekipami porządkowymi przysłanymi przez Nową Republikę. Robotnicy mieli na dłoniach grube rękawice, żeby nie skaleczyć się o ostre jak brzytwy kryształ. Przenosili je lub przeciągali w koszach w kierunku pieców, w których rozpuszczano okruchy i topiono, żeby nadać im nowe kształty.

Kłębiące się groźne ciemne chmury zwiastowały szybkie zbliżanie się pory burz i wiatrów. Qwi wiedziała, że już wkrótce wszyscy uskrzydleni Vorowie poszukają schronienia w swoich na wpół zagrzebanych w ziemi bunkrach, by przeczekać wichury szalejące z siłą huraganu. Już teraz dawało się wyczuć pierwsze chłodne porywy, z szelestem przelatujące po bezkresnych równinach, porośniętych jasnymi trawami. Qwi obawiała się, że zostanie porwana przez jakiś silniejszy podmuch i w ten sposób wbrew własnej woli dołączy do stada tubylców obdarzonych koronkowymi skrzydłami.

Vorowie nie szukali towarzystwa robotników Nowej Republiki. Krzątając się wokół ruin zniszczonej budowli, umacniali jej fundamenty i przygotowywali się do wzniesienia nowego labiryntu wyniosłych, śpiewających iglic i wieżyczek. Wydawało się, że obce istoty nie mają żadnego planu odbudowy, gdyż zbywały milczeniem każdą prośbę inżynierów o pokazanie im rysunków albo szkiców.

Qwi przyglądała się tej krzątaninie, pragnąc zrobić coś dla obcych istot. Vorowienie poprosili Nowej Republiki o pomoc w odbudowie. Prawdę mówiąc, nie zwracali uwagi na przybyłych robotników. Tolerowali ich obecność u siebie, ale nie

przestawali uprzętać rumowiska w zawrotnym tempie. Pozornie pozbawieni uczuć Vorowie nie zgłosili formalnego protestu w związku z katastrofą i nie zagrozili zerwaniem stosunków dyplomatycznych. Zachowywali się tak, jakby rozumieli, że Nowa Republika nie chciała wyrządzić im żadnej krzywdy. Byli jednak tak przygnębieni, że nie mogli powrócić do codziennych zajęć, dopóki Katedra Wiatrów nie będzie na nowo rozbrzmiewała niezwykłą muzyką.

Przechadzając się między roztrzaskanymi kawałkami kryształowych iglic, Qwi natknęła się w pewnej chwili na małą, cienką rurkę, zapewne odłamana z jakiejś większej kryształowej piszczałki z samego wierzchołka katedry. Schyliła się i podniosła kryształ, starając się nie zranić o ostrą krawędź.

Podmuchy wiatru szarpały tkaninę jej tuniki i rozwiewały wokół głowy długie pasma cienkich, opalizujących włosów. Qwi spojrzała na delikatny flet. Kiedyś w Laboratorium Otchłani bardzo często programowała swoje komputery używając do tego muzycznych tonów. Gwizdała i nuciła uruchamiając różne podprogramy. Nie grała jednak od tak dawna...

Wedge i dwaj pomocnicy stojący obok urządzenia przetwarzającego kryształy niechcący upuścili duży kawał grubej kryształowej rury, który roztrzaskał się o ziemię. Wedge zdążył jeszcze krzyknąć i pozostali robotnicy odskoczyli by nie zraniły ich odłamki.

Krzążący się wśród ruin Vorowie poderwali się do lotu, zaniepokojeni dźwiękiem rozpryskującego się kryształu.

Qwi przyłożyła końcówkę fletu do ust i na próbę nabrała powietrza. Na cienkich niebieskich wargach czuła zimny dotyk gładkiej powierzchni kryształu. Przycisnęła palcem jedną z dziurek i dmuchnęła od wypolerowanej strony, wyzwalając dźwięk w długiej rurce. Nieco później, zakrywszy palcem inny otwór, spróbowała po raz drugi, a potem po raz trzeci. Starła się wyczuć melodię, w jaką mogą ułożyć się dźwięki kryształowego fletu.

Pewnie stanęła między rozkruszonymi kawałkami leżącymi na ziemi, by móc lepiej przeciwstawić się podmuchom wiatru. Zaczęła grać. Kilka razy musiała próbować, zanim dźwięki ułożyły się w melodię, ale w końcu zamknęła wielkie ciemnoniebieskie oczy i pozwoliła, żeby przepływała przez nią muzyka.

Słyszała łopot skrzydeł Vorów w górze przylatujących do niej i krążących nad jej głową. Niektórzy nawet wylądowali w wysokich jasnoseledynowych trawach kołyszących się na silnym wietrze. Słuchali, zwracając ku niej kanciaste twarze i mrugając rogowymi powiekami, które zakrywały oczy pozbawione źrenic.

Qwi pomyślała o zniszczeniu Katedry Wiatrów, ruinie wybitnego dzieła sztuki i jedyne go w swoim rodzaju artefaktu, ale zarazem miejscu śmierci tylu Vorów, a wówczas jej muzyka przybrała piskliwe tony. Oczami wyobraźni ujrzała także swoją rodzinną planetę, Omwat, w czasach, kiedy wielki moff Tarlun umieścił na jej orbicie ośrodek szkoleniowy. Przebywając w nim jako dziecko wraz z innymi uzdolnionymi rówieśnikami, mogła patrzeć, jak Tarkin niszczy podobne do plastra miodu rodzinne osady tych dzieci, którym nie powiodło się na egzaminie...

Muzyka wydobywana z wnętrza fletu była raz cichsza, a raz głośniejsza. Przez cały czas Qwi słyszała niesiony wiatrem łopot skrzydeł Vorów. Zaczęła nerwowo mrugać, przyglądając się milczącym słuchaczom, ale nie przerywała grania.

Wedge Antilles odłączył się od grupy robotników Nowej Republiki i pospieszył ku Qwi, by przekonać się, czy nie powinien jej pomóc. Inni ludzie także zauważyli, jakie zainteresowanie wzbudziła swoim graniem.

Na widok zdyszanego i zdumionego Wedge'a biegnącego w jej stronę Qwi przestała grać. Głęboko oddychając, oderwała kryształowy flet od warg.

Otoczający ją Vorowie nie odzywali się ani jednym słowem. Patrzyli, od czasu do czasu trzepocząc skrzydłami, by zachować równowagę. Nie było widać wyrazu ich twarzy, gdyż osłaniali je czymś w rodzaju skórzanych pancerzy podzielonych na segmenty. Qwi nie przychodziło do głowy nic, co mogłaby powiedzieć.

Rosły Vor, samiec, z pewnością przywódca jakiegoś klanu, podszedł do niej i wyciągnął rękę, by odebrać flet. Nie potrafiąc opanować nerwowego drżenia, Qwi umieściła delikatny instrument w wyglądającej jak skórzana dłońi obcej istoty.

Niespodziewanym gwałtownym ruchem Vor zacisnął pięść i skruszył kryształowy flet w palcach. Drobne kryształy kruchej rurki roztrysnęły się we wszystkie strony. Vor otworzył dłoń i pozwolił, żeby okruchy rozsypały się po ziemi. Na jego ręku pojawiły się strużki krwi.

- Dość muzyki - oświadczył.

Inni słuchacze rozpostarli skrzydła. Odlecieli i niesieni wiatrem, powrócili na miejsce katastrofy.

Przywódca nie odrywał spojrzenia od oczu Qwi.

- Do chwili, kiedy skończymy pracę - dodał, a potem odleciał, by dołączyć do pozostałych.

Han Solo, uwięziony w pustce nadprzestrzeni, mógł jedynie uzbroić się w cierpliwość. Nie potrafił przyspieszyć upływu czasu.

Przemierzał wzdłuż i wszerz niewielką świetlicę, spoglądając na zniszczoną holograficzną planszę do gry w szachy i przypominając sobie chwile, kiedy po raz pierwszy zobaczył Artoo- Detoo grającego z Chewbacą. To było jeszcze zanim spotkał Leię, kiedy Luke był nieopierzonym pomocnikiem farmera na Tatooine, a Obi-Wan Kenobi sprawiał wrażenie trochę szalonego starca. Gdyby Han wtedy potrafił przewidzieć, jaki obrót przyjmie jego życie od tamtego pamiętnego dnia w kantynie w Mos Eisley, kto wie, czy podjąłby ryzyko przetransportowania dwójki pasażerów i ich robotów, którzy zamierzali wyprawić się na Alderaan.

Wówczas jednak nigdy nie spotkałby Leii. Nigdy by się z nią nie ożenił. Nie zostałby ojcem trójki dzieci. Nie pomógłby pokonać Imperium. Pomyślał, że mimo tylu kłopotów i trudów dokonałby dzisiaj takiego samego wyboru. A teraz Leii groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Ze sterowni wyszedł Lando.

- Przełączyłem na automatycznego pilota - oznajmił.

Popatrzył na twarz Hana i na widok malującego się na niej przygnębienia pokręcił głową:

- Dlaczego po prostu nie odpoczniesz? - zapytał. - Zróbmy coś dla zabicia czasu.

Po chwili, jakby dopiero teraz przyszedł mu do głowy ten pomysł, dodał:

- Co powiesz na partyjkę... sabaka?

Uniósł wysoko brwi i wyszczerzył zęby w jednym ze swoich słynnych olśniewających uśmiechów.

Han zastanawiał się, czy przyjaciel tylko stara się go pocieszyć. Postanowił przekonać się, czy Lando mówi naprawdę poważnie.

- W tej chwili nie interesuje mnie żaden sabak - odparł. Wyprostował się i zapytał półgłosem: - Tym bardziej że zapewne nie zgodzisz się, by stawką w grze był mój statek?

Lando jęknął.

- To mój statek, Han.

Han pochylił głowę nad holograficzną planszą do gry w szachy.

- Już niedługo, chłopie - odparł. - A może cię tchórz obleciał?

Automatycznie pilotowany „Sokół” mknął przez nadprzestrzeń, nie bacząc na fakt, że właśnie się rozstrzygało, no będzie jego właścicielem.

Wpatrując się w karty, Han czuł drobne krople potu na karku. Lando, który zawsze się chełpił, że potrafi robić dobrą minę do każdej gry, tym razem zdradzał zdenerwowanie i niepokój. Po raz trzeci w ciągu kilku minut ocierał spocone czoło wierzchem dłoni.

Komputer obliczający punkty wskazywał na ekranie, że obaj gracze uzyskali dotychczas po dziewięćdziesiąt cztery punkty. Czas mijał jak z bicza strzelił, a Han tak bardzo poświęcił się rozgrywce, że nie pomyślał o rozpaczliwym położeniu Leii ani razu w ciągu co najmniej ostatnich piętnastu minut.

- Skąd mam wiedzieć, czy nie zaprogramowałeś tych kart w taki sposób, żeby teraz zrobiły mi jakiś kawał? - odezwał się Lando, spoglądając na metaliczne spody kart w dłoni, ale w taki sposób, żeby Han nie widział walorów, jakie jego przyjaciel otrzymał w tym rozdaniu.

- To ty zaproponowałeś tę grę, chłopie - odparł Han. - Prawda, że to moje stare karty, ale sam poddałeś je przed grą rozmagnesowaniu. Są czyste, nie splatają ci żadnego figla.

Pozwolił, żeby na jego wargach zagościł ledwo dostrzegalny uśmiech.

- I tym razem nie będzie żadnej niespodziewanej zmiany reguł w ostatnim rozdaniu.

Odczekał jeszcze sekundę, a potem niecierpliwym gestem przejął inicjatywę.

- Zatrzymuję trzy karty - oznajmił, a potem położył dwie inne na środku pola urządzenia zmieniającego w przypadkowy sposób ich walory tak, by były widoczne ich metalizowane powierzchnie. Przycisnął guzik, by dokonać zmiany walorów i kolorów, a później usunął karty ze środka stołu i uniósł, by przekonać się, co otrzymał.

Lando także wyciągnął dwie karty, ale po dłuższym namyśle przygryzł wargę, a potem wyciągnął trzecią. Han poczuł uniesienie na myśl o tym, iż karty Calrissiana są jeszcze gorsze niż jego.

Czuł, że jego serce wali jak młotem. Miał teraz sekwens klepek, chociaż nie było w nim ani jednej figury. Gdyby jednak udało mu się pokonać Lando w tym rozdaniu, ten sekwens dawał wystarczająco dużo punktów, żeby przekroczyć wymaganą setkę. Lando wpatrywał się w swoje karty i jak zwykle lekko się uśmiechał. Hanowi wydawało się jednak, że ten uśmiech jest wymuszony.

- Karty na stół - powiedział i zaczął pojedynczo wykladać swoje.

- Czy uzyskuje dodatkowe punkty za to, że moje karty nie tworzą absolutnie żadnej kombinacji? - zapytał Lando, a potem ciężko westchnął. Oparł łokcie na stole i zmarszczył brwi.

Han z kłasniciem uderzył otwartą dłonią w leżący na stole sekwens.

- „Sokół” jest znowu mój! - powiedział.

Lando uśmiechnął się z przymusem, jakby strata statku miała jednak jakieś dobre strony.

- Przynajmniej zwracam ci go w lepszym stanie niż dostałem - odparł.

Han klepnął przyjaciela po ramieniu i tanecznym krokiem udał się do sterowni. Nie spiesząc się, z ulgą westchnął, a potem ostrożnie opuścił się na fotel pilota.

Pomyślał, że gdyby jeszcze udało mu się zdążyć na ratunek Leii, ten dzień mógłby uznać za idealny.

ROZDZIAŁ

20

Kyp Durron przedzierał się przez gęsty tropikalny las porastający Yanin Cztery, starając się odnaleźć ukryte ścieżki, którymi dżungla umożliwiała mu dostanie się do celu. Doskonale wiedział, dokąd zmierza. Drogę wskazał mu ciemny duch Exara Kuna.

Nagły szelest liści poszycia powiedział Kypowi, że do lotu poderwało się stado drapieżnych gadoptaków. Głośno skrzecząc, protestowały w obawie, że ktoś mógłby odebrać im zakrwawiony szkielet ofiary, którą upolowały i zaciągnęły w gestwinę krzaków.

Towarzysz Kypa, Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy, potykał się, próbował dotrzymać mu kroku. Szczupła, gładkoskóra obca istota o wiele gorzej radziła sobie niż Kyp z powietrzem przesyconym parą wodną i stromo wznoszącą się ścieżką.

Po gałęziach ogromnych drzew Massassów przemknął się wełnołamander porośnięty długą purpurową sierścią. Zdumiony Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy uniósł głowę i popatrzył na drapieżnika. Kyp wyczuł jednak bestię kilka chwil wcześniej i odbierając jej prymitywne niezdecydowanie i panikę, doszedł do wniosku, że zwierzę ich nie zaatakuje.

Otarł pot, który nieustannie napływał mu do oczu, po czym potrząsnął głową, posyłając drobne krople we wszystkie strony. Ponownie zmrugał oczy i ruszył szybciej, wiedząc, że zbliżają się do celu, chociaż jego towarzysz jeszcze nie miał o tym pojęcia.

Wokół nich z brzękiem krążyły owady, ale żaden nawet nie przeleciał blisko Kypa. Młodzieniec świadomie otoczył się falą niepokoju, tak, by odstraszać różne stworzenia. Tej sztuczki także nauczył się od Exara Kuna.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy otworzył usta pozbawione warg i ciężko dyszał, starając się nadażyć za Kypem. Na jego żółtej i oliwkowo-zielonej skórze nie było widać najmniejszej plamki. Rozpłaszczony nos i gładkie, przylegające do głowy uszy wyglądały tak, jakby ktoś zaprojektował całą rasę w aerodynamicznym tunelu. Obca istota sprawiała wrażenie nieszczęśliwej. Raz po raz mrugała szeroko rozstawionymi oczami, a na błyszczącej twarzy było widać warstewkę potu.

- Nie wyhodowano mnie do przebywania w takim środowisku - odezwała się w pewnej chwili.

Kyp zwolnił, ale nie na tyle, by przyniosło to ulgę zmęczonemu towarzyszowi. Złagodził też ton cierpkiej uwagi, jaka cisnęła mu się na usta.

- Nie wyhodowano cię do niczego poza pracą w biurze i cieszeniem się wygodnym życiem - odparł. - Nie rozumiem, jakim cudem planeta Khomm przetrwała w nie zmienionym stanie przez te wszystkie stulecia. Ani tego, dlaczego jej mieszkańcy pragnęli, by tak było.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy nie obraził się i nadal podążał śladami Kypa.

- Nasza społeczność i nasi genetycy wyhodowali istoty doskonale już przed kilkoma tysiącletkami powiedział z dumą. - A przynajmniej tak wówczas sądziliśmy. Chcąc uniknąć niepożądanych zmian, postanowiliśmy zamrozić naszą cywilizację na tym etapie rozwoju. Uznaliśmy ją za doskonałą i woleliśmy rozmnażać się przez klonowanie, zamiast podjąć ryzyko pojawienia się genetycznych anomalii.

Jestem osiemdziesiątym pierwszym klonem Dorska. Osiemdziesiąt poprzednich pokoleń było identyczne pod względem genetycznym. Dysponując zestawem takich samych umiejętności, wykonywało tę samą pracę. Pozostawało w doskonałym stanie, nie pozwalając sobie na najdrobniejsze zmiany.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy zmarszczył brwi i ze zdumiewającą energią precyzyjnie się obok Kypa. Wykorzystując całą siłę, jaka jeszcze mu pozostała, zaczął wyszukiwać i wyrąbywać drogę przez gęszcz zarośli.

- Ja jednak okazałem się odmieńcem - ciągnął. - Zawiodłem swoich przodków. Byłem inny.

Kyp gestem wskazał gestwinę kruczocierni, na pozór niczym nie odróżniających się od reszty zarośli. Wypatrzył niewidoczny labirynt, przez który można było się względnie łatwo przedostać.

- Masz możliwość zostania rycerzem Jedi - powiedział. - Dlaczego uważasz się za kogoś upośledzonego?

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy wyplątał się z chaszcy, w które się uwikłał. Na jego mundurze pozostały jednak płatki kwiatów i świeże plamy soku z rozgniecionych jagód.

- To takie niepokojące... okazać się kimś innym - stwierdził.

- To prawda - przyznał Kyp. Czasami jednak ogarnia cię radość na myśl o tym, że możesz wznieść się ponad innych, którzy zostają tam, w dole. jak w pułapce.

Zanurkował w ciągnący się przy ziemi tunel o ponurych ścianach porośniętych zwisającymi mchami. Sprzed twarzy młodzieńca uciekały małe ćmy i komary. Panujący w tunelu półmrok przypominał mu całkowite ciemności chodników kopalni przyprawy na Kassel, w których został zmuszony do niewolniczej pracy.

- Imperium zniszczyło całe moje życie - powiedział. - Moi rodzice byli politycznymi przeciwnikami Imperatora. Obchodzili rocznicę masakry na Ghorman i protestowali przeciwko zniszczeniu Alderaanu. W tamtych czasach Imperator stracił jednak całą cierpliwość do politycznych przeciwników.

Sztormowcy pojawili się w środku nocy. Wyłamali drzwi naszego domu w kolonii na Deyer i wdarli się do środka. Pochwycili moich rodziców i na moich oczach ogłuszyli, a potem sparaliżowanych i w drgawkach pozostawili na podłodze. Mój ojciec

nie mógł nawet zamknąć oczu. Po policzkach spływały mu łzy, a jego ręce i nogi przez cały czas drżały. Nic mógł wstać. Później szturmowcy wywlekli i jego, i matkę na dwór.

Mój brat, Zeth, był o pięć lat starszy ode mnie. Jego też zabrali. Przypuszczam, że miał wówczas czternaście lat. Założyli na jego ręce paralizujące kajdanki. Kopali go, kiedy go wyprowadzali, a potem i mnie ogłuszyli.

Dowiedziałem się po latach, że zabrali Zetha do imperialnej akademii wojskowej na Caridzie. Mnie i moich rodziców uwięziono w zakładzie karnym na Kessel i zmuszono do pracy w kopalni przyprawy. Większość czasu spędzałem w nieprzeniknionej ciemności, gdyż jakikolwiek blask, który mógł przeniknąć do kopalnianych szybów, powodował degenerację kryształów przyprawy. Moi rodzice wytrzymali tam kilka lat, a później umarli.

Musiałem sam troszczyć się o siebie, nawet wówczas, kiedy więźniowie wszczęli bunt i przejęli władzę nad ośrodkiem karnym. Przywódca przestępców i przemytników, lord Moruth Doole, wtrącił do więzienia wielu imperialnych strażników i zmusił ich do wydobywania przyprawy. Doole uwolnił także niektórych więźniów, ale niewielu. Mnie pośród nich nie było. Zmienili się nasi panowie, ale nas w dalszym ciągu traktowano jak niewolników.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy skierował na Kypa szeroko rozstawione, błyszczące oczy.

- W jaki sposób udało ci się uciec? - zapytał.

- Uwolnił mnie Han Solo - odparł Kyp z wyraźnym uczuciem w głosie. Później porwaliśmy imperialny prom i przelecieliśmy rejon pełen czarnych dziur. W samym środku natknęliśmy się na tajną, imperialną placówkę naukową i zostaliśmy ponownie schwytani, tym razem przez admirała Daalę dysponującą flotą gwiazdnych niszczycieli Han wy dostał nas stamtąd wkrótce po tym, jak Daala wydała na mnie wyrok śmierci.

Przez ciało Kypa przeniknęła fala gniewu, sprawiając, że w jego głowie zawrzało jak w ulu. Dziwnym trafem młodzieniec poczuł się silniejszy. Spróbował skorzystać z tej dodatkowej siły.

- Zapewne rozumiesz teraz, dlaczego nawet samo mówienie o Imperium doprowadza mnie do takiej wściekłości - powiedział. - Wydaje mi się, że na każdym kroku starało się zmusić mnie do uległości. Usiłowało pozbawić mnie praw i przyjemności, z których mogą korzystać do woli inne żywe istoty.

- Nie możesz walczyć sam przeciwko całemu Imperium - zauważył Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy.

Przez chwilę Kyp milczał.

- Może tylko na razie - odezwał się w końcu.

Zanim jego towarzysz mógł cokolwiek powiedzieć, Kyp rozsunął gałęzie gęstych niebieskolistnych krzaków. Kiedy dzięki Mocy poczuł, że dotarli na miejsce, przez kręgosłup młodzieńca przebiegło coś na kształt elektrycznego prądu.

- To jest cel naszej wędrowki - szepnął cicho.

Przed nimi rozstępowała się gęsta dżungla, ukazując koliste jezioro o powierzchni pozbawionej jakiegokolwiek zmarszczki i błyszczącej niczym tafli rtęci. Pośrodku

jeziora było widać małą wyspę. Niemal całą przestrzeń zajmowała wznosząca się tarasami piramida zbudowana z obsydianowych głazów. Kanciaste narożniki i zdobiące ją znaki wymownie świadczyły o tym, że postawili ją Massassowie. Prawdę mówiąc, była to ta sama świątynia, którą odkryli kilka tygodni wcześniej Streen i Gantoris, a której mistrz Skywalker nie zdążył jeszcze zobaczyć. Exar Kun powiedział Kypowi wszystko na jej temat.

Między rozwidlającymi się strzelistymi iglicami stała nadnaturalnej wysokości figura, wykonana z wypolerowanego czarnego kamienia. Posąg mrocznego mężczyzny przedstawiał Czarnego Lorda Sithów ze związanymi i spływającymi na plecy drugimi włosami, wytatuowanym na czole herbem w postaci czarnego słońca i w watowanym stroju starożytnego lorda.

Kyp z trudem przełknął ślinę, kiedy uświadomił sobie, że spogląda na podobną samego Exara Kuna.

- Jak myślisz, kim był? - odezwał się Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy, mrużąc oczy, by przyjrzeć się posagowi.

- Kimś niezmiernie potężnym - odparł Kyp cichym, chrapliwym głosem.

Nad horyzontem wisiała ogromna pomarańczowa kula Yavina. Znajdowała się tak nisko, że ponad wierzchołkami drzew było widać tylko niewyraźną krawędź tarczy. Małe słońce planety także chyliło się ku zachodowi. Dwa świecące na niebie ciała rzucały na powierzchnię jeziora świetliste smugi, łączące się pod ostrym kątem.

Kyp gestem pokazał świątynię.

- Jeżeli masz ochotę, moglibyśmy tam przenocować - zaproponował.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy kiwnął głową, okazując większy entuzjazm niż Kyp mógłby się spodziewać.

- Bardzo chciałbym znów spędzić noc, mając jakiś dach nad głową, zamiast spać na drzewie w płataninie winorośli - oświadczył. Tylko jak się tam dostaniemy? Jaką głębokość może mieć to jezioro?

Kyp stanął na brzegu. Woda była przezroczysta jak kryształ. Jezioro musiało być bardzo głębokie, gdyż na dno patrzyło się jak przez soczewkę. Ustalenie rzeczywistej głębokości okazało się niemożliwe. Kyp ujrzał jednak w wodzie skalne kolumny wyrastające niczym kamienne stopnie. Ich wierzchołki majaczyły tuż pod powierzchnią.

Wstał na ten, który znajdował się najbliżej brzegu. Kryształowo czysta woda omyła podeszwy butów Kypa, ale mężczyzna nie pogrążył się w toni. Zrobił krok i stanął na następnej kolumnie.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy spoglądał na niego, a Kyp wiedział, że sprawia wrażenie, jakby stąpał po powierzchni wody.

- Czy posługujesz się Mocą? - zapytał klon.

Kyp się roześmiał.

- Nie, idę po kamiennych stopniach.

Rozchlapując wodę, przeskoczył na kolejną kolumnę, a później na następną. Chciał dotrzeć jak najszybciej do świątyni do źródła nowej wiedzy i tajemnych technik. Kiedy znalazł się na wyspie, wstał na kopiec odłamków ostrych wulkanicznych skał.

Widoczne na nich pomarańczowe i zielone porosty kojarzyły mu się z plamami zakrzepłej krwi jakiejś obcej istoty. Zaczynał wyczuwać działanie Mocy.

Odwrócił się, by zobaczyć, jak jego towarzysz pokonuje jezioro oddzielające go od świątyni. Jemu też wydawało się, że Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy tylko z trudem utrzymuje się na cienkiej jak błona powierzchni jeziora. Złudzenie było niemal całkowite. Cała wyspę spowijała niesamowita cisza, jakby żadne żyjące w dżungli zwierzęta ani owady nie odważały się zbliżyć do wyspy.

- Jak tu zimno - zauważył Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy, strąsając z butów krople wody i rozglądając się na prawo i lewo. Gładkoskóra istota skurczyła się wciągnąwszy głowę w ramiona.

- Niedawno narzekałeś, że jest ci za gorąco - przypomniał Kyp. - Powinieneś być teraz wdzięczny.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy zacisnął pozbawione warg usta i tylko raz kiwnął głową, ale nic nie odpowiedział.

Kyp zaczął okrążyć świątynię, spoglądając na wypolerowane czarne ściany czworościennej piramidy wznoszącej się tarasami i na widoczny w górze strzelisty komin. Budowlę zaprojektowano w ten sposób, by przypominała kanciasty odwrócony lej. Miało to na celu koncentrowanie Mocy, żeby wzmocnić siłę magicznych rytuałów Sithów.

Wpatrzył się w nieruchomy posąg Exara Kuna. Zamyślony Czarny Lord sprawiał wrażenie kogoś realnego i budzącego wielką grozę. Kyp oczekiwał, że posąg może w każdej chwili pochylić się nad nim i go pochwycić.

Wiedział teraz, że wielka świątynia była ogniskiem kultu całej cywilizacji Massassów, którą Exar Kun przywrócił do życia, wydobywając ze stanu niemal całkowitego rozkładu. Budowla ta służyła jako coś w rodzaju ośrodka dowodzenia Kuna, kiedy walczył w czasach wojen Sithów. Ta mniejsza, leżąca nieco bardziej na uboczu, pełniła funkcję miejsca, w którym szukał odosobnienia, żeby móc doskonalić swoje umiejętności i wzmocnić siłę.

Ze szczeliny wejściowej mającej kształt klina wydobywało się zimne tchnienie, jakby milcząca świątynia była uszpiętym potworem.

- Wejdzmy do środka - odezwał się Kyp.

Pochylił głowę, postąpił krok i znalazł się w niemal zupełnym mroku. Kiedy zaczął mrugać, stopniowo wnętrze się rozjaśniło. Kyp miał wrażenie, że błyskawice uwiecznione w czarnych szklanych ścianach nieustannie wysyłają drobnutki iskierki, które jednak może widzieć tylko kątem oka. Kiedy stanął przed wyglądzoną czarną ścianą, nie ujrzał na niej niczego poza zatartymi hieroglifami, bez wątplenia wrytymi przez obce istoty, których pismo zostało dawno zapomniane. Nie potrafił odczytać ani słowa.

Ze szczelin między kamieniami posadzki wyrastały długie ciemnozielone wici mchów, które wspinały się po wypolerowanych ścianach. Pod jedną z nich ustawiono okrągły kamienny zbiornik wypełniony wodą.

Kyp podszedł do zbiornika i zanurzył palce. Ze zdumieniem i radością stwierdził, że woda w zbiorniku jest zimna i kryształowo czysta. Opryskał spoconą twarz, a

następnie wypił łyk, ciesząc się słodkim smakiem płynu przepływającego przez gardło. Cicho westchnął.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy stał w samych drzwiach i odwrócony, wpatrywał się w dżunglę porastającą drugi brzeg jeziora. Kula Yavina zniknęła za koronami drzew, a niebo zaczęło przybierać purpurową barwę, gdyż i odległe słońce także zaszło.

- Nagle stałem się bardzo senny - oświadczył.

Kyp zmarszczył brwi, ale doszedł do wniosku, że wie, co się stało.

- Przebyłeś dzisiaj długą drogę - powiedział. - A w środku panuje miły chłód i półmrok. Dlaczego nie miałbyś się przespać? Posadzka jest gładka i przytulna. Zwiń się w kłębek pod ścianą i zaśnij.

Jakby zahipnotyzowany jego słowami Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy, powłócząc nogami, poczłapał do odległego kąta. Najpierw oparł się plecami o ścianę, a później osunął na posadzkę, nie odrywając pleców od obsydianowej ściany. Zasnął, zanim zdążył się ułożyć.

- A teraz ty i ja możemy dokończyć rozmowy w bardziej odpowiednim otoczeniu.

Głęboki, donośny głos rozbrzmiał we wnętrzu świątyni niczym huk odległego gromu.

Kyp odwrócił się i ujrzał zakapturzoną sylwetkę Exara Kuna materializującą się w powietrzu jak błyszcząca plama oleju. Wyprostował się, usiłując nie okazywać przerażenia, jakie czuł za każdym razem, kiedy przemawiał do niego duch starożytnego Lorda Sithów.

Gestem pokazał śpiącego w kącie Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego.

- Czy się nie obudzi? - zapytał niespokojnie. - Czy cię nie zobaczy?

Exar Kun uniósł mroczne ręce.

- Nie, dopóki nie skończymy - odparł.

- To dobrze.

Kyp przykucnął na zimnej posadzce w jak najwygodniejszej pozycji i zaczął otulać się szczelnie płaszczem. Wiedział, że takie demonstracyjne zachowanie może wydać się Exarowi Kunowi oznaką hardości czy nawet buntu, ale się tym nie przejmował.

Prastary Lord Sithów zaczął mówić.

- Skywalker nauczył cię już wszystkiego, co umie. Stara się znaleźć różne wymówki, ale nie nauczy cię niczego więcej, ponieważ świadomie odciął się od innych źródeł wiedzy. Nie zwracając uwagi na istnienie innych możliwości i zamykając umysł na to, kim może i powinien być, nie potrafi rozwinąć się jako mistrz Jedi.

Exar Kun przybliżył się do Kypa i stanął nad nim niczym ogromna góra, chociaż mogłoby się wydawać, że nie zrobił ani kroku.

- Ty już teraz wiesz o wiele więcej niż Skywalker kiedykolwiek będzie w stanie się dowiedzieć, mój uczniu.

Kyp czuł, że w jego sercu płonie ogień entuzjazmu i dumy. Napiał wszystkie mięśnie, jakby pragnął zerwać się na równe nogi, ale stłumił w sobie to uczucie.

- Popatrz na to, co chciałbym dzisiaj ci pokazać - ciągnął Exar Kun, gestem wskazując obsydianowe ściany, pokryte ledwo widocznymi hieroglifami nieznanego

pisma, które wydawały się tylko czarnymi liniami na tle równie czarnego wulkanicznego szkliwa. Kiedy Kyp spojrział na nie, wypełniły się oślepiającym blaskiem, jakby wylaniając się z bezdennego, nieprzezroczystego tła, aż wypaliły niemal dziury w oczach młodzieńca.

I nagle Kyp mógł je zrozumieć. Słowa wyostrzyły się i wypełniły jego umysł, opowiadając niesamowitą historię, która wydarzyła się przed czterema tysiącletkami. Kyp dowiedział się, jak Exar Kun zaczął zdobywać zakazaną wiedzę i jak przybył na Yavina Cztery, by odszukać zaginiony talizman Sithów, dający władzę. Hieroglify powiedziały Kypowi, jak Lord Sithów uczynił z bojaźliwych i słabych Massassów swoich niewolników i jak kazał im budować wielkie świątynie będące ośrodkami ciemnych mocy, z którymi miał zwyczaj igrać.

- Bractwo Sithów mogłoby rządzić całą galaktyką - oświadczył. - Potrafiłoby zdusić słabowitą Republikę i przemienić pozostałych przy życiu rycerzy Jedi w salonowych kuglarzy - ale zostałem zdradzony.

Cień Exara Kuna przesunął się bezgłośnie nad kamienną posadzką i zatrzymał nad skulonym, uspiętym i bezbronnym Dorskiem Osiemdziesiątym Pierwszym.

- Rycerze Jedi zjednoczyli się i przybyli na Yavina Cztery, żeby stanąć ze mną do walki. Dysponowali taką siłą, że musiałem wyssać całą Moc bez wyjątku ze wszystkich Massassów, tylko po to, żeby móc uwięzić swojego ducha w ścianach tych świątyń - żeby przetrwać i któregoś dnia powrócić.

Czarne jak węgiel ręce Exara Kuna wyciągnęły się nad Dorskiem Osiemdziesiątym Pierwszym, jakby chciały go udusić. Gładkoscóry klon poruszył się w hipnotycznym śnie, ale nie uczynił żadnego gestu, by obronić się przed atakiem.

Czując trwogę i narastający sprzeciw, Kyp zawołał:

- Exarze Kunie! To ja jestem tym, którego masz uczyć! Nie zwracaj sobie nim głowy!

Kyp, choć oczarowany pokazywanymi mu przez Exara Kuna nowymi cudami, był na tyle mądry i sprytny, że orientował się, kiedy jest oszukiwany. Axerowi Kunowi wydawało się, że igra z Kypem jak z zahipnotyzowanym neofitą. Tymczasem Kyp był sceptykiem, pamiętając, że właśnie tego nauczył go Han Solo. Aby uzyskać to, co chciał zdobyć, nie mógł jednak wypadać ze swojej roli.

Exar Kun odwrócił się ku niemu, nie wyrządzając Dorskowi Osiemdziesiątemu Pierwszemu najmniejszej krzywdy. Widząc to, Kyp rozłożył ręce, jakby chciał objąć nimi swojego nowego nauczyciela.

- Naucz mnie czegoś więcej o sposobach starożytnych Sithów - poprosił.

Przełknął ślinę, a później postarał się nadać głosowi więcej siły, gdyż zamierzał powiedzieć coś, na czym mu najbardziej zależało.

- Powiedz mi, jak korzystać z tych nowych mocy, żebym mógł skruszyć siłę Imperium raz na zawsze.

ROZDZIAŁ

21

Chewbacca, Threepio i bliźnięta zbliżali się do pokrytych rzeźbami gigantycznych durbetonowych kolumn stanowiących wejście do holograficznego zoo na Coruscant, w którym pokazywano wizerunki dawno wymarłych zwierząt.

Dzieci przebywały w domu i nieustannie marudziły, wyczerpując wszelkie zasoby cierpliwości oprogramowania Threepia i doprowadzając do wściekłości nawet Chewbacę. Nic dziwnego więc, że wszyscy zainteresowani zgodzili się, że najlepszym rozwiązaniem będzie zabranie Jacena i Jaiiny na spacer lub wycieczkę. Wszyscy czworo skorzystali ze środka transportu miejskiego. Po krótkiej podróży rurociągiem spoczywającym na najwyższych wieżowcach starego Imperial City wysiedli na dachu ogrodu zoologicznego.

Zbliżając się do imponującego, kolebkowo sklepionego przejścia, Chewbacca opuścił porośnięte futrem długie ręce, tak że małe dłonie dzieci zniknęły w jego ogromnych łapach. Dawał dwa długie kroki, po czym zatrzymywał się i czekał, aż bliźnięta znajdą się koło niego, a potem robił następne dwa kroki i znów czekał. Przodem szedł Threepio, który zapewne uważał się za przywódcę grupy. Przed wyjściem skorzystał z kąpieli olejowej, dzięki czemu jego złocisty pancerz lśnił w blasku jarzeniowych lamp jak nowy.

Znaleźli się pod majestatycznymi łukami. Threepio udał się do kasy i wystukał na klawiaturze kombinację cyfr będącą kodem kredytowym Hana i Leii. Chewbacca, zniecierpliwiony powolnym marszem Jacena i Jaiiny, zagarnął bliźnięta w ramiona i ruszył przodem.

W zupełnie pustej poczekalni, zastawionej najrozmaitszymi fotelami, krzesłami, klatkami i koszami, w których mogły wygodnie spoczywać ciała obcych przybyszów z różnych planet, musieli wysłuchać nudnej prelekcji wstępnej, zanim drzwi do zoo szczękły i stanęły otworem. Chewbacca, nie wypuszczając bliźniąt z objęć, ruszył obniżającym się tunelem ku niższym poziomom ogrodu. Threepio pospieszył za nimi. Starał się znów objąć prowadzenie, ale nie mógł się precyzyjnie obok potężnego Wookiego.

Nad ich głowami zaczęły błyskać i świecić jarzeniowe lampy, nieudolnie naśladujące słońca, komety i gwiazdy. Przechodząc obok czujników ruchu, słyszeli

grzmiące, podobne do boskich głosy wydobywające się ze stereofonicznych mikrołośników w ścianach.

- Zapraszamy do wędrówki w czasie i przestrzeni! Do świadczycie wielu wrażeń! Obejrzyjcie cuda i dziwy, jakie działy się daleko stąd i dawno temu. Zobaczycie stworzenia, które przed wiekami wymarły na różnych planetach galaktyki, ale istnieją u nas... tu i teraz!

Oświetlenie ścian tunelu przygasło. Po chwili pojawiły się na nich jasne smugi światła mające sugerować, że widzowie odbywają podróż przez nadprzestrzeń. Także podłoga pod stopami drżała, jakby naprawdę przebywali na pokładzie gwiazdowego statku. Bliźnięta były zachwycone, ale Chewbacca jęknął, dostrzegając wszystkie niedoskonałości symulacji. Na szczęście iluzoryczna podróż bardzo szybko się skończyła, a nagrany głos zniżył się do konspiracyjnego szeptu:

- Dotarliśmy do celu... Przed wami otwiera się cały wszechświat możliwości!

Światła znów się rozjarzyły, ukazując wejścia do kilku komnat.

- Tędy, dzieci, proszę tędy - odezwał się Threepio, ruszając przodem. Przed wyprawą zapoznał się z bazami danych dotyczących prezentowanych eksponatów. Po skorelowaniu ich z informacjami na temat zainteresowań bliźniąt wybrał te dioramy, które chciał pokazać w pierwszej kolejności.

- Na początku zobaczycie mamuciego kalamariańskiego krabbeksa.

Kiedy przeszli przez portal, rozjarzyły się hologramy, otaczając ich iluzją wzburzonego oceanu. Ze spienionych fal sterczała samotna, wyszczerbiona rafa, porośnięta kępami wodnych chwastów o zielonych i purpurowych liściach. Skalistą wysepkę zajmował segmentowany skorupiak, dziesięcionogi krabbeks. Było widać wyraźnie dwie pary szczęk i osiemnaścioro błyszczących jak paciorki oczu, z których czworo znajdowało się na przednich odnóżach zakończonych szczypcami. Na grzbiecie widniały dwa rzędy ostrych kolców. Wsparłszy się na tylnych odnóżach, krabbeks unosił przednie i wydał odgłos przypominający ryk rannego lodowego stworzenia, wampy.

Zafascynowane bliźnięta patrzyły, jak ze spienionych fal wyłoniły się trzy zielonoskóre trytony, które uniosły ostre włócznie, sporządzone z jasnożółtych kości. Uchwyciwszy się rafy, trytony zaatakowały potwora.

Włócznie przeszły pancierz skorupiaka. Ranny krabbeks próbował je wyciągnąć szczypcami. Nagle jednak odwrócił się w lewo i schwytał jednego trytona, a potem przeciął na pół jego gładkie, zielone ciało. Wyciągnął je z oceanu na tyle, że tylko zrośnięte, zakończone płetwami nogi trytona zaczęły uderzać o wodę niczym ogon ryby.

- Chodźmy stąd - odezwała się Jaina.

- Chodźmy dalej - zawtórował jej Jacen.

- Ależ dzieci - zaprotestował Threepio. - Nie opowiedziałem wam jeszcze niczego na temat biologicznych cech tych wszystkich stworzeń.

- Chodźmy już - upierała się Jaina.

Przeszli przez środek hologramu ku przeciwległej ścianie z wejściami do następnych komnat. Chewbacca poprowadził dzieci ku temu, które znajdowało się po lewej stronie.

- Och, nie tędy - odezwał się Threepio. - Nie jestem pewien, czy...

Dzieci jednak już znalazły się w komnacie, którą zajmowała iluzja pustyni. Ze spękanego gruntu, spieczonego słonecznym żarem unosiły się ledwo widoczne fale gorącego powietrza. Na wierzchołku pobliskiego skalistego wzgórza przycupnęło dziwaczne zwierzę, które na ich widok głośno ryknęło. Stworzenie miało kopulastą, podobną do ludzkiej głowę i masywne kocie ciało. Było widać zakrzywione pazury i segmentowany, zakończony groźnym skorpionim kolcem ogon, który kołysał się na boki. Kiedy otworzyło paszczę do następnego ryku, pomiędzy żółtych wyszczerbionych kłów pociekły strużki jadowitej cieczy.

- Mantykorą? - zapytał Threepio, nie mogąc uwierzyć własnym fotoreceptorom. - Coś takiego! Nie do wiary, że przez tyle lat nie poddali zbiorów aktualizacji. Już dawno udowodniono, że skamieliny szkieletów i kości, na podstawie których ją odtworzono, należały naprawdę do kilku różnych stworzeń. Mantykorę nigdy nie istniały!

Tuż za plecami widzów pojawił się hologram innej mantykory, która odpowiadając na wyzwanie pierwszej, także ryknęła, a potem wspięła się wyżej po rozgrzanej skale. Bliźnięta szarpnęły ręce Chewbaccy, przeszły przez nie istniejącego potwora i skierowały się ku wyjściom z komnaty.

- Pozwólcie, dzieci, teraz ja wybiorę - odezwał się Threepio.

- Do domu - oświadczył Jacen.

Jaina kiwnęła głową.

- Chcę do domu - powiedziała.

- Ależ dzieci - obruszył się android. - Jestem pewien, że następny hologram sprawi wam dużą radość. Pozwólcie, że opowiem wam wszystko, co zawiera moja pamięć na temat żałośnie zawodzących figowców z Pil Diller...

Po obejrzeniu trzech następnych dioram i wysłuchaniu trzech kolejnych nieciekawych wykładów Threepia bliźnięta miały dosyć. Zdecydowały, że w porównaniu z monotonnym przedzieraniem się przez kolejne komnaty holograficznego zoo o wiele większą radość sprawi im zabawa w chowanego.

Chociaż nie potrafiły korzystać z telepatii w ścisłym sensie tego słowa, bardzo dobrze rozumiały nawzajem swoje myśli. Kiedy więc Jacen nagle puścił rękę Chewbaccy, żeby przebiec przez lodowcowe pole, ostoję śnieżnych sokołów, skrzyknął w lewo. W tej samej chwili Jaina uwolniła swoją dłoń z drugiej Japy Wookiego, prześlizgnęła się obok zdumionego Threepia i pobiegła w prawo. Bliźnięta wykorzystały nie do końca utrwaloną umiejętność posługiwania się Mocą i wybiegły przez drzwi prowadzące na główny korytarz.

Chewbacca zaryczał, a Threepio zawołał za nimi, ale Jacen i Jaina spotkali się za dioramami. Zachwyceni powodzeniem akcji, zaczęły chichotać, a potem jak najszybciej mogli, pobiegli korytarzem wyłożonym białymi płytkami. Mijali obrazki, jakimi oznaczono świetlice i bufety, a także pokoje naprawy i ładowania źródeł zasilania.

Zatrzymali się na skrzyżowaniu korytarzy, na których stary naprawczy android pracował w otwartym wnętrzu kabiny turbowind. Jacen i Jaina wiedzieli, do czego są przeznaczone takie urządzenia. Kiedy przylatywali do Pałacu Imperialnego, właśnie w taki sposób dostawali się do domu.

Android naprawczy był ciemnoszarym automatem, wyposażonym w dwie głowy i mnóstwo mechanicznych manipulatorów i wysięgników. Każdy kończył się chwytakami albo głowicami z najprzeróżniejszymi narzędziami. Obie głowy androida były zwrócone ku sobie. Jedną zaopatrzone w dwa błyszczące optyczne czujniki, a druga stanowiła ekran, na którym pojawiały się informacje o uszkodzeniach, dane statystyczne i specyficzne kody umożliwiające dostęp do służbowych pomieszczeń imperialnego budynku.

Android, mrużąc do siebie w kodzie binarnym, szperał w jednym z pojemników umieszczonych na plecach. Zapewne szukał jakiegoś narzędzia, a kiedy go nie znalazł, wyszedł z kabiny i podreptał drugim korytarzem. Pozostawił drzwi szeroko otwarte, wywiesił na nich tylko mały napis: CHWILOWO NIECZYNNA.

Na ten widok dzieci podbiegły do turbowind i dały nurka do kabiny. Bardzo często widywały, jak rodzice albo Threepio korzystali z tablicy z guzikami, umieszczonej na bocznej ścianie.

Tablica różniła się co prawda od tej, jaką miała turbowinda w Pałacu Imperialnym. Była odbarwiona wskutek wielu lat użytkowania, a także o wiele mniej ozdobna. Wyglądała jak pole wypełnione guzikami oznaczającymi setki pięter gmachu wznoszącego się na ponad kilometr. Ponieważ o najniższych, opuszczonych piętrach miasta dawno zapomniano, guziki oznaczające pierwsze sto pięćdziesiąt pięter, umieszczone w dolnej części tablicy, przysłonięto solidną metalową płytą. Teraz jednak płyty nie było. Android naprawczy usunął ją, zamierzając sprawdzić wszystkie obwody turbowind.

Dzieci nie znały jeszcze liczb, chociaż Threepio próbował pokazywać im pojedyncze cyfry, namawiając, żeby je zapamiętały. Lekcje bardzo często frustrowały androida, chociaż dzieci były bardzo pojętne. Uczyły się szybko i przyswajały więcej niż Threepiowi się wydawało.

Jaina pierwsza zauważyła znajomą cyfrę.

- Jedyńka - powiedziała.

Jacen przycisnął wskazany guzik.

- Jedyńka - powtórzył jak echo.

Drzwi turbowind się zamknęły, a kiedy kabina zaczęła opadać, z cichym pomrukiem nabierając prędkości, bliźnięta odniosły wrażenie, że podłoga ucieka spod ich stóp. Spojrzały po sobie, w pierwszej chwili przerażone, ale później zachichotały. Wydawało się, że opadanie trwa całą wieczność, ale w końcu kabina się zatrzymała. Drzwi się rozsunęły.

Mrugając powiekami, Jacen i Jaina przez chwilę stali jak sparaliżowani. Potem wyszli z kabiny i znaleźli się w półmroku najniższego poziomu zakazanych, niebezpiecznych głębin metropolii. Otaczały ich odgłosy kroków dużych stworzeń, które zdumione widokiem dzieci rozbiegły się między gnijącymi szczątkami

- Ale ciemno - odezwał się Jacen.

Drzwi kabiny turbowind za plecami bliźnięt zamknęły się i automatycznie sterowana klatka zaczęła wracać na poprzedni poziom, pozostawiając Jacena i Jainę samych.

Chewbacca przelatywał przez komnaty z hologramami jak śmigacz, nad którym ktoś stracił panowanie. Wył i ryczał, poszukując zaginionych dzieci. Threepio spieszył za nim, usiłując dotrzymać mu kroku.

- Nie widzę niczego przez te hologramy - poskarżył się płaczliwie.

Okrzyki i zamieszanie sprowadziły w końcu któregoś z botańskich strażników. Chcąc uspokoić Chewbacę, Botańczyk nastroszył białe futro i zaczął wymachiwać rękami.

- Ćśś! Bardzo proszę nie przeszkadzać innym gościom. W komnatach powinna panować cisza, żeby nasi klienci mogli uczyć się i bawić.

Ujrawszy go, Chewbacca zaryczał. O wiele niższy od niego Botańczyk wspiął się na czubki spiczastych palców w śmiesznie nieskutecznej próbie spojrzenia w oczy Chewbaccy.

- Nigdy nie powinniśmy byli wpuszczać Wookiech do holograficznego zoo - oznajmił.

Chewbacca chwycił go za białą sierść na piersi i szarpnąwszy oderwał od posadzki. Wydał całą serię gardłowych pomruków, warknięć i burknięć.

Threepio pospieszył ku nim.

- Przepraszam bardzo, ale może mógłbym służyć jako tłumacz - powiedział. - Mój przyjaciel Chewbacca i ja szukamy właśnie dwójki małych dzieci. Wszystko wskazuje na to, że zabłądziły. Nazywają się Jacen i Jaina i liczą sobie zaledwie po dwa i pół roku.

Chewbacca znów ryknął.

- Tak, tak, właśnie do tego zmierzałem. Sprawa jest naprawdę pilna. Dzieci odłączyły się od nas i jeżeli mógłby pan jakoś pomóc...

Chewbacca, trzymając Botańczyka w obu potężnych dłoniach, potrząsnął nim jak szmacianą lalką.

- ...bylibyśmy naprawdę wdzięczni - dokończył android.

Botańczyk jednak już tego nie słyszał. Zemdlął.

Jacen i Jaina przedzierali się przez gąszcz połamanych i powyginanych dzwigarów, pomarańczowych i zielonych muchomorów, a także pękatych purchawek rosnących na wielowiekowym śmietniku. Znad ich głów dobiegały odgłosy kroków niewidocznych istot przemkających się po zwałonych belkach i konstrukcjach przypominających pajęczą sieć.

Masywne fundamenty wieżowców sprawiały wrażenie niezniszczalnych. Oblepiała je gruba warstwa różnych mchów i porostów. W ciemnościach poruszały się mroczne cienie, ale niczego nie dało się zobaczyć wyraźnie, mimo iż oczy dzieci przyzwyczyły się do panującego półmroku. W dość dużych, nieregularnych odstępach czasu spadały na nich i na sterty śmieci duże ciepłe krople niesmacznej wody.

Jacen uniósł głowę i stwierdził, że gigantyczny wieżowiec wznosi się zapewne bez końca. Widział tylko jaśniejszą szczelinę, która mogła być niebem.

- Chcę do domu - oświadczyła w pewnej chwili Jaina.

Wokół nich leżały stosy porzuconych urządzeń i automatów, rdzewiejących i śnieżących. Szukając drogi, bliźnięta wdrapywały się na szczątki wraków pojazdów i androidów, pokonywały rozszarpane kadłuby gwiazdnych statków i bojowych machin, jakich wicie spoczęło w warstwie śmieci po ubiegłorocznych zmaganiach wojennych.

W pewnej chwili znalazły się przed zrujnowanym murem, którego cześć stanowił kiedyś komputerowy monitor. Przechylony na bok terminal spoczywał na stercie gruzu, a roztrzaskany i zapadnięty do środka ekran szczyrzył do dzieci nierówne, transpastalowe zęby. Bliźnięta zorientowały się jednak, że spoglądają na szczątki komputerowego urządzenia podobnego do tych, jakich wiele znajdowało się w ich domu.

Jacen przystanął przed zniszczonym urządzeniem i oparłszy dłonie na biodrach, spróbował wyglądać jak ojciec. Postanowił przemówić do komputerowego ekranu. Wiedział, co powinien powiedzieć. Nie na próżno tyle razy słuchał wciąż tej samej bajki na dobranoc.

- Zgubiliśmy się - zaczął. - Proszę, pomóż nam wrócić do domu.

Stał i czekał, ale nie doczekał się odpowiedzi. W urządzeniu nie rozjarzyły się żadne światła. Chłopiec nie usłyszał żadnego głosu w wyszarpiętym mikrołośniku, w którego miejscu zadomowiła się gromada błyszczących czarnych żuków.

Jacen westchnął. Jaina ujęła go za rękę. Oboje odwrócili się, gdyż usłyszeli jakies mlaśnięcie w wąskim przejściu między fundamentami gmachów, które kiedyś musiało być ulicą.

Zobaczyli, że w pewnej odległości od nich znieruchomiał bezkształtne zielonoszare stworzenie. Wielki ślimak pozbawiony muszli i pelzający zazwyczaj po granitowych ścianach wyciągnął ku dzieciom długie galaretowate czułki, zakończone parą oczu, jakby starał się im lepiej przyjrzeć. Po spękanej durbetonowej powierzchni ciągnęła się za jego nogą długa smuga zielonkawej, opalizującej mazi.

Granitowy ślimak ruszył ku nim, a przerażone bliźnięta cofnęły się pod ścianę. Ujrzały, że w spodniej części podbrzusza mięczaka otwiera się jama o poszarpanych brzegach. Z cichym świstem stworzenie nabrało powietrza przez drżący, pozbawiony warg otwór gębowy.

Jaina zdobyła się na odwagę i podeszła do mięczaka.

Wiedziała, że teraz jest jej kolej.

- Zgubiliśmy się - powiedziała. - Proszę, pomóż nam wrócić do domu.

Granitowy ślimak skurczył się i oparł na tylnej części szerokiej nogi, a przednią uniósł, jakby chciał przestraszyć dziewczynkę. Jaina zamruwała, a Jacen natychmiast znalazł się u jej boku.

Wyglądało, jakby ślimak się rozmyślił, gdyż niespodziewanie zwiotczał i po przeniesieniu przedniej części nogi w prawo, z głośnym plaśnięciem opuścił ją na granitowy krawężnik.

Nagle dzieci poczuły lekki podmuch wiatru, a wielki mięczak, wyraźnie przerażony, szybko skręcił w boczną odnogę wąskiej ulicy. Jacen uniósł głowę w ostatniej chwili, by ujrzeć spiczasto zakończone skrzydła jastrzębionietoperza, który z wyciągniętymi metalicznymi szponami pikował w poszukiwaniu żeru.

Ślimak usiłował skryć się przed nim w środku sterty przerdzewiałych szczątków, ale jastrzębionietoperz wylądował na szczycie kopca i zaczął rozgrzebywać resztki, odrzucać je na boki ostrymi pazurami. Kanciasty dziób drapieźnika, zakończony szpicem, poruszał się jak tłok w dół i w górę tak długo, aż dotarł do kryjówki ślimaka i wbił się w ciało pokryte śluzem. Jastrzębionietoperz rozwinął szerokie skrzydła i poszybował ku niebu, nie wypuszczając z dziobu wijącego się i ociekającego wodą łupu.

Jacen i Jaina przyglądali się stworzeniu tak długo, aż stracili je z oczu, a potem w tej samej chwili popatrzyli na siebie. Ponownie zaczęli przedzierać się przez sterty szczątków zalegających mroczne, najniższe podziemia Coruscant.

- Wiec szedł dalej i szedł, i szedł... - odezwała się Jaina.

- Musimy natychmiast wszczać alarm - rzekł Threepio, zwracając się do Chewbaccy. Wielki Wookiee jednak nie bardzo chciał przyznać, że mimo wszystko zgubili dwójkę dzieci.

Zostawili nieprzytomnego Botańczyka w jednej z kolejnych holograficznych dioram, a sami udali się wyłożonym białymi płytkami korytarzem wiodącym do sklepów z pamiątkami, bufetów i innych części ogrodu. Threepio był ciekaw, co pomyśli nieszczęsny Botańczyk, kiedy oprzytomnieje i stwierdzi, że spoczywa w samym środku kunsztownej sieci pajęczaka z Duros mającego skłonności kanibalistyczne.

Naprawczy android zakończył sprawdzanie obwodów turbowindy i usunął tabliczkę z napisem: CHWILOWO NIECZYNNĄ. Zachwycony, że udało mu się tak szybko wykonać niewdzięczną pracę, zaczął nucić w duecie z samym sobą.

Chewbacca wskazał go Threepiowi, ale złoisty android wyglądał na oburzonego.

- Cóż może wiedzieć na temat dzieci taki prymitywny automat? Te modele są niewiele bardziej rozbudowane od zwykłych podnośników. - Czując jednak, że Wookiee ciągnie go za rękę, dodał: - No dobrze, jeżeli tak nalegasz...

Chewbacca ruszył szybciej i zagroził przejście człapiącemu automatowi. Czujniki optyczne nakazały androidowi zboczenie najpierw w prawo, a potem w lewo, ale Chewbacca zmusił go do zatrzymania. Naprawczy android wydał wysoki skowyt oznaczający najprawdopodobniej zakłopotanie.

Threepio przystanął obok niego.

- Przepraszam - zaczął, a potem wyemitował całe serię prostych pytań w języku binarnym. Naprawczy android odpowiedział beczaniem tak ponurym, jakby ktoś nadepnął na gwizdek od czajnika. Threepio powtórzył serię pytań, ale spotkał się z taką samą odpowiedzią.

- Mówiłem ci, że to na nic - powiedział. - Naprawcze androidy nie mają oprogramowania zmuszającego je do zwracania uwagi na wszystko, co dzieje się w pobliżu. Wykonują zleconą naprawę i czekają na następne polecenie.

Chewbacca jęknął, potrząsając wielką kudłatą głową.

- Och, bądź cicho ty... wielki chodzący dywaniku - mruknął Threepio. - Wcale nie mówiłem za dużo. Poza tym to ty masz wobec pana Solo dozgonny dług wdzięczności.

Naprawczy android minął ich i ruszył korytarzem, nie przejmując się ich sprzeczką. Threepio trochę żałował, że nie może uprościć swojego oprogramowania w taki sposób, by zupełnie ignorować wszystkie inne wydarzenia w galaktyce, które w bezpośredni sposób jego nie dotyczą. Kiedy w pełni zaczął zdawać sobie sprawę z konsekwencji tego, co się stało, Poczul, że w jego biednej głowie przegrzewają się obwody.

- Pan Solo zapewne powyrywa mi nogi i każe, bym dokonał gruntownych zmian w alfabetycznym katalogu wszystkich baz danych w Imperialnym Ośrodku Informacyjnym!

Znaleźli się na skrzyżowaniu z jakąś szerszą ulicą. W panującym półmroku Jacen wskazał siostrze hałaśliwą maszynę posuwającą się skrajem zaśmieconego chodnika.

- Spójrz - powiedział. - Android.

Dzieci pobiegły, machając rękami w nadziei, że może zwróci na siebie uwagę androida. Przystanąły jednak widząc, że automat nie przestaje podążać tą samą wydeptaną ścieżką na chodniku.

Android był o wiele starszy niż ten, który na jednym z najwyższych piętér naprawiał turbowindę. Miał grubsze stawy i kończyny bardziej kanciaste i niezgrabne. Wszystkie części połączono w całość za pomocą wielkich nitów. Mimo iż wyposażono go w tors i głowę w kształcie sześciokątnego prostopadłościanu, zabytkowy naprawczy android był w istocie czymś niewiele lepszym niż ruchomy pojemnik z narzędziami. Jeden z czujników optycznych gdzieś wypadł, a na karku i plecach zwisały wiązki grubych przewodów, zaśniedziały i zakurzonych. Boki naprawczego androida były porośnięte kępami mchu. Automat poruszał się z wyraźnym trudem. Utykał, z pewnością od dawna nie smarowany ani nie oliwiony.

Wzdłuż ulicy stał rząd skorodowanych, mniej więcej dwumetrowych słupów. Każdy był zakończony gniazdem zawierającym stary jarzeniowy kryształ, otoczony rzeźbionymi soczewkami, mającymi wzmacniać blask. Wszystkie kryształy miały jednak mroczną, srebrzystoszarą barwę i nie rozjaśniały półmroku choćby nawet najbledszym światłem. Niektóre słupy się przekrzywiły, zapewne słabiej zamocowane w gruncie.

Naprawczy android zatrzymał się przy kolejnym słupie, a potem rozciągnął harmonijkowy tors w ten sposób, żeby móc dosięgnąć mechanicznymi rękami kryształu, który nie świecił. Segmentowymi szczypcami ostrożnie usunął wypalone źródło światła. Później z tylnej części pojemnika wyjął inny kryształ. Postępując zgodnie ze skomplikowanym oprogramowaniem, umieścił nowy kryształ na wierzchu słupa i włączył zasilanie.

Nowy jarzeniowy kryształ pozostał tak samo szary i ciemny jak poprzedni, ale naprawczy android nie zwrócił na to uwagi. Przeszedł do następnego słupa i zaczął powtarzać automatyczną procedurę.

Jacén przystanął przed automatem i przybrawszy odpowiednią pozę, przemówił, starając się jak najlepiej imitować głos taty:

- Zgubiliśmy się - powiedział.

Po chwili stanęła obok niego Jaina.

- Proszę, pomóż nam wrócić do domu.

Naprawczy android zatrząsł się, jakby przerażony, a potem opuścił harmonijkowo rozciągnąony tors w ten sposób, żeby jego jedyny czujnik optyczny znalazł się na wysokości twarzy dzieci.

- Zgubiliśmy się - zabręczał, powtarzając słowa chłopca.

- Do domu - powiedziała Jaina.

- Nie ma tego w moim programie - odparł android. - Nie należy do moich obowiązków.

Odrócił się i ponownie zadrżał, po czym skierował się do trzeciego słupa z ciemnym jarzeniowym kryształem.

- Nie ma w moim programie.

Jacén i Jaina zaczęły płakać. Kiedy jednak każde z nich usłyszało płacz drugiego, zamiast rozplakać się jeszcze głośniejsze, oboje przestali.

- Bądź dzielny - rzekła Jaina.

- I ty bądź dzielna - powtórzył Jacén.

Wyczerpane wędrówką bliźnięta usiadły na wygładzonym przez wieki kawałku durbetonu, leżącym niemal pośrodku opustoszałej ulicy. Spoglądały w ślad za naprawczym androidem, który nadal usuwał ze słupów wypalone jarzeniowe kryształy i zastępował je innymi, równie bezwartościowymi i ciemnymi.

Android dotarł do końca ulicy, ale nie zdołał pobudzić do świecenia ani jednej lampy. Później odrócił się i nabierając szybkości, z brzęczeniem pospieszył wydeptaną ścieżką, po której chodził zapewne od stuleci. Po chwili dotarł do miejsca, w którym zaczynał prace.

Zatrzymał się znów przy pierwszym słupie z nie świecącym kryształem, wyciągnął harmonijkowo składany tors, usunął źródło światła, które umieścił tam przed kilkoma minutami, po czym zastąpił je kolejnym...

ROZDZIAŁ

22

Nie mogąc ochłonąć po stracie „Mantykory”, admirał Daala uchwyciła się zimnej poręczy mostka, wykładanej sztucznym drewnem. Bitwa wrzała w najlepsze, Kalamar był ostrzeliwany, ale ona nie umiała wykrztusić ani słowa.

- Zniszczyć ich! - rozkazała, kiedy w końcu odzyskała zdolność mowy. - Otworzyć ogień ze wszystkich baterii turbolaserów! Obracaj za cel każde pływające miasto! Zatopić wszystkie co do ostatniego!

Spoglądała w przestworza przez panoramiczny iluminator mostka „Gorgony”, chociaż miała nieco szkliste oczy.

Nie mogła zrozumieć, w której chwili się pomyliła. Przecież w najdrobniejszych szczegółach postępowała zgodnie z taktyką wielkiego moffa Tarkina. Wyszkolił Daalę bardzo starannie i dostarczył wszystkich potrzebnych informacji. A jednak od chwili, kiedy opuściła Laboratorium Otchłani, ponosiła jedną klęskę po drugiej. Zaczęło się od tego, że Pogromca Słońc wpadł w ręce Rebeliantów, którzy najpierw zniszczyli „Hydrę”, a teraz „Mantykorę”. To prawda, udało się jej opanować niewielki transportowiec wroga, a później zrównać z ziemią nie mającą większego znaczenia kolonię na Dantooine, ale podczas pierwszego ataku, wymierzonego przeciwko planecie Rebeliantów, przez zbytnią pewność siebie straciła drugi gwiazdny niszczyciel.

Zawiodła. Na całej linii.

Widziała obok swojej „Gorgony” sylwetkę bliźniaczego „Bazyliuszka”. Oba statki zasypywały oceany salwami laserowego ognia, spopielając pływające konstrukcje Kalamarian. Daala wiedziała, że za chwilę powinni przekroczyć linię terminatora oddzielającą dzień od nocy, a wówczas będzie mogła wziąć na cel dwa kolejne pływające miasta. Rozpyli je na atomy, posyłając wszystkich mieszkańców na pewną śmierć w odmętach oceanów.

- Rzucić do walki ostatnią eskadrę myśliwców typu TIE - rozkazała, nie odrywając spojrzenia od płonących struktur wodnego świata. - Chcę, by na całej planecie pozostały tylko zgłiszcza.

- Pani admirał! - Komandor Kratas przebiegł przejściem między konsolami z czujnikami i stanowiskami taktycznymi i jednym skokiem pokonał dwa stopnie

wiodące na pomost obserwacyjny. - Z nadprzestrzeni zaczynają wyskakiwać rebelianckie wojenne statki. Cała flota, nie będziemy w stanie ze wszystkimi walczyć!

Daala odwróciła się jak użądłona, nie mogąc uwierzyć własnym uszom.

- Tak szybko zareagowali na wezwanie o pomoc? - zapytała, nie posiadając się ze zdumienia.

Po chwili i ona zaczęła dostrzegać błyszczące sylwetki dużych statków materializujących się w przestworzach i jak komety zajmujących pozycje na orbicie.

Daala czuła, że ma kłopoty z oddychaniem. Jeżeli nie liczyć kilku łatwych do usunięcia uszkodzeń, kalamariańskie stocznie pozostały nietknięte. Nie osiągnęła więc najważniejszego celu. Mimo to... Zniszczyła całkowicie co najmniej jedno pływające miasto, niemal zatopiła drugie i poważnie uszkodziła dwa następne.

- Natychmiast wezwać do powrotu wszystkie eskadry myśliwców typu TIE - rozkazała. - Obracaj jak najkrótszy kurs przez nadprzestrzeń do Mgławicy Kocioł. Zostaniemy tam do chwili, kiedy dokonamy oceny naszej taktyki i oszacujemy straty. - Przerwała na krótką chwilę, a później podniosła głos jak pochodnię zemsty. - I przygotowujemy się do kolejnego ataku!

Eskadry myśliwców typu TIE zaczęły znikać w otwartych wrotach hangarów gwiazdnych niszczycieli. Rebelianckie maszyny broniące planety puściły się za nimi w pościg niczym stado wygłodniałych drapieżników. Daala nie mogła jednak ryzykować podjęcia z nimi walki, chociaż bardzo chciałaby gołymi rękami rozszarpać gardła ich pilotów.

- Przygotować się do skoku w nadprzestrzeń - powiedziała, jeszcze zanim rebelianckie posiłki zdążyły uformować szyk bojowy.

Przeglądała się, jak ogniki gwiazd zamieniają się w świetliste smugi, które miały przemienić się w punkty na przeciwległym krańcu wszechświata.

Jej dwa gwiazdne niszczyciele dokonały skoku w nadprzestrzeń, pozostawiając zawiedzione siły Nowej Republiki daleko za sobą.

Han Solo i Lando Calrissian szybowali nad powierzchnią Kalamaru na pokładzie „Tysiącletniego Sokoła”, wypatrując słupów dymu ze zniszczonych pływających osad.

Odnaleźli Foamwander City, ale kiedy Han posadził statek na jednej z rezerwowych platform lądowniczych, dowiedzieli się, że admirał Ackbar, Leia i kalamariańska pani ambasador Cilghal odlecieli, by wziąć udział w ratowaniu mieszkańców zatopionego Reef Home City.

Han, przerażony z powodu zniszczeń wyrządzonych przez atak wojsk admirał Daala, stracił wszelką radość, jaką czuł z powodu odzyskania i pilotowania „Sokoła”. Dobry humor, w jakim się znalazł po ponownym wygraniu frachtowca, wyparował na widok ran zadanych wodnemu światu.

Lando siedział przed pulpitem sterowniczym na fotelu, na którym siadywał zazwyczaj Chewbacca, i przeglądał mapy nawigacyjne.

Wygłąda na to, że powinniśmy znaleźć się nad Reef Home City już niedługo - oznajmił. - Czujniki wykazują obecność wielu drobnych kawałków metalu,

rozrzuconych po dużym terenie, ale żaden nie jest tak duży, żeby można było uznać go za metropolię.

- Bo tylko tyle z niej pozostało - odezwał się Han półgłosem.

Lecąc „Sokołem” na niewielkiej wysokości, spoglądał przez iluminatory na kołyszące się na falach szczątki. Widoczne na nich osmalone smugi wyraźnie wskazywały miejsca, w których trafił je lub przedziurawił promień lasera. Rozerwane wybuchem bryły pływającego miasta, ukazujące zamknięte włazy śluz, wodoszczelnych przegród i fragmenty falochronów, unosiły się na powierzchni niczym lekkie trumny. Wokół nich pływały roje Kalamarian i Quarrenów. Usiłowali dostać się do środka, by ocalić tych, którzy mogli przeżyć katastrofę.

- Reef Home City wyglądało kiedyś jak Miasto w Chmurach - odezwał się Han. - Teraz przypomina raczej szczątki wyplute ze zgniatacza śmieci. - Wskazał dosyć duży, gładki fragment zewnętrznej skorupy pływającego miasta. - Jak myślisz, moglibyśmy wylądować na tym kawałku?

Lando nonszalancko wzruszył ramionami.

- Pośród tylu innych pływających śmieci nikt nawet nas nie zauważy.

- Hej! - oburzył się Han.

Lando odwrócił się ku niemu.

- To jest teraz twój statek, chłopie. Wielka szkoda, że nie mam tu swojej „Ślicznotki”.

Han posadził „Sokoła” na kołyszącej się plastalowej skorupie i zablokował stabilizatory, a potem rozhermetyzował właz wyjściowy. Opuściwszy rampę, zbiegł po niej, wypatrując Leii pośród uratowanych mieszkańców. Od dawna nie trzymał jej w ramionach.

Jak zwykle, kiedy los chciał, że nie mogli być razem, myślał o wszystkim, co chciałby jej powiedzieć. Do głowy przychodziły mu obietnice, jakie pragnąłby złożyć, i komplementy, na jakie zasługiwała, a które, kiedy się już spotkali, nie chciały jakoś przejść przez gardło.

Podążał za nim Lando. Obaj patrzyli na grupę rannych, których wciągnięto na szczątki kalamariańskiego miasta pływające po falach. Chociaż woda dość często omywała krawędzie platform, na najbardziej stabilnych urządzono prowizoryczne punkty opatrunkowe i szpitale, w których lekarze mogli zajmować się rannymi.

W powietrzu unosiła się woń krwi i soli zmieszana ze swądem spalonych materiałów budowlanych, stopionego metalu i dymu z ognisk, które tu i tam nadal płonęły.

Między falami było widać nurkujących Quarrenów, których porośnięte mackami twarze to pojawiały się nad wodą, to znikwały. Z ich głów ściekały strużki wody, kiedy wydobywali z głębin ważne urządzenia z ośrodka komputerowego Reef Home City czy przedmioty codziennego użytku z mieszkań Kalamarian, które spoczęły pod wodą. Quarrenowie bez wątpliwości zechcą później ubiegać się o prawo podniesienia z dna oceanu największej, zatopionej części miasta, a tymczasem będą sprzedawali Kalamarianom to, co potrzebne w codziennym życiu.

Han rozstawił szeroko nogi, by utrzymać równowagę i rozglądał się po powierzchni wody. Fale nie były zbyt wysokie, więc platforma tylko nieznacznie kołysała się z boku na bok. Han zauważył w końcu ślizgacz, który przemykał się pomiędzy szczątkami. Pilotowała go Leia w towarzystwie jakiejś Kalamarianki i Ackbara.

Kiedy zaczął gorączkowo wymachiwać rękami, ślizgacz skreślił w stronę jego platformy i przybił do jej boku. Podczas gdy Ackbar przywiązywał jednostkę do wystającego poszarpanego kawałka metalu, Leia zeskoczyła na platformę. Zaczęła iść, a później bieć i starając się zachować równowagę, rzuciła się w ramiona Hana. Mężczyzna objął ją i przytulił do siebie, obsypując jej twarz pocałunkami.

- Tak się cieszę, że ci się nic nie stało - powiedział.

- Wiem - odparła Leia, spojrzawszy na niego. - Przestań - mruknął Han. - Mówię poważnie. To wszystko robota admirała Daali, prawda?

- Tak sądzimy, ale na razie nie mamy na to dowodu...

- Nie mam co do tego cienia wątpliwości - przerwał Han. - Daala nie miała żadnego politycznego powodu. Chciała tylko spowodować jak najwięcej zniszczeń.

Kalamarianka wysiadła ze ślizgacza i udała się w stronę prowizorycznego punktu opatrunkowego. Spoglądała na krwawiących rodaków, którym ulgę niesło kilku medyków. Przechodząc obok rannych, wydawała krótkie oświadczenia, jakby potrafiła przewidzieć w jakiś sposób szanse przeżycia poszkodowanych.

Dwóch lekarzy rozpaczliwie usiłowało przywrócić przytomność rannemu Quarrenowi, którego ramię zostało amputowane i który miał połamane kości torsu. Kalamarianka rzuciła okiem na rannego i powiedziała do medyków:

- Nie przeżyje, a wy nie możecie zrobić niczego więcej, żeby utrzymać go przy życiu.

Obaj kalamariańscy uzdrowiciele spojrzeli na nią i widząc niezachwianą pewność na jej twarzy, zajęli się innym pacjentem, pozwalając umrzeć rannemu Quarrenowi.

Jak anioł życia i śmierci przechodziła obok leżących rannych i spoglądała na nich, przekrzywiając głowę i obracając wielkie, okrągłe oczy.

Han przyglądał się jej przez chwilę.

- Kto to? - zapytał w końcu.

- Nazywa się Cilghal i jest kalamariańską panią ambasador - odparła Leia, a potem dodała nieco ciszej: - Myślę, że jest obdarzona talentem Jedi, chociaż zapewne jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy. Mam zamiar dopilnować, żeby zobaczyła się z Lukiem. - Ponownie uściskała męża. - Ja też cieszę się, że przyleciałaś.

- Wystartowałem niemal w tej samej chwili, w której dowiedziałem się o twoim wezwaniu. - Zmrużył oko i z przekrzywioną głową popatrzył na Calrissiana. - W drodze znów zagraliśmy partyjkę sabaka. Tym razem ja zwyciężyłem. - Podał ramię zonie. - Czy mogę zabrać cię do domu na pokładzie m o j e g o statku, Leio?

- „Sokół” znów należy do ciebie? - zapytała, nie kryjąc radości, a potem wsunęła dłoń pod ramię męża. Nie przestając szeroko się uśmiechać, spojrzała na Calrissiana. - Przykro mi to słyszeć, Lando - dodała.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- No cóż, to był jedyny sposób, żeby przestał mi zawracać głowę - odparł.

Ackbar także opuścił pokład ślizgacza i stanął na kołyszącej się platformie. Przysłonił pętlawiastą dłonią oczy i spoglądał na szczątki Reef Home City unoszące się na falach. Han nigdy nie potrafił prawidłowo odczytywać wyrazu twarzy admirała, ale teraz nie miał wątpliwości, że Ackbar jest zdruzgotany.

Podszedł do niego.

- Admirale - powiedział. - Słyszałem, co zrobiłeś, jak sam zniszczyłeś cały gwiazdny niszczyciel. To była wspaniała robota.

Odziana w białą szatę Leia także stanęła obok Ackbara.

- Admirale, twoje dzisiejsze zwycięstwo musi wynagrodzić ci gorycz tamtego zwykłego wypadku na Vortex - rzekła. - Mam nadzieję, że nie planujesz ponownego zaszczytu się w swojej kryjówce?

Ackbar pokręcił wielką głową.

- Nie, Leio - odparł. - Nalegając i zachęcając mnie jak prawdziwy przyjaciel, przypominałeś mi o jednej rzeczy. Nie należę do istot, które się ukrywają. Muszę robić to, co potrafię, i tak dobrze, jak umiem. Ukrywać się mogą inni. Ja urodziłem się, żeby działać.

Leia położyła dłoń na silnie umięśnionym ramieniu Kalamarianina.

- Dziękuję ci, admirale - powiedziała. - Nowa Republika jest ci bardzo wdzięczna.

Ackbar pokręcił jednak głową.

- Nie, Leio, nie wracam na Coruscant - odparł. - Po tym ataku bardziej niż kiedykolwiek widzę, jak bardzo potrzebują mnie moi ludzie. Muszę zostać tu, na Kalamarze, żeby pomóc w odbudowie naszego świata, umacnianiu naszej cywilizacji i przygotowywaniu obrony na wypadek następnych ataków wojsk imperialnych.

Nie zdążyliśmy się pozbierać po rzezi, jakiej dokonały Niszczyciele Światów, a już nowa imperialna flota zatopiła i zniszczyła nasze pływające miasta. Nie mogę opuścić teraz Kalamaru i wrócić na Coruscant. - Skierował okrągłe oczy na ołowiane niebo i dodał: - Ta planeta jest moim domem, a jej mieszkańcy są moimi ludźmi. Muszę poświęcić wszystkie siły, by im pomóc.

Han objął w pasie żonę i lekko uściśnął. Leia czuła, jak jej ciało sztywnieje z chłodu, a Han zareagował, jakby znał jej myśli.

- Rozumiem... Ackbarze - odezwała się, ostatecznie rezygnując z tytułowania go admirałem.

Han wyczuwał w jej głosie napięcie i rozumiał, jak bardzo martwi ją utrata Ackbara. Uściśnął jej ramię i poczuł, jak pod jej skórą drżą wszystkie napięte mięśnie.

Odmowa Ackbara powrotu na Coruscant i postępująca z dnia na dzień choroba Mon Mothmy oznaczały, że od tej chwili Leia będzie zdana wyłącznie na własne siły w walce z codziennymi problemami Nowej Republiki.

ROZDZIAŁ

23

Przez prostokątne świetliki wielkiej świątyni przedostawało się dzienne światło. Kyp siedział w ogromnej komnacie audiencyjnej na niewygodnej kamiennej ławie i słuchał tego, co mówił mistrz Skywalker. Starał się sprawiać wrażenie, że poświęca temu całą uwagę. W miarę, jak jego opinia o Skywalkerze z każdą chwilą stawała się coraz gorsza, przychodziło mu to z coraz większym trudem.

Pozostali uczniowie Jedi siedzieli jak urzeczzeni, patrząc, jak mistrz Skywalker ustawia na piedestale mały biały holocron Jedi. Kyp pomyślał, że zapewne będzie chciał przedstawić im kolejną historię o starożytnych rycerzach, chwalać pod niebiosą ich heroiczne przygody i zmagania z ciemną stroną. Zmagania zakończone klęską, gdyż Imperator i Darth Vader, prześladowając i zabijając rycerzy Jedi, okazali się w końcu potężniejsi niż oni.

Skywalker nie wyciągnął z tej klęski żadnych wniosków. Jeżeli naprawę chciał, by nowi rycerze Jedi byli silniejsi niż starzy, powinien wyposażyć ich w nowe umiejętności. Powinien uczynić wszystko, żeby zakon rycerzy Jedi był potężny i mógł stawić czoło prześladowaniom w rodzaju tych, jakie spotkały Jedi za czasów Dartha Vadera.

Exar Kun zapoznał Kypa z naukami Sithów. Mistrz Skywalker zapewne nigdy nie zgodziłby się przyjąć tych nauk jako własne. Kyp zastanawiał się, dlaczego zwraca sobie głowę słuchaniem Skywalkera. Mistrz Jedi sprawiał wrażenie chwiejnego, niezdecydowanego.

Inni uczniowie byli potencjalnym źródłem siły. Nauczyli się, jak korzystać z Mocy, ale w swoich naukach zatrzymali się na poziomie charakteryzującym nowicjuszy. Stali się kimś niewiele lepszym niż zwyczajni magicy, grali rolę przerastające ich umiejętności. Obawiali się zerknąć przez szparę uchylonych drzwi, co obdarzyłoby każdego z nich większą władzą. Kyp jednak tego się nie lękał. Nie bał się odpowiedzialności.

W holocronie pojawił się kolejny strażnik i zaczął snuć opowieść o tym, jak młody Yoda został rycerzem Jedi. Kyp stłumił ziewnięcie. Nie rozumiał, dlaczego musi oglądać te nieciekawe, trywialne historyjki.

Zaczął przyglądać się ścianom ogromnej kamiennej budowli. Starał się wyobrazić sobie, jak mogła wyglądać w czasach wielkiej wojny Sithów, przed czterema tysiącami lat. Zaczął myśleć o rasie Massassów obdarzonych wilgotną skórą. Exar Kun zrobił z nich swoich niewolników. Zmusił ich do budowy świątyń, których wygląd odtworzył na podstawie jeszcze starszych i od dawna zapomnianych zapisków Sithów. Ożywił drzemającą mroczną wiedzę i przybrał tytuł Czarnego Lorda. Tradycja ta przetrwała aż do czasów Dartha Vadera, który był ostatnim Lordem Sithów.

Świątynie Exara Kuna wzniesiono w różnych miejscach na powierzchni Yavina Cztery - ostatniego miejsca, w którym istniała niesamowicie stara rasa Sithów - po to, żeby stały się ogniskami jego władzy. Kun rządził na tym globie porośniętą dżunglą, sprawując władzę nad siłami, które niemal zwyciężyły Starą Republikę. Został jednak zdradzony przez lorda Jedi, Ulica Qel- Dromę. On i inni zjednoczeni rycerze Jedi przybyli na Yavina Cztery, żeby stoczyć z Exarem ostateczną walkę. W czasie walk wszyscy tubylcy zginęli, większość świątyń została zrównana z ziemią, a niemal cała tropikalna dżungla spłonęła, trawiona ogniem laserowych błyskawic, wysyłanych z orbity. Exar Kun zdołał jednak otorbić swojego ducha i przez cztery tysiące lat czekał na chwilę, kiedy pojawią się inni Jedi, by go zbudzić...

Kyp kręcił się i wiercił, udając, że zwraca uwagę na wszystko, co dzieje się w sali audiencyjnej. Wydawało mu się, że w komnacie świątyni jest niezwykle duszno. Holocron brzęczał i marudził.

Luke przysłuchiwał się wszystkiemu z nabożnym uśmiechem, a pozostali uczniowie Jedi wpatrywali się w obrazy jak urzeczeni. Kyp przyglądał się kamiennym ścianom, zastanawiając się, dlaczego się tu znalazł i co robi.

Kiedy nad gęstymi lasami Yavina Cztery zapadła głucha noc. Luke Skywalker usiadł w jednej z komnat świątyni i pozwolił sobie na odpoczynek. Pomieszczenie, nieco mniejsze od sali audiencyjnej, miało kolebkowo sklepiony kamienny sufit. W komnacie znajdowały się wypolerowane stoły i inne meble, pozostałe z czasów, kiedy przebywali tu Rebelianci. W starych kinkietach na pochodnie płonęły teraz jasne, jarzeniowe lampy.

Luke czuł zmęczenie we wszystkich mięśniach, a jego żołądek kurczył się z głodu. Wszyscy uczniowie także wypoczywali, regenerując fizyczne i umysłowe siły przed czekającymi ich następnego dnia ćwiczeniami.

Przez cały dzień Luke nadzorował ich, kiedy wprawiali się w korzystaniu z Mocy i doskonalili umiejętność lewitacji. Czuwał nad nimi, kiedy umyślowali sobie, jak zareagują w czasie bitwy albo potyczki, kiedy wyczuwali obecność różnych zwierząt w lesie, a także, gdy korzystając z holocronu, uczyli się historii Jedi. Był zadowolony z wyników wszystkich ćwiczeń. Chociaż jego uczniowie nie zapomnieli o tragicznej śmierci Gantorisa, dostrzegał, że robią naprawdę duże postępy. Teraz bardziej niż kiedykolwiek był pewien, że uda mu się odtworzyć zakon rycerzy Jedi.

Jedną z jego uczennic, Tionna, usiadła w kącie i przygotowywała się do gry na instrumencie, który składał się z dwóch wydrążonych pudeł rezonansowych połączonych kawałkiem drewna z naciągniętymi strunami.

Uśmiechnęła się i powiedziała:

- Zaśpiewam teraz balladę o Nomi Sunrider, która była jedną z dawnych Jedi.

Długie srebrzyste włosy spływały na jej ramiona, gdzie rozdzielały się jak dwa błyszczące strumienie wody, a oczy, małe i wąsko rozstawione, połyskiwały niczym dwa paciorki z masy perłowej. Tionna miała mały nos i kanciastą brodę. Luke pomyślał, że kobieta wygląda raczej egzotycznie niż pięknie.

Tionna z dużym samozaparciem wyszukiwała legendy, ballady i opowieści dotyczące starożytnych Jedi. Zanim Luke ją odnalazł, żyła odtwarzaniem starych historii. Wyszukiwała je w archiwach, a później śpiewała wszystkim, którzy chcieli słuchać. Skywalker upewnił się, że Tionna dysponuje talentem Jedi i chociaż jej potencjał może nie był tak duży jak możliwości innych uczniów, kobieta nadrabiała ten niedostatek bezgranicznym poświęceniem i entuzjazmem.

Pozostali uczniowie usiedli na krzesłach, ławach czy gładkich kamieniach posadzki, żeby posłuchać śpiewu Tionny. Kobieta położyła instrument na kolanach i widząc, że wszyscy czekają, zaczęła szarpać palcami obu rąk długie struny. W komnacie rozbrzmiały odbijające się od ścian akordy, a Tionna zaśpiewała.

Luke zamknął oczy i słuchał opowieści o młodej Nomi Sunrider. Po tragicznej śmierci męża postanowiła poddać się szkoleniu Jedi, w którym miał uczestniczyć jej towarzysz życia. Nomi odegrała później kluczową rolę podczas wyniszczającej wojny Sithów. Działo się to w zamierzonych czasach Starej Republiki, kiedy jedni rycerze Jedi walczyli przeciwko innym.

Luke uśmiechnął się, wsłuchany w łagodną muzykę i melodyjny głos Tionny, w którym można było wyczuć prawdziwe uniesienie. Nagle z przeciwległego kąta sali dobiegł odgłos niespokojnego poruszenia. Mistrz otworzył oczy i obrócił głowę, a wówczas ujrzał Kypa Durrona spoglądającego na niego z nachmurzoną miną. Młodzieniec ciężko westchnął, zmarszczył brwi i w końcu wstał. Zapewne miał dosyć słuchania śpiewu Tionny.

- Chciałbym, żebyś wreszcie przestała rozpowszechniać tę śmiechu wartą historię - powiedział. - Nomi Sunrider nie była żadną bohaterką. Wręcz przeciwnie, była ofiarą. Uczestniczyła w wojnie Sithów, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, o co walczy. Bezkrytycznie słuchała poleceń swoich mistrzów Jedi. Oni zaś najzwyczajniej w świecie się bali, że Exar Kun odkryje sposób, dzięki któremu rycerze Jedi mogą zostać obdarzeni większą władzą.

Tionna odstawiała instrument pod kamienną ścianę i objęła rękami kolana pokryte płaszczem Jedi. Na jej twarzy malowała się uraza, a w małych oczach było widać zakłopotanie.

- O czym ty mówisz? - zapytała, nie kryjąc zniechęcenia w głosie. - Poświęciłam wiele tygodni na to, żeby w końcu odtworzyć tę historię. Wszyscy dobrze wiedzieli, co robię. Jeżeli miałeś jakieś inne informacje, dlaczego się nimi ze mną nie podzieliłeś?

- Skąd się o tym dowiedziałeś? - odezwał się Luke, wstając. Oparł dłonie na biodrach i próbował spiorunować młodzieńca wzrokiem. Zdał sobie sprawę z tego, że w miarę, jak Kyp poznaje coraz więcej umiejętności Jedi, z każdym dniem coraz trudniej przewidzieć, co może zrobić. Spokojny, musisz być spokojny, powiedział

kiedyś Yoda, ale Luke nie miał pojęcia, w jaki sposób mógłby sprawić, żeby Kyp był spokojny.

Młodzieniec powiódł spojrzeniem po pozostałych uczniach, którzy wpatrywali się w niego w osłupieniu.

- Gdyby wojna Sithów zakończyła się inaczej - powiedział - możliwe, że rycerze Jedi wiedzieliby, jak się bronić, kiedy prześladował ich Darth Vader, a wówczas wielu może by ocalało. Zakon rycerzy Jedi by nie upadł, a my nie znaleźlibyśmy się tutaj i nie byłibyśmy nauczani przez kogoś, kto wie tyle samo, co my sami.

Luke pozostał niewzruszony.

- Kyp, powiedz mi, gdzie się tego wszystkiego dowiedziałeś.

Kyp zacisnął wargi i zmrużył oczy. Kilka razy głęboko odetchnął. Luke wyczuwał burzę, jaka szalała w sercu młodzieńca, jakby jego umysł zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Ja też umiem posługiwać się holocronem - odparł w końcu Kyp. - Mistrz Skywalker ciągle mówił nam, żebyśmy uczyli się wszystkiego, czego możemy.

Luke nie bardzo chciał uwierzyć, że to, co powiedział Kyp, było prawdą, ale zanim zadał następne pytanie, do komnaty wtoczył się Artoo, wydając całe serie pełnych podniecenia pisków. Luke zdołał zrozumieć tylko małą część tej elektronicznej paplaniny.

- I nie masz pojęcia, kto to? - zapytał.

Artoo wydał długi, opadający gwizd, oznaczający zaprzeczenie.

- Mamy gościa - oznajmił Luke. - Za chwilę wylądjuje jakiś gwiazdny statek. Czy nie poszlibyśmy powitać pilota?

Odrzucił się, podszedł do Kypa i położył dłoń na jego ramieniu, ale młodzieniec strząsnął jego rękę.

- Porozmawiamy o tym trochę później, Kyp - odezwał się Skywalker.

Z ulgą, że znalazł się powód, który pomoże rozładować napięcie, wyszedł z komnaty. Uczniowie Jedi podążyli za nim. Wszyscy przeszli po kamiennych stopniach do hangaru i stamtąd na lądowisko oczyszczone z roślinności.

Niewielki staromodny myśliwiec typu Z-95, Łowca Główny zatoczył krąg nad ich głowami i łagodnie znieruchomiał na polanie. Luke ujrzał połyskujący srebrzysty kombinezon opinający wdzięcznie zaokrągloną sylwetkę pilota. Po chwili u szczytu rampy ukazała się młoda kobieta, która zdjawszy kulisty hełm, potrząsnęła ciemnymi rudobrazowymi włosami. Jej kanciasta twarz, wykrzywiona w przeszłości niezłomnym zdecydowaniem, miała teraz łagodniejsze rysy, a oczy i pełne wargi świadczyły o tym, że kobiecie zdarza się nawet uśmiechać.

- Mara Jade! - powitał ją Skywalker.

Kobieta wsunęła hełm pod lewy łokieć i przycisnęła do klatki piersiowej.

- Witaj, Luke - odparła, unosząc brwi i obdarzając go spojrzeniem, które można byłoby określić mianem przyjaznego. - A może powinnam była powiedzieć: „mistrzu Skywalkerze”?

Luke wzruszył ramionami, a później wyciągnął do niej obie ręce.

- To zależy od tego, w jakim celu przybywasz.

Mara Jade nie zamknęła Łowcy Główny, tylko ruszyła przez polanę, by ucisnąć wyciągniętą prawicę Luke'a. Później wykonała zwrot w iście wojskowym stylu, żeby spojrzeć na kilkunastoosobową grupę uczniów, którzy odbywali szkolenie w akademii.

- Powiedziałeś mi kiedyś, że umiem posługiwać się Mocą - oświadczyła. - Przyleciałam tu, by dowiedzieć się na ten temat czegoś więcej. Zdolności Jedi mogłyby pomóc mi w kierowaniu gildią przemysłowców.

Rozpięła zamek elastycznej torby przewieszanej przez ramię i wyciągnęła pakiet z wielokrotnie złożoną szatą. Luke nigdy nie uwierzyłby, że mogła zmieścić się w tak małej objętości. Mara Jade wyjęła szatę i rozłożyła.

Popatrzyła na jednakowe ubrania, jakie mieli na sobie wszyscy uczniowie, a następnie znów przeniosła spojrzenie na Luke'a.

- Widzisz? - zapytała. - Zabrałam ze sobą nawet płaszcz Jedi.

Luke siedział nad talerzem z porcją pikantnego gulaszu z runyipa i posiekanymi liśćmi jadalnych roślin i przyglądał się, jak Mara Jade pochłania swoją porcję, jakby umierała z głodu. On sam długo przeżuwał każdy kęs, starając się nacieszyć odżywczymi składnikami i energią, która z wolna przenikała całe jego ciało.

- Nowa Republika bardzo liczy na twoich rycerzy Jedi, Luke - odezwała się w pewnej chwili Mara. - Tym bardziej że sytuacja w galaktyce ostatnio bardzo się pogorszyła.

Luke pochylał się nad stołem i splótł palce, starając się wyczuć echo jej emocji.

- Co się stało? - zapytał. - Od dawna nie mieliśmy żadnych wieści.

- No cóż - odparła kobieta, nie przerywając gryzienia zieleniny. Przełknęła ją i popiła łykiem zimnej źródlanej wody, ale w tej samej chwili zmarszczyła brwi, jakby spodziewała się napić czegoś innego. - Admirał Daala nie przestaje napadać na nasze światy, chociaż wygląda na to, że nie związała się z żadnym spośród imperialnych lordów. O ile mi wiadomo, usiłuje tylko wyrządzać jak najwięcej szkód tym światom, które kiedyś przeciwstawiały się Imperium. Muszę przyznać, że robi to całkiem nieźle. Czy wiesz, że zaczęła od napadu na transportowiec z dostawami, najpierw rabując jego ładunek, a potem bezlitośnie niszcząc? Później zrównała z ziemią nową kolonię na Dantooine.

- Dantooine! - powtórzył zdumiony Luke.

Mara popatrzyła na niego.

- Tak. Czy przypadkiem jeden z twoich uczniów nie należy do grupy tamtych kolonistów?

Niektórzy uczniowie, słysząc to, zamarli z przerażenia, a Luke wyprostował się za stołem. Czuł, że w jego głowie huczy jak w ulu. Pomyślał o wszystkich nieszczęsnych ludziach, których pomógł przesiedlić z planety Eol Sha, a których spotkała śmierć na nowym świecie.

- Już nie - odparł po chwili. - Nazywał się Gantoris, ale nie żyje. Próbował... igrać z mocami, a nie był jeszcze gotów na spotkanie z nimi.

Mara Jade uniosła cienie brwi i czekała na dalsze wyjaśnienia. Kiedy Luke nie powiedział jednak ani słowa więcej, ciągnęła:

- Najgorsza rzecz wydarzyła się niedawno, kiedy Daala napadła na Kalamar. Wszystko wskazuje na to, że celem jej ataku były orbitujące stocznie, ale admirał Ackbar przewidział jej taktykę. Unicestwił jeden z trzech jej gwiazdnych niszczycieli, niestety przedtem Daala zdołała zatopić dwa kalamariańskie pływające miasta. Zginęły niezliczone tysiące niewinnych mieszkańców.

Po przeciwległej stronie długiego stołu zerwał się Kyp Durronek.

- Daala straciła swój następny gwiazdny niszczyciel? - zapytał.

Mara Jade spojrzała na niego, jak gdyby widziała młodego ciemnowłosego mężczyznę po raz pierwszy.

- Ale nadal dysponuje dwoma i nie zawaha się ich użyć - odparła. - Admirał Daala w dalszym ciągu może zadawać nam ciężkie straty, tym bardziej że ma groźną broń, której nie posiada zapewne nikt inny: wie, że nie ma nic do stracenia.

- Powinienem był się poświęcić - mruknął Kyp. - Mogłem zabić ją gołymi rękami, kiedy przebywałem na pokładzie „Gorgony”.

Półgłosem zaczął opowiadać historię, z którą Luke zapoznał się już wcześniej.

- Porwaliśmy Pogromcę Słońc niemal sprzed jej nosa, ale nie wykorzystaliśmy wszystkich możliwości, jakie zapewniało nam posiadanie tej straszliwej broni. Mielśmy w rękach środek mogący zadać decydujący cios światom, które nadal pozostają lojalne wobec Imperium... i co zrobiliśmy? Posłaliśmy Pogromcę Słońc ku jądro gazowej planety, gdzie nie ma z niego żadnego pożytku.

- Uspokój się - rzekł Luke, gestem nakazując młodzieńcowi, żeby usiadł. Kyp oparł jednak dłońe o żyłkowy blat kamiennego stołu i pochylił się, przesywając mistrza Jedi płomiennym spojrzeniem.

- Zagrożenie ze strony resztek Imperium nie zniknęło! - odparł. - Jeżeli połączymy nasze umiejętności Jedi, odzyskamy Pogromcę Słońc, wyciągniemy go z jądra Yavina. Posłużymy się tym statkiem i zapolujemy na niedobitki imperialne. Czy moglibyśmy zrobić coś lepszego? Dlaczego przez cały czas mamy tylko ukrywać się na tym księżycu zagubionym w przestworzach?

Urwał i stał, dysząc z gniewu. Kiedy inni uczniowie w milczeniu spoglądali na niego, Kyp obdarzył ich piorunującym spojrzeniem.

- Czy naprawdę jesteście wszyscy tacy głupi? - krzyknął. - Nie możemy pozwolić sobie na dalsze szlifowanie umiejętności lewitacji, utrzymywania w równowadze kawałków skał czy wyczuwanie obecności gryzoni w gęstwinie dżungli- Jaką korzyść będziemy z tego mieli? Jeżeli nie wykorzystamy naszych sił, żeby pomóc Nowej Republice, po co w ogóle zwracać sobie głowę?

Luke spojrzał na Marę Jade, która sprawiała wrażenie niezwykle zainteresowanej tą dyskusją, a później przeniósł wzrok na Kypa. Przed młodzieńcem stał na stole niemal nietknięty posiłek.

- Ponieważ to nie jest sposób rycerzy Jedi - odezwał się w końcu. - Zapoznałeś się z kodeksem Jedi. Wiesz, w jaki sposób musimy zabierać się do rozwiązywania trudnych problemów. Jedi nie uciekają się do lekkomyślnego niszczenia.

Kyp odwrócił się plecami do Luke'a i niemal biegiem ruszył do wyjścia z jadalni. Zatrzymał się jednak w łukowo sklepionym przejściu i powiedział:

- Jeżeli nie zdecydujemy się skorzystać z naszych umiejętności, będzie tak, jakbyśmy w ogóle ich nie mieli. Zdradzimy Moc, okazując się tchórzami.

Zgrzytnął zębami, po czym oświadczył o wiele ciszej:

- Nie jestem pewien, czy jeszcze mógłbym nauczyć się tu czegokolwiek, mistrzu Skywalkerze.

I zniknął w korytarzu.

Kyp czuł, że świerzbi go skóra z powodu siły, nad którą panował tylko z wielkim trudem. Miał wrażenie, że krew w jego żyłach przemienia się w musujące wino. Popędził korytarzem niczym pocisk, a kiedy znalazł się przed ciężkimi drzwiami swojej komnaty, posłużył się Mocą i otworzył je z taką siłą, że trzasnęły o kamienny mur, odłupując od niego podłużny skalny odprysk.

Jak mógł kiedykolwiek podziwiać mistrza Skywalkera? Co takiego widział w nim Han Solo, że uważał go za swojego przyjaciela? Nauczyciel Jedi był ślepcem, gdyż nie liczył się z rzeczywistością. Ignorował istnienie problemów, jakby zasłaniał oczy płaszczem Jedi. Nie zgadzał się wykorzystać i własnych umiejętności, żeby pomóc Nowej Republice. Ataki Daali na Kalamar i Dantooine wykazały dobitnie, że Imperium stanowi nadal dużą groźbę i jeżeli Skywalker odmawiał użycia swoich sił, by rozprawić się z wrogiem, może jego wola zwycięstwa nie była dostatecznie silna.

Ale go była.

Wiedział, że nie może pozostawać w akademii Jedi ani chwili dłużej. Szarpnął kołnierz i oderwał go od płaszcza Jedi. Ze schowka w ścianie wyciągnął torbę z połyskliwą czarną peleryną, którą otrzymał od Hana jako pożegnalny prezent. Podczas nauki w *prakseum* zadowalał się noszeniem starego szorstkiego płaszcza Jedi, wręczanego mu przez Skywalkera. Teraz jednak nie mógł nawet znieść jego widoku.

Exar Kun ukazał mu sposób, w jaki można wyzwolić ogromną siłę. Kyp nie ufał Lordowi Sithów, ale nie mógł podawać w wątpliwość prawd, z którymi zapoznał go mroczny nauczyciel. Kyp na własne oczy oglądał działanie tej siły.

Teraz musiał wydostać się stąd, żeby zastanowić się, co robić, i uporządkować wszystkie myśli, które kłębiły się w jego głowie.

Otworzył torbę i popatrzył na błyszczącą czarną pelerynę. Para małych i szybkich jak promienie światła gryzoni wyskoczyła ze swojej kryjówki w fałdach okrycia i zniknęła jak ulotny gaz w jakiejś szparze między głazami ściany.

Przestraszony Kyp stracił na krótką chwilę panowanie nad swoim gniewem i uwolnił drobną część rozpierającej go siły. Posłał ją w ślad za gryzoniami do szczeliny, spopielając umykające stworzenia. Ich szerniałe kości przez chwilę leciały, niesione siłą rozpędu, ale potem spoczęły w kurzu kamiennego tunelu.

Nie zwracając więcej na to uwagi, Kyp wyjął pelerynę i przytrzymał w wyciągniętych rękach, chcąc się jej przyjrzeć. Srebrzyste nici wplecione w materiał sprawiały wrażenie połyskujących od ukrytej siły. Kyp owinał się szatą i zaczął zbierać niektóre przedmioty osobistego użytku.

Musiał udać się w daleką drogę. Musiał to i owo przemyśleć. Przede wszystkim jednak musiał być silny.

Nieco później tej samej nocy, kiedy Artoo podniósł alarm, Luke przebudził się natychmiast z krótkiej drzemki. Zbiegł po kamiennych schodach i skierował się na dwór, w stronę lądowiska. Po drodze spotkał Marę Jade, która także biegła, jakby przeczuwała, co mogło się wydarzyć.

Wzrok Luke'a bardzo szybko przyzwyczał się do widoku nieba usianego tysiącami gwiazd, które zaczynało blednąć z powodu poświaty gazowego giganta, Yavina, widocznej na horyzoncie. Mara i Luke zatrzymali się przy na wpółotwartych wrotach hangaru i patrzyli, jak mały Łowca Głów typu Z- 95 z wyłączonymi wszystkimi światłami pozycyjnymi unosi się nad polaną.

- Chce porwać mój statek! - krzyknęła Mara. W tej samej chwili silniki do lotów z prędkościami pod- świetlnymi ożyły, rozjaśniając niebo oślepiającym blaskiem, a myśliwiec poszybował ku niebu.

Luke pokręcił z niedowierzaniem głową i dopiero po chwili zorientował się, że stoi z nieświadomie uniesioną ręką, jakby pragnął wezwać Kypa Durrona do powrotu.

Niewielki myśliwiec przemienił się w smugę światła, która z każdą chwilą stawała się coraz krótsza i cieńsza, a potem, kiedy statek osiągnął orbitę, rozplynęła się pomiędzy gwiazdami.

Luke poczuł w sercu przeraźliwą pustkę. Zdał sobie sprawę z faktu, że oto stracił na zawsze kolejnego ucznia ze swojej akademii.

ROZDZIAŁ

24

Każdy kamień brukowy błyszczał. Każda imperialna kolumna została wyczyszczona do białości. Każdy barwny sztandar tego świata najbardziej oddanego Imperium wisiał idealnie prosto, bez najmniejszej zmarszczki. W głównej cytadeli imperialnej wojskowej akademii na Caridzie panował nieskazitelny ład i porządek.

Ambasador Furgan kiwnął głową. Wszystko było dokładnie, jak lubił.

W ogromnej sali audiencyjnej stało na baczność w idealnie wyrównanych szeregach trzystu doborowych szturmowców. Ich białe pancerze błyszczały niczym wypolerowane kości. Wszyscy odbyli to samo przeszkolenie, po którym przemienili się w precyzyjne wojskowe automaty. Wszyscy byli najlepszymi spośród najlepszych w całej akademii. Tylko wybrani imperialni rekruci mogli w ogóle zacząć naukę, która miała zrobić z nich szturmowców, a tych trzystu ukończyło wszystkie ćwiczenia i zdało egzaminy z wynikiem celującym.

Ambasador Furgan skręcił w stronę podium, z którego miał wygłosić przemówienie. W niemal sterylnie czystym powietrzu Caridy wyczuwało się tylko silną woń olejów i wosków, używanych do polerowania sztucznego drewna. Furgan wyprostował się, chcąc wydawać się wyższy, niż pozwalało mu krępe ciało. Ukryte w białych hełmach głowy szturmowców obracały się, śledząc każdy jego ruch przez szyby czarnych

- Imperialni żołnierze! odezwał się Furgan. - Zostaliście ni, by wziąć udział w najważniejszej akcji, jaka jest organizowana od czasu upadku naszego ukochanego Imperatora. Spędziliście dużo czasu na ćwiczeniach i zdaliście wszystkie egzaminy. Wybrałem was osobiście jako najlepszych kandydatów w akademii na Caridzie.

Szturmowcy nie poruszyli się, nie składali sobie gratulacji. Stali nieruchomo jak rządy posągów - co samo w sobie stanowiło dowód, jak dobrze zostali wyćwiczeni.

Furgan, od chwili, kiedy otrzymał od dawna oczekiwane współrzędne planety Anoth, planował tę akcję wyjątkowo starannie. Zapoznał się z danymi osobowymi tysięcy najlepszych żołnierzy. Przeanalizował wszystkie dane, uzyskane podczas wyczerpujących ćwiczeń: symulowanej walki w pokrytych lodami podbiegunowych rejonach Caridy, długotrwałych oblężeń twierdz, rozmieszczonych na bezwodnych, spieczonych słońcem pustyniach, a także wielodniowych uciążliwych marszy przez

gęste, niemal niemożliwe do pokonania tropikalne dżungle, pełne prymitywnych drapieżników, mięsożernych roślin i śmiertelnych owadów.

Furgan wybrał nazwiska tych szturmowców, którzy wykazali się największym hartem ducha, przejawiali najwięcej inicjatywy i osiągnęli najlepsze rezultaty, a przy tym udowodnili, że potrafią bez szemrania wykonać absolutnie wszystkie rozkazy.

Był dumny ze swojego oddziału szturmowego.

- Uzyskaliśmy tajną informację na temat kryjówki pewnego małego dziecka - ciągnął. - Dziecka, które wykazuje, wyjątkowe umiejętności posługiwania się Mocą.

Przerwał, spodziewając się usłyszeć jęk czy inny odgłos niezadowolenia, ale szturmowcy milczeli jak zakłęci.

- To dziecko jest synem Leii Organy Solo, minister stanu Nowej Republiki. Gdyby udało się nam je pochwytać, zadalibyśmy Rebelii potężny psychologiczny cios - a poza tym ten chłopiec jest wnukiem Dartha Vadera.

Dopiero teraz wydało mu się, że słyszy, jak przez rzędy szturmowców przebiega szmer zdumienia.

- To dziecko jest niezwykle ważne, by Imperium mogło się odrodzić - ciągnął. - Jeżeli będzie prawidłowo wychowywane i kształcone, możliwe, że zostanie godnym następcą Imperatora Palpatine'a.

Furgan nie przerywał przemówienia, a nawet zaczął mówić coraz szybciej, w miarę jak ogarniało go coraz większe podniecenie. Miał wrażenie, że jest kimś ważniejszym niż zwyczajny ambasador. Planował osobiście poprowadzić swoich żołnierzy do akcji. Rzecz jasna, nie zamierzał narażać życia, ale chciał lecieć, żeby porwać małego Anakina.

- Wasi bezpośredni dowódcy wydadzą wam szczegółowe rozkazy - mówił. - W tej chwili szykuje się sprzęt i żywność. Przygotowaliśmy także środki, za pomocą których dotrzecie do tajnego miejsca na tamtej planecie.

Furgan pozwolił, żeby na jego mięsistych, purpurowych wargach zagościł szeroki uśmiech.

- Mam przyjemność oznajmić wam, że podczas tej akcji zostaną po raz pierwszy użyte nasze nowe górskie transportery opancerzone typu MT- AT, z których korzystaliście w ciągu wielomiesięcznych ćwiczeń. To wszystko. Niech żyje Imperator!

Wydało mu się, że mury sali zadrżały, kiedy usłyszał stłumiony przez filtry hełmów ryk, jaki wydarł się z trzystu gardeł:

- Niech żyje Imperator!

Wślizgnął się za purpurową zasłonę i pospieszył opustoszałym korytarzem, oświetlonym blaskiem jarzeniowych lamp, do swojego bezpiecznego apartamentu. Gdy już był w środku, starannie zamknął pancerne drzwi, odporne na eksplozje, i zablokował szyfrowy zamek. Odsunął na bok makiety i plany najnowszych śmiertelnych transporterów szturmowych typu MT- AT. Czuł zadowolenie, niemal dumę z samego siebie. Bardzo chciał, by akcja rozpoczęła się jak najszybciej.

Ambasador Furgan, który lata zamętu spędził na Caridzie, denerwował się sprzeczkami, jakie od czasu śmierci Imperatora toczyli między sobą imperialni dowódcy. Wielu lordów w centralnych systemach gwiazdnych miało wciąż dużą

władzę, ale traciło czas na walki między sobą o prawo dowodzenia imperialną flotą zamiast połączyć siły i wystąpić przeciwko wspólnemu wrogowi, jakim byli Rebelianci.

Największe nadzieje wiązali zapewne z Thrawnem, ale wielki admirał został pokonany. W następnym roku taki sam los spotkał wskrzeszonego Imperatora. Wskutek próżni, jaka wówczas się wytworzyła, oddziały imperialne pozostały bez dowódcy. Nie miały nawet wyraźnego celu. Toczyły walki tylko dlatego, by możliwe było awansowanie.

Ambasadora Furgana niepokoiło nawet zagrożenie, jakim była odszczepieńcza admirał Daala. Pocieszał się wprawdzie myślą, że atakując świąty Rebeliantów i szercząc na nich jak najwięcej zniszczeń, przynajmniej robiła właściwy użytek ze swojej floty gwiazdnych niszczycieli. Kobieta działała jednak bez żadnego planu, który mógłby zapewnić jej ostateczne zwycięstwo. Była tylko niszczycielską siłą działającą na oślep. Wybierała cele jeden po drugim i niszczyła je dla samej satysfakcji zadawania bólu.

Ku swojemu zdumieniu Furgan odkrył, że Daala także została przeszkolona w akademii na Caridzie. Przekopując się przez stare dokumenty, stwierdził, że udzielono jej kilku nagan i wielokrotnie wszczynano postępowania dyscyplinarne. A więc nawet wtedy była niezależna i niezdiscyplinowana. Uzyskiwała świetne wyniki, ale nie nauczyła się, gdzie było jej właściwe miejsce. Utrzymywała nawet, że zasługuje na awans bardziej niż inni.

Furgan nie odnalazł rozkazu awansującego ją na stopień admirała, ale musiało to nastąpić wówczas, kiedy po jednej z krótkich inspekcji wielki moff Tarkin wcielił ją do osobistego personelu. To była ostatnia informacja, jaką Furgan znalazł w jej kartotece.

Dziwiło go, że admirał Daala, choć atakuje świąty Rebeliantów, ani razu nie podjęła próby nawiązania łączności z Caridą. Było całkiem możliwe, że uważała się za mściciela, mimo iż Imperium wymagało, żeby jego żołnierze walczyli jako części ogromnej wojennej maszyny. W Imperium nie było miejsca dla mścicieli.

Furgan starał się porozumieć z niektórymi spośród walczących ze sobą dowódców imperialnej floty, by pożyczyć od nich statki do ataku na Anoth. Imperator i wielki admirał Thrawn, a także inni dowódcy zabrali większość jednostek, jakimi dysponowała kiedyś Carida. W rezultacie na planecie, na której mieściła się wojskowa akademia, Furgan dysponował najskuteczniejszą bronią i najlepiej wyszkolonymi żołnierzami w całej galaktyce, ale z powodu bezustannych kłótni między dowódcami oddziałów lądowych i gwiazdnych nie miał środków, za pomocą których mógłby wysłać swoje oddziały do walki. Wydawało mu się, że przebywa na najlepiej uzbrojonej, ale całkiem bezużytecznej planecie, która nadal pozostawała lojalna względem Imperium.

Nieświadomie zaczął się bawić jednym z najdokładniej wykonanych modeli transportera bojowego typu MT- AT. Pomyślał, że oglądanie nowego pojazdu w akcji z pewnością będzie czymś fascynującym. Mimo iż Imperator nie żył, oddanie Furgana dla Imperium i nowego ładu pozostawało w najmniejszym stopniu nie zachwiane.

W ten czy w inny sposób robił wszystko, co mógł, by zadawać ciężkie ciosy Nowej Republice. Był wręcz zachwycony, mogąc oglądać kierowane co prawda nie bezpośrednio do niego raporty, z których dowiadywał się o nieubłaganych postępach, czynionych przez „tajemniczą chorobę” Mon Mothmy. Miał nadzieję, że przywódczyni Nowej Republiki wkrótce umrze.

A kiedy w końcu uda mu się pochwycić wnuka Dartha Vadera, będą musieli go słuchać wszyscy, którzy dotąd pozostają lojalni wobec Imperium.

ROZDZIAŁ

25

Kiedy Wedge Antilles spoglądał w inną stronę, Qwi Xux ukradkiem zerknęła na współrzędne, wyświetlone na jego pulpicie nawigacyjnym. Siedząc w fotelu drugiego pilota statku udającego luksusowy kosmiczny jacht, Qwi zwinnymi palcami wystukała na klawiaturze komputera nawigacyjnego polecenie wyświetlenia pełnej informacji o planecie.

Wedge w tym czasie przestał wyglądać przez iluminator na przestworza usiane gwiazdami i zwrócił uwagę na to, co dzieje się w sterowni.

- Hej! - powiedział, ale w następnej chwili wyszczerzył zęby w uśmiechu, nieco zmieszany, gdyż zawstydzona Qwi spuściła głowę. - To miała być niespodzianka!

Qwi się roześmiała, a w sterowni rozległa się kaskada melodyjnych dźwięków.

- Chciałam tylko poznać nazwę tej planety. - Zmarszczyła brwi, spoglądając na wyświetlone informacje. - Ithor? Nigdy o niej nie słyszałam.

Wedge zachichotał. Potem lekko uściskał jej delikatne ramię, a ona czuła ciepło jego dotyku przez kilka chwil po tym, jak oderwał palce.

- Qwi, nie słyszałaś nazw większości planet i systemów gwiazdnych w galaktyce - odparł. - Spędziłaś przecież całe życie zamknięta w Laboratorium Otchłani jak w klatce.

- Czy Ithor jest miłą planetą? - zapytała. Wedge cicho westchnął.

- Jest prześliczna. Jej powierzchnię pokrywają dziewicze lasy i dżungle, pełne rzek i wodospadów. Będziemy występować tam pod przybranymi nazwiskami, więc nie musisz się obawiać, że ktoś dowie się, kim jesteś.

Qwi powiodła spojrzeniem po metalowych krawędziach pulpitu sterowniczych gwiazdowego jachtu i po siedzeniach foteli pokrytych syntetyczną tkaniną, które były gładkie i miękkie. Wiele lat spędziła w sztucznym środowisku i nie wiedziała niczego na temat roślin, zwierząt i innych form życia. Miała nadzieję, że przeżyje fascynującą przygodę.

- Czy jesteś pewien, że będziemy tam bezpieczni? - zapytała, z wysiłkiem przełknąwszy ślinę. Jej największym zmartwieniem była możliwość, że jakiś imperialny szpieg mógłby pochwycić ją i wbrew jej woli przetransportować do laboratorium ukrytego pośrodku obszaru czarnych dziur. Tam specjaliści od

przesłuchań wydarliby z jej mózgu sekrety tajnych śmiertelnych broni, bez względu na to, jak bardzo by się opierała.

- Tak - odparł Wedge po chwili. - Ithor jest prawdziwym rajem, chociaż położonym nieco na uboczu. To świat, na który wiele młodych par... - Urwał i przelknął ślinę, jakby zakłopotany z powodu słów, które właśnie wypowiedział. - ...uhm, wielu turystów przybywa, by spędzić wakacje. Przylatuje tu i odlatuje zresztą mnóstwo innych ludzi, a Ithorianie witają życzliwie wszystkich.

W czasach Rebelii Imperium otoczyło ten świat blokadą, powodując wiele zniszczeń taką demonstracją siły. Po tym jednak, jak jakiś Ithorianin zdradził Imperium tajemnice dotyczące uprawy niektórych roślin i klonowania, pozostawili Ithor właściwie w spokoju.

Wedge popatrzył znów przez iluminator na przestworza, w których jasne słońce ithoriańskiego systemu świeciło białym- niebieskim światłem. Zwiększył siłę ciągu silników do lotów z prędkościami podświetlnymi, po czym skierował statek ku jaskrawozielonej planecie z widocznymi niebieskimi żyłkami rzek i białymi obłokami.

- Postaraj się udawać, że przylecieliśmy tu spędzić wakacje - rzekł Wedge. - Będziemy się zachowywali jak turyści, a ja pokażę ci, czego brakowało w twoim dotychczasowym życiu. Nic mógłbym wyobrazić sobie lepszego miejsca, żeby zacząć.

- Cieszę się na samą myśl o tym - odparła Qwi, uśmiechając się ciepło do mężczyzny.

Wedge zarumienił się, a potem skoncentrował całą uwagę na stosunkowo nieskomplikowanym problemie skierowania statku na niższą orbitę.

Qwi dotknęła jasnoniebieskimi palcami szyby burtowego iluminatora i zapatrzyła się na bujną roślinność. Nigdy nie widziała scenerii tak egzotycznej, tak bardzo różniącej się od białych ścian pomieszczeń w Laboratorium Otchłani.

W dole, między drzewami tropikalnego lasu, widziała szerokie rzeki opadające kaskadami spienionej wody w miejscach, w których wody przelewały się przez skalne urwiska. Kosmiczny jacht szybował nad rozległymi łąkami, ozdobionymi wielobarwnymi plamami czerwonych, żółtych, niebieskich i purpurowych kwiatów. Piękno przyrody tego świata porażało jej oczy.

Przelecieli nad łańcuchem owalnych jezior, błyszczących i odbijających promienie słońca jak drogocenne kamienie w naszyjniku, który Wedge podarował jej przed kilkoma dniami. Niebo nad głowami miało pastelową, zielono- niebieską barwę.

- Pięknie - szepnęła Qwi.

- Mówiłem ci, że tak będzie - przypomniał Wedge. - Możesz mi ufać.

Spojrzała na niego, a potem zamrugała, kryjąc pod powiekami ciemnoniebieskie oczy.

- Tak, Wedge, ufam ci - powiedziała.

Mężczyzna chrząknął, szybko odwrócił się i pokazał coś przez dziobowy iluminator.

- Ithorianie nie pozwalają niszczyć swojego środowiska - oznajmił, jakby czytał informację z przewodnika. - Prawdę mówiąc, samo postawienie stopy w dziewiczej dżungli uważają za świętokradztwo.

- A zatem, gdzie mieszkają? - zdziwiła się Qwi.

- Popatrz - odparł Wedge.

Kiedy ich jacht szybował nad wierzchołkami drzew, Qwi zauważyła dziwny cień wyłaniający się zza horyzontu i szybko powiększający się w miarę jak się zbliżał.

- Czy to miasto? - zapytała.

- Coś więcej niż tylko miasto - odrzekł Wedge. - To cały zamknięty ekosystem. Ithorianie określili go mianem „Oazy Tafanda”.

Ogromna konstrukcja w kształcie dysku wypełniła cały iluminator i z każdą chwilą stawała się coraz większa i większa, jak gigantyczna gruba moneta o średnicy większej niż całe Laboratorium Otchłani. Chociaż wydawało się, że miasto wykonano z plastali, sprawiało wrażenie, jakby przynajmniej w części było istotą żywą.

Kadłub ithoriańskiego latającego miasta zdobiły chaotycznie rozmieszczone platformy, lądowiska, anteny telekomunikacyjne i mechanizmy napędowe, ale wszystkie odsłonięte powierzchnie były porośnięte kępami mchu. Ze specjalnych kieszeni w pionowych ścianach wyrastały kierujące się ku niebu duże drzewa, zieleńsze i grubsze niż metalowe wieże.

Kopuły szklarni i ciepłarni, umieszczone na górnej powierzchni dysku, błyszczały w promieniach słońca jak tysiące oczu. Przez przezroczyisty materiał kopuł Qwi mogła widzieć ogrody botaniczne pełne bujnej, starannie wypielęgnowanej roślinności, posadzonej w równych rzędach. Wokół lądowisk i hangarów jak komary roily się dziesiątki startujących i lądujących niewielkich statków.

Całe miasto utrzymywały nad powierzchnią planety rzędy repulsorowych silników równomiernie rozmieszczone w spodniej części „Oazy Tafanda”. Rzucało ono owalny cień na drzewa i zarośla. Sprawiało wrażenie, jakby dryfowało bez określonego celu. Unoszone prądami powietrza, nie dotykało powierzchni gruntu, uważanego przez mieszkańców za wielką świętość.

Wedge włączył komunikator i poprosił o podanie współrzędnych lądowiska. W odpowiedzi usłyszał dziwny, jakby pobrzmiwający echem głos, który podał mu żądane parametry. Qwi przyrównała ten głos do dźwięku wydawanego przez osobę, która mówi przez długą rurę. Po chwili w głośniku komunikatora rozległ się trzask i odezwał się ten sam głos - a może inny? - podając zmienione współrzędne.

- Bardzo przepraszamy za to niedopatrzenie. Na lądowisku już czeka nasz specjalny przedstawiciel. Mamy nadzieję, że będzie podobał się panu pobyt na naszej planecie.

Wedge popatrzył podejrzliwie na głośnik komunikatora.

- Dlaczego mieliby traktować nas ze szczególnymi względami? - zapytał Qwi. - Nikt przecież nie miał wiedzieć, kim jesteśmy.

Qwi rozejrzała się po sterowni jachtu, która nagle wydała się jej mniejsza niż w rzeczywistości.

- Czy myślisz, że grozi nam jakieś niebezpieczeństwo? - zapytała. - Czy nie powinniśmy zawrócić i polecieć w inne miejsce?

Wedge sprawiał wrażenie, jakby rzeczywiście brał taką możliwość pod uwagę.

- Nie, wszystko w porządku - odrzekł jednak. - Nie martw się. Potrafię cię obronić.

Kiedy wylądowali na wskazanej platformie, Wedge opuścił pasażerską rampę. Przeszedł korytarzem, po czym zatrzymał się i ostrożnie sprowadził swoją towarzyszkę za rękę na płytę lądowiska. Qwi mogła wprawdzie bez trudu uczynić to sama, ale cieszyła ją uwaga, którą poświęcał jej mężczyzna.

Jacht spoczywał na platformie w otoczeniu grubych drzew o szarych pniach. Gałęzie rozrastały się na boki, okalając długie, płaskie lądowisko. Pośród liści było widać jaskrawe białe i niebieskie kwiaty. Spoglądając na prawo i lewo, Qwi głęboko zaciągnęła się czystym, wilgotnym powietrzem, przesyconym zapachami bujnej roślinności. Nawet nie wyobrażała sobie, że może istnieć takie nieprawdopodobne bogactwo różnych woni.

- Witajcie.

Qwi odwróciła się i ujrzała człapiące ku nim wyjątkowo dziwne stworzenie. Po obu jego stronach szło dwóch może dziesięcioletnich chłopców. Przygarbiona obca istota, odziana w białą pelerynę obszytą fantazyjnym galonem, miała głowę, która wyglądała jak długa chochła i sprawiała wrażenie, że ktoś uformował ją z miękkiej gliny, a później wyciągnął w kształt przypominający literę S, wysuwając górną część do przodu i wyciągając dwie szpulki zakończone oczami. Usta były prawie niewidoczne pod krzywizną nawisu górnej części głowy. Zdumiona Qwi patrzyła, jak niezdarne obce istoty podąża ku nim, stawiając ostrożne, chociaż nie pozbawione wdzięku kroki.

Towarzyszące jej dwie małe istoty ludzkie płci męskiej były odziane w podobne białe peleryny, narzucone na jaskrawo zielone kombinezony. Jasnowłosi i błękitnoocy chłopcy mieli uszczęśliwione twarze, ale żaden nie odzywał się ani słowem. Wedge nie mógł nie zauważyć, jak bardzo Qwi jest zdumiona widokiem gospodarza.

- Chyba powinienem być cię uprzedzić - powiedział. - Ithorian określa się czasem mianem Obuchogłowych.

Qwi z namysłem kiwnęła głową, przypominając sobie inne obce istoty, które widziała, począwszy od admirała Ackbara, obdarzonego głową podobną do rybiej, a skończywszy na administratorze Laboratorium Otchłani Tolu Sivronie, z którego głowy wyrastały dwa ogony. Pomyślała, że zapewne nie wszystkie inteligentne istoty w galaktyce mogą być tak przystojne jak niektórzy ludzie... jak Wedge.

- Prawdę mówiąc nie lubimy, jak nazywa się nas Obucho- głowymi - oświadczyła obca istota, podchodząc bliżej. - Uważamy to za wyraz dezaprobaty.

- Och, bardzo przepraszam - rzekł Wedge, lekko się kłaniając.

- Panie Wedge'u Antillesie i pani Qwi Xux, nazywam się Momaw Nadon i mam zaszczyt być do waszych usług.

Wedge cofnął się o krok, jakby ogarnięty paniką.

- Skąd wiesz, jak się nazywamy? - zapytał.

- Momaw Nadon wydał głuchy bulgoczący dźwięk, który wydostał się z obu stron jego ust niczym ze stereofonicznych głośników.

- Mon Mothma prosiła mnie, żebym zapewnił wam wszelkie wygody - odparł.

- Dlaczego Mon Mothma miałaaby zawiadamiać cię, że tu przybywamy? - zdziwił się Wedge. - Przecież mieliśmy nie rzucać się w oczy.

Nadon lekko się zgiął, wskutek czego jego głowa w kształcie warząchw zakotyła się w dół i w górę.

- Już przed ponad dziesięciu laty, w czasach mojego wygnania, kiedy przebywałem na Tatooine, byłem cichym sympatykiem Sojuszu Rebeliantów. Moi ziomkowie skazali mnie na banicję na ten pustynny świat, bym zajmował się uprawą roślin na piasku zamiast troszczyć się o nasze wspaniałe lasy. Imperium zażądało od nas, byśmy zdradzili pewne rolnicze tajemnice, a ja udostępniłem je, chcąc uchronić nasze lasy przed zniszczeniem - a mimo to moi ludzie mnie wygnali. Po śmierci Imperatora jednak wróciłem i od tamtej chwili nie przestaję pokutować za swoje postępowanie.

Nadon gestem wskazał chłopcom opuszczoną rampę.

- Weźcie teraz ich bagaże - polecił. - Pokażemy im icn apartamenty.

Młodzi chłopcy poruszyli się równocześnie jak na rozkaz, ale nie okazali zdumienia czy ciekawości, tak charakterystycznych dla dziesięciolatków. Udali się do wnętrza jachtu i wrócili niosąc srebrzyste błyszczące pojemniki z wakacyjnymi ubraniami.

Kuląc głowę, żeby przejść pod najniższymi gałęziami drzew porastających płytę lądowiska, Nadon sprowadził ich z platformy. Przejście przypominało zielony tunel tętniący życiem.

- Byłem także w kantynie w Mos Eisley, kiedy Luke Skywalker i Obi- Wan Kenobi po raz pierwszy spotkali się z Hanem Solo - ciągnął. - Nie zdawałem sobie wówczas sprawy z tego, że ocieram się o historię, ale wszystko pamiętam bardzo dokładnie, chociaż... byłem wtedy zajęty innymi sprawami.

- Jestem zdumiony, że po tylu latach potrafisz przypomnieć sobie tamto spotkanie - zauważył Wedge.

Nadon gestem wskazał zamaskowane wejście do turbowindy, otwierające się w ścianie jak wielki samocentrujący uchwyt, porośnięty liśćmi. Wszyscy weszli do kabiny i zaczęli zjeżdżać ku głęboko położonym poziomom „Oazy Tafanda”.

Dłuższe milczenie przerwał w końcu Nadon:

- Ithorianie mają bardzo dobrą pamięć.

Kiedy wysiedli z turbowindy, gospodarz poprowadził ich wijącymi się korytarzami obok kopulastych szklarni z okazami roślinnego życia z różnych miejsc planety. Niedaleko fontanny, delikatnie rozpryskującej krople wody, pokazał dwoje drzwi znajdujących się po przeciwległych stronach korytarza.

- Przydzieliłem wam te apartamenty - oświadczył. - Proszę, dajcie mi znać, jeżeli będziecie potrzebowali czegoś jeszcze. Jestem do waszych usług.

Dwaj tajemniczy chłopcy postawili srebrzyste pojemniki na korytarzu i cofnęli się, by zająć miejsca po obu stronach Nad ona.

Qwi w końcu zapytała:

- Nie przedstawiłeś nam jeszcze tych dzieci. Czy jesteś ich opiekunem?

Nadon wydał znów ten sam gulgoczący dudniący dźwięk z podwójnego gardła.

- Oni są... sadzonkami, wyrosłymi z ciała mojego wroga - odparł. - Poza tym przypominają mi dni, które spędziłem na Tatoonie.

Zwiesił głowę, która przypominała chochlę.

Dwaj chłopcy stali, nie okazując żadnych uczuć, a Nadoni po chwili odwrócił się, gestem dając znak, że mogą odejść. Nie oglądając się za siebie, zostawił Wedge'a i Qwi stojących pod drzwiami swoich apartamentów i zastanawiających się, co W właściwie mogły oznaczać jego słowa.

Po spędzeniu wieczoru na górnym pokładzie obserwacyjnym „Oazy Tafanda” Qwi i Wedge udali się, by popatrzeć na wschód księżyców planety. Zielono-niebieskie niebo przybrało teraz fioletową barwę. Było widać jaskrawe punkciki gwiazd, rozrzucone po całym nieboskłonie.

Nad wschodnim horyzontem ukazała się tarcza najmniejszego księżyca w pełni, podczas gdy nad przeciwległym horyzontem, na tle nieba jaskrawo ubarwionego zachodem słońca, wschodził sierp znacznie większego satelity. Wysoko w górze dwa inne księżyce świeciły, jeden w pierwszej, a drugi w trzeciej kwadrze.

Qwi głęboko zaciągnęła się wilgotnym powietrzem. Woń tysięcy roślin i rozwijających się nocnych kwiatów przypominały jej zapach wszystkich pachnidel i ziół, jakie kiedykolwiek wahała.

O dziwo, wraz z nadejściem nocy wiatr stał się trochę cieplejszy. Qwi poczuła, jak jakiś podmuch rozwiewa jej długie, delikatne nici włosów. Przeczesała je smukłymi palcami, wiedząc, że Wedge lubi obserwować, jak opalizujące pasma połyskują w świetle gwiazd. Miała na sobie delikatną, powłóczytą, przetykaną pastelowymi niemi szatę, uwypuklającą eteryczne piękno jej wiotkiego ciała.

Ithoriańskie ekomiasto powoli leciało nad drzewami. Delikatny pomruk rzędów repulsorowych silników mieszał się z odgłosami dobiegającymi od strony dżungli. Wiatr szeleści! liśćmi wysokich żywopłotów i krzewów porastających pokład obserwacyjny.

Pojawili się inni Ithorianie. Jedni stali bez słowa, a inni porozumiewali się ze sobą w swoim języku, wydając dziwaczne, stereofoniczne dźwięki. Wedge i Qwi nie mówili ani słowa.

Qwi podeszła bliżej mężczyzny, musnęła jego ciało, a w końcu się przytuliła. Nie potrafiąc opanować drżenia rąk, Wedge objął ją w pasie, a ona, Qwi Xux, projektantka i konstruktor Pogromcy Słońce, współtwórczyni Gwiazdy Śmierci, czuła się zaszczycona, mogąc korzystać z opieki generała Wedge'a Antillesa.

Wiedziała, że lojalni wobec Imperium oprawcy będą usiłovali za wszelką cenę wydrzeć tajemnice ukryte w jej mózgu. Uświadomiła sobie jednak, że przynajmniej tu, na Ithor, może się czuć naprawdę bezpieczna.

ROZDZIAŁ

26

Jacen i Jaina kontynuowali wędrówkę przez mroczne, przejmująco wilgotne podziemia Coruscant. Nie byli w stanie powiedzieć, czy nikle światło, jakie docierało do nich z wyższych poziomów, oznaczało noc czy dzień na powierzchni. W powietrzu unosiła się intensywna woń gnijących odpadków, rozkładających się szczątków roślin i małych stworzeń, skorodowanego metalu i stojącej wody. Bliźnięta starały się iść najszerszymi ulicami, ale i tak musiały przechodzić przez sterty odpadków i pokonywać roztrzaskane resztki kadłubów gwiazdnych maszyn. Od wielu godzin nie widziały niczego, co wydałoby się im znajome, i żadne nie miało pojęcia, co robić.

- Jestem głodny - odezwał się w pewnej chwili Jacen.

- Ja też - odpowiedziała Jaina.

Jeżeli nie liczyć charakterystycznego szumu, jaki dobiegał zapewne ze wszystkich stron naraz, w podziemiach panowała głęboka cisza. Żyjące w ciemnościach stworzenia, przestraszone pojawieniem się dzieci, pochowały się głęboko w jeszcze ciemniejszych kryjówkach. Potknąwszy się o skraj jakiejś sterty, Jacen i Jaina spowodowali osunięcie się lawiny śmieci, któremu towarzyszył głośny brzęk i łoskot. Pragnąc uciec od hałasu, przerażone dzieci zaczęły biec, ale przyczyniły się do osuwania innych równie głośnych lawin odpadków.

- Boli mnie noga - poskarżył się Jacen.

- A mnie nie - odparła Jaina.

W końcu bliźnięta zobaczyły nieco w górze przed sobą upragniony widok: sztuczną jaskinię, skleconą ze szczątków pościąganych na jedno miejsce. Jej ściany, sporządzone z odłamków durbetonu, uszczelniono spoiwem będącym mieszaniną suszonych alg, gliny i jakichś ciemniejszych substancji. Głęboko w mrocznym otworze płonęły dymiące ogniki kaganków czy pochodni, które wyglądały kusząco znajomo na tle ponurych ciemności podziemnego miasta.

Jacen i Jaina zauważyli światło jednocześnie i skierowali się do wejścia jaskini.

- Jedzenie? - zapytał z nadzieją w głosie Jacen. Jego siostra kiwnęła głową.

Na zewnątrz dziwacznej groty ujrzeni wiązki kabli przeciągniętych przez oczkowe śruby, porośnięte mchami i przymocowane w różnych miejscach. Wzdłuż sklepienia i

ścian umieszczono w charakterze ozdób metalowe taśmy, połączone ze sobą wiszącymi łańcuchami.

- Wchodzimy - oświadczyła Jaina, przeciskając się obok brata. Po chwili oboje znaleźli się w ciemnościach, ale kierowali się ku zapraszającym światłom.

Wtem usłyszeli jakieś skrobanie czy szuranie, jakby coś uciekało po ścianie na wysokości ich oczu. Dziewczynka spojrzała w górę i zamarła na widok ni to pająka, ni to karalucha o rozmiarach niewiele mniejszych od jej głowy. Idący z tyłu Jacen wpadł na siostrę, ale po chwili wyciągnął szyję, żeby lepiej przyjrzeć się stworzeniu. Tymczasem pająkokaraluch odbiegł po nierównej ścianie, a potem znieruchomiał, kierując na dzieci błyszczące bursztynowe oczy.

Nagle od sufitu odłączyło się kilkadziesiąt metalowych listew, połączonych ze sobą łańcuchami. Z donośnym grzechotem zaczęły zamykać się w locie niczym mechaniczne palce. Po chwili dziesiątki stalowych szponów wbiło się w ścianę, zamykając pająkokaralucha w prymitywnej przerdzewiałej klatce. Zgrzytając żuchwami i szukając wyjścia, uwięzione stworzenie zaczęło miotać się po pułapce. Kiedy odnóża pokryte chitynowym pancerzem zgrzytnęły o nieruchome pręty klatki, posypała się fontanna iskier.

Ogarnięte paniką bliźnięta puściły się mrocznym tunelem w stronę migotliwych pomarańczowych źródeł światła. W pewnej chwili jednak się zatrzymały, w tej samej sekundzie wyczuwając grożące im niebezpieczeństwo. Spojrzały w górę, w samą porę, by zobaczyć, że od sklepienia odrywa się o wiele większa klatka, wykonana z metalowych, ostro zakończonych prętów. Mechaniczne szpony zamknęły dzieci w środku jak dziesiątki metalowych żeber połączonych łańcuchami.

- To pułapka! - odezwała się Jaina.

Po chwili bliźnięta usłyszały odgłos zbliżających się ku nim ciężkich kroków. Następnie rozległ się stłumiony huk, po nim szuranie, a w końcu z czeluści jaskini wyłoniło się niezgrabne ogromne stworzenie. Dzieci ujrzały najpierw zarys głowy, a potem ręce tak długie, że prawie ciągnące się po ziemi. Jedna gruba i silnie umięśniona noga miała rozmiary pnia drzewa ale druga, o wiele cieńsza i krótsza, wyglądała, jakby skurczyła się i uschła.

Jacen i Jaina zaczęli szarpać ostrymi metalowymi prętami klatki, ale mechaniczne szpony zaciskały się jak nożyce.

- Pomóż nam! - odezwał się Jacen. Później dzieci ujrzały swojego prześladowcę w całej okazałości, kiedy jego sylwetkę oświetlił odbity od ściany blask kaganków wydzielających kłęby gryzącego dymu. Okazało się, że całe stworzenie jest porośnięte kępami zmierzwionej sierści. Między ogromną głową a tułowiem nie było widać żadnej szyi, jakby obie części ciała wyciosano z jednej bryły w kształcie beczki.

W otwartej, ukośnie usytuowanej szerokiej gębie ukazywały się długie, krzywe i wyszczerbione zęby. Niemal całe lewe oko było porośnięte gnijącymi naroślami i guzami, a prawe, niewiele mniejsze niż dziecięca pięść, miało barwę nieświeżego żółtka, poprzecinanego czerwonymi żyłkami.

Jacen i Jaina byli zbyt przerażeni, by odezwać się chociaż słowem. Tymczasem ich prześladowca, podobny do ogra przeszedł obok nich, jakby ich nie zauważył.

Oderwał od ściany mniejszą pułapkę i zaczął obserwować szamoczącego się pająkokaralucha.

Kiedy w końcu pochylił się nad klatką z dziećmi i przybliżył do niej ogromne żółte oko, Jacen i Jaina poczuli taki fetor, że niemal odruchowo odskoczyli w przeciwną stronę kąt pułapki.

Potwór odłączył od sklepienia tunelu drugie łańcuchy i przerzucił je przez ramię, a potem, ciągnąc klatkę po ziemi, skierował się ku oświetlonej części jaskini. Metalowa konstrukcja objęła się z grzechotem o ściany i podskakiwała na nierównościach gruntu, tak że dzieci musiały trzymać się ostrych prętów, by nie upaść.

W jaskini ogra było pełno ogryzionych i połamanych kości większych i mniejszych zwierząt. Niektóre powrzucono do metalowych koszy, ale większość poniewierala się w kątach i na dnie jaskini. Znad okopconych naczyń wypełnionych płonącym, cuchnącym łojem unosiły się kłęby czarnego dymu, oświetlonego pomarańczowym blaskiem.

W oczyszczonym ze śmieci kącie jaskini siedziało przykute do ściany stworzenie. Miało długie kły, było porośnięte błyszczącą sierścią i na pierwszy rzut oka wyglądało na wielkiego szczura. Nieustannie warczało, rozciągając czarne wargi, sprawiające wrażenie gumowych. Kiedy rzucało się i szarpało, chcąc zerwać się z łańcucha, z pyska zwierzęcia kapały krople śliny.

Na jednym z wielu gwoździ i haków wbitych w ściany wisiały połamane i zardzewiałe kajdany, zapewne ukradzione z jakiegoś zakładu karnego. W pewnej chwili niesamowity ogr zbliżył się do światła, a wówczas na skórze stworzenia porośniętej tłustymi kudłami, dzieci dostrzegły szczątki czegoś, co kiedyś było mundurem więziennego strażnika.

Ogr otworzył metalowe szczęki mniejszej klatki z pająkokaraluchem, wyciągnął stworzenie niezgrabnymi paluchami i cisnął wielkiemu szczurowi. Połyskujący pajęczak przeleciał przez jaskinię, koziółkując i przebierając odnóżami, ale gryzoń pewnie złapał go w powietrzu. Pająkokaraluch zdołał jednak uchwycić grubą wargę szczura odnóżami, które na końcach miały ostre kolce, i mocno wbić w nią jadowite żądło.

Potworny szczur zaskowyczał, a potem zaczął miażdżyć chitynowy pancerz pajęczaka kłami i czynił to tak długo, aż skorupa pękła z głośnym trzaskiem. Później, zadowolony, zabrał się do wysysania soczystego i delikatnego mięsa, a kiedy skończył, oblizal czarne wargi. Mlasnął, po czym zaczął dyszeć i przewracając błyszczącymi czerwonymi oczami, skierował łakome spojrzenie na dwójkę dzieci.

Bliźnięta spoglądały przez pręty klatki, nie tracąc animuszu.

- Zgubiliśmy się - odezwała się Jaina, usiłując zwrócić uwagę ogra.

- Proszę, pomóż nam odnaleźć drogę do domu - dodał Jacen.

Ogr skierował na nich żółte oko. Z pyska stworzenia wydobył się smrodliwy oddech, podobny do fetoru szlamu zdrapanego z głębin tysięcy ścieków.

- Nie - oświadczył. - Zamierzam was z j e ś ć!

Później odwrócił się i pokuśtykał do dymiącego kominka Chwycił parę długich, spiczasto zakończonych szczypiec spoczywających na rozżarzonych polanach i powrócił do pułapki z bliźniętami.

Jacen i Jaina w tej samej chwili spojrzeli na górną część swojej klatki. Obie jej części mogły się otwierać i zamykać dzięki zawiasom obracającym się na cienkich sworzniach, które chociaż pokryte rdzą i kurzem, były gładkie i wyrobione od częstego używania.

Każde z dzieci wiedziało, na których sworzniach skupia uwagę drugie. Bliźnięta wykorzystały nie do końca opanowaną umiejętność posługiwania się Mocą w taki sam sposób, w jaki płatały figle Threepiowi czy wykonywały sztuczki, których nauczył je wujek Luke.

Usunęły błyskawicznie wszystkie sworznie, wyciągając je po dwa naraz. Małe kawałki metalu poszybowały we wszystkie strony jak mikroskopijne pociski. Pozbawione mocowania drugie metalowe żebra opadły na dno jaskini z niesamowitym chrzęstem.

- Uciekajmy! - zawołał Jacen. Jaina ujęła go za rękę i oboje pobiegli w stronę wlotu tunelu.

Ogr wydał ryk mrozący krew w żyłach i utykając, chciał puścić się w pościg za uciekinierami, ale zdał sobie sprawę z tego, że biegnąc na nierównych nogach, nie nadaży. Zamiast tego powrócił do jaskini. Pochwycił gruby łańcuch, na którym był uwiązany potworny szczur i wyszarpnął długi gwóźdź łączący obie części obroży.

Stworzenie czując, że jest wolne, skoczyło. Obróciło się w powietrzu, by pochwycić kiami ogra, ale ten odrzucił szczura od siebie, wymierzając mu cios silnie umięśnioną ręką. Gestem wskazał uciekające dzieci.

A one biegły i biegły.

Szczuropotwór puścił się w pogoń, śliniąc się i wyjąc. Tymczasem bliźnięta wybiegły przez otwór jaskini i skręciły w szeroką ulicę. Za plecami słyszały sapanie i parskanie stworzenia, które kierując się węchem, nie rezygnowało z pościgu. Pazury szczura chrobotwały po kamiennej nawierzchni.

Nagle Jaina zauważyła małą mroczną szczelinę w murze, niewiele szerszą od pęknięcia w durbetonowej ścianie.

- Tam! - pokazała bratu.

Dała nurka w mroczny otwór, a po chwili to samo uczynił Jacen. W następnej sekundzie szczuropotwór chciał wetknąć najeżony kłami pysk do środka, ale nie mógł precyzyjnie przycisnąć łba przez wąską szczelinę.

Tymczasem Jacen i Jaina, poruszając się na czworakach, zagłębiali się coraz bardziej w nieprzenikloną ciemność.

- Och, nie powinniśmy byli nigdy zgodzić się na zajmowanie dziećmi - lamentował Threepio. - Jestem ciekaw, jak często opiekunom dzieci zdarza się gubić swoich podopiecznych.

Chewbacca burknął coś w odpowiedzi.

- Dlaczego mnie nie posłuchałeś? - zapytał go Threepio. - Pani Leia zgoli całe twoje futro i zrobi sobie z niego nowy dywan. Będiesz pierwszym bezwłosym Wookiem w historii galaktyki.

Przeszukując holograficzne zoo z wymarłymi okazami, obaj biegli długim korytarzem. W pewnej chwili Chewbacca ryknął, proponując rozwiązanie.

- Jeżeli chcesz, możesz iść do sterowni - odparł złośliwy android. - Ja uważam, że powinniśmy raczej wszczać alarm jak najszybciej. Nie widzę niczego niewłaściwego w tym, że zwrócimy się o pomoc do obsługi. Nasza sytuacja jest naprawdę wyjątkowa.

Threepio odnalazł przełącznik alarmu przeciwpożarowego i przycisnął go złościstym palcem jednej ręki, a potem, rozejrzawszy się wśród holograficznych eksponatów, odszukał także guzik alarmu ogólnego. Bez wahania włączył urządzenie.

- To powinno wystarczyć - oświadczył.

Chewbacca ryknął prosto w twarz Threepia tak głośno, że czujniki akustyczne androida musiały się na chwilę wyłączyć, by nie ulec przeciążeniu. Później ogromny Wookie ujął Threepia obiema włochatymi rękami w pasie, uniosł w powietrze i zaczął biec długim korytarzem.

- No dobrze, niech będzie po twojemu - odezwał się android. - Odszukamy tę sterownię i wyłączymy wszystkie hologramy.

Pełznąć długim tunelem, który zaczął się obniżać, Jacen i Jaina czuli pod palcami śliski szlam. Nie mieli pojęcia, dokąd zdążają, ale wiedzieli, że muszą znaleźć inną drogę, którą będą mogli powrócić do domu.

W pewnej chwili Jacen wyciągnął rękę w górę. Nie wyczuł pod palcami sklepienia, postanowił więc wstać z kolan. Bliźnięta nie widziały niczego oprócz jaśniejszego krążka światła na końcu tunelu. Podążały ku niemu, tym razem ostrożnie, obawiając się, że mogą spotkać kolejnego ogra. Nagle Jacen poczuł woń pieczonego mięsa i usłyszał gardłowe głosy - pierwsze głosy istot ludzkich od czasu, kiedy on i Jaina postanowili wrócić do domu bez Threepia i Chewbaccy.

Jacen zaczął iść w stronę światła, ale Jaina chwyciła brata za ramię.

- Ostrożnie - szepnęła.

Jacen kiwnął głową i na znak, że pamięta, przyłożył do ust wskazujący palec. Czując, że ich serca biją jak młoty, bliźnięta posuwały się krok po kroku w całkowitej ciszy. Ich nozdrza drażnił cudowny zapach pieczonego mięsiwa. Coraz wyraźniej słyszały też odgłosy rozmów i trzask płonących głowni.

Dotarli do zakrętu i ostrożnie wychyliły głowy. Ujrzały ogromne, zniszczone wybuchem pomieszczenie będące przed tysiącami lat zapewne jakąś salą recepcyjną. Jacen i Jaina zobaczyli też płonące ognisko i odziane w łachmany postacie chodzących tu i tam ludzi. Spostrzegli także rzędy ledwo świecących jarzeniowych kryształów, a nawet poświatę mrugających komputerowych monitorów. Nagle poczuli, że w całkowitej ciszy chwytają ich czyjeś ręce.

Silne ręce, bardzo mocne. Pięciu strażników złapało ich w tej samej chwili i uniosło w powietrze, zanim Jacen i Jaina mieli czas stawić jakikolwiek opór.

Kiedy przerażone dzieci krzyknęły, strażnicy wybuchnęli donośnym śmiechem. Później, kiedy ponieśli bliźnięta, żeby przyjrzeć się im w blasku ogniska, siedzący przy nim ludzie wzniesli radosny okrzyk.

W sterowni holograficznego zoo rozjęczały się i zaczęły mrugać sygnały alarmowe. Zapaliły się czerwone światła, a żółte migwały w dziwnym, niemożliwym do odszyfrowania rytmie.

Threepio był zachwycony zamieszaniem, jakie wywołał, uruchamiając zaledwie kilka spośród wielu systemów alarmowych zoo.

Sam środek ośmiokątnej konsoli z zestawami komputerów zajmował dyżurny robot ogrodu zoologicznego. Jego kulistą głowę zdobiły rzędy optycznych czujników rozmieszczonych co trzydzieści sześć stopni. Z kadłuba automatu wyrastało osiem segmentowanych ramion. Wszystkie były zakończone mechanicznymi palcami, które przesuwając się nad pulpitemi, uderzały w klawisze i przyciski w tempie charakterystycznym dla sprzężonego działka blasterowego.

- Nie wyrażam zgody - odezwał się dyżurny robot, traktując przybyłych jak natrętów.

Chewbacca ryknął, ale robot tylko obrócił kulistą głowę i zignorował wybuch złości Wookiego.

- Czuję się w obowiązku uprzedzić cię - odezwał się Threepio do automatu - że kiedy Wookie trącą cierpliwość, mają zwyczaj wrywać kończyny ze stawów. Wydaje mi się, że Chewbacca jest bardzo blisko utraty cierpliwości.

Chewbacca pochylił się nad najbliższym segmentowanym pulpitem sterowniczym, uchwycił go owłosionymi dłońmi i wydał groźny pomruk w stronę rzędu optycznych czujników dyżurnego automatu.

- Nadal nie wyrażam zgody - rzekł robot.

- Ależ chyba nie rozumiesz - upierał się Threepio. - W holograficznym zoo zagubiło się dwoje małych dzieci, j Gdybyś zechciał wyłączyć generatory hologramów, moglibyśmy przeszukać pomieszczenia i je odnaleźć.

- Niemożliwe - oświadczył robot. - Spowodowałoby to zbyt duże zamieszanie pośród innych gości.

Oburzony Threepio oparł złociste dłonie na biodrach.

- Ależ ogród wyglądał na opustoszały, kiedy go zwiedzaliśmy. Ilu innych gości przebywa właśnie teraz w pomieszczeniach?

- Informacja nieistotna - odparł dyżurny robot. - Podjęcie takiej akcji jest surowo zabronione z wyjątkiem sytuacji absolutnie krytycznych.

Threepio unosił złociste ręce nad głowę.

- Ależ to właśnie jest jedna z takich krytycznych sytuacji! Wyglądało na to, że Chewbacca ma dosyć oficjalnych prośb i negocjacji. Złączył nad głową obie pięści, po czym z całej siły opuścił je na pierwszy z brzegu sterowniczy pulpit, roztrzaskując czarną błyszczącą osłonę i demolując delikatne obwody i urządzenia.

W górę trysnęły snopy iskier. Kulista głowa dyżurnego robota zaczęła wirować na korpusie niczym planeta wytracona z orbity.

Tymczasem Chewbacca przeszedł do następnego pulpitu ośmiokątnej konsoli i zamienił go także w smętne szczątki. Dyżurny automat zaczął gorączkowo wymachiwać segmentowanymi kończynami, usiłując zastąpić zniszczone urządzenia rezerwowymi obwodami i mechanizmami.

- Muszę przyznać, Chewbacca, że twój wielki entuzjazm z nawiązką pokrywa brak talentu dyplomatycznego - przyznał Threepio.

Nie tracąc ani chwili, Wookie równie szybko zniszczył pozostałe pulpity. Kiedy dyżurny robot uświadomił sobie, że przestał dysponować jakimkolwiek sprawnym generatorem hologramów, złożył wszystkie osiem przegubowych kończyn niczym martwy owad i zamarł, jakby nadąsany.

Chewbacca pociągnął Threepia z powrotem ku salom z nie istniejącymi teraz eksponatami. Wszystkie pomieszczenia były puste i tylko na ścianach wyłożonych białymi kafelkami było widać obiektywy holograficznych projektorów, umieszczonych w strategicznych punktach, najczęściej w rogach sal pod sufitami. Podłogę zalegały pozostawione przez gości śmieci, opakowania po zakąskach i płynach, strzępy papieru, a także nie do końca zużyte nieorganiczne substancje, które jeszcze nie zdążyły ulec rozkładowi.

- Jacen! Jaina! - wołał Threepio.

Alarmy nie przestawały jęczeć i zawodzić, kiedy Chewbacca i Threepio przechodzili z jednego pomieszczenia do drugiego. Przywoławszy na pomoc bazę danych z cybernetycznego mózgu, złocisty android prowadził, metodycznie przeszukując komnatę za komnatą. Wszystkie sale nieczynnego holograficznego zoo wyglądały identycznie, ale w żadnej nie było widać ani śladu dzieci.

W końcu obaj pospieszyli do ostatniej komnaty. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi liczyli na to, że może właśnie w niej odnajdą bliźnięta, skulone w kącie i czekające na ratunek. Ujrzeni w niej jednak tylko grupę strażników Nowej Republiki, którzy pojawili się w zoo, zwabieni alarmami.

- Stać! - odezwał się kapitan straży.

Threepio naliczył osiemnastu mężczyzn, odzianych w ochronne pancerze, którzy na jego widok wyciągnęli i wymierzili blastery.

Mimo tylu przygód, jakie go spotykały, Threepio nie mógł przypomnieć sobie ani jednej, w której wymierzone byłoby w niego tyle blasterowych luf naraz.

- O rety - jęknął tylko.

Zdżiczali ludzie przywiedli Jacena i Jainę przed oblicze króla. Migotliwe płomienie ogniska, podsycanego pościągany- mi z sąsiedztwa kawałkami drewna, wydzielaly ciepło i miłą woń dymu. Kiedy dzieci ujrzały paski jakiegoś nieznanego mięsa opiekane na długich szpikulcach, bezwiednie oblizały wargi.

Ponure twarze strażników rozciągnęły się na widok bliźniąt w szerokich uśmiechach. Półotwarte usta mężczyzn sprawiały wrażenie szachownic, na których żółte zęby były przedzielone ciemnymi szparami. Król podziemnych ludzi spoczywał na wysokim stosie wystrzępionych poduszek i także uśmiechał się do dzieci.

- I to mają być ci przerażający intruzi? - zapytał, zwracając się do strażników.

Jacen i Jaina rozejrzeli się, próbując zapamiętać jak najwięcej szczegółów. W kątach pomieszczenia znajdowało się wiele potrzebnych do życia rzeczy, znalezionych w różnych miejscach podziemi. Chociaż uchodzący żyjący w dawnej sali recepcyjnej dysponowali zwijanymi materacami, byli ubrani w łachmany. Niektórzy siedzieli, zajęci łataniem zniszczonych ubrań, a inni naprawiali lub wykonywali nowe sprężynowe pułapki na zwierzęta. Dwaj siwowłosi mężczyźni kucnęli, trzymając niewielkie instrumenty muzyczne z kawałków starych rurek. Dmuchałi w ustniki i porównywali wysokości wydawanych przez nie piskliwych dźwięków.

Zdiziczeni ludzie mieli na sobie bardzo różne, podarte i wyświechtane stroje. Niektóre miały naszyte łaty, inne nie, ale większość wyglądała na bardzo stare. Niemal wszyscy mieszkańcy podziemnego świata mieli długie włosy, a mężczyźni także zmierzwiłone brody. Ich biała, blada skóra sprawiała wrażenie, jakby nie widziała słonecznego blasku od dziesięcioleci. Niektórzy ludzie zapewne nie oglądali naturalnego światła nigdy w życiu.

Szaty króla zostały uszyte z najlepszego materiału. Monarcha miał na sobie naramienniki i błyszczące, białe rękawice, stanowiące kiedyś część pancerza jakiegoś szturmowca. Brwi mężczyzny były długie i krzaczaste, a rudo-brązowe włosy brody cienkie i splecione. Chociaż twarz miała barwę surowego drożdżowego ciasta, oczy były błyszczące i czujne. Rozciągnięte w uśmiechu usta króla ukazywały także braki w uzębieniu, ale cała twarz tryskała humorem.

Wokół władcy i za nim wisiały półki z byle jak skleconymi elektronicznymi aparatami, komputerowymi panelami, modułami urządzeń holograficznych, a nawet jednym starym automatem do przygotowywania posiłków. Do odizolowanych kabli energetycznych sieci wieżowców dołączono jeszcze starsze przetworniki energii, zasilane prądem przepływającym przez Imperial City. Było jasne, że zdiziczeni ludzie zamieszkują ponure podziemia od bardzo dawna.

- Dajcie tym dzieciom coś do jedzenia! - krzyknął król, pochylając się, by lepiej się im przyjrzeć. - No cóż, ja nazywam się Daykim. A wy?

- Jaina - odparł Jacen, wskazując siostrę. Jaina wyciągnęła rękę w stronę brata.

- Jacen.

Jakiś strażnik, którego siwoblond włosy były związane w długi koński ogon, przyniósł osmolony szpikulec z nadzianym nań pieczonym mięsiwem. Oderwał palcami kilka czerwono-czarnych kawałków mięsa i rzucił je na kwadratowy metalowy talerz, który kiedyś z pewnością pełnił funkcję ochronnej płyty. Dmuchał na palce, oblizał je, a potem szeroko uśmiechnął się do dzieci. Postawił płytę przed nimi, a bliźnięta ze skrzyżowanymi nogami usiadły na ziemi.

- Dmuchać na mięso, zanim włożycie je do ust - rzekł król. - Jest gorące.

Jacen i Jaina oderwali po kawałku i posłusznie dmuchali na mięso tak długo, aż ostygło na tyle, żeby mogli włożyć je do ust. Król Daykim wyglądał na zachwyconego samym faktem, że może obserwować dzieci.

- A więc co robiłyście same w tych podziemiach? - zapytał. - Przecież wiecie, że to niebezpieczne. Czy nie chciałybyście zostać z nami? Starzejemy się, a od bardzo dawna nie przyłączył się do nas nikt z góry. Jacen i Jaina potrząsnęli głowami.

- Zgubiliśmy się - oświadczyła Jaina, nie zdążywszy przełknąć porcji mięsa. W kącikach jej oczu pojawiły się dwie duże łzy.

Jacen także zaczął płakać.

- Proszę cię, pomóż nam znaleźć drogę do domu - powiedział, wyciągając rękę w kierunku ledwo widocznego sklepienia sali. Wiedział, że ich komnaty powinny znajdować się gdzieś nad jego głową.

- Tam, w górze? - zapytał król Daykim, układając twarz w wyrazie komicznego niedowierzania. - Dlaczego miałbyś chcieć wrócić na górę? Tam mieszka przecież Imperator. To bardzo zły człowiek. - Daykim pokręcił głową i zamasztył gestem pokazał panoramę sali. - Mamy tutaj wszystko, czego potrzebujemy. Mamy żywność, mamy światło, mamy... nasze inne rzeczy.

Jacen potrząsnął głową, nie odrywając spojrzenia od monarchy.

- Chcę wrócić do domu. Władca podziemnych ludzi ciężko westchnął, a potem odwrócił głowę w stronę rzędów komputerowych terminali. Obdarzył je niewesołym uśmiechem, jakby sam przed sobą przyznawał się do porażki.

- Oczywiście, że chcesz wrócić do domu - powiedział. - Tylko najpierw skończ jeść kolację. Będziesz musiał być bardzo silny.

Sierżant strażników Nowej Republiki eskortował Threepia i Chewbacę do apartamentu Hana i Lei w starym Pałacu Imperialnym.

- Z naszych informacji wynika, że pani minister Organa Solo i jej mąż wrócili mniej więcej przed godziną - oświadczył.

Przygnębiony i zniechęcony Chewbacca smętnie zawył. Threepio rzucił mu ukradkowe spojrzenie.

- Myślę, że to ty powinienes powiedzieć im, co się stało - powiedział. - Ja jestem przecież tylko androidem.

- Bądźcie pewni, że uczynimy wszystko, co będzie w naszej mocy - odezwał się sierżant. - Już w tej chwili grupy naszych ludzi przeszukują pomieszczenia holograficznego zoo i sąsiednie poziomy, licząc się z tym, że dzieci mogły tam zejść schodami ewakuacyjnymi. Sprawdzamy też pamięć naprawczego androida, by upewnić się, że nikt nie używał turbowind w tym czasie, kiedy kontrolował jej obwody. - Przyjął postawę zasadniczą. - Możecie się nie martwić, z pewnością je odnajdziemy.

Threepio posłużył się kodem umożliwiającym dostęp i otworzył drzwi wejściowe. Po chwili on i Chewbacca znaleźli się w komnacie i ujrzeli Hana i Leię, którzy siedzieli na fotelach, automatycznie dostosowujących się do ruchów ciała, i trzymali bliźnięta na kolanach.

- Dzieci! - wykrzyknął Threepio. - Och, dzięki niech będą niebiosom, jesteście w domu!

Chewbacca także wydał donośny ryk radości.

Han i Leia odwrócili się w ich stronę.

- A więc i wy jesteście.

Threepio natychmiast zauważył, że jedna z kratek osłaniających wlot szybu wentylacyjnego była odgięta, najprawdopodobniej od strony wnętrza szybu, a obcy,

wysoki mężczyzna, odziany w strojne, aczkolwiek zniszczone ubranie, na widok przybyłych rzucił się w bok, żeby ukryć się za jakimś większym meblem. Miał długie, rudobrazowe włosy, przerzedzoną brodę i niesamowicie bladą skórę.

Leia zwróciła głowę w kierunku mężczyzny odzianego w lachmany.

- Naprawdę, panie Daykim, brak mi słów, by wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczna za to, co pan zrobił - powiedziała. - Zapewniam pana, że Nowa Republika zrobi wszystko, co w jej mocy, by repatriować wszystkich pańskich ludzi.

Daykim pokręcił głową.

- Imperator nigdy nie wybaczał błędów - odparł. - Nawet niezawinionych. Sam widziałem, jak zabił kilku moich kolegów urzędników, a innych skazał na zesłanie do bardzo ciężkich kolonii karnych. Kiedy więc stwierdziliśmy, że któryś z nas popełnił niewielką, ale niemożliwą do skorygowania pomyłkę, zorientowaliśmy się, że nasze dni są policzone. Każdy schwycił to, co mógł, i wszyscy postanowiliśmy poszukać schronienia w podziemiach Imperial City. Ja i moi ludzie żyjemy tam od wielu lat. Jesteśmy grupą zdziczałych ludzi, byłych urzędników, którzy nie wyobrażają sobie teraz innego stylu życia.

- Moglibyśmy znaleźć wam zajęcie w jakimś urzędzie Nowej Republiki - nalegała Leia. - My nie karzemy ludzi za to, że od czasu do czasu zdarza się im popełniać błędy. Proszę się rozejrzeć, panie Daykim. Moglibyśmy przydzielić panu apartament podobny do tego. W starym Imperial City jest wiele opuszczonych gmachów.

- Wiemy o tym - odparł Daykim. - Czasami sami w nich mieszkamy. Ale dziękuję za propozycję. - Wstał i obrzucił podejrzliwym spojrzeniem Threepia i Chewbacę. Poklepał Jacena i Jainę po główkach i uśmiechnął się, ukazując szpary między zębami. - Jesteście grzecznymi i miłymi dziećmi. Wasza mamusia i tatuś mogą być z was dumni.

Han chrząknął i wyciągnął rękę na pożegnanie. Odziany w lachmany mężczyzna uchwycił ją i energicznie potrząsnął, zapewne zachwycony, że może wymienić z kimś silny, oficjalny uścisk dłoni.

- Muszę przyznać, że nadal nie rozumiem, dlaczego chce pan pozostać w tych wilgotnych i mrocznych podziemiach - stwierdził Han.

Daykim przełożył jedną nogę przez krawędź otworu szybu wentylacyjnego i rozejrzał się po komnacie.

- To bardzo proste - odparł. - Tu, na górze, byłem kiedyś zwyczajnym, szarym urzędnikiem. Tam, na dole, jestem królem!

Uśmiechnął się po raz ostatni, po czym zniknął w czeluści szybu. Słysząc było, jak coraz ciszej obją się i ociera, o ściany rury.

- No cóż, wszystko dobrze się skończyło - odezwał się Threepio. - Czyż to nie jest wspaniałe?

Zamiast odpowiedzi Han i Leia spiorunowali go spojrzeniami.

- Chcemy bajkę! - zawołali równocześnie Jacen i Jama.

ROZDZIAŁ

27

Lecąc porwanym myśliwcem, Kyp Durrone osiągnął orbitę wokół małego, porośniętego lasami księżycy Endor, w którego pobliżu Rebelianci zniszczyli kiedyś drugą Gwiazdę Śmierci.

Zamknął oczy i postanowił ignorować wskazania czujników na pulpicie sterowniczym ukradzionego Łowcy Główn typu Z-95. Lecąc nisko nad powierzchnią, przeczesywał ją myślowymi palcami, szukając zmarszczek Mocy. Musiał znaleźć miejsce wiecznego spoczynku jedyne inne Czarnego Lorda Sithów, o którym wiedział. Dartha Vadera.

Exar Kun, który żył na długo przed czasami Vadera, był zachwycony faktem, że Lordowie Sithów istnieli jeszcze tysiące lat po nim. Kyp jednak poszukiwał odpowiedzi na pytania, które kołatały się w jego głowie.

Mistrz Skywalker powiedział, że Darth Vader, jego ojciec, tuż przed śmiercią nawrócił się na jasną stronę. Kierując się tą informacją, Kyp doszedł do wniosku, że moce Sithów nie były nierozłącznie związane z siłami ciemności. Dzięki temu czuł, że w jego serce wstępuje nowa otucha. Bardzo jasno uświadamiał sobie, że mroczny duch Exara Kuna nie powiedział mu prawdy, a w każdym razie usiłował wprowadzić go w błąd. Wiedział, że ryzyko jest ogromne, ale powodzenie przyniosłoby korzyść całej galaktyce. Gdyby mu się powiodło.

Kyp czuł, że tu, na Endorze, mógł się ukryć przed czujnym spojrzeniem Exara Kuna. Nie wiedział, jak daleko rozciąga się jego władza, ale nie przypuszczał, żeby starożytny duch Lorda Sithów mógł opuścić Yavin Cztery. A przynajmniej nie teraz.

Niemal instynktownie dotykał dźwigni sterowniczych myśliwca Mary Jade, jeszcze bardziej obniżając lot Łowcy Główn i przeszukując gęste lasy. Po tym, jak Rebelianci zakończyli świętowanie zwycięstwa nad Imperatorem, Luke zbudował stos pogrzebowy dla ojca niedaleko wysokich drzew, w pobliżu wioski Ewoków. Przyglądał się później, jak szalejące płomienie pochłaniają szczątki zmechanizowanego stroju Dartha Vadera.

Może jednak jakieś ocalały...

Kyp przelatywał Łowcą Główn nad wierzchołkami ogromnych drzew Ewoków i przeszukiwał lasy myślowymi palcami na prawo i lewo, korzystając z umiejętności,

doskonalonych podczas wielu ćwiczeń. Pokazywał mu je jak na ironię mistrz Skywalker, ucząc, jak wybiegać myślami i dotykać wszystkiego, co obdarzone życiem.

Wyczuł poruszenie pośród kosmatych Ewoków, mieszkających w wioskach, zbudowanych na wysokich drzewach. Jego zmysły ujawniły mu obecność wielkich drapieżników szukających łupu. Jakieś człekokształtne stworzenie, zapewne gigantyczny Gorax, z głośnym traskiem przedzierało się między drzewami. Jego czarne włosy kołysały się z boku na bok, kiedy usiłowało osiągnąć domostw Ewoków, umieszczonych zbyt nisko na ogromnych drzewach.

Przelatując nad powierzchnią Endora, Kyp przeszukiwał duże przestrzenie, porośnięte dziewiczymi lasami. Nagle wyczuł jakąś zmarszczkę Mocy, jakieś echo, które z pewnością nie... należało do tego świata.

Wydawało mu się, że wszystkie inne rzeczy znajdują się na właściwych miejscach i tylko ta jedna dziwnym trafem nie pasuje. Przypominała płamę pochłaniającą energię pozostałych zmysłów i wysyłającą we wszystkie strony fale szczątkowej ciemności. Wskutek tego stworzenia żyjące na Endorze instynktownie unikały tego miejsca.

Kyp, ustaliwszy współrzędne, zmienił kurs i skierował myśliwiec w tamtą stronę. Znalazł polanę, na której mógłby posadzić statek. Kiedy lądował Łowcą Głównym w niewysokim poszyciu, repulsory jęknęły, a silniki odrzutowe uniosły w powietrze tumany kurzu i zeschniętych liści.

Obawiając się i zarazem chcąc podjąć decyzję jak najszybciej, Kyp otworzył wąż sterowni. Nie czekał na opuszczenie rampy. Zeskoczył na ziemię i wylądował z traskiem łamanych gałązek i szelestem liści. Nie czuł podmuchów wiatru, zupełnie jakby otaczający go las wstrzymywał oddech przed zapadnięciem ciemności. Przez gęste listowie wielkich drzew przenikał blask srebrzystej tarczy planety, rozjaśniając polanę rozproszonym mlecznobiałym światłem.

Kyp przeszedł cztery kroki i zatrzymał się przed wypalonym miejscem, na którym znajdował się kiedyś pogrzebowy stos Dartha Vadera. Grunt otaczający stare, spieczone żarem miejsce pozostał brunatny i jałowy. Choć drzewa i inne rośliny w gęstych lasach Endoru rozrastały się niezwykle bujnie i szybko, żadne nie odważyły się rosnąć w pobliżu - nawet mimo siedmiu lat, jakie upłynęły od tamtej chwili.

Stos pogrzebowy był kiedyś bardzo duży i palił się bardzo jasno, wskutek czego zmechanizowany mundur Vadera został niemal całkowicie spopieleny. Przetrawało jedynie kilka poskręcanych przez żar kawałków osobistego pancerza, a także strzępów czarnej peleryny, zagrzebanych w popiołach między popękkanymi kamieniami. Z resztek stosu niczym poszarpana pajęczyna wystawały pogięte koronkowe stalowe elementy wzmacniające.

Kyp przełknął ślinę i uklęknął na skraju wypalonego kręgu. Wyciągnął rękę, jakby przestraszony zatrzymał ją nad popiołami, ale później dotknął palcami szczątków rozkruszonych zębem czasu. Musnął je i natychmiast cofnął rękę. Po chwili jednak znów skierował ją nad resztki stosu. Wiedział, że popioły są zimne, ale zgrabiętymi czy zdrętwiałymi palcami nie wyczuwał tego chłodu.

Posłużwszy się Mocą, rozgarniał szczątki tak długo, aż odsłonił zdeformowaną niewielką sprzączkę munduru, która nie została spopieleną przez płomień, a także niemożliwą do rozpoznania czarną plastalową bryłę, która mogła być kiedyś hełmem Vadera. Używając nieco większej siły, zaczął rozgarniać popioły coraz energiczniej, aż w końcu jego rozgorączkowanym oczom ukazała się ponura płatanina osmalonych przewodów, stopionego tworzywa i strzępów tkaniny niewrażliwej na wysoką temperaturę.

Po Vaderze, który kiedyś był Czarnym Lordem Sithów, pozostały jedynie patetyczne szczątki i wspomnienia, wywołujące senne koszmary.

Kyp wyciągnął rękę i dotknął szczątków. Poczł, jak przez jego palce przenika coś na kształt elektrycznej iskry. Wiedział, że nie powinien dotykać tych relikwi, ale nie potrafił się powstrzymać. Nie mógł już zawrócić z obranej drogi. Musiał znaleźć odpowiedzi na dręczące go pytania, nawet gdyby musiał sam sobie odpowiedzieć.

- Lordzie Vaderze, w którym miejscu się pomyliłeś? - zapytał, spoglądając na resztki pancerza. Jego własny głos, którym nie posługiwał się od ponad dwudziestu czterech godzin, zabrzmiał w jego uszach jak krakanie.

Vader był potworem, sprawcą śmierci miliardów niewinnych istot. Ich krew ciążyła na jego sumieniu. Jeżeli wierzyć Exarowi Kunowi, Anakin Skywalker nie był gotów na spotkanie z siłami, z którymi się zetknął, a które w końcu wzięły nad nim górę.

Kyp uświadomił sobie, że właśnie zaczął podążać tym samym szlakiem. Wiedział jednak, że nie jest tak naiwny. W przeciwieństwie do Anakina Skywalkera rozumiał niebezpieczeństwa, jakie mogły mu zagrażać. Był pewien, że potrafi mieć się przed nimi na baczności. Nie pozwoli, by oszukała go albo zwiódła pokusa posłuszenia się brutalną siłą. Darth Vader uległ jej i zaczął pograżać się coraz głębiej w ciemną stronę.

Nagle Kyp poczuł się bardzo samotny i zorientował się, że zaczyna robić się coraz chłodniej. Wrócił do statku po długą pelerynę, którą dostał w prezencie od Hana Solo. Owinął tkaniną czarny kombinezon, a potem powrócił i usiadł na jałowym gruncie obok popiołów stosu pogrzebowego Vadera. Stopniowo zaczęło docierać do niego coraz więcej uspokajających dźwięków, jakich pełno słychać chyba w każdym lesie. Ćwierkania i szczebioty ptaków brzmiały w jego uszach jak kołysanka.

Kyp nigdzie się nie spieszył. Miał dość czasu, żeby czekać i na Endorze. Musiał być absolutnie pewien, że nie oszukuje sam siebie. Nie uważał się przecież za głupiego. Był świadomy tego, po jak niebezpiecznie kruchym lodzie stąpa, i świadomość ta trochę go przerażała.

Kiedy siedział, pograżony w myślach, przesuwając palcami po błyszczącym delikatnym materiale peleryny, przypomniał sobie, w jaki sposób jego przyjaciel, Han Solo, uratował go z kopalni przyprawy... Po chwili jednak i tę przyjemną myśl zastąpiła gorzka świadomość faktu, że Imperium ukradło niemal wszystkie najlepsze lata jego życia.

Kyp rzadko wracał pamięcią do świetlanych, czystych jak łąka lat dzieciństwa, kiedy on i jego starszy brat, Zeth, mieszkali na planecie Deyer zasiedlonej przez

kolonistów. Pomyślał o osadach zbudowanych na wielkich tratwach unoszących się po powierzchniach sztucznych jezior, w których wodach żyły najróżniejsze ryby.

Zeth wiele razy zabierał go na wyprawy spacerowym ślizgaczem, żeby stawiać sieci na skorupiaki albo po prostu popływać pod żółto-brązowym niebem. Starszy brat, który miał długie ciemne włosy, tak śmiesznie mrużył oczy, by ochronić je przed blaskiem słońca. Kyp pamiętał szczupłe, ale silnie umięśnione ciało brata i jego ciemną skórę, opaloną dzięki spędzaniu drugich dni pod gołym niebem.

Koloniści z Deyer próbowali być wzorową społecznością. Pragnęli żyć zgodnie ze wszystkimi demokratycznymi zasadami, w myśl których każdy obywatel na pewien czas powinien zostać członkiem rady sprawującej władzę nad pływającymi osadami. Wszyscy radni pochodzący z Deyer jednogłośnie potępili zniszczenie Alderaanu i zażądali od Imperatora Palpatine'a, by zaniechał wcielania swojego nowego ładu w życie. Zdecydowani uciekać się do metod politycznych, naiwnie wierzyli, że ich głosy wpłyną na decyzję Imperatora.

Zamiast tego Palpatine postanowił zgnieść zarzewie buntu na Deyer. Otoczył kolonię, aresztował mieszkańców i rozproszył po różnych zakładach karnych, wskutek czego Zeth i jego młodszy brat już nigdy się nie zobaczyli.

Kyp stwierdził, że ma zaciśnięte pięści. Ponownie pomyślał o siłach, które ujawnił mu duch Exara Kuna, i o mrocznych tajemnicach, o których mistrz Skywalker nie chciał nawet słyszeć. Zmarszczył brwi i głęboko odetchnął. Poczul ból, kiedy chłodne powietrze napełniło jego płuca, ale wypuszczał je bardzo powoli.

Przysiągł sobie, iż nie dopuści, żeby Exar Kun zrobił z niego następnego Vadera. Był pewien, że potrafi dotrzymać tej przysięgi. Doskonale znał siłę swojego charakteru i wiedział, że będzie mógł wykorzystać ciemną stronę w ten sposób, by przyniosło to korzyść Nowej Republice.

Mistrz Skywalker nie miał racji. Nowa Republika mogła uciekać się do wszystkich środków, gdyż prowadząc wojnę z resztkami Imperium, toczyła walkę w słusznej sprawie. Jeżeli chciała zetrzeć z powierzchni jego ostatnie ślady, mogła używać każdej broni, każdej siły.

Kyp wstał i szczerzej owinął tors czarną peleryną. Mógł wprowadzać poprawki. Tylko on mógł wykazać, jak dobrze można byłoby wykorzystać siłę mrocznych mocy.

Exar Kun od dawna nie żył, a szczątki Dartha Vadera spoczywały pośród prochów i pyłów na Endorze.

- Teraz j a jestem Lordem Sithów - odezwał się nagle Kyp.

Kiedy złożył to oświadczenie, poczuł, że w jego kręgosłup wstępuje jakaś zimna siła, jakby cały stos pacierzowy zamieniał się w ślup lodu.

Wdrapał się na pokład małego gwiazdnego statku. Miał wrażenie, że zdecydowanie płonie pod jego stopami niczym ogień. To dzięki niemu się poruszał i czuł bicie swego serca. To ono ogniskowało jego wolę w skupioną, potężną wiązkę laserowego światła.

Teraz on i tylko on miał możliwość rozwiązania wszystkich problemów, jakie trapiły Nową Republikę. Zrobi to własnoręcznie.

ROZDZIAŁ

28

Blask rozjarzonych gazów Mgławicy Kocioł odbijał się od wypolerowanej powierzchni drugiego stołu stojącego pośrodku centrum dowodzenia na pokładzie „Gorgony”. Przy jednym końcu siedziała samotnie admirał Daala, oddzielona całą długością od komandora Kratasa, generała imperialnej armii Odoska i dowódcy „Bazyliuszka”, kapitana Mullinore'a.

Daala wpatrywała się w swoje odbicie zniekształcone w płycie połyskującej niczym tafla wody. Nie odrywając od niego szmaragdowych oczu, zaciskała w pięść dłoń ukrytą w czarnej, skórzanej rękawiczce. Czula tępy ból pulsujący w skroniach niczym wyimaginowane echo krzyków wszystkich żołnierzy, którzy oddali życie podczas eksplozji „Mantykory”. Kiedy przypomniała sobie, że w podobny sposób straciła swój pierwszy gwiazdny niszczyciel, „Hydrę”, poczuła w żyłach żar krwi. Była odpowiedzialna za zniszczenie połowy swojej floty!

Co pomyślały o niej Tarkin? W nocnych koszmarach widziała go, jak stojąc przed nią, unosi rękę, żeby spoliczkować ją za to, iż poniosła klęskę. Klęskę! Musiała mu to wynagrodzić.

Komandor Kratas ściągnął krzaczaste brwi, co nadało jego twarzy wyraz zaniepokojenia. Na krótko ostrzyżonych włosach nosił imperialną wojskową czapkę. Odwrócił głowę, by nie patrzeć w oczy swojej dowódczyni, skierował spojrzenie na generała i kapitana drugiego gwiazdnego niszczyciela. Żaden mężczyzna nie odzywał się ani słowem. Czekali, aż przemówi Daala, która nadal zbierała się na odwagę, żeby zacząć.

- Panowie - odezwała się w końcu.

Poczuła, że to pierwsze słowo zraniło jej gardło jak zardzewiałe gwoździe, ale w panującej ciszy zabrzmiało tak głośno, że trzej dowódcy natychmiast popatrzyli na Daalę. Spojrzała na wszystkich po kolei, a później obróciła krzesło w taki sposób, żeby mogła widzieć przez iluminator chmury kłębiących się świetlistych gazów. Grupa oślepiąco błękitnych gigantycznych gwiazd, znajdująca się w samym środku mgławicy, wysyłała w przestworza takie ilości energii, że chmury gazów były jasno oświetlone.

- Postanowiłam dokonać zmiany celu naszej misji - oświadczyła i przełknęła ślinę. Słowa te zabrzmiały w jej uszach jak przyznanie się do porażki, ale nie zamierzała się poddawać. - Musimy w jakiś sposób wybrać cel, który uznamy za najważniejszy. Naszym pierwszym zadaniem, przydzielonym przez samego wielkiego moffa Tarkina, była ochrona Laboratorium Otchłani. Za wszelką cenę. W tym celu udostępnił nam cztery gwiazdne niszczyciele. Tarkin uważał naukowców za bezcenny skarb, bez którego Imperium nie mogłoby osiągnąć ostatecznego zwycięstwa.

Daala zacisnęła zęby i urwała, jakby nie była pewna, co powiedzieć. Mięśnie zawiodły ją po raz wtóry i zaczęły drżeć, ale kobieta uchwyciła ukrytą w rękawicze dłonią skraj blatu stołu i zacisnęła palce tak mocno, że w końcu zmusiła ciało do posłuszeństwa.

- Pozwoliliśmy jednak, by Pogromca Słońc, najstraszliwsza broń, jaką kiedykolwiek zaprojektowano, został skradziony i porwany, a później, bezskutecznie próbując go odzyskać, straciliśmy jedną czwartą naszej floty. Jeszcze później, na wieść o powodzeniu Rebelii, zdecydowałam, że ważniejsza jest walka z wrogami Imperium. Opuściliśmy więc rejon Laboratorium Otchłani i zaczęliśmy atakować światy Rebeliantów. Po porażce poniesionej nad Kalamarem widzę jednak, że nie osiągnęliśmy i tego celu.

Komandor Kratas odsunął krzesło i zaczął wstawać od stołu, jakby czuł się w obowiązku zaprzeczyć jej słowom. Skóra jego twarzy sprawiała wrażenie ciemniejszej niż zazwyczaj. Admirał Daala dostrzegła na policzkach i szczęce komandora haniebny, krótki zarost. Pomyślała, że gdyby coś takiego wydarzyło się w normalnych warunkach surowej dyscypliny, jaka panowała w Laboratorium Otchłani, udzieliłaby Kratasowi surowej nagany.

- Pani admirał - zaczął. - Zgadzam się, że ponieśliśmy ciężkie straty, ale zadaliśmy miazdzące ciosy światom, należącym do rebelianckich zdrajców. Atak na Dantooine...

Głowa Daali obróciła się w jego stronę i ten widok uciszył mężczyznę tak skutecznie jak cios wibrosiekierą. Kratas zacisnął cienkie wargi i z powrotem opadł na krzesło.

- Doskonale znam te dane, komandorze - rzekła Daala. - Nawet we śnie widzę te wszystkie liczby. Bez końca zapoznawałam się z informacjami o wynikach akcji. - Podniosła głos, ogarnięta nagłym gniewem. - Bez względu na to, ile szkód wyrządziliśmy Rebeliantom, ich straty nic nie znaczą w porównaniu z naszymi.

Urwała, a kiedy zaczęła znów mówić, w jej ścisłym głosie zabrzmiał taki chłód, że nawet wodniste oczy generała Odoska rozszerzyły się ze strachu.

- A zatem postanowiłam użyć pozostających w mojej dyspozycji sił do zadania ostatecznego ciosu. Jeżeli odniesiemy sukces, osiągniemy równocześnie oba cele.

Poruszyła palcami ukrytymi w czarnej rękawicze i nacisnęła guzik, umieszczony na krawędzi blatu. Z czarnej płyty holoprojektora znajdującej się w środkowej części stołu wytrysnął obraz, generowany przez komputer. Daala przygotowała ten pokaz w swojej prywatnej kwaterze tego popołudnia, podczas gdy stale włączony wizerunek wielkiego moffa Tarkina bez końca wygłaszał teksty nagranych kiedyś przemówień.

- Zamierzam wymierzyć cios w samo serce Rebelii - oświadczyła. - Zaatakuję Coruscant.

Ostatnia zapamiętana mapa powierzchni planety Imperatora, cechująca się nadzwyczajną rozdzielczością, ukazała wielką metropolię. Zajmowała cały obszar planety, jeżeli nie liczyć lodowych czap w okolicach podbiegunowych. Na tej stronie globu, która była pogrążona w mroku, jaśniały niezliczone światła. Oczom zebranych ukazały się hangary gwiazdnych statków i wklęsłe powierzchnie orbitalnych luster, które odbijając promienie słońca, dostarczały więcej ciepła w okolice podbiegunowe. W przestworzach wokół planety było widać satelity telekomunikacyjne, a także duże towarowe frachtowce i inne startujące i lądujące mniejsze statki.

Daala wykonała gest, po którym pojawiły się wizerunki jej gwiazdnych niszczycieli, ukazane z najdrobniejszymi szczegółami. Lecąc skrzydło w skrzydło, zaczęły z dużą prędkością kierować się ku Coruscant.

- Zamierzam przenieść wszystkie myśliwce i cały personel na „Gorgonę”, a na pokładzie „Bazyliuszka” pozostawić tylko szczątkową załogę - oczywiście, złożoną z samych ochotników. Kiedy oba gwiazdne niszczyciele wyłonią się z nadprzestrzeni tuż za księżycami planety, wydam rozkaz, żeby natychmiast osiągnęły jak największą prędkość podświetlną, a potem skierowały się do celu.

Nie uprzedzając o ataku, zacniemy strzelać ze wszystkich baterii laserowych, jakimi dysponujemy. Dzięki temu stworzymy korytarz, którym polecimy prosto ku Imperial City. Każdy statek, jaki ośmieli się wejść nam w drogę, zamienimy w chmurę zjonizowanego metalu.

W miarę, jak mówiła, holograficzny obraz generowany przez komputer zmieniał się, ilustrując jej taktykę. Dwa gwiazdne niszczyciele kierowały się teraz ku stolicy Nowej Republiki.

- Dzięki kalamariańskiemu dowódcy, który samobójczym atakiem swojego statku zniszczył „Mantycorę”, udało mi się wpaść na pewien pomysł. Chcę teraz wykorzystać go przeciwko Rebeliantom.

Daala spojrzała na kamienną twarz generała Odoska, zauważyła coś w rodzaju niedowierzania w twarzy kapitana Mullinore'a i niezłomne poparcie, widoczne w oczach komandora Kratas.

- To będzie nasze najbardziej śmiertelne posunięcie - oznajmiła Daala. - Spowoduje tak wiele zniszczeń i śmierć tylu istot, że nasze nazwiska na zawsze przejdą do historii Imperium. Zadamy śmiertelny cios rządowi Rebeliantów.

Kiedy znajdziemy się wewnątrz systemu, niewielka i złożona z samych ochotników załoga „Bazyliuszka” rozpocznie odliczanie. „Gorgona” będzie z nią współdziałała, dopóki nie znajdziemy się blisko celu, a później zawróci. Tymczasem „Bazyliuszek” z maksymalną prędkością pogrąży się w atmosferę Coruscant. Nikt i nic nie będzie w stanie go powstrzymać. Drugi gwiazdny niszczyciel na symulowanym holograficznym obrazie zawrócił, zanim dotarł do górnych warstw atmosfery, i okrążył Coruscant, a potem poszybował z powrotem w przestworza. W tym czasie pierwszy statek płonął, przedzierając się przez warstwy atmosfery i kierując się w stronę najgęściej zaludnionych obszarów planety.

- Kiedy „Bazyliszek” eksploduje... - zaczęła Daala.

Przerwała w chwili, kiedy wizerunek planety rozjarzył się jasnym blaskiem, który przeniknął całą atmosferę niczym ognista fala. Wszystkie światła po ciemnej stronie planety zgasły, a w kontynentach pojawiły się ogniste szczeliny.

- Eksplozja będzie tak silna, że zburzy gmachy na obszarze połowy kontynentu. Fala sejsmiczna, która przejdzie przez skorupę, zrówna z ziemią budynki po przeciwległej stronie planety. Woda z podziemnych zbiorników znajdzie ujście, a potworne fale dopełnią dzieła zniszczenia na obszarach znajdujących się wzdłuż wybrzeży. Za cenę jednego gwiazdowego niszczyciela zdołamy zamienić w ruiny niemal całą Coruscant.

Odosk patrzył ponuro, podziwiając symulowany holograficzny wizerunek.

- Doskonały plan, pani admirał - powiedział.

- Ale mój statek... - zaczął kapitan Mullinore.

- To będzie poświęcenie, godne najwyższej chwały - przerwał mu Kratas. Splótł palce i pochylił się nad wypolerowanym blatem stołu. - Zgadza się.

Tymczasem hologram nadal ukazywał symulowaną śmierć Coruscant. Po zabudowanym terenie rozprzestrzeniały się pożary, a wstrząsy skorupy planety i zniszczenia trwały jeszcze przez dłuższy czas po tym, jak lecąca w przestworzach „Gorgona” zamieniła się w rozjarzony punkcik i zniknęła w bezpiecznej nadprzestrzeni.

- A co będzie z nami? - zapytał komandor Kratas. - Co zrobimy później?

Daala skrzyżowała ręce na piersi.

- Jak mówiłam, osiągniemy w ten sposób oba cele. Kiedy „Bazyliszek” dokona dzieła zniszczenia na Coruscant, „Gorgona” i cały personel powróci do Laboratorium Otchłani, które odtąd będziemy chronili wszystkimi siłami. Rebelianci już wiedzą o jego istnieniu... Nie wątpię, że wkrótce pojawią się tam, by węszyć.

Chęć zemsty zamieniła serce Daali w rozżarzone do białości żelazo. Wydawało się, że w każdej chwili nie przestając bić, może wyrwać się z jej piersi w obłoku pary.

- Wielki moff Tarkin powiedział kiedyś, że chwilowe porażki dają możliwość wyrządzenia dwukrotnie większych strat przy okazji kolejnego ataku.

Kapitan Mullinore sprawiał wrażenie bledszego niż zazwyczaj. Na jego mlecznobiałej skórze było widać cieniutkie czerwone żyłki. Jego jasne włosy zostały przystrzyżone bardzo krótko i jeżeli światło padało pod właściwym kątem, można było pomyśleć, że mężczyzna jest łysy.

- Pani admirał - powiedział, - Proszę, by pozwoliła mi pani być ochotnikiem, który podczas tej misji pozostanie na pokładzie „Bazyliszka”. Będę dumny, mogąc dowodzić swoim statkiem do samego końca.

Daala zwróciła na niego szmaragdowe oczy. Starła się zorientować, czy kapitan oczekuje współczucia. Po krótkiej chwili oceniła, że nie, i powiedziała:

- Wyrażam zgodę, kapitanie.

Mullinore usiadł i kiwnął głową tak energicznie, że niemal dotknął brodą piersi.

Daala wstała. Czowała się tak, jakby mięśnie jej ud i pleców były zawiązane w ciasne supły. Od czasu porażki nad Kalamarem całe jej ciało przypominało zaciśniętą

pięść. Admirał wiedziała, że jedynym sposobem rozładowania straszliwego napięcia jest zadanie druzgoczącego ciosu w samo serce Rebelii.

- Rozpocząć przenoszenie personelu i sprzętu - rozkazała. - Jeżeli chcemy zaatakować Coruscant, nie wolno nam zwlekać ani chwili.

Spojrzała jeszcze raz przez iluminator na wrzącą kipiela gazów mgławicy, która skrywała jej statki, a potem odwróciła się i opuściła centrum dowodzenia. Skierowała się do swojej kwatery, żeby po raz kolejny przejrzeć taśmy z nagranyymi hologramami przemówień Tarkina. Chciała odnaleźć w nich jakąś przeoczoną lub źle zrozumianą ukrytą myśl, która zapewniłaby jej powodzenie.

ROZDZIAŁ

29

Kalamariańska istota płci żeńskiej wyłoniła się z lądownika mającego kształt kropli wody. Obracając głowę, zaczęła przyglądać się gęstej dżungli Yavina Czwartego i wystającym ponad nią świątyniom. Czekala.

Luke pospiesznie wyszedł z hangaru, ale kiedy przemierzał polanę pełniącą funkcję lądowiska, starał się kroczyć z godnością.

Artoo, który z trudem toczył się po nierównym gruncie, pozostał nieco z tyłu.

Skywalker zauważył, że Kalamarianka była niższa i szczuplejsza niż admirał Ackbar. Miała na sobie luźną, żółto-turkusową szatę, której rękawy przywodziły na myśl wodospady. Mężczyzna wyczuł promieniujące od gościa pełne smutku zdecydowanie.

Kalamarianka spostrzegła Luke'a. Uniosła rękę podobną do płetwy i dała znak niewidocznemu pilotowi lądownika. Znajdująca się za jej plecami kapsuła wystartowała z pomrukiem generatorów pól magnetycznych i poszybowała w niebo. Istota płci żeńskiej nie obejrzała się, by śledzić spojrzeniem, jak lądownik znika w chmurach. Sprawiała wrażenie, że ma zamiar pozostać tam, gdzie stoi.

- Mistrzu Skywalkerze - odezwała się, a w jej aksamitnym głosie brzmiał taki spokój, że Luke poczuł natychmiast odprężenie. - Jestem ambasador Cilghal z Kalamaru. Mam wiadomość dla ciebie.

- Artoo? - powiedział Luke.

Mały robot potoczył się szybciej i zatrzymał, a Cilghal pochyliła się i w otworze czytnika umieściła krążek z nagraniem wiadomości. Artoo zabrzączał i po chwili w powietrzu przed nim zmaterializował się holograficzny wizerunek Leii.

Luke cofnął się o krok, wyraźnie zdumiony, a potem, po pierwszych słowach Leii, popatrzył na Cilghal nieco uważnie.

- Luke, mam nadzieję, że miewasz się dobrze. Wydaje mi się, że znalazłam osobę, którą mógłbyś uczyć w swojej akademii. Kierując do ciebie panią ambasador Cilghal, z całego serca popieram jej kandydaturę. Uważam, że aż nadto dobrze umie posługiwać się Mocą. Przypuszczam, że ma dar leczenia ran, a poza tym potrafi przewidywać najbliższą przyszłość. Bardzo pomogła mi podczas ostatniego ataku admirał Daali na

Kalamar. Proszę, pomóż Cilghal i zajmij się jej szkoleniem. Potrzebujemy jeszcze więcej rycerzy Jedi. Wizerunek Leii uśmiechnął się do Luke'a.

- Mam nadzieję, że już wkrótce przynajmniej niektórzy twoi uczniowie będą gotowi pomóc w walce przeciwko Imperium. Jak wiesz, obecne czasy są dla nas bardzo trudne. Nie możemy pozwolić sobie na najmniejszą nieuwagę.

Kiedy odwróciła głowę w ten sposób, żeby spojrzeć w jego oczy, jej twarz przybrała łagodniejszy wyraz.

- Tęsknię za tobą. Bliźnięta bez przerwy pytają, kiedy znów zobaczą wujka Luke'a. Mam nadzieję, że znajdziesz czas, by nas odwiedzić, a może wolisz, żebyśmy my przylecieli do ciebie na Yavina Czwartego? - Wyprostowała się i zakończyła trochę bardziej oficjalnie. - Jestem pewna, że pani ambasador Cilghal okaże się jednym z twoich najbardziej obiecujących kandydatów.

Uśmiechnęła się, skrzyżowała ramiona i pozostała w tej pozycji do czasu, aż jej holograficzny wizerunek zamigotał i zniknął.

Cilghal stała w milczeniu, czekając, by Luke się odezwał. On tymczasem czuł, że w jego głowie wirują setki myśli.

- Uhm... witaj - odezwał się w końcu.

Od czasu sprzeczki z Kypem Durrinem nie mógł dojść do siebie. Nie wiedział, dokąd młody człowiek poleciał po porwaniu statku Mary Jade. Najpierw makabryczna śmierć Gantorisa, a teraz bunt Kypa aż nadto wystarczyły, by obudzić w Luke'u dawne obawy. Niecierpliwicę się i usiłując pokonywać granice własnych możliwości, jego najlepsi uczniowie wkraczali na niewłaściwą drogę.

Luke wyczuwał jednak jakieś większe zagrożenie. Promieniowało ze wszystkich kamiennych bloków, z których wzniesiono wielką świątynię... jakieś zło, głęboko ukryte. Nie informując o tym żadnego ucznia, Luke próbował odnaleźć źródło niebezpieczeństwa. Przesuwając palcami po powierzchniach kamiennych ścian, usiłował wyczuwać zimne cienie - ale nie znalazł niczego. Miał jednak złe przeczucia.

Od kogo Kyp mógł dowiedzieć się o szczegółach wielkiej wojny Sithów? Kto powiedział Gantorisowi, w jaki sposób zbudować miecz świetlny? Co takiego zobaczył mężczyzna tej ostatniej straszliwej nocy, zanim został pochłonięty przez płomień? Jakie przerażające czary pragnął poznać? Luke wiedział, że brakuje mu najważniejszego kawałka łamigłówki, bez którego nie mógł przeciwstawić się zagrożeniu.

Ambasador Cilghal przestąpiła z nogi na nogę i ponownie popatrzyła na Luke'a.

- Mistrzu Skywalkerze - powiedziała. - Wygląda na to, że jesteś czymś zajęty. Może Leia nie miała racji mówiąc, że powinnam przylecieć tu i zostać?

Luke spojrzął na nią, czując nagle na swoich barkach cały ciężar odpowiedzialności.

- Nie, nie - odparł pospiesznie. - Nie o to chodzi. Jeżeli Leia sądzi, że dysponujesz potencjałem Jedi, będę zaszczycony, mogąc uczyć ciebie w swojej akademii. Prawdę mówiąc - dodał żartobliwie - spokojna, zrównoważona Kalamarianka będzie u nas miłym gościem. - Uśmiechnął się. - Chodź ze mną. Znajdziemy ci jakąś komnatę w tej świątyni.

Studenci w akademii Luke'a wykonywali ćwiczenia, żeby poznać granice własnych umiejętności. Z zapalem oddawali się różnym zajęciom lub medytowali, w jaki sposób udoskonalić swój talent Jedi.

Nowicjuszka Mara Jade uważnie słuchała opowiadania Cilghal o ataku na Kalamar. Raz po raz przerywała, by zapytać kalamariańską ambasador o jakiś szczegół konstrukcyjny imperialnego gwiazdowego niszczyciela czy liczbę eskadr myśliwców typu TIE na pokładzie. Stary Streen siedział obok Kirany Ti na okrągłej ławie i przysłuchiwał się, jak srebrzystowłosa Tionna wprawia się w śpiewaniu nowych ballad. Pozostali uczniowie przebywali w innych pomieszczeniach. Niektórzy zostali w swoich prywatnych komnatach albo wyprawili się do dżungli.

Zadowolony z ich postępów Luke powrócił do świątyni i opustoszałymi korytarzami skierował się do swojej celi. W pewnej chwili zza rogu wyłonił się Artoo. Zapiszczał, zadając jakieś pytanie, ale Luke pokręcił głową.

- Nie, Artoo, nie teraz - odparł. - Wolałbym, żebyś przez jakiś czas nie przeszkadzał.

Kiedy znalazł się w czterech kamiennych ścianach swojej komnaty, rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu. Przebywał w nim po raz pierwszy, kiedy został pilotem sojuszniczego myśliwca typu X. Usunął inne prycze i umeblował celę, kierując się własnym gustem, ale mimo to komnata nadal sprawiała wrażenie nie zamieszkałej. W środku znajdowała się tylko prycza z materacem i kilka niewielkich przedmiotów, używanych kiedyś przez Massassów.

Na występie z czarnego kamienia poprzecinanego krwistymi żyłkami spoczywał opalizujący sześcian holocronu Jedi.

Luke zamknął dokładnie drzwi - po raz pierwszy od czasu, kiedy po wielu latach powrócił do opuszczonej świątyni. Ujął holocron i włączył urządzenie, mając zamiar za wszelką cenę odnaleźć głęboko ukrytą informację.

- Chciałbym zobaczyć się z mistrzem Jedi Vodo- Sioskiem Baasem - powiedział.

Z sześcianu wyłonił się drżący obraz karłowatej istoty, której nos przypominał trochę dziobek od czajnika. Starożytny mistrz Jedi był odziany tym razem w płaszcz, zdobiony bransoletami, i opierał się na dość długiej sękatej lasce.

- Jestem strażnikiem wrót, mistrzem Jedi i nazywam się Vodo- Siosk Baas - oznajmił wizerunek.

Luke przykucnął naprzeciwko interaktywnego holograficznego obrazu.

- Mistrzu Vodo - powiedział. - Byłeś mistrzem Jedi w czasach wielkiej wojny Sithów. Powiedziałeś nam, że jednym z twoich uczniów był Exar Kun, który założył kiedyś bractwo Sithów. Oświadczyłeś, że zapragnął wziąć górę nad innymi rycerzami Jedi, którzy pozostali lojalni wobec Starej Republiki.

Luke głęboko odetchnął.

- Chciałbym, żebyś powiedział mi coś więcej - ciągnął. - Jak wyglądał upadek Exara Kuna pod koniec wojny? Co właściwie się stało z Kunem? W jaki sposób zginął? A może udało ci się w końcu nawrócić go na jasną stronę?

- Exar Kun był moim najzdolniejszym uczniem - odparł mistrz Vodo. - Jego umysł został jednak wypaczony. Zapoznał się z naukami starożytnych Sithów i poznał tajemne moce, a później został przez nie uwiedziony.

Luke poważnie kiwnął głową.

- Mistrzu Vodo, obawiam się, że to samo mogło przydarzyć się niektórym moim uczniom - przyznał. - Czy Exar Kun kiedykolwiek powrócił na jasną stronę Mocy?

- Tak się nie stało - oświadczył wizerunek pradawnego nauczyciela. - Ponieważ to ja byłem jego mistrzem, tylko ja spośród wszystkich zjednoczonych Jedi mogłem mu się przeciwstawić. Mogłem chociaż żywić nadzieję, że uda mi się zawrócić go ze złej drogi. Wiedziałem, że podejmuję się rzeczy beznadziejnej i głupiej, ale nie miałem innego wyjścia. Musiałem spróbować.

- I co się wydarzyło? - zapytał Luke.

Holograficzny obraz zamigotał, jakby we wnętrzu holocronu nastąpiło jakieś wylądowanie, ale później znów pojawił się mistrz Vodo.

- Exar Kun zniszczył mnie - ciągnął. - Zamordował swojego mistrza.

Luke poczuł, że ta fałszywie brzmiąca informacja wyprowadziła go z równowagi. Przypomniał sobie jednak, że wizerunki strażników wrót w holocronie nie są prawdziwymi duchami dawno zmarłych mistrzów Jedi, a jedynie ich interaktywnymi obrazami, wyposażonymi w charakterystyczne cechy osobowości żyjących kiedyś osób.

- Co stało się z Exarem Kunem później, pod koniec wielkiej wojny Sithów? - zapytał.

- Pozostali rycerze Jedi połączyli siły i przybyli na ten porośnięty gęstą dżunglą księżyc. Zamierzali zaatakować wszyscy razem fortecę Sithów wzniesioną przez Exara Kuna. Zjednoczeni Jedi połączyli siły, żeby zadać potężny cios i zniszczyć to, co jeszcze ocalało.

Obraz mistrza Vodo- Sioska Baasa ponownie zamigotał, zamienił się w srebrzyste iskry zakłóceń, a potem znów powrócił.

- ...który unicestwił wszystkich pozostałych przy życiu Massassów i...

Holograficzny wizerunek zamazał się, zaczął migotać i pojawił się ponownie, by po chwili znów zniknąć, jakby coś usiłowało go zakłócić.

- Ale Exar Kun... Co stało się z Exarem Kunem? - zapytał zdesperowany Luke. Nie rozumiał, dlaczego holocron nie działa prawidłowo. Potrząsnął urządzeniem i kilka razy popukał palcem w ściankę. Potem ponownie ustawił sześcian na płaskiej, kamiennej płycie i cofnął się o dwa kroki, by lepiej widzieć holograficzny wizerunek mistrza Jedi.

We wnętrzu sześcianu wypełnionego błyskającymi iskrami pojawiła się ciemna plama. Wyglądało to tak, jakby za opalizującymi ściankami gromadziły się burzowe chmury. Na chwilę znów ukazał się obraz mistrza Vodo- Sioska Baasa.

- ...ale Kunowi udało się...

Nagle wizerunek mistrza Jedi zamienił się w tysiące różnobarwnych, jaskrawych iskier, które rozprysnęły się we wszystkie strony, jakby jakaś potworna siła rozsądziła hologram od wewnątrz.

Tymczasem mroczna plama we wnętrzu holocronu z każdą chwilą stawała się coraz większa i ciemniejsza. Nieustannie rosła, rozprzestrzeniając się jak wybuch wulkanu, obserwowany w zwolnionym tempie. Wtem z czarnej plamy przypominającej zaciśniętą pięść strzeliły błyskawice czerwonego światła. W komnacie Luke'a rozległ się przenikliwy świst uwalnianej energii, a ścianki sześcianu pękły w kilku miejscach. Z holocronu wydobyły się obłoki przegrzanej pary, które po chwili zamieniły się w kłęby czarnego dymu. Trysnęły fontanny iskier i w powietrzu dał się czuć swąd topionych elektronicznych obwodów i elementów organicznych.

Luke cofnął się jeszcze o krok i osłonił oczy przed blaskiem ognia. Przez chwilę wydawało mu się, że z wnętrza holocronu wyłoniła się ciemna postać, która zanosząc się bezgłośnie śmiechem, ruszyła w jego stronę. Rozwiała się jednak tak samo szybko, jak się pojawiła. Luke odniósł wrażenie, że została pochłonięta przez kamienną ścianę.

Poczuł nagle, że jego serce ścisnęła lodowata trwoga. Niewielki biały sześcian drogiego holocronu spoczywał nieruchomo na kamiennej płycie, zamieniony w bezkształtną, stygnącą bryłę.

Zrozumiał, że musi gdzie indziej poszukać odpowiedzi na swoje pytania. I to szybko.

ROZDZIAŁ

30

- Skywalker, mam już tego dosyć!

Luke przebywał w hangarze wielkiej świątyni. Odwrócił głowę i ujrzał Marę Jade wylaniającą się z turbowindy. Przebywała na porośniętym dżunglą księżycu zaledwie od kilku dni, ale już zdążyła się nauczyć, jak wykorzystywać swoje umiejętności Jedi. Incydent z Kypem Durroneem i strata osobistego statku sprawiły jednak, że była wytrącona z równowagi.

Luke stał obok Artoo- Detoo i dwojga uczniów Jedi. Kirana Ti nachyliła się, żeby podnieść plecak z żywnością na krótką wyprawę do dżungli, gdzie zamierzała się udać w towarzystwie Streena. Miała na sobie rzeczy, które zabrała ze swojego niegościnnego świata, Dathomiry - barwną tunikę z jaszczurczej skóry, a na głowie ozdobny błyszczący hełm.

Streem dreptał niecierpliwie w miejscu. Co chwila spoglądał na smugę światła wpadającą przez szczelinę niedomkniętych wrót hangaru. Był ubrany w ten sam zniszczony kombinezon z wieloma kieszeniami. Zapewne chciał, żeby przypominał mu dawne czasy, kiedy samotnie poszukiwał cennych gazów na Bespinie.

Mara ruszyła szybko w ich stronę, zawiązując nieco ściślej sznur, którym przepasała swój płaszcz Jedi. Luke popatrzył na nią i pomyślał, jak bardzo zmieniła się od czasów, kiedy po raz pierwszy zobaczył ją na Myrkyrze, opanowanej przez wrogo nastawionych przemytników.

Mara stanęła przed Lukiem. Spojrzała na dwójkę uczniów Jedi, którzy właśnie zamierzali wyruszyć na wyprawę do dżungli, a potem, całkowicie ich ignorując, zwróciła się do mistrza Jedi.

- Nie twierdzę, że niczego się tu nie nauczyłam, Luke - zaczęła. - Talon Karrde mianował mnie jednak przywódczynią sojuszu przemytników, a to znaczy, że mam bardzo dużo pracy. Nie mogę całymi dniami tylko siedzieć i medytować.

Nawet w półmroku wnętrza hangaru było widać rumieniec na jej szczupłej, jakby wyrzeźbionej twarzy.

- Twój najlepszy uczeń uciekł stąd moim statkiem - rzekła. - Jeżeli chcę się stąd wydostać, muszę zawiadomić kogoś, żeby przysłał mi następnego.

Luke kiwnął głową, trochę rozbawiony z powodu jej kłopotliwej sytuacji, ale zarazem dotknięty, że kobieta wspomniała o zdradzie Kypa Durrona.

- Mamy urządzenie do przekazywania informacji - powiedział. - Znajduje się na drugiej kondygnacji, w dawnej komnacie dowodzenia. Możesz połączyć się z Karrde'em i poprosić o inny statek.

Mara parsknęła.

- Karrde pozwolił mi komunikować się ze sobą tylko w ściśle określonych chwilach - odparła. - Bez przerwy zmienia planety, na których przebywa... Twierdzi, że się obawia, iż ktoś mógłby wyznaczyć cenę za jego życie. Podejrzewam, że po prostu nie lubi, by ktokolwiek zwracał mu głowę. Oświadczył, że przestał być przemytnikiem i przeszedł na emeryturę, żeby odtąd żyć jak każdy obywatel.

- Możesz więc połączyć się z Coruscant - odparł uprzejmie Luke. - Jestem pewien, że wyślą po ciebie jakiś wahadłowiec. Prawdę mówiąc, i tak wkrótce powinien wylądować jakiś prom z zaopatrzeniem.

Mara zacisnęła pełne wargi.

- Byłoby bardzo miło, gdyby jakiś pracownik Nowej Republiki został dla odmiany moim osobistym pilotem.

Luke starał się odnaleźć w jej słowach ślad ukrytego sarkazmu, ale wyczuł jedynie specyficzny humor. Pokręcił głową.

- Nie wiem, kto chciałby na ochotnika zgłosić się do tak uciążliwej pracy.

Kiedy Lando Calrissian wpadł bez pukania do apartamentu Hana i Leii, Solo studiował właśnie listę interakcyjnych rozrywek, którymi można byłoby zabawić jego dzieci. Jacen i Jaina siedzieli na podłodze. Niecierpliwie czekając, bawili się błyszczącymi inteligentnymi zabawkami, które ciągle jakoś uciekały sprzed ich wyciągniętych rączek.

Obok Hana stał zdenerwowany Threepio.

- Jestem absolutnie kompetentny, by samemu dokonać wyboru, proszę pana. Nie wątpię, że znajdę coś, co może ich zainteresować.

- Nie wierzę, że potrafisz to zrobić, Threepio - odrzekł Han. - Nie pamiętasz, jak zainteresowało ich zwiedzanie holograficznego zoo z okazami wymarłych zwierząt?

- To był wyjątek, proszę pana - odezwał się z godnością android.

Rozglądając się na prawo i lewo, Lando przebiegł przez komnatę jak burza.

- Han, staruszkule! - wykrzyknął. - Chciałbym, żebyś wyświadczył mi przysługę... Wielką przysługę.

Han ciężko westchnął, zgadzając się w końcu, żeby wyborowi dokonał android.

- No dobrze, wybierz, co chcesz, ale jeżeli dzieciom to się nie spodoba, pozwolę, by poddały ci e b i e dokładnemu remontowi.

- Ja... doskonale rozumiem, proszę pana - odparł Threepio i pochylił się, przystępując do pracy.

- Jaką przysługę? - zapytał przezornie Han, zwracając się do Calrissiana.

Lando przerzucił pelerynę przez ramię i nerwowo zatarł dłonie.

- Ja... hmm... chciałbym, żebyś pożyczył mi „Sokoła” - odparł. - Tylko na krótko.

- Co takiego? - zachnął się Solo.

- Mara Jade utknęła na Yavinie Cztery i szuka statku, którym mogłaby odlecieć - wyjaśnił pospiesznie Calrissian. - Chcę być tym szarmanckim dżentelmenem, który ją uratuje. Pozwól mi zabrać „Sokoła”, dobrze?

Han pokręcił głową.

- Mój statek nigdzie nie polecą beze mnie. A poza tym, jeżeli pragniesz wyrzucić na Marze Jade dobre wrażenie, latania czymś takim jak „Sokół” nie uznałbym za najlepszy pomysł.

- Daj spokój, Han - rzekł Lando. - Zabrałem przecież ciebie, by uratować Leię, kiedy Kalamar znajdował się pod ostrzałem. Teraz masz okazję się zrewanżować.

Han westchnął.

- Przypuszczam, że miałbym wymówkę, by polecieć do akademii Jedi i odwiedzić Luke'a i Kypa. - Odwrócił się i z przymusem uśmiechnął się do Threepia. - Tym razem jest chociaż Leia, żeby opiekować się bliźniętami.

„Tysiącletni Sokół” wylądował na polanie przed wielką świątynią Massassów. Han stanął na szczycie rampy i ujrzał Luke'a biegnącego ku niemu i cieszącego się jak mały chłopiec.

Wyszczerył zęby w szerokim uśmiechu i zszedł po rampie, stukając obcasami po metalowych płytach. Luke podbiegł do niego i objął w entuzjastycznym uścisku, który z całą pewnością nie licował z godnością mistrza Jedi.

- Zapewne miło spędzasz czas, nie przejmując się zawilościami galaktycznej polityki? - zapytał Han.

Luke zrobił jednak z troską minę.

- Nie powiedziałbym tego - odparł.

U szczytu rampy ukazał się Lando Calrissian. Zanim wyszedł, poświęcił trochę czasu, by starannie przyczesać włosy i upewnić się, że wygląda tak zabójczo, jak w tych warunkach możliwe. Na jego widok Han przewrócił oczami, przekonany, że łagodność i wykwinne maniery nie są najlepszym sposobem podbicia serca Mary Jade.

Chociaż siła jej płomiennego gniewu jakby trochę zmalała, Mara nadal zachowywała się szorstko i powściągliwie. Han zastanawiał się nawet, dlaczego Lando tak bardzo stara się pozyskać względy kobiety, która dawniej nazwała siebie Ręką Imperatora. W przebłysku zrozumienia przypomniał jednak sobie, że kiedyś i Leia zachowywała się tak samo. Kiedy poznał ją, czasami brał w niej górę ognisty temperament, a czasami potrafiła być chłodna jak bryła lodu. I popatrzcie, jak bardzo się zmieniła!

Obok uchylonych wrót hangaru u podstawy kamiennego zigguratu pojawiła się szczupła sylwetka Mary Jade. Kobieta miała przewieszoną przez ramię dużą torbę.

Ujrawszy Marę, Lando niemal zbiegł po rampie i lekko klepnął Luke'a po ramieniu.

- Jak się miewasz, Luke - rzucił w przelocie.

Potknął się i omal nie upadł, spiesząc po nierównym gruncie lądowiska, by przywitać się z Marą.

- Słyszeliśmy, że potrzebujesz statku - powiedział, wyciągając rękę, żeby zabrać torbę. - Co się stało z twoim?

- Lepiej nie pytaj - odparła i krzywo się uśmiechnęła, ale zsunęła pasek z ramienia i podała mężczyźnie ciężki przedmiot. - A więc w końcu znalazłeś coś, do czego masz odpowiednie kwalifikacje, Calrissian? - dodała. - Zostałeś bagażowym.

Lando przewiesił torbę przez ramię i gestem wskazał rampę „Sokoła”.

- Proszę tędy, wahadłowiec do transportu bardzo ważnych osobistości czeka, proszę pani - oznajmił.

Han uwolnił się z objęć Luke’a i popatrzył na prawo i lewo. Zauważył mgłę, unoszącą się nad gęstą dżunglą, i wielką świątynię porośniętą winoroślami.

- A gdzie Kyp? - zapytał.

Luke spuścił głowę i wbił wzrok w ziemię, ale po chwili zapewne zebrał siły dzięki jakiemś ćwiczeniu Jedi, gdyż spojrział prosto w oczy przyjaciela.

- Mam dla ciebie złe wieści, Han - odparł. - Kyp... nie zgodził się ze mną w sprawie tego, jak szybko ma się uczyć nowych, niebezpiecznych umiejętności i jak najlepiej doskonalić swój talent w posługiwaniu się Mocą.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Han. Schwycił jeden ze wsporników tłka rampy, by nie stracić równowagi. - Czy jest ranny? Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Luke pokręcił głową.

- Prawdę mówiąc, sam nie wiem, co się z nim stało. Ćwiczył pewne umiejętności, które, jak przypuszczam, mogą zawieść go na ciemną stronę. Bardzo się tym martwię, Han. Jest moim najzdolniejszym uczniem i obdarzonym największą siłą. Porwał mały myśliwiec Mary Jade i odleciał z Yanina Cztery. Nie mam pojęcia, gdzie w tej chwili jest i co robi.

Han z wysiłkiem zacisnął wargi w wąską linię, a Luke ciągnął:

- Kyp dysponuje ogromną siłą, ale ma w sobie dużo złości, a przy tym jest ambitny. Niestety, nie potrafi być wyrozumiały i cierpliwy. Połączenie tych cech może okazać się bardzo niebezpieczne.

Han poczuł się bezradny. Niemal nie zwrócił uwagi na to, jak Lando i Mara Jade wspinają się po rampie i znikają we wnętrzu „Sokoła”.

- Nie wiem, co robić, Luke - powiedział.

Mistrz Jedi ponuro kiwnął głową.

- I ja też nie wiem, Han - oświadczył.

Z pomrukiem i przenikającym wszystkim drzeniem silników do lotów z prędkościami nadświetlnymi „Tysiącletni Sokół” podróżował przez nadprzestrzeń. Lando starał się mówić półgłosem, kiedy siedząc w sterowni, pochylił się w stronę Hana.

- Pozwól, że pomajstruję trochę przy automacie przygotowującym posiłki, Han. Dobrze? Zapamiętałem kilka programów potraw, podawanych w najwykwintniejszych kasynach Miasta w Chmurach. Chciałbym wyposażyć twój automat w przepisy dań, które wprawiają Marę Jade w prawdziwy zachwyty.

- Nie. - Han popatrzył na chronometr, który pokazywał, ile czasu zostało do chwili lądowania na Coruscant. - Podoba mi się to oprogramowanie, które jest w tej chwili.

Zrozpaczony Lando ciężko westchnął i bezwładnie opadł na fotel drugiego pilota.

- To oprogramowanie zawiera wyłącznie przepisy ociekających tłuszczem, ciężkostrawnych koreliańskich potraw - powiedział. - Ktoś taki jak Mara Jade chciałby jeść egzotyczne dania, specyficznie przyrządzone. Żadnych kielbasek z nerfa ani knedli z nie dopieczonymi korzeniami.

- Posłuchaj, Lando - odparł Han. - Od najmłodszych lat znam tylko takie dania i chcę, by automat przygotowujący posiłki na moim statku podawał potrawy, które ja lubię. Przez cały czas, kiedy lecieliśmy na księżyc Yavina, pomagałem ci szorować pokłady, sprzątać pomieszczenia i kabiny, polerować stół do gry w holograficzne szachy, a także perfumować wnętrza odświeżającymi dezodorantami.

- Han - odezwał się z naganą Lando. - Statek był niesamowicie brudny i straszliwie cuchnął.

- No cóż, ale podobał mi się taki, jaki był - upierał się Solo. - To był mój brud i mój smród, na moim statku.

- Tylko dlatego twoim, że miałeś duże szczęście podczas gry w sabaka. - Lando wstał z fotela, poprawił pelerynę i wygładził fałdy obcisłego purpurowego kombinezону. - Prawdę mówiąc, pozwoliłem ci go wygrać. Nigdy nie udałoby ci się powtórzyć tej sztuki.

Han i Lando siedzieli nad pospiesznie uprzątniętym stołem do gry w holograficzne szachy i piorunowali siebie spojrzeniami. Lando spoglądał raz po raz w stronę Mary Jade, dokonując przypadkowych zmian w kolorach kart w starej talii Hana do gry w sabaka.

Przez większą część drogi powrotnej na Coruscant Mara ignorowała Calrissiana. Odrzuciła jego propozycję przygotowania wykwintnego obiadu, wybrania odpowiednich utworów muzycznych czy chociażby nawiązania rozmowy. Teraz przyglądała się, jak on i Han zasiadają do gry w karty, by rozstrzygnąć spór o prawo własności „Sokoła”. Patrzyła spode łba na obu, jakby byli dwójką małych chłopców starających się rozwiązać problem za pomocą walki na pięści.

Lando ujął talię błyszczących metalicznych prostokątów i wyciągnął ją w stronę Mary Jade.

- Moja pani, czy zechciałabyś przełożyć? - zapytał.

- Nie - odparła kobieta. - Nie zechciałabym.

- Zaczynam mieć tego dosyć, Lando - odezwał się Han. - Najpierw wygrywam od ciebie „Sokoła” podczas gry w sabaka na Bepinie, potem ty wygrywasz go ode mnie na Coruscant w świetlicy dla dyplomatów, a później ja znów wygrywam go od ciebie w czasie lotu na Kalamar. Co za dużo, to niezdrowo. To nasza ostatnia gra.

- Jeżeli o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko temu, staruszk - odparł Lando i zaczął rozdawać karty.

- Żadnych rewanzów - oświadczył Han.

- Żadnych rewanzów - zgodził się Lando.

- Którykolwiek z nas wygra, zostanie właścicielem „Sokoła” na zawsze.
 - Sam to powiedziałeś - rzekł Lando. - „Tysiącletni Sokół” będzie należał do zwycięzcy, który może zrobić z nim, co zechce. Żadnego pożyczania, żadnych kłótni.

Han kiwnął głową.

- A przegrywający przez resztę życia będzie korzystał ze środków transportu publicznego Coruscant - powiedział, ujmując swoje karty. - A teraz zamknij się i graj.

Han rzucił na stół karty, które go zawiodły, i wstał, usiłując ukryć poczucie kieszki. Czuł się tak, jakby ktoś zgniótł jego serce jak papier i z powrotem włożył mu do piersi.

- Możesz teraz się chęłpić, Lando - powiedział.

Mara Jade przyglądała się całej grze z kamienną twarzą, usiłując udawać, że wynik nic jej nie obchodzi. Po zakończeniu gry nachmurzyła się, jakby oczekiwała, że Calrissian naprawdę wstanie i wyda okrzyk triumfu. Han spodziewał się takiej samej reakcji.

Lando już wstawał, ale znieruchomiał i wyprostował się powoli, z godnością.

- No tak - odezwał się poważnie, uroczyście. - Koniec gry. Już nigdy więcej nie zagramy o „Sokoła”.

- Ta- a - odparł Han, tak cicho, że z trudem można było go usłyszeć. - Tak postanowiliśmy.

- „Sokół” jest teraz mój i mogę zrobić z nim, co zechcę - rzekł Lando.

- Możesz teraz się chęłpić - powtórzył Han, uciekając się do sarkazmu, żeby pokryć nim rozpacz. Miał ochotę się kopnąć za to, że dał się namówić do tej gry. Był idiotą, gdyż nie mógł niczego zyskać, a zamiast tego stracił wszystko. - Powiniennem być pomyśleć, zanim usiadłem do gry z tobą - stwierdził.

- Skaczecie sobie do oczu jak dwa vornskeyry podczas kłótni o terytorium - odezwała się Mara Jade, kręcąc głową. Jej rudo- brązowe włosy o odcieniu przypominającym barwę egzotycznej rośliny zasłoniły połowę jej twarzy. Nie zrobiła ruchu, by je odgarnąć, ale w jakiś sposób dodawało to jej uroku.

Lando zerknął na kobietę, a potem odwrócił się bokiem do niej, jakby zamierzał ignorować jej obecność. W dramatycznym geście rozłożył ręce i uśmiechnął się szeroko do Hana.

- Ponieważ jesteś moim przyjacielem, Hanie Solo, a ja wiem, że „Sokół” znaczy dla ciebie o wiele więcej niż dla mnie... - Lando urwał, chcąc podkreślić wagę swoich słów i zanim dokończył, ponownie zerknął na Marę Jade. - Postanowiłem zwrócić ci „Tysiącletniego Sokola”. Niech to będzie prezent ode mnie, na dowód naszej wieloletniej przyjaźni i wszystkiego, przez co razem przeszliśmy.

Han opadł bezwładnie na fotel. Czuł, że kolana ma tak słabe, iż nie potrafią utrzymać ciężaru jego ciała. Miał sucho w gardle, więc musiał kilka razy otwierać i zamykać usta, nie mogąc wykrztusić słowa. Zresztą nawet nie wiedział, co powiedzieć.

- Zajmę się teraz automatem przygotowującym posiłki - oznajmił szarmancko Lando. - Jeżeli Han pozwoli mi zmienić oprogramowanie, postaram się przyrządzić najwspanialszy posiłek, jaki potrafi podać to urządzenie, a potem wspólnie zjemy smaczny obiad.

Han był zbyt zdumiony, by zaprotestować, a zresztą Lando nie czekał na odpowiedź. Po raz kolejny zerknął kątem oka na Marę Jade, a następnie udał się do kuchni.

Nie mogąc się otrząsnąć z przeżytego wstrząsu, Han ujrzał, że kobieta unosi brwi i spogląda w ślad za Calrissianem. Na jej twarzy ukazał się niedowierzający, zagadkowy uśmiech, jakby Mara Jade uświadomiła sobie właśnie, że musi zmienić swą opinię o Calrissianie. Han pomyślał, że Lando musiał spodziewać się po niej właśnie takiej reakcji.

ROZDZIAŁ

31

Obuchogłowy Ithonanin, Momaw Nadon, przygotował wszystko. Chciał, by Wedge Antilles i Qwi Xux wyprawili się na wycieczkę odkrytym ślizgaczem, żeby podziwiać uroki ithoriańskiego krajobrazu. Stojąc na tranzytowej platformie ładowniczej, oboje spoglądali na olśniewająco piękne, jasnopurpurowe niebo. Płynące po nim obłoki przysłaniały od czasu do czasu kilka bladych księżyców, wciąż jeszcze widocznych na porannym niebie.

Qwi przypięła się pasami do fotela obitego miękką tkaniną i uplecionego z łądyg jakichś roślin, a potem spojrzała na wschodzące słońce.

- Dlaczego nie chciałeś się zgodzić, żeby Momaw Nadon był naszym przewodnikiem? - zapytała, zapoznając się z informacjami na temat topografii planety i najpiękniejszych miejsc widokowych, których obejrzenie zaproponował ich gospodarz. - Wydawało mi się, że jest bardzo dumny ze swojego świata.

Wedge skupił uwagę na pulpicie kontrolnym, chociaż sterowanie małym statkiem wydawało się niezwykle proste.

- No cóż, chyba dlatego, że sprawiał wrażenie bardzo zajętego, a poza tym... - Urwał i popatrzył na nią, a potem obdarzył ją niepewnym uśmiechem. - Chyba chciałem być sam na sam z tobą.

Qwi poczuła, że w jej sercu narasta uniesienie, które niemal przyprawia ją o zawrót głowy.

- Tak, myślę, że tak będzie przyjemniej - powiedziała.

Wedge oderwał ślizgacz od płyty lądowiska. Zaczęli się oddalać od olbrzymiej tarczy ithoriańskiego ekomiasta. Po chwili lecieli nad koronami drzew. „Oaza Tafanda” przebyła w nocy wiele kilometrów i Wedge musiał teraz dokonać ponownej kalibracji współrzędnych ślizgacza. Promienie słońca ogrzewały twarze podróżnych, ale podmuchy porannego wiatru chłodziły skórę.

Skierowali się w stronę łańcucha niewysokich wzniesień, na których ciemnozielona dżungla ustępowała miejsca nieco jaśniejszym lasom.

- Dokąd mnie zabierasz? - zapytała Qwi. - Co zamierzasz mi pokazać?

Wedge pochylił się nad pulpitem kontrolnym i wpatrzył się w horyzont.

- Dużą kępę drzew bafforr, która przed wielu laty, w czasach, kiedy wojska imperialne oblegały planetę, została częściowo zniszczona.

- Czy te drzewa różnią się czymś od wszystkich innych?

- Ithorianie oddają im niemal boską cześć - odparł Wedge. - Te drzewa są obdarzone inteligencją i posiadają coś w rodzaju zbiorowej świadomości. Im większy las, tym większą inteligencję wykazują drzewa.

Gdy znaleźli się nieco bliżej, Qwi stwierdziła, że część zbocza wzgórza porośnięta jest akwamarynowym lasem, który błyszczy i połyskuje w promieniach słońca. Wedge unieruchomił ślizgacz i oboje zaczęli wychylać się przez burty, żeby lepiej przyjrzeć się szklistym pniom i płataninie giętkich, ale ostro zakończonych gałęzi bafforrów. Rozrzucone po całym terenie duże ciemne cylindry wyglądały jak zwęglone kolumny z transpastali. Ich widok przypominał Qwi szczątki Katedry Wiatrów na Vortex, otaczające miejsce katastrofy myśliwca admirała Ackbara. Z gleby pokrytej odłamkami skał wyrastały jednak cienkie pędy, podobne trochę do sopli lodu wbitych w ziemię.

- Las zaczyna odrastać - zauważył Wedge, pokazując cienkie pędy, które jarzyły się nieco jaśniejszym błękitem niż reszta lasu.

- Widzę tam jakieś istoty! - odezwała się nagle Qwi, wskazując w bok od lasu. Zobaczyła sylwetki czterech szaroskórych Ithorian. Biegli, chcąc ukryć się pod gęstym listowiem drzew porastających zbocze wzgórza. - Myślałam, że nikomu nie wolno poruszać się po dżungli.

Wedge spoglądał na nich, wyraźnie zaskoczony. Trącił jakąś dźwignię, by unieść ślizgacz nieco wyżej, ale czterej zbuntowani Ithorianie zdążyli ukryć się pod drzewami. Zmarszczył brwi, zastanawiając się nad odpowiedzią, a później zacerpnął powietrza.

- Przypominam sobie, że kiedyś słyszałem, iż czasami matka dżungla wzywa niektórych Ithorian. Ten zew zdarza się bardzo rzadko i nikt nie potrafi go wytłumaczyć. Wezwani tubylcy zostawiają wszystko, co mają, i zaczynają wieść żywot w dżungli. Nie mogą powrócić do swoich ekomiast. W pewnym sensie stają się wygnańcami. Ponieważ Ithorianie uważają postawienie stopy na swojej planecie za świętokradztwo, takie powołanie musi być naprawdę silne.

Qwi popatrzyła w dół na zwęglone, jakby stopione pnie bafforrów, zniszczone za pomocą turbolaserowego ognia imperialnych dział.

- Cieszę się, że chociaż pielęgnują drzewa - powiedziała, zastanawiając się, ile zbiorowej świadomości odzyskały. - Polećmy teraz gdzie indziej, Wedge, żeby mogli powrócić do pracy.

Wedge zabrał Qwi nad wyniosły płaskowyż, usiany płaskimi, szarymi i brunatnymi skałami i porośnięty cynobrowymi krzakami i czarnymi winoroślami. Z krawędzi wysokiego urwiska spływały trzy rzeki, tworząc malowniczy potrójny wodospad. Przelewały się przez skalny próg i znikwały w głębi ogromnej wyrwy w samym środku płaskowyżu. Wypływały setkami otworów u podnóża skalistej ściany, a potem zamieniały się w wielkie rozlewisko, pokryte mgiełką i porośnięte kołyszącymi się na wietrze trzciniami, pomiędzy których raz po raz wyskakiwały niewielkie ryby.

Wedge zatoczył krąg odkrytym ślizgaczem, a Qwi z zapartym tchem podziwiała piękno wodospadu. Znad potoków grzmiącej wody unosiła się mgiełka, a na tle lawendowego nieba było widać wielobarwną tęczę.

Qwi obracała głowę to w prawo, to w lewo, usiłując spoglądać we wszystkie strony naraz. Wedge szeroko się uśmiechał, szczerząc zęby jak szaleniec, a potem skierował ślizgacz w sam środek między trzema wodospadami. Na chwilę zawisnął nieruchomo, a później zaczął obniżać lot, jakby chciał wylądować na dnie wyrwy.

Qwi roześmiała się, kiedy opryskały ich krople zimnej piany, mocząc ubrania. Wedge osiągnął taki poziom, na którym wody wszystkich trzech wodospadów rozбивały się o skalne ściany z hukiem przypominającym eksplozję planet. W obłokach mgły fruwały zielone stworzenia, podobne do nietoperzy. Polowały na owady i małe ryby spadające z kaskadami wody.

- To coś fantastycznego! - zawołała Qwi, usiłując przekrzyczeć huk wodospadu.

- Byłoby jeszcze lepsze - odparł Wedge - gdyby Momaw Nadon udzielił nam pełnej informacji.

Skierował ślizgacz w stronę wygładzonej skalnej półki, wystającej z bocznej ściany jamy. Znajdujący się nad nią skalny nawis zabezpieczał przed większością kropelek wody i tumanów zimnej mgły, wirujących we wnętrzu skalnego komina. Ryk rozpryskujących się strug wody docierał do nich z nieco mniejszą siłą.

Wedge przeleciał nad skałami, kierując się do osłoniętego miejsca, gdzie promienie słońca przebijały się przez wirującą mgiełkę.

- Nadon powiedział, że możemy tu wylądować.

Z pomieszczenia pod fotelem wyciągnął dwie półprzezroczyste wodoodporne peleryny, a także dwa pojemniki z automatycznie podgrzewanym jedzeniem, w które ich gospodarz zaopatrzył ślizgacz. Pomógł Qwi włożyć przez głowę nieprzemakalny strój, a potem narzucił swoją opończę. Ujął pojemniki z żywnością i wskazał gładką skałę pod nawisem.

- A teraz zapraszam cię na piknik - powiedział.

Po pełnym wrażeń, ale wyczerpującym dniu, Qwi znalazła się we wnętrzu „Oazy Tafanda” i zatrzymała się przed drzwiami swojego apartamentu pomalowanego na kolor wiśniowy. Stojący obok niej Wedge spoglądał w jej ciemnoniebieskie oczy i przestępował z nogi na nogę.

- Dziękuję ci - odezwała się Qwi. - To był najcudowniejszy dzień w całym moim życiu.

Mężczyzna trzy razy otwierał i zamykał usta, zapewne zastanawiając się, co odpowiedzieć. W końcu pochylił się i musnął dłonią jej jedwabiste perłowe włosy, a potem złożył na jej ustach delikatny pocałunek. Jego wargi dotknęły ust Qwi i przylgnęły do nich na dłuższą chwilę, a ona przytuliła się do niego, czując, że przez jej ciało przenika fala rozkoszy.

- A teraz pozwoliłeś mi przeżyć jeszcze jedną ciekawą rzecz - stwierdziła, nie kryjąc uczucia w cichym, jak zawsze melodyjnym głosie.

Wedge zarumienił się i cofnął o krok, a potem powiedział:

- Hmm, no to do zobaczenia jutro.

Odrzucił się i niemal biegiem pokonał odległość dzielącą go od swojego apartamentu.

Qwi spoglądała z pełnym zadumy uśmiechem, jak drzwi jego pokoju się zamykają. Później otworzyła zamek swojej płyty wejściowej i wślizgnęła się do apartamentu. Czuła się tak lekko, jakby pod stopami miała zainstalowane repulsory. Zamknęła drzwi i oparła się o płytę, a potem przymknąwszy oczy, czekała, aż oświetlenie pomieszczenia osiągnie normalną jasność. Głęboko westchnęła.

Otworzyła nagle oczy i ujrzała odzianego na czarno mężczyznę, który właśnie wstawał z fotela, ustawionego w najciemniejszym kącie komnaty.

Zamarła z przerażenia, widząc, jak wysoka postać szybko idzie ku niej, szeleszcząc błyszczącą czarną peleryną.

Darth Vader!

Usiłowała krzyknąć, by wezwać pomocy, ale słowa uwięzły w jej gardle, jakby jakaś niewidzialna dłoń zacisnęła palce na jej krtani. Obróciła się w miejscu i sięgnęła do drzwi, ale znieruchomiła w pół ruchu niczym mucha uwięziona w pajęczej sieci. W następnej chwili poczuła, że jakaś siła szarpnęła ją do środka komnaty.

Czarny mężczyzna podchodził coraz bliżej. Zdawało się, że płynie w powietrzu. Czego chciał? Qwi nie mogła nawet krzyknąć. Słyszała jego urywany oddech, podobny do warczenia rozwścieczonej bestii.

Wyciągnął ku niej rękę, ale Qwi nie była zdolna do żadnego ruchu. Nie potrafiła nawet się uchylić, kiedy wyciągnięte palce mężczyzny dotykały czubka jej głowy. Czuła, jak ją uciskają. Po chwili palce drugiej dłoni mężczyzny, chłodne i sprężyste, spoczęły na jej skroni. Zamrugła, uniosła głowę i zobaczyła twarz Kypa Durrona. Jego oczy płonęły dziwnym, fanatycznym blaskiem.

- A więc w końcu cię odnalazłem, doktor Qwi - odezwał się lodowato. - W swojej głowie przechowujesz zbyt dużo niebezpiecznych informacji. Muszę upewnić się, że już nikt nie będzie mógł skonstruować tych broni, które ty zaprojektowałaś i stworzyłaś. Już nigdy nie może powstać żadna Gwiazda Śmierci. Nie może być żadnego Pogromcy Słońce.

Jego palce nacisnęły nieco mocniej na czubek jej głowy i skronie. Qwi miała wrażenie, że jej czaszka rozpada się na kawałki. Jej mózg przeniknęła fala bólu, jakby jakiś koszmarny potwór rozrywał płaty. Wydawało się, że jej umysł jest szarpany metalowymi pazurami szukającymi ukrytych tajemnic. Kiedy je odnalazły, wydarły je, niszcząc także wspomnienia i całą techniczną wiedzę, którą w ciągu wielu lat z takim trudem gromadziła.

Wreszcie udało się jej krzyknąć, ale sama niemal nie usłyszała własnego głosu. Jej okrzyk, cichy i krótki, szybko zamarł, kiedy pogrążyła się w długi, mroczny tunel zapomnienia. Osunęła się na podłogę wiśniowego apartamentu.

Ostatnią rzeczą, jaką zauważyła, nim straciła przytomność, był widok odzianego na czarno mężczyzny, który otworzył drzwi komnaty i cicho wymknął się na korytarz.

Następnego ranka Wedge ubrał się i pogwizdując przed lustrzaną taflą, uczesał ciemne włosy. Zamówił egzotyczne śniadanie dla dwóch osób, gdyż pamiętał, że Qwi zawsze była rannym ptaszkiem. Z pewnością wstała wcześniej i teraz, tym bardziej że była podniecona tym wszystkim, co jeszcze chciała zobaczyć na Ithorze. Momaw Nadon obiecał im, że i tego dnia będą mogli dysponować jego odkrytym ślizgaczem.

Wedge przeszedł przez korytarz i stanął pod drzwiami jej apartamentu. Nacisnął guzik zgłoszenia i czekał, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Nacisnął guzik po raz drugi, a potem po raz trzeci i czwarty, aż w końcu, zaniepokojony, spróbował otworzyć drzwi. Przekonał się, że nie są zamknięte, i to odkrycie sprawiło, że zaniepokoił się jeszcze bardziej. Czyżby ktoś w nocy włamał się, by ją zamordować? Czy imperialni siepacze mimo wszystko dowiedzieli się, gdzie przebywa? Pchnął na wpółuchyloną płytę i wpadł jak burza do środka. W komnatach Qwi panowała ciemność i cisza.

- Światła! - krzyknął. Komnata rozjarzyła się jasnym, brzoskwińowym blaskiem.

Usłyszał głos Qwi, zanim ją zobaczył. Siedziała skulona w kącie i szlochała. Trzymając obie dłonie na perłowych włosach, ścisnęła nimi skronie, jakby chciała zatrzymać w głowie myśli, które nieustannie przeciekały przez jej palce.

- Qwi! - zawołał Wedge i podbiegł do niej. Pochylił się, objął jej nadgarstki i delikatnie zmusił, by uniosła głowę. Popatrzył w jej szeroko otwarte oczy, które sprawały wrażenie, jakby w ogóle go nie widziały. - Co się stało?

Wydało mu się, że Qwi go nie poznaje. Wedge poczuł, że w jego żołądku tworzy się coś na kształt bryły lodu. Qwi wyglądała jak ktoś, kto nie wie, kim jest, gdzie przebywa i co robi. Zmarszczyła brwi, jakby starała się odnaleźć te informacje w pamięci. Powoli pokręciła głową, a potem zamknęła ogromne oczy. Z całej siły zacisnęła powieki, jakby toczyła walkę z myślami. Po jej policzkach zaczęły płynąć łzy, z początku niewielkimi kroplami, ale kiedy zagryzła wargi, starając się za wszelką cenę skupić, popłynęły prawdziwym strumieniem. W końcu jednak zamrugła i ponownie spojrzała na mężczyznę. Było widać, że przypominała sobie jego imię, którego z takim trudem szukała.

- Widz? Wedge? - odezwała się w końcu. - Czy nazywasz się Wedge?

Antilles kiwnął machinalnie głową. Qwi zaczęła szlochać jeszcze głośniejsze, a potem rzuciła się w jego ramiona. Przytulił ją do siebie, czując, jak jej ciało drży od płaczu.

- Co się stało? - powtórzył. - Qwi, powiedz mi!

- Nie wiem. - Pokręciła głową, a podobne do piór perłowe włosy przepłynęły powoli w powietrzu z jednej strony jej głowy na drugą. - Z trudem ciebie rozpoznaję. Niczego nie pamiętam. Wydaje mi się, że mój umysł jest taki pusty... tyle w nim wolnego miejsca.

Wedge przytulił ją jeszcze mocniej, a Qwi ciągnęła:

- Czuję się tak, jakbym straciła dosłownie wszystko. Moje życie, większość wspomnień... wszystko zapomniałam.

ROZDZIAŁ

32

Kyp Durron postanowił powrócić na czwarty księżyc Yavina w nocy. Młodzieńca przepelniała potężna siła, którą zamierzał wykorzystać do ostatecznych granic. Czuł, że mógłby wybuchnąć oślepiającym fajerwerkiem Mocy... ale nie powinien pozwolić, by skusiła go tak dziecinna demonstracja własnych możliwości. Miał wykonać zadanie, od którego zależał los dosłownie całej galaktyki.

Leciał, nie włączając pozycyjnych świateł ani nie żądając podania sygnału namiaru. Obniżył lot myśliwca typu Łowca Główny Z-95 porwanego Marze Jade, po czym łagodnie wylądował na nieco zarośniętej polanie przed frontem wielkiej świątyni. Nie zamierzał spotykać się z innymi, mniej zdolnymi uczniami ani nawet z tchórzliwym i błędzącym po omacku mistrzem Skywalkerem. Pragnął tylko uzyskać dostęp do starożytnych monumentalnych budowli Massassów, które Exar Kun zaprojektował i kazał zbudować, żeby ogniskowały i skupiały moc pradawnych Sithów.

Na nocnym niebie świeciły miliony gwiazd, a z mroków puszczy dobiegały ciche dźwięki. Było słychać nieco cichsze niż zazwyczaj brzęczenie owadów i odgłosy nielicznych większych zwierząt, które z trzaskiem łamanych gałązek przemykały się w gąszczach dżungli. Cały tropikalny las sprawiał wrażenie zdumionego faktem, że Kyp powrócił.

Młodzieniec przerzucił przez plecy czarną, dziwnie połyskującą pelerynę. Pomyślał, że najwyższy czas zabierać się do pracy.

Pozostawił Łowcę Główny za plecami i podążył do monolitycznego zigguratu wielkiej świątyni. Robakokształtne rudo-brązowe pędy winorośli, wijąc się, uciekały z drogi. Zapewne nie chciały, żeby nadepnęła je stopa Kypa, jakby z całego ciała młodzieńca promieniowało śmiertelne ciepło.

Kyp skierował się ku bocznej ścianie piramidy, w której wykuto kamienne stopnie wiodące na sam wierzchołek. Ostrożnie stawiając nogę za nogą, wspinał się bardzo powoli, wsłuchany w ciche echo własnego oddechu. Czuł, że zaczyna się niecierpliwie.

W myślach usłyszał nagle radosne okrzyki mrocznych duchów i ujrzał jakby odtworzone z wideofonicznej taśmy obrazy sprzed czterech tysięcy lat, kiedy Exar Kun odnalazł ostatnie miejsce spoczynku starożytnych Sithów. Kun na nowo odkrył ich nauki. Zbudował ogromne świątynie, a potem nakłonił rozczarowanych i

zniechęconych rycerzy Jedi, żeby utworzyli bractwo Sithów. Tu, na Yavinie Cztery, posłużył się Massassami jak niewolnikami. Wykorzystał ich do ostatniego, chcąc wypłenić korupcję i chaos, panoszące się w Starej Republice, a potem nadać nowy sens jej istnieniu. Rzucił wyzwanie wszystkim słabowitym i bezwolnym Jedi, którzy bezmyślnie podążali za nieudolnymi mistrzami tylko dlatego, że przysięgli im ślepe posłuszeństwo.

Teraz Kyp zakończy tę bitwę, którą oni rozpoczęli, chociaż jego przeciwnikiem nie była nieudolna i gnijąca Stara Republika, ale Imperium, które ze swoim oszukańczym nowym ładem znalazło się na jej miejscu. Mistrz Skywalker próbował co prawda ograniczać zasób wiedzy, jaką poznawali jego uczniowie, ale Kyp zdołał nauczyć się więcej. O wiele więcej.

Kiedy dotarł do drugiego poziomu zigguratu, przystanął, żeby rzucić okiem na swój statek. Myśliwiec typu Z-95, podobny do dużego owada spoczywał nieruchomo pośrodku lądowiska. Nikt wewnątrz świątyni jeszcze nie zauważył jego przylotu.

Widok pastelowej zorzy na horyzoncie uświadomił Kypowi, że zbliża się wschód planety, przyspieszony dzięki dużej szybkości wirowania księżyca. Zaczął iść schodami pod górę, kierując spojrzenie ku wierzchołkowi wielkiej świątyni.

Usuając niebezpieczne informacje z mózgu imperialnej badaczki, Qwi Xux, zadał pierwszy cios swojej bitwy. Tylko Qwi wiedziała, jak skonstruować następnego Pogromcę Słońc, ale Kyp, posługując się własnymi rękami i niedawno poznaną wiedzą, wydarł te informacje z mózgu kobiety i unicestwił. Rozproszył je, by już nikt nigdy ich nie odnalazł.

Planował wymierzyć dziejową sprawiedliwość. Chciał upewnić się, że w walce dobra ze złem zatriumfuje dobro. Miał zamiar uczynić to w taki sposób, by zaspokoić wrażliwe zmysły. Bardziej niż cokolwiek pragnął jednak wyrzucić zemstę za wszystkie krzywdy, które Imperium wyrządziło jemu, jego rodzinie i kolonistom z jego świata. Zamierzał odzyskać Pogromcę Słońc i użyć go do zniszczenia resztek Imperium. Za swój czyn będzie odpowiedzialny tylko przed sobą. Jeżeli chodziło o podjęcie trudnej decyzji, nie ufał nikomu.

Dotarł na wierzchołek wielkiej świątyni w tej samej chwili, w której nad horyzontem ukazał się skraj ogromnej pomarańczowej tarczy Yavina. Zamglony i blade gazowy gigant był otoczony wirującymi nawałnicami, tak wielkimi, że mogły pochłoniąć mniejsze światy.

Nad ogromną salą audiencyjną świątyni zbudowano niewielką platformę obserwacyjną. Wiodło do niej kilka kamiennych stopni, ułożonych z bloków w kształcie rombów. Ze szczeliny między wiekowymi kamieniami wyrastały winorośle i karłowate drzewa Massassów.

Kyp uniósł głowę i popatrzył w niebo. Nie obchodziły go ani rośliny, ani małe zwierzęta żyjące w dżungli Yavina Cztery. Nie odgrywały najmniejszej roli w doniosłym przedsięwzięciu, którego zamierzał się podjąć. Znaczenie jego wizjonerskiego projektu znacznie przewyższało potrzeby jakiegokolwiek pojedynczej planety.

Patrząc, jak pomarańczowa kula wędruje coraz wyżej, Kyp wyciągnął ku niej rękę. Czuł, że miękka, czarna tkanina peleryny układa się w fałdy za jego plecami. Jego dłonie, szczupłe i małe, były wprawdzie dłońmi młodzieńca, ale Kyp czuł potężną siłę, która niemal ze słyszalnym trzeszczeniem wzmacniała jego kości.

- Exarze Kunie, pomóż mi - odezwał się z zamkniętymi oczyma.

Wysłał na zewnątrz macki myśli i zaczął podążać ścieżkami Mocy, wiodącymi do każdego przedmiotu we wszechświecie. Czerpał siłę z kosmicznego punktu skupienia, który znajdował się na szczycie każdej świątyni Massassów. Szukał, wysyłając myślowe palce coraz dalej w głąb wirujących nawałnic gazowego giganta.

Poczuł nagle, że za jego plecami pojawia się i zaczyna zbierać potęgę Exara Kuna, mroczna i zimna jak bryła lodu. Po chwili połączyła się z jego siłą i wspomogła jego umiejętności. Zorientował się, że jego niepewny myślowy palec, którym sondował gazowe głębiny, nagle staje się silniejszy i wystrzela jak laserowa błyskawica. Miał wrażenie, że całe jego ciało coraz bardziej rośnie, stając się najpierw częścią porośniętego dżunglą satelity, później częścią planetarnego systemu, a w końcu zagłębia się w jądro gazowego giganta.

Smagały go bladopomarańczowe chmury. Kiedy pogrążył się coraz bardziej, kierując się ku nieprawdopodobnie gęstym warstwom otaczającym jądro, czuł przytłaczające go ciśnienie gazów. Poszukiwał niewielkiego przedmiotu, przypominającego ziarno piasku, małego niezniszczalnego statku, który miał pozostać tam na zawsze.

Odnalazł w końcu Pogromcę Słońc spoczywającego w jednej z najgłębszych warstw bezdennej atmosfery. Tkwił niczym cień pomiędzy skupionymi wokół niego liniami sił pola Mocy i przyciągał uwagę jak środek strzelniczej tarczy, jak sygnał namiarowy.

Wielkość nie ma znaczenia - powtarzał mistrz Skywalker. Kyp odnalazł Pogromcę Słońc umysłem, dotknął jego kadłuba myślowym palcem, a potem otoczył niewidocznymi niematerialnymi dłońmi. Pomyślał, że teraz powinien szarpnąć, by wyciągnąć śmiercionośną broń z głębin Yavina. Szybko jednak zrezygnował z takiego rozwiązania.

Zamiast tego, korzystając z pomocy Exara Kuna, wykorzystał wrodzone umiejętności. Najpierw włączył zasilanie do układów pomiarowych i kontrolnych, a potem kilka razy poruszył dźwigniami sterowniczymi. W końcu nacisnął kilka i klawiszy, żeby zmienić współrzędne kursu, zapisanego w pamięci nawigacyjnego komputera Pogromcy, i wyrwać statek z grobowca we wnętrzu Yavina.

Widząc w myślach, że mały cień zaczyna oddalać się od jądra gazowego giganta, skupił uwagę na obserwacji skraju pomarańczowej kuli. Właśnie wznosiła się ponad korony spowitych we mgle drzew w dżungli. Pogromca Słońc ukazał się najpierw jako nie większa od atomu srebrzysta plamka. Po chwili wyłonił się z górnych warstw atmosfery planety i zaczął kierować się ku szmaragdowozielonemu księżycowi, na którym już czekał Kyp Durrón.

Młodzieniec nie spuszczał z Pogromcy Słońc spojrzenia. Stał z wyciągniętymi rękami, jakby chciał objąć nimi niezniszczalny statek.

Pogromca Słońc zbliżał się coraz bardziej jak długi i ostry kolec, wykonany z krystalicznego stopu. W spodniej części było widać toroidalną antenę generatora rezonansowych torped, zamocowaną na samym końcu długiego wysięgnika. Wyglądała po prostu pięknie.

Statek obniżał lot i właśnie przelatywał przez warstwy atmosfery. Kierował się ku wierzchołkowi wielkiej świątyni jak szpikulec pragnący się wbić w sam środek. Kyp jednak panował nad śmiercionośną bronią. Stopniowo zmniejszał prędkość lotu, aż w końcu Pogromca zawisnął w powietrzu tuż przed Kypem.

Wschód gazowego giganta sprawił, że stawało się coraz jaśniej. W rozproszonym pomarańczowym świetle było widać, że stop kadłuba superbroni rzuca błyski jak idealnie oszlifowany brylant. Niesamowite ciśnienie i temperatura, panujące w jądrze Yavina pozbawiły pancierz małego statku wszelkich zanieczyszczeń czy płamiących go tlenków. Pogromca Słońc sprawiał wrażenie nietkniętego, czystego i groźnego, jak gdyby tylko czekał, żeby poddać się woli młodzieńca.

- Dziękuję ci, Exarze Kunie - szepnął Kyp.

Luke Skywalker obudził się z kolejnego z całej serii dręczących go koszmarów nocnych. W jednej chwili rozbudzony, natychmiast usiadł na pryczy. Wyczuł jakieś silne zakłócenie Mocy. Coś było nie w porządku.

Wstał i z najwyższą ostrożnością wysłał myślowe palce, chcąc sprawdzić, co dzieje się z uczniami: Kiraną Ti, Dorskiem Osiemdziesiątym Pierwszym, nowo przybyłą Kalamarianką, Cilghal, Streenem, Tionną, Kamem Solusarem i pozostałymi. Wydawało się, że nikogo nie brakuje. Mocno spali... nawet za mocno, jakby rzucono na nich jakiś urok.

Kiedy wysłał myśli nieco dalej, z prawdziwym przerażeniem odkrył lodowato zimne, mroczne zawirowanie Mocy, które ogniskowało się na wierzchołku świątyni. Ogarnęło go zdumienie.

Ruszył szybko do drzwi komnaty, ale nim wyszedł, zatrzymał się, a potem wrócił po świetlny miecz. Korytarzami udał się do turbowindy, a kiedy jechał na szczyt pradawnej piramidy, starał się walczyć z ogarniającym go coraz większym przerażeniem.

Spokojny - mawiał Yoda. - Musisz być spokojny. Pasywny, pogodzony z sobą.

To jednak, co zobaczył w świetle pomarańczowej gazowej kuli, sprawiło, że zachwiał się jak rażony gromem.

Tuż nad samym wierzchołkiem świątyni wisiał nieruchomo Pogromca Słońc, unosząc się w powietrzu i parując w chłodzie poranka. Luke zrozumiał natychmiast, że mały statek został wyciągnięty z grobowca w jądrze Yavina. Stojący w pobliżu Kyp Durrón odwrócił się, zapewne wyczuł pojawienie się mistrza Jedi. Błyszcząca czarna peleryna z szelestem wykonała półobrót za plecami młodzieńca. Zdumiony Luke stanął jak wryty.

- Jak śmiałeś sprowadzić tu tę morderczą zabawkę! - powiedział. - Postąpiłeś wbrew wszelkim naukom Jedi, z którymi cię zapoznałem.

Kyp wybuchnął śmiechem.

- Niewiele mnie nauczyłeś, mistrzu Skywalkerze. Ja sam dowiedziałem się znacznie więcej. Oprócz twojej niedołęznej wiedzy poznałem o wiele więcej innych rzeczy. Wydaje ci się, że jesteś fantastycznym nauczycielem, ale wzdragasz się pogłębić własną wiedzę.

Odwrócił głowę i popatrzył na czekającego Pogromcę.

- Jeżeli chcemy, żeby resztki Imperium zostały zniszczone raz na zawsze, zrobię to, co muszę. Postaram się, żeby wszyscy w galaktyce mogli się czuć bezpiecznie i pewnie. Ty w tym czasie możesz tu zostać i nadal ćwiczyć swoje niewinne sztuczki Jedi. Wiedz jednak, że uważam je za dziecinne igraszki, nic więcej.

- Kypie - odezwał się poważnie Luke, starając się nie podnosić głosu i podchodząc o krok do młodzieńca. - Zwiodła cię ciemna strona Mocy i teraz musisz uczynić wszystko, co możesz, by powrócić. Zostałeś wprowadzony w błąd i okłamany. Wróć, zanim przyciąganie ciemnej strony stanie się dla ciebie zbyt silne. - Przełknął ślinę. - Ja także przeszedłem kiedyś na ciemną stronę, ale powróciłem. To możliwe, jeżeli jesteś dość silny i odważny. Jesteś?

Kyp ponownie się roześmiał, tym razem nieco pogardliwie.

- Skywalkerze, słucham twojej drętwej mowy z zażenowaniem. Obawiasz się najmniejszego ryzyka, a równocześnie pragniesz uważać się za mistrza Jedi. Nie wierzę, żebyś mógł pogodzić jedno z drugim. Z powodu własnej krótkowzroczności hamujesz rozwój umysłowy uczniów w swojej akademii. Możliwe, że powinienem pokonać cię teraz w walce, a później samemu zająć się ich szkoleniem.

Czuając w sercu głęboko ukrytą trwogę, Luke wyciągnął drżącą dłoń i zacisnął palce na gładkiej rękojeści świetlnego miecza. Wyciągnął broń i zapalił. Świetliste ostrze wysunęło się z dobrze znanym, charakterystycznym trzaskiem i sykiem. Jaskrawozielona smuga światła wydłużyła się i zaczęła buczeć na znak, że broń jest gotowa do walki.

Rycerz Jedi nie mógł zaatakować nie uzbrojonego przeciwnika. Nie mógł uciekać się do użycia siły, dopóki nie wykorzystał wszystkich innych możliwości rozstrzygnięcia sporu. Luke jednak dobrze znał śmiercionośny potencjał swojego najbardziej uzdolnionego kandydata. Gdyby Kyp na dobre przeszedł na ciemną stronę, mógłby stać się następnym Darthem Vaderem. Możliwe, że nawet kimś o wiele gorszym...

- Nie zmuszaj mnie, żebym to zrobił - powiedział Luke. Uniósł świetlny miecz, ale wciąż nie wiedział, co ma robić. Nie mógł przecież przeciąć na pół bezbronnego ucznia, który stał przed nim na wierzchołku wielkiej świątyni. Ale jeżeli tego nie zrobi...

- Musimy odesłać Pogromcę Słońc z powrotem - oświadczył. - Kiedyś sam nalegałeś na to, by już nikt go nie używał.

- Byłem wówczas ignorantem - odparł Kyp. - Takim samym, jakim ty teraz.

- Nie zmuszaj mnie, bym walczył z tobą - ostrzegł Luke, nie kryjąc groźby w niskim, gardłowym głosie.

Kyp uczynił niedbały gest jedną ręką i w powietrzu przemknęła zmarszczka ciemnej Mocy. Pokonała odległość dzielącą Kypa od Luke'a niczym fala uderowa granatu ogłuszającego.

Skywalker zachwiał się i omal nie upadł. Poczul, że miecz świetlny w jego dłoni staje się coraz chłodniejszy. Wokół rękajeści zaczęły rosnać kryształy lodu. W samym środku jaskrawozielonego rdzenia ostrza pojawił się cień, jakby jakaś choroba trawiła świetlistą smugę od wewnątrz. Wydawany przez ostrze pomruk przycichł, a potem zaczął się rwać, jakby broń zanosila się spazmatycznym kaszlem. Mroczna pręga w środku stawała się coraz grubsza i ciemniejsza, aż w końcu całkowicie ogarnęła całą grubość świetlistej smugi.

Wystrzeliwszy z sykiem snop zielonkawych iskier, świetlny miecz Luke'a wydał ostatnie tchnienie.

Bezkutecznie usiłując zapanować nad ogarniającym go coraz większym przerażeniem, Luke poczul nagle, jak jego plecy musnęła fala lodowatego zimna. Odwrócił się i spostrzegł sylwetkę czarnej, zakapturzonej postaci - wizerunek, który w jego nocnych koszmarach uosabiał Anakina Skywalkera... mężczyznę spowitego całunem mroku, mężczyznę, który najpierw skusił i zwiódł Gantorisa, a potem zniszczył, kiedy uczeń Luke'a stracił panowanie nad sobą.

Usłyszał głos Kypa, który jednak docierał do niego z wielkiej odległości.

- A teraz, mistrzu Skywalkerze, zechciej poznać mojego nauczyciela, Exara Kuna.

Luke upuścił beużyteczny świetlny miecz i skulił się w sobie. Czul, że każdy jego mięsień jest napięty, gotowy do walki. Skupił wokół siebie całą Moc otaczających go form życia i przygotował się do obrony.

Kyp, mając za plecami Pogromcę Słońca, wyciągnął ręce, w stronę Luke'a. Zaczął wysyłać ku niemu ogniste błyskawice, które przecięły ochronną warstwę Mocy, wypalając w niej ciemne smugi. Ze szczelin między kamieniami wydobyły się kłęby ciemnego dymu, który ze wszystkich stron naraz zaczął kąsać Luke'a niczym jadowe zęby nierzeczywistych węży.

Skywalker krzyknął i usiłował odpowiedzieć na atak, ale do walki przyłączył się cień Exara Kuna, przydając ciosom Kypa śmiertelności siły. Starożytny Czarny Lord Sithów smagał mistrza Jedi biczami ciemności, raz po raz wbijając w jego ciało długie sople marzniętych trucizn.

Luke bronił się, ale czul, że słabnie. Wiedział jednak, że utrata panowania nad sobą i poddanie się rozpacz albo gniewowi oznaczałoby taką samą klęskę jak wówczas, gdyby się w ogóle nie bronił. Przywołał na pomoc całą wiedzę, jaką kiedyś przekazali mu Yoda i Obi-Wan Kenobi, ale wszystkie wymyślne obronne sztuczki, które zastosował, okazały się daremne.

Nawet tak znakomity mistrz Jedi jak Luke Skywalker był bezradny w zmaganiach z całą siłą Kypa Durrona i zakazanymi bronią, jakimi posługiwał się duch zmarłego przed wiekami Exara Kuna.

Czarne macki ciemnej siły, podobne do węży zadawały Luke'owi cios za ciosem. Przepelniały jego ciało dojmującym bólem który rozchodził się żyłami niczym płonąca

lawa. Luke krzyknął, ale jego krzyk został natychmiast pochłonięty przez nawałnicę ciemnej Mocy.

Krzyknął jeszcze raz, a potem bez czucia zwałił się na kojące, chłodne kamienne płyty wielkiej świątyni Massassów. W ostatnim przeblysku świadomości stwierdził, że wszystko wokół niego zamienia się w duszącą, przytłaczającą, wszechobecną ciemność.

ROZDZIAŁ

33

W przestworzach w pobliżu środka Mgławicy Kocioł wisały nieruchomo dwa gwiazdne niszczyciele, gotowe do zaatakowania Coruscant.

Admirał Daala stała sztywno wyprostowana na podwyższeniu mostka „Gorgony”, swojego flagowego statku. Odzyskawszy zdecydowanie i pewność siebie, czuła się jak zelektryzowana. W ciągu ostatniej doby nie zmrużyła oka.

Dyżurni oficerowie czuwali przy stanowiskach bojowych i konsolach, podnieceni i pełni animuszu. Korytarze „Gorgony” przemierzało dwukrotnie więcej niż zazwyczaj szturmowców, uzbrojonych po zęby i gotowych do walki. Szkoleni i ćwiczni przez ponad dziesięć lat, cieszyli się z szansy zadania najsilniejszego i najskuteczniejszego ciosu, jaki mogli sobie wymarzyć.

- Komandorze Kratas, niech pan melduje - odezwała się Daala.

Kratas stanął na baczność i zaczął wyrzucać z siebie krótkie, urywane zdania.

- Cały sprzęt i lekka broń przeniesiona z pokładów „Bazyliuszka” na „Gorgone”. Na „Bazyliuszku” pozostała tylko szczątkowa załoga. Sami szturmowcy. Kapitan Mullinore melduje gotowość do ostatniej akcji.

Daala odwróciła się do porucznika obsługującego konsolę łączności.

- Proszę połączyć mnie z kapitanem Mullinore'em.

Na mostku przed Daalą zmaterializował się holograficzny wizerunek dowódcy „Bazyliuszka”. Hologram drżał, ale mężczyzna sprawiał wrażenie całkowicie opanowanego, ze stoickim spokojem spoglądał w szmaragdowe oczy kobiety.

- Kapitanie, czy pański statek jest gotów? - zapytała Daala, zaplatając palce rąk za plecami. - Czy pan jest gotów?

- Tak jest, pani admirał. Zmieniliśmy konfigurację wszystkich systemów uzbrojenia, żeby zwiększyć dopływ mocy do generatorów pól ochronnych. Oddział szturmowców wyposażył główne reaktory napędu nadprzestrzennego w specjalne urządzenie umożliwiające autodestrukcję. - Przerwał, zapewne dla nabrania odwagi, chociaż na skrajnie krótko przyszyrzonych jasnych włosów nie było widać nawet najmniejszej kropli potu. - „Bazyliuszek” jest gotów, pani admirał. Może pani wydać rozkaz choćby w tej chwili.

- Dziękuję, kapitanie - odezwała się Daala. - Historia nie zapomni pańskiego poświęcenia. Przysięgam panu, że tego dopilnuję.

Odwróciła się do podwładnych na mostku, włączając przycisk wewnętrznego interkomu. Jej dobitny głos poniósł się po wszystkich pokładach niszczyciela.

- Uwaga, cała załoga. Ogłaszam pogotowie bojowe. Przygotować się do akcji. Zniszczymy Coruscant i w ten sposób zadamy śmiertelny cios w samo serce Rebelii.

Kyp Durrone pilotował Pogromcę Słońc, kierując go ku jądrze Mgławicy Kocioł. Exar Kun powiedział Kypowi, że właśnie tam znajduje się kryjówka floty admirał Daali.

Siedząc w niewygodnym, twardym fotelu pilota i spoglądając przez segmentowane iluminatory, czuł pod palcami chłodne i dobrze znane rękojeści dźwigni sterowniczych. Pomagał przecież pilotować tę superbroń, kiedy razem z Hanem Solo porwali statek, żeby uciec z Laboratorium Otchłani.

Podczas bitwy, jaka wtedy się wywiązała, unicestwili jeden z gwiazdnych niszczycieli admirał Daali. Teraz chciał posłużyć się Pogromcą Słońc, żeby roznieść w strzępy resztę jej gwiazdnej floty.

Wzniesienie ognia w całej mgławicy mogło się wydać zbyt silnym ciosem, gdy chodziło o zniszczenie tylko dwóch imperialnych statków. Kyp jednak wysoko cenił ironię, jaka kryła się w wymierzeniu imperialnej broni przeciwko jej wynalazcom i konstruktorom. Chciał ponadto uświadomić szczątkom Imperium, jaki los czeka je, kiedy będzie zaprowadzał swój porządek w galaktyce.

Tablice z czujnikami Pogromcy Słońc były nieprzydatne z powodu zjonizowanych kłębow różnorodnych gazów. Jonizację tę zawdzięczały promieniowaniu grupy olśniewająco jasnych błękitnych gigantów, których blask rozjaśniał całą mgławicę. Dziobowe iluminatory automatycznie ściemniały, by przepuszczać mniejszą ilość oślepiającego blasku.

Pozbywszy się wszelkich umysłowych zahamowań, Kyp rozesał we wszystkie strony myślowe palce. Pozwolił, by energia uchodziła z niego jak z uszkodzonego zbiornika ze sprężonym gazem. Po wysiłku, jakim było wyszarpięcie Pogromcy Słońc z grobu w jądrze Yavina, odnalezienie kilku gwiazdnych statków było dziecinną igraszką.

Tylko chwilę zajęło mu wykrzycie obecności charakterystycznych sylwetek dwóch imperialnych gwiazdnych niszczycieli, podobnych do grotów strzał. Nie zmienił jednak trajektorii lotu. W dalszym ciągu kierował się w samo serce mgławicy, zajmowane przez opasłe gwiazdy. Gigantyczne błękitne słońca były młode i dlatego bardzo łatwe do zniszczenia. Powinny płonąć tak samo intensywnie, lecz dość krótko, jeżeli liczyć w kosmicznej skali czasu. Później miały wybuchnąć jako gwiazdy supernowe, wysyłając fale uderzeniowe po całym rejonie galaktyki.

Kyp Durrone dysponował jednak Pogromcą Słońc, dzięki czemu mógł zapoczątkować zamianę tych słońc w supernowe teraz, nie czekając, aż upłyną setki tysiącleci.

Popatrzył w przestworza, wypełnione chmurami kojących gazów, jarzących się wszystkimi kolorami tęczy, i pomyślał o pastelowych barwach nieba podczas zachodu słońca na Deyer. Przypomnił sobie widok cichych jezior wokół malowniczych miast, wzniesionych na tratwach. Właśnie tam on i jego brat, Zeth, bawili się i dorastali. Ciszę i spokój jego domu zmaćło jednak wtargnięcie imperialnych szturmowców. Wyprowadzili Kypa i jego całą rodzinę bez jakiegokolwiek ostrzeżenia.

Przed wielu laty Gwiazda Śmierci znalazła się w pobliżu cichego i spokojnego Alderaanu, by jednym strzałem ze śmiertcionośnego superlasera zniszczyć ten uroczy świat, rozerwać na kawałki - także bez ostrzeżenia.

Admirał Daala nie zasługiwała na ostrzeżenie. Nawet na najmniejsze.

Kyp zwiększył moc generatorów pól antyradiacyjnych Pogromcy Słońc i pogrążywszy się w oceanie materii gwiazdnej, coraz bardziej zbliżał się do błękitnych gigantów. Włączył zasilanie do komputera urządzenia celowniczego, umieszczonego przed nim na pulpicie.

Obie części osłony uniosły się, a potem rozsunęły na boki. Z wnętrza pulpitu wyłonił się niewielki ekran, ukazując rysunek olbrzymich kul krążących bardzo blisko siebie. W samym środku mgławicy wirowało siedem gigantycznych gwiazd po tak skomplikowanych orbitach, że jedne przechwytywały cząstki gazów otaczających sąsiednie. Wysyłane przez nie promieniowanie sprawiało, że chmury atomów wodoru, neonu i tlenu jarzyły się różnymi kolorami.

Kiedy Kyp uzbrajał torpedy, włączając czerwone przyciski umieszczone w jednym rzędzie, jego twarz zamieniła się w ponurą maskę. Dobrze wiedział, na jakiej zasadzie funkcjonuje Pogromca. Całą wiedzę na ten temat wydarł przecież z mózgu doktor Qwi Xux.

Na pulpicie kontrolnym rozjarzyły się alarmowe lampki. Kyp potwierdził swój zamiar, wysyłając informację do pokładowego komputera. Toroidalna antena generatora rezonansowych torped, umieszczona w spodniej części kadłuba, została zasilona. Jej powierzchnia rozbłysła błękitnymi wyładowaniami, które z trzaskiem przecinały warstwy plazmy.

Kyp przypomniał sobie, jak specjaliści Nowej Republiki bezskutecznie usiłowali zgadnąć, na jakiej zasadzie funkcjonuje Pogromca. Pamiętał, jak rozbiegli się w popłochu na widok zwyczajnego cylindra służącego do przekazywania informacji. Prawdziwe rezonansowe torpedy, które wywołując eksplozje gwiazd, zamieniały je w supernowe, były niezwykle gęstymi ładunkami energii. Zaprogramowano je i zmodulowano w taki sposób, by powodowały destabilizację jądra gwiazdy. Torpedy miały zapoczątkować zapadnięcie się materii gwiazdnej do wewnątrz, a potem wywołać reakcję przeciwną, w której zewnętrzne warstwy były wyrzucone w przestworza. W nieprawdopodobnie silnym wybuchu, jaki później nastąpił, cała gwiazda rozpadała się na kawałki.

Kyp wziął na cel gromadę ogromnych błękitnych gwiazd. Nie wahał się. W głębi serca dobrze wiedział, co zrobić.

Przycisnął guziki wyzwajające śmiertcionośne ładunki. Przez kadłub Pogromcy Słońc przeszło drżenie, kiedy niezniszczalna broń odpaliła siedem potężnych rezonansowych torped.

Kyp ujrzał siedem spłaszczonych kul zielonego, żółtego i białego ognia na tle bezgłośnie wirujących gazów Mgławicy Kocioł. Z cichnącym sykiem oddalały się od małego statku. Energetyczne ładunki poszybowały w przestworza, by pogrążyć się w ognistych pieklach gigantycznych słońc.

Kyp przyciemnił segmentowany iluminator i utkwiał spojrzenie w błękitnych gigantach. Wiedział, że wszystkie eksplodują w tej samej chwili. Wysłał promieniowanie, od którego zajmą się bezkresne oceany materii gwiazdnej, i wzniecał potężny pożar, który obejmie cały sektor mgławicy. Pomyślał, że nie mógłby wymarzyć sobie lepszego ostrzeżenia dla światów, które pozostają lojalne wobec Imperium.

Minie jednak zapewne kilka godzin, nim torpedy dotrą do jąder słońc i wywołają w nich reakcje łańcuchowe. Fala zniszczenia zacznie wzbierać, aż rozerwie gwiazdę w nieprawdopodobnie jasnym błysku światła. Uwolni silne promieniowanie, które przeniknie całą mgławicę i wypełni ją gwiazdną materią. Cały sektor galaktyki zamieni się w płomieniste piekło.

Kyp czuł, że na jego żołądku zaciska się coś na kształt lodowatej pięści. Nie mógł się już wycofać. Raz wystrzelonych torped nie można było rozbroić ani skierować ku innemu celowi. Los tych siedmiu gwiazd był przesądzony. Miały eksplodować za kilka godzin.

Zawrócił Pogromcę Słońc i nie spiesząc się, zaczął oddalać się od centrum mgławicy. Jego statek był tak mały, że nie mogły wykryć go żadne czujniki, zwłaszcza w przestworzach Mgławicy Kocioł, pełnych elektromagnetycznych zakłóceń pochodzących od zjonizowanych gazów. Jego superbroń zaprojektowano w ten sposób, by dotarła niepostrzeżenie w sąsiedztwo celu, wystrzeliła torpedę w jądro gwiazdy i zniknęła, nie podejmując walki ze statkami przeciwnika. Miała niespodziewanie zadać pierwszy cios - pierwszy i ostateczny.

Admirał Daala nigdy nie dowie się o jego obecności.

Kyp popatrzył od niechcienia na chronometr. Niecierpliwiał się, chcąc ujrzeć statki Daali, pochłaniane przez ogniste fale, które wkrótce jak wichur przelecały przez mgławicę. Dysponował najsilniejszą bronią, jaką kiedykolwiek zbudowano, a ponadto czerpał siłę z wiedzy, którą udostępnił mu duch Exara Kuna.

Tam, gdzie inni w walce z siłami Imperium ponieśli porażkę, on, Kyp Durron, zwyciężył. Raz na zawsze.

Oddalając się niespiesznie od gromady błękitnych gigantów, stwierdził, że do potwornej eksplozji pozostała mniej więcej godzina. Pomyślał, że będzie się wlokła bez końca. Wybiegł myślami w przestworza. Bardzo chciał ponaigrać się z admirał Daali.

I wówczas zobaczył, że jej gwiazdne niszczyciele zaczynają się poruszać. „Bazyliżek” i „Gorgona” uruchomiły silniki do lotów z prędkościami podświetlnymi i

zaczęły się obracać. Zamierzały ustawić się w ten sposób, żeby wspólnie dokonać skoku w nadprzestrzeń. Wyglądało na to, że szykują się do zaatakowania jakiegoś celu.

Kyp poczuł, że przenika go fala gniewu.

- Nie, nie może teraz odlecieć!

Nie mógł zrobić nic, by powstrzymać eksplozję jąder słońc, a zatem Daala musiała zostać tam, gdzie dosięgnie ją śmiertelna fala!

Mocno uderzył we włączniki systemów uzbrojenia Pogromcy Słońc, posyłając energię do baterii turbolaserowych działek, umieszczonych w załamaniach kadłuba. Gwałtownie przyspieszył.

Kiedy on i Han uciekali z obszaru pełnego czarnych dziur, Daala wysłała w pościg za Pogromcą Słońc wszystkie myśliwce, rozpaczliwie usiłując go pochwycić.

Kyp liczył na to, że wystarczy kilku strażaków, oddanych na chybił trafił, by zachęcić Daalę do pozostania w przestworzach Mgławicy Kocioł.

Admirał Daala uniosła prawą rękę i spojrzała na dyżurnego oficera nawigatora.

- Przygotować się do włączenia napędu nadprzestrzennego! - rozkazała.

- Pani admirał - odezwał się porucznik, czuwający przy konsolce z czujnikami. - Zauważyłem pojawienie się obcego statku!

Przed dziobem „Gorgony” śmignęła mała maszyna, podobna do myśliwca, ostrzeliwując niszczyciel ze śmiesznie nieskutecznych laserów.

- Co takiego? - rzekła Daala, odwracając się na piecie. - Ekran - rozkazała. - Powiększenie.

Z obiektywu urządzenia łączności wyłonił się drżący, holograficzny wizerunek dowódcy „Bazyliuszka”, kapitana Mullinore’a.

- Pani admirał, wykryliśmy pojawienie się Pogromcy Słońc - zameldował. - Czy mamy nawiązać z nim kontakt bojowy?

- Pogromca Słońc!

Przyjęcie do wiadomości tego faktu zajęło admirał Daali całą sekundę. Nie odpowiedziała jednak, dopóki mały statek nie przeleciał ponownie przed mostkiem „Gorgony”, wysyłając ku niemu nitki turbolaserowych błyskawic. Daala natychmiast rozpoznała podobny do ciernia kształt, najeżony wieżyczkami baterii laserów. Pamiętała, że miały zbyt małą moc, by wyrządzić jej gwiazdnym niszczycielom jakąkolwiek krzywdę.

- Wysłać w pogoń dwie eskadry myśliwców typu TIE - rozkazała, czując przypływ podniecenia. - Rozkazuję schwytać Pogromcę Słońc. Mając go, będziemy mogli całkowicie zmienić strategię walki z Nową Republiką.

Szturmowcy, gotowi od kilkunastu godzin do akcji, wybiegli na pokłady. Po kilku następnych chwilach otworzyły się wrota hangarów „Gorgony”, umieszczone w dolnej części kadłuba niszczyciela. Wyroliła się z nich setka myśliwców typu TIE. Przecięła chmury wirujących gazów mgławicy i puściła się w pościg za intruzem.

Daala przyglądała się walce. Wiedziała, że Pogromcę Słońc zaprojektowano w taki sposób, by był zdolny do szybkich i gwałtownych zwrotów. Dysponował niezniszczalnym kwantowym pancernem, więc pilot statku mógł sztywno ze

wszystkiego, co wysłałaby przeciwko niemu. Była jednak przekonana, że pochwycenie go jest tylko kwestią czasu.

- Ale dlaczego nas atakuje? - zapytała samą siebie, uderzając ukrytymi w czarnej rękawiczce palcami o poręcz mostka. - Coś tu mi się nie podoba. Atakuje nas, chociaż wie, że nie może zrobić nam żadnej krzywdy. Dlaczego chce, byśmy zwrócili na niego uwagę? I w ogóle jak nas tu znalazł?

Chociaż nie kierowała tych pytań właściwie do nikogo, odpowiedział jej komandor Kratas.

- Niestety, nie wiem tego, pani admirał.

- Zawrócić oba gwiazdne niszczyciele z kursu - rozkazała Daala. - Przy następnej okazji, kiedy pojawi się przed mostkiem, pochwycić Pogromcę Słońc promieniem ściągającym.

- Pilot Pogromcy Słońc manewruje zbyt szybko, żeby można było pochwycić go promieniem, pani admirał - odezwał się Kratas.

Daala spiorunowała go spojrzeniem.

- Czy to znaczy, że nie może pan nawet spróbować?

- Nie, pani admirał. - Kratas odwrócił się i klasnął w dłonie, zwracając się do swoich podwładnych pełniących służbę na mostku. - Słyszeliście rozkaz pani admirał. Natychmiast wykonać!

- Pani admirał, pilot Pogromcy Słońc coś sygnalizuje - odezwał się oficer łącznościowiec. - Wyłącznie na fonii.

Daala odwróciła się jak użądlna przez pszczołę.

- Połączyć.

Mimo szumów i trzasków w głośniku komunikatora na mostku „Gorgony” dał się słyszeć piskliwy, chłopiący głos.

- Admirał Daala? Mówi Kyp Durrone. Czy mnie pani pamięta? Mam nadzieję, że tak. Wydała pani kiedyś na mnie wyrok śmierci. Muszę przyznać, że wywarło to na mnie duże wrażenie. Czy na pani zrobiło także, choćby najmniejsze?

Daala przypomniała sobie szczupłego ciemnowłosego młodzieńca, pojmanego razem z Rebeliantami, którzy wtargnęli w rejon strzeżonego Laboratorium Otchłani. Gestem ręki nakazała oficerowi, by uruchomił kanał łączności.

- Kypie Durrone, jeżeli natychmiast się poddasz i zwrócisz nam nietkniętego Pogromcę, przetransportujemy cię na planetę, którą sam wybierzesz. Możesz być wolny. Nie bądź głupi!

- Nie ma mowy, pani admirał! - Kyp zaniósł się serdecznym śmiechem. - Kpię sobie z siły ognia pani imperialnych niszczycieli. Zaryzykuje.

Przerwał łączność i jeszcze raz przeleciał przed mostkiem, strzelając do niego z laserów. Wszystkie błyskawice odbijały się jednak od pól energetycznych chroniących kadłub gwiazdnego niszczyciela.

- Promień ściągający pochwycił... - odezwał się oficer, odpowiedzialny za taktykę. - Straciliśmy kontakt.

- Pani admirał! - przerwał oficer dyżurujący przy konsolce z czujnikami. W jego głosie dało się słyszeć niezwykle podniecenie. - Odbieram dziwne sygnały dochodzące

z gromady gwiazd. Wszystkie błękitne giganty pulsują. Jeszcze nigdy nie widziałem niczego...

Daala zamarła. Jej usta otworzyły się z przerażenia, kiedy w jednej sekundzie uświadomiła sobie, jaki przerażający plan wymyślił ten... chłopiec, a teraz wprowadzał w życie, żeby unicestwić jej flotę.

- Zwrot o sto osiemdziesiąt stopni! - rozkazała. - Cała naprzód! Jak najszybciej opuścić mgławicę!

- Ależ, pani admirał...? - odezwał się niepewnie Kratas.

- Posłuszyl się Pogromcą Słońc! - krzyknęła rozpaczliwie Daala. - Już wkrótce wszystkie gwiazdy eksplodują! Ten chłopak usiłuje odciągnąć naszą uwagę, byśmy wpadli w pułapkę i zginęli.

Kratas rzucił się do stanowiska nawigacyjnego. Kiedy obudziły się silniki do lotów z prędkościami podświetlnymi, „Gorgona” skoczyła jak koń, któremu dano ostrogę.

- Nasz komputer nie kieruje nas ku Coruscant - odezwał się oficer nawigacyjny. - Kiedy zawróciliśmy, by zaatakować Pogromcę Słońc, tamte współrzędne zostały usunięte.

- Wszystko jedno, niech pan leci gdziekolwiek, byle szybko - rzekła Daala. - W dowolnym kierunku. I poinformować o tym kapitana „Bazyliuszka”.

Dysze wylotowe silników podświetlnych rozjarzyły się pełnym światłem, coraz bardziej zwiększając odległość dzielącą oba statki od centrum mgławicy. Włączył się napęd nadświetlny, z każdą chwilą nabierając większej mocy. Gwiazdne niszczyciele zaczęły się przygotowywać...

I wówczas wszystkie gwiazdy eksplodowały.

Kyp Durron obserwował, jak imperialne statki obracają się i rzucają do ucieczki jak ranne banthy.

- Nie uda się wam... - Uśmiechnął się do siebie. - Nie zdążycie.

„Gorgona” i „Bazyliuszka” leciały przez mgławicę coraz szybciej. Ich dowódcy nie przejmowali się tym, że zostawiają za sobą dziesiątki myśliwców typu TIE. Widząc, że ich macierzyste jednostki zmieniały kurs i zaczęły się oddalać, ogarnięci paniką piloci niewielkich imperialnych maszyn puścili się w pościg za niszczycielami.

Kyp zignorował myśliwce. Wydał komputerowi polecenie, by silniki osiągnęły dwukrotnie większą moc w porównaniu z tą, na jaką zostały zaprojektowane. Po chwili wystrzelił w górę i zaczął się oddalać od płaszczyzny wirujących chmur gazów mgławicy.

Kiedy gromada błękitnych gwiazd eksplodowała, koncentryczne fale oślepiającego blasku i śmiertocznego promieniowania przecięły przestworza z siłą kosmicznego huraganu.

„Gorgonie” udało się wyprzedzić „Bazyliuszka” o dwie długości.

Pociągając za dźwignie sterownicze, Kyp kierował Pogromcą Słońc przez cały czas w górę. Był pewien, że kwantowy pancierz ochroni go przed najgorszym

niebezpieczeństwem. Oślepiający błysk supernowych sprawił, że przejrzystość iluminatorów zmalała niemal do zera.

Ujrzał jednak, jak krawędź płonącej kuli dociera do „Bazyliuszka”. Widział, jak przelatuje po jego pokładach, jak zapala statek, który wybucha w Mgławicy Kocioł niczym jeszcze jedna mała gwiazda supernowa, a potem jak pędzi coraz dalej w przestworza.

Iluminator stał się niemal całkiem nieprzezroczysty. Kypowi wydało się jednak, że tam, gdzie znajdowała się „Gorgona”, dostrzega następny błysk... a później ognista burza uniemożliwiła oglądanie.

Kiedy iluminatory przestały przepuszczać jakiegokolwiek światło, Kyp posłużył się klawiaturą pokładowego komputera nawigacyjnego, by podać współrzędne nowego kursu. To był dopiero początek.

Zostawiał za sobą galaktyczne piekło. Zdumiony potęgą Pogromcy Słońc, wyruszał do walki przeciwko tym światom, które wciąż jeszcze dochowywały wierności Imperium.

Bez wątpienia dysponował całą mocą, której potrzebował do osiągnięcia celu.

ROZDZIAŁ

34

W urzędzonej po spartańsku komnacie pani ambasador Cilghal panował miły chłód, charakterystyczny dla poranka na Yavinie Cztery. Kalamarianka wstała z pryczy i zaczęła rozkoszować się wilgotnym półmrokiem kamiennej świątyni.

Przebywała w *prakseum* Jedi zaledwie od kilku dni, ale miała wrażenie, że otworzył się przed nią cały wszechświat. Ćwiczenia mistrza Skywalker'a pokazały jej, jak dostrajać swój umysł do Mocy; zwróciły jej spojrzenie w inną stronę, tak, by mogła zobaczyć w pełnym świetle to, na co przedtem zaledwie zerkała kątem oka. Luke skierował ją na pełen odkryć szlak wiodący w dół łagodnego długiego zbocza, na którym im więcej rzeczy poznawała, tym łatwiej przychodziło jej uczenie się nowych.

Rozpryskała po twarzy trochę letniej wody, by zwilżyć skórę, a potem pogładziła delikatne wąsiki wyrastające pod ustami. Choć powietrze księżycy porośniętego dżunglą było zawsze przesycone wilgocią, najlepiej czuła się wówczas, kiedy mogła zmoczyć odsłoniętą skórę.

Opuściła komnatę i dołączyła do kilkanaściorga pozostałych kandydatów Jedi, którzy przebywali już w jadalni. Siedzieli, spożywając lekkie śniadania składające się głównie z owoców czy mięs, odpowiednich dla systemów trawiennych każdego ucznia albo uczennicy.

Przy stole siedział Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy, podziwiając barwne prostokąty potraw przygotowanych przez automat. Przeżył tyle lat na samowystarczalnym świecie, którego środowisko nie ulegało żadnym zmianom, że nie potrafił jeść niczego, co nie było specjalnie przetworzone.

Wychudzony, lecz zahartowany uczeń Jedi, Kam Solusar, usiłował rozmawiać z wiecznie rozczocharanym Streenem, ale tamten bez przerwy rzucał ukradkowe spojrzenia na boki, jakby coś rozpraszało jego uwagę.

Pozostali kandydaci na rycerzy Jedi siedzieli samotnie lub w niewielkich grupach. Rozmawiali, ale nie umieli ukryć zaniepokojenia. Cilghal nie dostrzegła między nimi mistrza Skywalker'a. Zazwyczaj to on pierwszy pojawiał się w jadalni i czekał, aż dołączy do niego uczniowie. Kalamarianka stwierdziła, że niemal wszyscy wyglądają na zakłopotanych taką nagłą zmianą.

Podeszła do automatu przygotowującego posiłki. Miała zamiar zamówić śniadanie składające się z wędzonej ryby krojonej w drobną kostkę i pikantnej zbożowej papki, którą zawsze tak bardzo lubiła. W końcu zapytała, nie zwracając się do nikogo w szczególności:

- Gdzie jest mistrz Skywalker?

Uczniowie Luke'a popatrzyli po sobie, jakby właśnie chcieli zadać to samo pytanie.

Streen wstał od stołu i zaniepokojony rozejrzał się po sali.

- Jest zbyt cicho - oznajmił z przekonaniem. - Zbyt cicho. Zawsze chciałem, żeby było cicho, ale tej ciszy już za wiele. Nie słyszę mistrza Skywalker'a. Zawsze słyszę jakieś głosy w swojej głowie. Słyszę teraz wasze, ale jest zbyt cicho. - Usiadł, jakby czymś zakłopotany. - Zbyt cicho.

Nagle do jadalni wpadła Tionna, kurczowo ściskając swój dziwny instrument wyposażony w dwie komory. Splątane, srebrzyste włosy ciągnęły się za jej głową, a w szeroko otwartych oczach kryło się przerażenie.

- Chodźcie szybko! - zawołała. - Znalazłam mistrza Skywalker'a!

Nie wahając się ani nie zadając żadnych pytań, pozostali uczniowie jak jeden zerwali się od stołu. Poruszając się płynnie, wszyscy skierowali się ku Tionnie, która zaczęła biec wijącymi się korytarzami porośniętymi mchem. Cilghal starała się dotrzymać kroku nieco silniej zbudowanym uczniom, jak Kirana Ti czy Tionna.

Przebiegli przez ogromną komnatę audiencyjną, od której ścian, porośniętych winoroślą, odbijało się echo ich kroków. Stały w niej długie, kamienne, wypolerowane ławy, oświetlone teraz promieniami słońca.

- Tędy - odezwała się Tionna. - Nie mam pojęcia, co mu się stało.

Dotarli w końcu do tylnych, zniszczonych kamiennych schodów, które wiodły na górę, do platformy obserwacyjnej na wierzchołku zigguratu.

Cilghal zauważyła postać odzianą w płaszcz Jedi, rozciągniętą na kamieniach pod gołym niebem, i zatrzymała się jak wryta. Zwróciła uwagę, że ręce Luke'a są rozłożone, jakby usiłował się przed czymś bronić.

- Mistrzu Skywalkerze! - zawołała. Pozostali uczniowie rzucili się do leżącego ciała. Cilghal przecisnęła się między nimi i uklękła obok nieruchomej postaci.

Twarz Luke'a sprawiała wrażenie wykrzywionej z bólu albo strachu. Jego powieki były mocno zaciśnięte, a usta ułożone w dziwny grymas.

Obok niego na kamieniach leżał świetlny miecz, zapewne bezużyteczny w walce z przeciwnikiem, z którym przyszło mu się zmierzyć.

Cilghal uniosła głowę Luke'a i dotknęła jasnobrązowych włosów. Dostrzegła na twarzy mistrza Jedi krople potu, ale nie wyczuła, by jego skóra była ciepła. Wybiegła myślami, rozpaczliwie szukając oznak życia, korzystając z niedawno opanowanych umiejętności.

- Co mu się stało? - zapytał niezwykle zaniepokojony Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy.

- Czy żyje? - dopytywał się Streen. - Nie słyszę go w swojej głowie.

Cilghal wyteżyła wszystkie zmysły, a potem pokręciła pomarańczowo- zieloną głową.

- Oddycha - odparła cicho. - Jego serce co prawda bije, ale bardzo słabo. Niemal nie wyczuwam jego pulsu. Niestety, nie mogę znaleźć go w środku ciała. Kiedy wysyłam myśli, starając się dotrzeć do niego Mocą, natrafiam tylko na ogromną, ziejącą pustkę...

Odwróciła się i popatrzyła na pozostałych uczniów, kierując na każdego po kolei okrągłe, wielkie kalamariańskie oczy.

- Wygląda na to, że od nas odszedł.

- I co teraz zrobimy? - zapytała Kirana Ti.

Cilghal ujęła głowę Luke'a w obie dłonie i kilka razy zamrugła. Przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć.

- Jesteśmy zdani teraz na własne siły - odezwała się w końcu.